

Robert J. Sawyer



HYBRYDY

ROBERT J. SAWYER

HYBRYDY

Przełożyła: Agnieszka Jacewicz



2008

Spis treści

Karta tytułowa

Międzyświatowe „Kto jest Kim”

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

EPILOG

Podziękowania i źródła

MIĘDZYŚWIATOWE „KTO JEST KIM”

BARAŚCI (*Homo neanderthalensis*)

Ponter Boddit fizyk kwantowy (generacja 145)

Jasmel Ket starsza córka Pontera (147)

Mega Bek młodsza córka Pontera (148)

Adikor Huld fizyk kwantowy (145)

Lurt Fradlo partnerka Adikora, chemiczka (145)

Dab Lunday syn Adikora (148)

Bandra Tolgak geolog (144)

Harb partner Bandry (144)

Hapnar starsza córka Bandry (146)

Dranna młodsza córka Bandry (147)

Vissan Lennet genetyczka (144)

Lonwis Trob wynalazca (138)

GLIKSINI (*Homo sapiens*)

Mary Vaughan genetyczka, grupa Synergia

Colm O’Casey mąż Mary (żyją w separacji)

Jock Krieger dyrektor grupy Synergia

Louise Benoit fizyczka, grupa Synergia

Reuben Montego lekarz w kopalni INCO

Veronica Shannon neurobiolog, Laurentian University

Quaiser Remtulla genetyczka, York University Cornelius

Ruskin genetyk, York University

Wiarę w Boga często uważa się nie tylko za największą, ale też za najbardziej znamiennej z wszystkich różnic między człowiekiem a niższymi zwierzętami.

Charles Darwin
O pochodzeniu człowieka

I powiem wam, że Bóg nie jest taki nieskończony, jak twierdzą katolicy. Ma średnicę około sześciuset metrów, a do tego na brzegach jest słabszy.

Karel Čapek
Fabryka absolutu

Ludzkość nadal dzieli się na dwa gatunki: na garstkę istot o skłonnościach „spekulatywnych” i na wielką gromadę ludzi pozbawionych tych skłonności; pośrodku znajduje się zaś strefa mieszańców...

John Galsworthy
Saga rodu Forsytheow; „Do wynajęcia”

ROZDZIAŁ 1



Bracia Amerykanie oraz wszyscy ludzie na tej wersji Ziemi – z wielką przyjemnością zwracam się do was dzisiaj w moim pierwszym prezydenckim przemówieniu. Pragnę poruszyć temat przyszłości naszego gatunku ludzkiego, zwanego Homo sapiens – człowiekiem myślącym...

– Mare – powiedział Ponter Boddit – mam zaszczyt przedstawić ci Lonwisa Troba.

Dotąd neandertalczycy kojarzyli jej się z mocną budową ciała – dziennik „Toronto Star” nazwał ich „krępyimi Schwarzeneggerami” z powodu niskiego wzrostu i potężnej muskulatury. Dlatego zaszokował ją wygląd wynalazcy, zwłaszcza że starzec stał obok Pontera.

Młodszy neandertalczyk należał do pokolenia, które na jego świecie określano jako „generację 145”. Oznaczało to, że osiągnął wiek trzydziestu ośmiu lat. Miał około 173 centymetrów wzrostu – czyli dość dużo jak na mężczyznę swojego gatunku – i mięśnie, których pozazdrościłaby mu większość kulturystów.

Natomiast Lonwis Trob był jednym z niewielu żyjących członków generacji 138. Dożył zdumiewającego wieku stu ośmiu lat. Wyglądał chudo, ale nadal miał szerokie barki. Typowo jasna skóra Barastów, przystosowanych do życia w północnych szerokościach geograficznych, u niego wydawała się niemal przezroczysta i pozbawiona koloru, podobnie jak rzadkie włosy na przedramionach. Oczywiście, miał wszystkie cechy

charakterystyczne neandertalczyków – niskie czoło, podwójnie wygięty wał nadoczodołowy, potężny nochal i szeroką, pozbawioną bródki twarz – ale jego czaszka była kompletnie łyśa. Za to Ponter miał bujną blond czuprynę (z przedziałką pośrodku, jak u większości przedstawicieli jego gatunku) i gęsty, jasny zarost.

Najbardziej niezwykłą cechą obu mężczyzn były ich oczy. Mary potrafiła bez końca wpatrywać się w złote tęczówki Pontera. U Lonwisa składały się one z segmentów. Jego gałki oczne były lśniącymi kulami niebieskiego metalu, a centralne soczewki lśniły niebieskozielonym blaskiem.

– Zdrowego dnia, Uczony Trobie – zwróciła się do wynalazcy. Nie wyciągnęła do niego ręki, ponieważ neandertalczycy nie mieli takiego zwyczaju. – To dla mnie wielki zaszczyt.

– Z pewnością tak jest – odparł Lonwis. Oczywiście mówił w języku Barastów. Posługiwali się tylko jednym, więc nie miał żadnej specjalnej nazwy. Kompan wynalazcy przetłumaczył jego odpowiedź, emitując syntetyzowane angielskie słowa przez zewnętrzny głośnik.

Nie był to pierwszy lepszy implant! Mary wiedziała, że Lonwis opracował technologię Kompanów w młodości, w roku, który ludzie z jej świata określali jako 1923. W podziękowaniu za wszystko, co implanty zrobiły dla Barastów, Lonwisowi podarowano urządzenie z panelem ze złota. Znajdowało się po wewnętrznej stronie jego prawego przedramienia – wśród neandertalczyków także zdarzały się osoby leworęczne. W porównaniu z tym majstersztykiem Hak – Kompan Pontera – wyglądał tandetnie w zwykłej stalowej obudowie.

– Mare jest genetyczką – wyjaśnił Ponter. – To ona podczas mojej pierwszej podróży na tę wersję Ziemi udowodniła, że należę do gatunku,

który jej ludzie nazywają neandertalczykami. – Silną dłonią o krótkich palcach ujął jej rękę.

– Co więcej, jest kobietą, którą kocham. Wkrótce planujemy się połączyć.

Mechaniczne oczy Lonwisa spoczęły na Mary. Nie mogła odczytać ich wyrazu. Mimo woli odwróciła wzrok i spojrzała przez okno. Jej gabinet mieścił się na drugim piętrze starej rezydencji, która stała się główną siedzibą Synergii. Wielka szarzyzna jeziora Ontario ciągnęła się aż po horyzont.

– No, no! – powiedział Lonwis, a raczej tak jego Kompan przetłumaczył ostro brzmiącą sylabę, która padła z jego ust. Po chwili jednak ton wynalazcy złagodniał, a jego wzrok padł na Pontera. – A myślałem, że to ja robię dużo dla kontaktów międzykulturowych.

Lonwis znalazł się w gronie dziesięciu wybitnych neandertalczyków – wielkich naukowców i utalentowanych artystów – którzy przemaszerowali przez portal ze swojego świata na ten, aby powstrzymać neandertalskie władze przed zerwaniem połączenia między obiema Ziemią.

– Chciałabym panu podziękować – powiedziała Mary. – My wszyscy... cała grupa Synergia, jesteśmy panu wdzięczni. Przybycie na obcy świat...

– Rzeczywiście, to ostatnia rzecz, jakiej spodziewałem się doświadczyć w moim wieku – przyznał Lonwis. – Gdyby nie ci krótkogłowi głupcy z Najwyższej Rady Siwych... – Sędziwy neandertalczyk z oburzeniem pokręcił głową.

– Uczony Trob będzie pracował z Lou – wyjaśnił Ponter – żeby się przekonać, czy kwantowy komputer, taki jak ten, który zbudowałem z Adikorem, można stworzyć z komponentów dostępnych tutaj... jak wy to mówicie? ... „od ręki”.

„Lou”, czyli doktor Louise Benoit, była z zawodu fizykiem i zajmowała się cząstkami elementarnymi. Neandertalczyki nie potrafili wymówić długiego „i” w jej imieniu, ale ich Kompani, tłumacząc neandertalskie słowa na angielski, w miarę potrzeby uzupełniały brakujące dźwięki.

Louise uratowała Ponterowi życie, kiedy przed wieloma miesiącami po raz pierwszy pojawił się na tej Ziemi, przypadkowo przenosząc się tu z własnego podziemnego laboratorium komputera kwantowego w sam środek kulistego zbiornika z ciężką wodą w Sudbury Neutrino Observatory.

Później, gdy Ponter podczas pierwszej wizyty zachorował, przechodziła kwarantannę razem z nim, Mary i lekarzem Reubenem Montego. Wtedy miała okazję dowiedzieć się wiele o neandertalskiej fizyce kwantowej i dlatego właśnie ją wybrano do kierowania próbami odtworzenia neandertalskich osiągnięć w tej dziedzinie. Projekt ten traktowano jako jeden z najważniejszych, ponieważ tylko odpowiednio duże komputery kwantowe mogły podtrzymać pomost między światami.

– Kiedy poznam Uczoną Benoit? – spytał Lonwis.

– Właśnie teraz – odezwał się kobiecy głos z silnym francuskim akcentem. Mary odwróciła głowę. W drzwiach stała Louise Benoit – piękna dwudziestoosmioletnia brunetka o długich nogach, białych zębach i idealnych kształtach. – Przepraszam za spóźnienie. Na drogach były straszne korki.

Lonwis przekrzywił na bok sędziwą głowę, ze zdumieniem słuchając Kompana tłumaczącego ostatnie zdanie.

Louise weszła do pokoju i wyciągnęła do wynalazcy bladą dłoń.

– Witaj, Uczony Trobie! – powiedziała. – Ogromnie się cieszę z naszego spotkania.

Ponter przysunął się do Lonwisa i szepnął mu coś do ucha. Starzec zmarszczył brew. Mina, która nawet u neandertalczyków mających gęste

brwi wyglądała dziwnie, u tego stulatka była wręcz surrealistyczna, przynajmniej według Mary.

Lonwis wyciągnął rękę i ujął dłoń Louise tak, jakby podnosił budzący niesmak przedmiot.

Louise uśmiechnęła się swoim promiennym uśmiechem, który nie zrobił żadnego wrażenia na Lonwisie.

– To dla mnie wielki zaszczyt – przyznała. Spojrzała na Mary. – Ostatni raz byłam tak przejęta podczas spotkania z Hawkingiem!

Stephen Hawking odwiedził kiedyś Sudbury Neutrino Observatory. Jego wizyta okazała się nie lada przedsięwzięciem logistycznym, ponieważ komora detektora znajdowała się dwa kilometry pod ziemią i 1200 metrów w poziomie od najbliższej windy.

– Mój czas jest niezwykle cenny – oznajmił Lonwis. – Możemy przystąpić do pracy?

– Oczywiście – odparła Louise z uśmiechem. – Nasze laboratorium znajduje się w końcu korytarza.

Skierowała się do drzwi, a Lonwis ruszył za nią. Ponter zbliżył się do Mary i czule polizał jej twarz.

– Chodź z nami, Boddit – odezwał się w tej samej chwili Trob, nie oglądając się za siebie.

Ponter z żalem uśmiechnął się do Mary. Uniósł ramiona, jakby chciał powiedzieć „nic na to nie poradzę”, i opuścił gabinet w ślad za Louise i wynalazcą, zamykając za sobą ciężkie drewniane drzwi.

Mary podeszła do biurka i zaczęła porządkować papiery. Dawniej czuła... co? Zdenerwowanie? Zazdrość? Nie miała pewności, w każdym razie niepokoiła się, kiedy Ponter spędzał czas z Louise Benoit. Przypadkiem usłyszała, jak mężczyźni z Synergii za plecami Louise mówili o niej „A-L”. W końcu spytała Franka, jednego z fotooptyków, co to

znaczy. Speszony wyjaśnił, że to skrót od „Apetycznej Louise”. Mary musiała przyznać, że takie określenie doskonale pasuje do jej koleżanki.

Teraz jednak już się nie przejmowała, gdy Ponter był z Louise. Przecież kochał ją, a nie francuskojęzyczną Kanadyjkę. Duże piersi i pełne wargi najwyraźniej nie były cechami najbardziej pożądanymi przez Barastów.

Rozległo się pukanie. Mary podniosła głowę.

– Proszę! – zawołała.

W drzwiach stanął Jock Krieger, wysoki, chudy mężczyzna z siwą fryzurą, która przypominała Mary Ronalda Reagana. Wiedziała, że nie tylko jej, bo ci, którzy nazywali Louise „A-L”, na Kriegera mówili „Gipper”. [W 1940 roku Ronald Reagan zagrał w biograficznym filmie Knute Rockne, *All American*, opowiadającym historię Knutea Rocknea, jednego z najsłynniejszych trenerów futbolu amerykańskiego. Reagan wcielił się w rolę George’a Gippa, zwanego „Gipperem”, wskutek czego przydomek „Gipper” przyłgnęło do niego na resztę życia.] Mary przypuszczała, że dla niej też wymyślili jakąś ksywkę, ale jeszcze żadnej nie słyszała.

– Hej, Mary – rozległ się głęboki i zachrypnięty głos Jocka. – Masz chwilę?

Mary głośno wypuściła powietrze.

– Chwil mam mnóstwo – odparła.

Jock kiwnął głową.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. – Przysunął sobie krzesło do biurka. – Wykonałaś już zadanie, do którego cię tutaj zatrudniłem: znalazłaś niezawodną metodę odróżniania neandertalczyków od nas.

Rzeczywiście, ten cel już osiągnęła. Okazało się to dość proste: przedstawiciele *Homo sapiens* mieli dwadzieścia trzy pary chromosomów,

natomiast *Homo neanderthalensis* – dwadzieścia cztery.

Poczuła, jak jej puls przyspiesza. Wiedziała, że tak wspaniała praca z niebagatelną stawką dla eksperta nie może trwać wiecznie.

– Jestem ofiarą własnego geniuszu – powiedziała, próbując obrócić sprawę w żart. – Problem w tym, że nie mogę wrócić na uniwersytet. Nie w tym roku akademickim. Kilku wykładowców – z których jeden jest odrażającym monstrem, pomyślała – przejęło zajęcia, jakie wcześniej prowadziłam.

Jock podniósł rękę.

– Ale ja wcale nie chcę, żebyś wracała do Yorku. Mam dla ciebie plany wyjazdowe. Ponter niedługo wraca do domu, tak?

Mary kiwnęła głową.

– Przyjechał tu tylko po to, aby wziąć udział w kilku spotkaniach w ONZ, no i oczywiście żeby przywieźć Lonwisa do Rochester.

– W takim razie, może byś wróciła razem z nim? Neandertalczyki bardzo hojnie dzielą się wiedzą z genetyki i bioinżynierii, ale zawsze można dowiedzieć się czegoś więcej. Chciałbym, abyś wybrała się na neandertalski świat na dłużej... może na miesiąc... i dowiedziała się jak najwięcej o ich biotechnologii.

Mary poczuła, jak jej serce zaczyna mocniej bić z emocji.

– Bardzo chętnie.

– Doskonale. Nie wiem tylko, jak rozwiążesz sprawę mieszkania tam, ale...

– Poprzednio gościłam u partnerki partnera Pontera.

– U partnerki partnera Pontera... – powtórzył Jock.

– No tak. Ponter ma partnera Adikora... Słyszałeś o nim, to ten, który wraz z nim stworzył komputer kwantowy. Z kolei Adikor jest jednocześnie związany z kobietą, chemiczką o imieniu Lurt. Kiedy Dwoje nie jest

Jednym, czyli w okresie gdy mężczyźni i kobiety na neandertalskim świecie żyją osobno, mieszkam właśnie u niej.

– Ach tak – Jock pokręcił głową. – A myślałem, że tylko w operach mydlanych relacje są tak skomplikowane.

– Ależ w telenowelach wszystko jest proste – odparła Mary z uśmiechem. – Siostrzeniec wuja żeni się z bratanicą jego byłej żony. Oczywiście dzieje się to już po tym, jak ona wychodzi za znajomego trzeciego męża swojej kuzynki – i to dwa razy, bo później zrobi to jeszcze po raz trzeci. Potem on zostaje mężem...

Jock podniósł ręce do góry.

– Jasne, jasne!

– Tak czy inaczej, partnerką partnera Pontera jest chemiczką o imieniu Lurt. Neandertalczyki uważają genetykę za dział chemii, czym na dobrą sprawę oczywiście jest. Lurt będzie mogła poznać mnie z odpowiednimi osobami.

– Znakomicie. Jeśli więc zgodzisz się pojechać na drugą stronę, na pewno przydadzą nam się zebrane tam przez ciebie informacje.

– Jeśli się zgodzę? – Mary starała się powstrzymać entuzjazm. – A czy papież jest katolikiem?

– Był nim, kiedy ostatnio to sprawdzałem – odparł Jock z nikłym uśmiechem.

ROZDZIAŁ 2



Dziś chcę mówić tylko o naszej przyszłości – o przyszłości Homo sapiens – ale nie dlatego, że przemawiam wyłącznie jako prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nie, powód jest inny. Otóż w tej sferze przyszłość nasza oraz przyszłość neandertalczyków nie są ze sobą związane...

Cornelius Ruskin bał się, że koszmary nigdy się nie skończą. Co noc przeżywał to samo: ten przeklęty jaskiniowiec rzucał się na niego, powalał go na ziemię i okaleczał. Każdego ranka budził się zlany potem.

Większą część dnia po tym, jak odkrył potworną prawdę, spędził w łóżku, zwijając się z bólu. Telefon dzwonił kilka razy. Na pewno ktoś z uniwersytetu próbował ustalić, co się do diabła dzieje. Cornelius nie potrafił jednak zmusić się do rozmowy z kimkolwiek.

Późnym wieczorem zatelefonował na wydział genetyki i zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce Qaiser Remtulli. Zawsze nie cierpiał tej kobiety, a teraz – po tym, co go spotkało – nienawidził jej jeszcze bardziej. Na szczęście udało mu się zachować spokojny ton. Wyjaśnił, że jest chory i że wróci do pracy dopiero za kilka dni.

Dokładnie pilnował, czy w jego moczu nie pojawia się krew. Co rano badał okolice rany, sprawdzając, czy nic się z niej nie sączy, i wielokrotnie mierzył temperaturę, kontrolując, czy nie ma gorączki – oczywiście nie miał, choć często ogarniały go fale gorąca.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Przytłaczała go sama myśl o tym, co się stało. Czuł ból, ale ten z każdym dniem słabł. Poza tym Cornelius pomagał sobie kodeiną – całe szczęście, że w Kanadzie można ją było kupić bez recepty. Zawsze miał w mieszkaniu zapas. Początkowo brał po pięć tabletek naraz, ale teraz ograniczał się już do normalnej dawki dwóch.

Poza przyjmowaniem leków przeciwbólowych nie miał pojęcia, co robić. Absolutnie nie mógł iść do żadnego lekarza. Gdyby to zrobił, nie utrzymałby w tajemnicy tego, co go spotkało. Ktoś na pewno by się wygadał, a Ponter miał rację: Cornelius nie mógł ryzykować.

Kiedy w końcu udało mu się jakoś pozbierać, usiadł do komputera. Był to bezwartościowy rupieć Pentium 90 MHz. Miał go od czasów studenckich. Maszyna jako tako nadawała się do pisania tekstów i odbierania maili, ale z Internetu zwykle korzystał w pracy. Na uniwersytecie miał szerokopasmowy dostęp do sieci, a w domu mógł sobie pozwolić tylko na zwykłe telefoniczne łącze modemowe za pośrednictwem lokalnej firmy ISP. Tylko że nie mógł czekać, aż wróci do pracy; potrzebował odpowiedzi natychmiast. Jakoś musiał przetrzymać obezwładniająco powolne otwieranie stron.

Trwało to dwadzieścia minut, ale w końcu znalazł informacje, których szukał. Ponter wrócił na tę Ziemię wyposażony w medyczny pas, który zawierał, między innymi, kauteryzujący skalpel laserowy. Ten sam instrument ocalił mu życie, kiedy neandertalczyk został postrzelony przed siedzibą ONZ. Na pewno tego właśnie użył do...

Wszystkie mięśnie Corneliusa napięły się, gdy znowu pomyślał o tym, co go spotkało.

Jego moszna została rozcięta – prawdopodobnie laserem – i...

Zamknął oczy i z wysiłkiem przełknął ślinę, próbując nie dopuścić do tego by kwas żołądkowy ponownie wspiął się do przełyku.

W jakiś sposób – może nawet gołymi rękami – Ponter usunął mu jądra, a potem laserem zamknął ranę.

Cornelius wcześniej gorączkowo przetrząsnął całe mieszkanie. Miał nadzieję, że może da się je wszczepić z powrotem. Jednak po dwóch godzinach, z twarzą mokrą od łez złości i frustracji, musiał stawić czoło rzeczywistości. Ponter pewnie spuścił jego jaja w klozecie albo zabrał je ze sobą. Tak czy inaczej, przepadły na dobre.

Czuł wściekłość. Przecież zrobił tylko to, co powinien. Te kobiety – Mary Vaughan i Qaiser Remtulla – stały mu na drodze. Dostały swoje tytuły i etaty ze względu na płeć. To on miał doktorat z Oksfordu, ale przy awansach pomijano go, ponieważ uniwersytet „korygował historyczny brak równowagi w traktowaniu obu płci”. Został wydymany, więc pokazał tej pakistańskiej suce Remtulli i Vaughan, która dostała jego etat, jakie to uczucie.

„Niech to cholera” – pomyślał ponownie, macając się między nogami. Moszna była bardzo opuchnięta, ale pusta.

Niech to cholera.

Jock Krieger wrócił do swojego biura na parterze siedziby Synergii. Duże okno gabinetu wychodziło na południe, na przystań, a nie na widoczne od północy Ontario. Rezydencja znajdowała się na biegnącym ze wschodu na zachód pasku lądu w części Rochester zwanej Seabreeze.

Jock miał doktorat z teorii gier; studiował u Johna Nasha w Princeton i spędził trzy dekady w korporacji RAND, która okazała się idealnym dla niego miejscem. Finansowana ze środków Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, była głównym zespołem doradczym rządu Stanów Zjednoczonych podczas zimnej wojny i przeprowadzała badania dotyczące

konfliktu nuklearnego. Do dziś skrót M. D. kojarzył mu się nie z doktorem medycyny, a z *megadeath* – milionową liczbą ofiar wśród cywilów.

W Pentagonie wściekano się z powodu przebiegu pierwszego kontaktu z neandertalskim naczelnym – pierwszym neandertalczykiem, który trafił do tej rzeczywistości z tamtego świata. Donosy o współczesnym jaskiniowcu, który pojawił się w kopalni niklu w północnym Ontario, przypominały plotki z brukowców, podobne do opowieści o spotkaniach z kosmitami lub Yeti, i inne podobne bzdury. Zanim władze amerykańskie – a prawdę mówiąc, również kanadyjskie – zaczęły traktować sprawę poważnie, neandertalczyk trafił między zwykłych członków społeczeństwa i sytuacja stała się niemożliwa do opanowania.

Dlatego niezwłocznie pojawiły się fundusze – część z INS, [Immigration and Naturalization Service – istniejąca do 2003 roku część departamentu sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych zajmująca się legalną i nielegalną imigracją oraz naturalizacją.] ale większość z departamentu obrony – na stworzenie grupy Synergia. Tak nazwał ją jakiś polityk; gdyby to zależało od Jocka, nazywałaby się pewnie GOPOKON: „Grupa Odpowiedzialna za Ponowny Kontakt z Neandertalczykami”. Ale nazwę – i to głupie logo z symbolem jedności obu światów – ustalono jeszcze zanim powierzono mu kierowanie organizacją.

Nieprzypadkowo powołano na to stanowisko specjalistę od teorii gier. Wiadomo było, że gdyby kiedyś doszło do odnowienia kontaktu między światami, to neandertalczyki i ludzie – Jock nadal rezerwował ten termin, przynajmniej prywatnie, dla prawdziwych ludzi – mieliby różne interesy, a przecież w teorii gier chodziło właśnie o określenie najkorzystniejszych rozwiązań, jakich można się było spodziewać w takich sytuacjach.

– Jock?

Krieger zwykle zostawiał uchylone drzwi – jak chyba każdy dobry szef powinien, prawda? Czy nie na tym polegała polityka otwartych drzwi? Mimo to zdumiał się na widok zaglądalej do środka neandertalskiej twarzy – szerokiej, zarośniętej i z wydatnym wałem nadoczodołowym.

– Tak, Ponterze?

– Lonwis Trob przywiózł z Nowego Jorku nowe komunikaty. – Lonwis, razem z dziewięciorgiem neandertalczyków i ambasadorką Tukaną Prat, większość czasu spędzał w siedzibie ONZ. – Dotarły do ciebie wieści o podróży do analogicznego miejsca?

Jock pokręcił głową.

– Ale wiesz, że są plany stworzenia większego, stałego portalu między obydwo ma światami na powierzchni ziemi? Podobno wasza Organizacja Narodów Zjednoczonych podjęła decyzję, aby portal połączył jej główną siedzibę z odpowiadającym temu punktowi miejscem na moim świecie.

Jock zmarszczył brwi. Dlaczego od tego cholernego neandertalczyka dowiadywał się o tym, o czym powinien donieść mu wywiad? Wprawdzie jeszcze nie zdążył sprawdzić poczty elektronicznej; może dostał już jakąś wiadomość na ten temat. Oczywiście wiedział, że rozważano opcję usytuowania takiego przejścia w Nowym Jorku. Gdyby to od niego zależało, sprawa nie podlegałaby dyskusji. Nowy portal musiałby, rzecz jasna, powstać na terenie Stanów Zjednoczonych, a usytuowanie go w United Nations Plaza – czyli w zasadzie na terytorium międzynarodowym – zadowoliliby resztę świata.

– Lonwis twierdzi – ciągnął Ponter – że planowana jest podróż oficjalnej delegacji przedstawicieli Organizacji Narodów Zjednoczonych na drugą... moją stronę. Adikor i ja mamy zabrać ich na wyspę Donakat, czyli na naszą wersję Manhattanu, aby mogli obejrzeć teren. Pozostają jeszcze kwestie związane z zabezpieczeniem dużego komputera kwantowego przed

promieniowaniem słonecznym, kosmicznym i ziemskim, aby nie wystąpiła dekoherencja.

– Tak? i co w związku z tym?

– Pomyślałem, że może zechciałbyś nam towarzyszyć? Przewodzisz grupie, której celem jest budowa dobrych relacji z moim światem, ale sam jeszcze go nie widziałeś.

Propozycja Pontera zaskoczyła Jocka. Prawdę mówiąc, obecność dwóch neandertalczyków w siedzibie Synergii budziła w nim odrazę. Wyglądali zupełnie jak trolle. Nie miał pewności czy chce odwiedzić miejsce, gdzie byłby otoczony przez takich jak oni.

– Na kiedy planowana jest ta wyprawa?

– Zaraz po następnych dniach, podczas których Dwoje będzie Jednym.

– Ach tak. – Jock próbował zachować uprzejmy wyraz twarzy. – Nasza Louise ma na to własne określenie: „Szykuje się balanga!”

– Nie polega to wyłącznie na imprezowaniu – sprostował Ponter. – No, ale podczas tej wyprawy tego nie zobaczymy. Dołączysz do nas?

– Mam mnóstwo pracy.

Ponter uśmiechnął się po swojemu, tym denerwującym trzydziestocentymetrowym uśmiechem.

– A podobno to moi ludzie nie palą się do odkrywania, co kryje się za następnym wzgórzem. Powinieneś odwiedzić świat, z którym budujesz relacje.

Ponter wszedł do gabinetu Mary i zamknął za sobą drzwi. Objął ją potężnymi ramionami, mocno przytulił i polizał jej twarz. Pocałowała go. Stali tak dłuższą chwilę.

– Wiesz, że wkrótce muszę wracać na mój świat – powiedział Ponter, wzdychając ciężko i wypuszczając Mary z objęć.

Próbowała z powagą skinąć głową, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Dlaczego się uśmiechasz? – spytał.

– Bo Jock poprosił, żebym jechała z tobą!

– Naprawdę? To wspaniale! – Na chwilę umilkł, a potem dodał: – Tylko oczywiście...

Mary skinęła głową i podniosła rękę.

– Wiem, wiem. Możemy być razem tylko cztery dni w miesiącu. – Mężczyźni i kobiety na świecie Pontera przez większość czasu żyli oddzielnie. Kobiety zamieszkiwały centra miast, natomiast mężczyźni mieli domy na obrzeżach. – Ale przynajmniej będziemy na tym samym świecie... a ja zajmę się czymś pożytecznym, Jock chce, żebym przez miesiąc studiowała neandertalską biotechnologię i zebrała na ten temat jak najwięcej informacji.

– Doskonale – skwitował. – Im szersza będzie wymiana międzykulturowa, tym lepiej. – Przez chwilę patrzył na Ontario za oknem, tak jakby wyobrażał sobie czekającą go wkrótce podróż. – Skoro tak, to powinniśmy ruszać do Sudbury.

– Ale przecież zostało jeszcze dziesięć dni do czasu, gdy Dwoje znowu stanie się Jednym, mam rację?

Ponter nie musiał konsultować się z Kompanem, sam znał odpowiedź. Jego partnerka, Klast, przed dwoma laty przegrała walkę z rakiem, ale nadal dobrze pamiętał daty, bo tylko kiedy Dwoje było Jednym widywał się z córkami. Skinął głową.

– A potem znowu muszę ruszyć na południe, tylko tym razem na moim świecie, do miejsca, które odpowiada tutejszej siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. – Nigdy nie używał skrótu „ONZ”.

Neandertalczyki nie znali pisma fonetycznego i nie mieli zwyczaju posługiwać się literowcami. – Tam ma powstać nowy portal.

– Aha...

Ponter podniósł dłoń, uprzedzając jej pytanie.

– Oczywiście pojedę na Donakat dopiero gdy Dwoje będzie osobno, a wrócę na długo zanim znowu stanie się Jednym.

Mary poczuła, jak część jej euforii się ulatnia. Wprawdzie od początku wiedziała, że nawet gdyby zamieszkała na neandertalskim świecie, i tak mogłaby widywać Pontera tylko co dwadzieścia pięć dni, ale nie potrafiła się z tym pogodzić. Chciała, aby na jakimś świecie istniało rozwiązanie, dzięki któremu ona i Ponter mogliby zawsze być razem.

– Jeśli wracasz na moją Ziemię, możemy pojechać do portalu razem. Miała mnie tam podrzucić Lou, ale...

– Louise? Ona też się wybiera na drugą stronę?

– Nie, nie. Pojutrze jedzie do Sudbury odwiedzić Reubena.

– Louise Benoit i Reuben Montego zostali kochankami, kiedy wspólnie odbywali kwarantannę. – Skoro wszyscy czworo będziemy w Sudbury, co powiesz na wspólną kolację? Marzy mi się grill u Reubena... Mary miała obecnie na swojej Ziemi dwa domy: wynajmowany apartament w Bristol Harbour Village, w północnej części stanu Nowy Jork, i własne mieszkanie w Richmond Hill, na północ od Toronto. Właśnie do tego drugiego jechała teraz z Ponterem. Czekają ich trzy i pół godziny jazdy z Rochester. W Buffalo zjechali z autostrady i zatrzymali się w KFC. Według Pontera serwowane tam jedzenie było najwspanialsze na świecie. Mary – niestety, ze szkodą dla figury – podzielała jego zdanie. Przyprawy wywodziły się z cieplejszych stref klimatycznych, gdzie zaczęto je stosować, aby zamaskować smak niezbyt świeżego mięsa. Ludzie Pontera, zamieszkujący północne rejony Ziemi, używali ich niewiele. Po raz pierwszy miał okazję

spróbować tak niezwyklej mieszanki jedenastu różnych ziół i dodatków, której smak okazał się dla niego zupełnie nowym doświadczeniem.

Podczas jazdy słuchali płyt CD; dzięki temu Mary nie musiała stale szukać kolejnych stacji radiowych. Zaczęli od największych przebojów Martiny McBride, a potem włączyli *Come On Over* Shanii Twain. Mary lubiła większość utworów tej piosenkarki, nie znosiła tylko piosenki *The Woman In Me*, której brakowało charakterystycznej energii Twain. Myślała nawet, że może kiedyś zbierze się na ambicję i przegra album bez tej jednej pozycji.

Jechali autostradą. W tle grała muzyka. Słońce schodziło coraz niżej – o tej porze roku znikало tak wcześnie. Mary się zamyśliła. Album CD dało się bez trudu zmontować na nowo. Montowanie od nowa życia było piekielnie trudne. Chciałaby wyciąć z niego tylko kilka rzeczy. Oczywiście gwałt – nie mogła uwierzyć, że naprawdę upłynęły dopiero trzy miesiące od tamtego wydarzenia. Oprócz niego usunęłaby parę finansowych pomyłek. A do tego jeszcze kilka nie w porę wypowiedzianych uwag.

A małżeństwo z Colmem?

Wiedziała, czego chciał teraz: zależało mu, aby przed Kościołem i Bogiem oświadczyła, że ich małżeństwo nigdy nie istniało. Właśnie na tym polegało unieważnienie związku – miała zaprzeczyć, jakoby w ogóle miał miejsce.

Przypuszczała, że kiedyś Kościół rzymskokatolicki zniesie zakaz rozwodów. Zanim poznała Pontera, nie widziała powodu, dla którego miałyby definitywnie zakończyć małżeństwo z Colmem, ale teraz jej na tym zależało. Do wyboru miała albo obłudną próbę anulowania związku, albo ekskomunikę, która była karą za rozwód.

Jak na ironię, katolicy, wyznając grzechy, mogli zyskać odpuszczenie. Jeśli jednak poślubiło się niewłaściwą osobę, nie było odwrotu. Kościół

domagał się, aby mariaż trwał „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, chyba że ktoś był skłonny kłamać, zaprzeczając faktycznemu istnieniu związku.

Niech to cholera! Przecież jej małżeństwo z Colmem nie zasługiwało na to, by je przekreślić, wymazać, usunąć z rejestrów.

Wprawdzie nie była w stu procentach pewna swojej decyzji, kiedy przyjmowała oświadczyzny ani kiedy szła do ołtarza, prowadzona przez ojca, ale przez pierwsze lata wszystko układało się między nimi dobrze. Później związek rozleciał się tylko dlatego, że zmieniły się ich zainteresowania i cele.

Ostatnio sporo mówiło się o „wielkim skoku”, który dokonał się przed 40 tysiącami lat, gdy na tym świecie po raz pierwszy pojawiła się świadomość. Mary przeżyła taki prywatny „wielki skok”, gdy zrozumiała, że wcale nie musi stawiać swoich pragnień i zawodowych ambicji na drugim miejscu, po pragnieniach i ambicjach męża. Od tego momentu ich losy potoczyły się odrębnymi torami – no a teraz żyli w zupełnie innych światach.

Mimo to nie mogła wyprzeć się tamtego małżeństwa.

A to oznaczało...

... to oznaczało rozwód, a nie unieważnienie związku. Wprawdzie nie istniał żaden przepis zabraniający kobiecie z gatunku *Homo sapiens*, która w świetle prawa wciąż była żoną Gliksiną, uczestniczyć w ceremonii ślubowania z Barastem, ale w przyszłości bez wątpienia takie zasady miały powstać. Mary z całego serca pragnęła związać się z Ponterem. Chciała zostać jego partnerką, a to oznaczało, że musi ostatecznie zakończyć małżeństwo z Colmem.

Wyprzedziła inny samochód, a potem zerknęła na Pontera.

– Kochanie?

Leciutko zmarszczył brew. Dla Mary to czułe słowo było zupełnie naturalne, ale jemu się nie podobało. Nie potrafił odpowiednio ułożyć warg, aby prawidłowo je wypowiedzieć.

– Tak?

– Pamiętasz, że zatrzymamy się na noc u mnie w Richmond Hill?

Przytaknął.

– No i wiesz, że nadal jestem prawnie związana z moim... moim partnerem z tego świata.

Ponownie skinął głową.

– Chciałabym... chciałabym, jeśli mogę, zobaczyć się z nim, zanim wyjedziemy do Sudbury. Może umówiłabym się z nim na śniadanie albo na wczesny lunch.

– Chętnie go poznam – przyznał Ponter. – Ciekawi mnie, jakiego Gliksina wybrałaś...

Odtwarzacz CD zaczął grać następny utwór: *Is There Life After Love?* [Czy jest życie po miłości?]

– Nie. Muszę się z nim spotkać sama.

Zerknęła na Pontera i zauważyła, jak jego długa brew wspina się nad wał nadoczodołowy.

– Aha – odezwał się sam, bez pomocy tłumacza.

Z powrotem przeniosła wzrok na drogę.

– Czas, abym ostatecznie zakończyła sprawy, jakie jeszcze mnie z nim łączą.

ROZDZIAŁ 3



Powtarzałem to w trakcie mojej kampanii i powiem to raz jeszcze: prezydent powinien myśleć o przyszłości, wybiegać myślą nie tylko do czasu następných wyborów, ale też w kolejne dekady i w czasy przyszłych pokoleń. Właśnie mając na względzie tę szerszą perspektywę, zwracam się dzisiaj do was...

Cornelius Ruskin leżał w przepoczonej pościeli. Mieszkał na najwyższym piętrze bloku w obskurnej dzielnicy Toronto, Driftwood. Kiedyś, gdy jeszcze miał ochotę na żarty, nazywał swoje mieszkanie „apartamentem w slumsach”. Słońce przedzierało się między brzegami postrzępionych zasłon. Nie nastawił budzika – nie robił tego już od wielu dni – a brakowało mu energii, żeby się przekręcić na bok i zerknąć na zegarek.

Wiedział, że wkrótce zewnętrzny świat na powrót wtargnie w jego życie. Nie pamiętał szczegółów świadczeń zdrowotnych, jakie przysługiwały zatrudnianym na czas określony wykładowcom – ale przypuszczał, że po upływie określonej liczby dni uniwersytet, związek czy firma ubezpieczeniowa, a może nawet wszystkie trzy instytucje wymagają zwolnienia lekarskiego. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nie wróci do pracy, nie otrzyma poborów, a jeśli mu nie zapłacą...

Starczyłoby mu jeszcze na czynsz za następny miesiąc, a poza tym na początku wpłacił kaucję za pierwszy i ostatni, więc w zasadzie mógł tu zostać do końca roku.

Odruchowo sięgnął w dół, aby pomacać miejsce, gdzie powinny się znajdować jego jądra, ale się powstrzymał. Wiedział przecież, że ich tam nie ma. Wreszcie zaczynało to do niego docierać.

Oczywiście mógł rozpocząć kurację hormonalną. Wielu mężczyznom usuwano jądra z powodu nowotworów. Tak jak oni, mógł przyjmować suplementy testosteronu. I nikt – przynajmniej z kręgu zawodowego – nie wiedziałby, że bierze hormony.

A życie prywatne? I tak go nie miał – już nie, po tym jak dwa lata temu zostawiła go Melody. Wtedy rozpaczał, przez kilka dni rozważał nawet popełnienie samobójstwa. No, ale czego się spodziewał? Ona skończyła Osgoode Hall – wydział prawa na York University – odbyła praktyki i otrzymała posadę w Cooper Jaeger z płacą w wysokości 180 tysięcy dolarów rocznie. Nigdy nie miał szans stać się takim mężem, jakiego potrzebowała, a teraz...

Teraz.

Cornelius wgapił się w sufit, czując, jak ogarnia go odrętwienie.

Mary nie spotykała się z Colmem od wielu miesięcy, ale odkąd go ostatnio widziała, postarzał się o jakieś pięć lat. Oczywiście zwykle pamiętała go takim, jaki był jeszcze wtedy, kiedy razem mieszkali i wspólnie planowali emeryturę. Marzyli o domku na wsi w Salt Spring Island...

Wstał, gdy się zbliżyła, i pochylił się, aby ją pocałować. Odwróciła głowę, podsuwając tylko policzek.

– Witaj, Mary – powiedział, na powrót zajmując miejsce. Restauracja w porze lunchu wyglądała surrealistycznie. Przez ciemne drewno, zapalone lampy witrażowe – imitacje Tiffany’ego – i brak okien wydawało się, że

jest wieczór. Colm zamówił już wino *Uatnbiance*, ich ulubione. Nalał trochę do kieliszka czekającego na Mary.

Próbowała zachowywać się swobodnie – na tyle, na ile potrafiła w takich okolicznościach. Usiadła naprzeciwko Colma. Między nimi mrugał płomień świecy w szklanym pojemniku. Colm, podobnie jak Mary, przybrał trochę na wadze. Robiły mu się zakola, a włosy na jego skroniach posiwiwały. Nawet jak na Gliksina miał małe usta i nos.

– Ostatnio sporo o tobie mówią w wiadomościach – zauważył. Mary odebrała tę uwagę negatywnie. Chciała szorstko skomentować jego słowa, ale Colm podniósł rękę. – Cieszę się, że ci się powodzi.

Starła się zachować spokój. Wiedziała, że nie może dać się ponieść emocjom. Czekala ich trudna rozmowa.

– Dzięki – odparła.

– Jak tam jest? – spytał. – Na tym neandertalskim świecie?

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Tak jak mówią w telewizji. Czyściej niż u nas. Mniej ludzi.

– Chciałbym tam kiedyś pojechać – przyznał, ale po chwili zmarszczył brwi i dorzucił: – tylko że chyba nigdy nie będę miał takiej szansy. Raczej nie sądzę, aby potrzebowali kogoś z moją specjalizacją.

Chyba miał rację. Colm wykładał angielski na University of Toronto. Prowadził badania nad dziełami przypisywanymi Shakespearebwi, w sprawie autorstwa których nadal toczono spory.

– Nigdy nie wiadomo – stwierdziła Mary. W trakcie trwania ich małżeństwa Colm spędził sześć miesięcy w Chinach, a przecież wcześniej nie przypuszczała, że Chińczycy interesują się Shakespeareem.

Colm osiągnął w swojej dziedzinie niemal tyle, ile Mary w swojej – każdy, kto pisał o *The Two Noble Kinsmen*, cytował jego opracowania. Początkowo żyli sobie w swoim zamkniętym świecie, ale szybko pojawiły

się problemy codzienności. Uczelnie płaciły swoim profesorom, kierując się wartością rynkową ich profesji. Oznaczało to, że wykładowcy prawa zarabiali więcej niż profesorowie historii, ponieważ ci pierwsi mieli wiele innych możliwości zatrudnienia. Także zapotrzebowanie na genetyków – zwłaszcza w obecnych czasach – było spore, podczas gdy specjaliści od literatury angielskiej mieli niewielkie szanse znalezienia zatrudnienia poza środowiskiem akademickim. Mary pamiętała żart, który przysłał jej kiedyś e-mailem jeden ze znajomych:

Absolwent z dyplomem naukowca w kieszeni pyta: „Dlaczego to działa?”. Absolwent inżynierii pyta: „Jak to działa?”. Absolwent ekonomii pyta: „Ile to będzie kosztowało?”. A absolwent językoznawstwa pyta: „Podać do tego frytki?”.

Fakt, że Mary stała się głównym żywicielem rodziny, był tylko jednym ze źródeł napięć w ich małżeństwie. Wolała w ogóle nie wspominać o tym, ile płacili jej teraz w Synergii, z obawy o to, jak mógłby zareagować.

Do ich stolika podeszła kelnerka i przyjęła zamówienia: stek z frytkami dla Colma, okoń dla Mary.

– Jak ci się podoba Nowy Jork? – spytał Colm.

Przez sekundę myślała, że ma na myśli miasto Nowy Jork, w którym we wrześniu Ponter został postrzelony w ramię przez zamachowca. Ale nie, oczywiście chodziło mu o Rochester w stanie Nowy Jork – gdzie zamieszkała na czas współpracy z Synergia.

– Jest tam ładnie – odparła. – Mam biuro niemal nad brzegiem Ontario i wynajmuję apartament nad jednym z Finger Lakes.

– Świetnie. – Colm upił łyk wina i spojrzał na nią wyczekująco.

Mary głęboko wciągnęła powietrze. No cóż, w końcu to ona poprosiła o spotkanie.

– Colm... – zaczęła.

Odstawił kieliszek. Byli małżeństwem przez siedem lat. Na pewno słysząc ton jej głosu domyślił się, że nie spodoba mu się to, co za chwilę usłyszy.

– Colm – powtórzyła – myślę, że czas już, abyśmy... abyśmy załatwili niedokończone sprawy.

Ściągnął brwi.

– Jak to? Sądziłem, że uregulowaliśmy kwestie finansowe...

– Chodzi mi o to, że powinniśmy... oficjalnie się rozstać.

Kelnerka w najmniej odpowiednim momencie przyniosła sałatki: z kurczakiem dla Colma i mieszaną zieloną z sosem winegret dla Mary. Zbył ją, kiedy zaproponowała mu mielony pieprz.

– Masz na myśli anulowanie małżeństwa? – spytał przyciszonym głosem.

– Nie... chyba wolałabym rozwód.

– Ach tak. – Spojrzał na kominek w odległej części jadalni. Palenisko było wygaszone. – Ach tak – powtórzył.

– Wydaje mi się, że przyszła na to pora – przyznała.

– Naprawdę? Dlaczego akurat teraz?

Zmarszczyła brwi. Studiowanie dzieł Shakespearea najwyraźniej uczyło dopatrywania się we wszystkim jakichś podtekstów lub ukrytych zamiarów. Nic nie mogło się dzieć tak po prostu. Tylko że Mary nie miała pojęcia, jak ma to wyjaśnić.

Nie, nieprawda. W drodze na to spotkanie wielokrotnie ćwiczyła w myślach to, co zamierzała powiedzieć. Nie była tylko pewna jego reakcji.

– Poznałam kogoś – oznajmiła w końcu. – Spróbujemy razem ułożyć sobie życie.

Colm podniósł kieliszek i upił jeszcze jeden łyk wina, po czym wziął mały kawałek chleba, który kelnerka przyniosła razem z sałatkami. Niby komunia. Tym gestem powiedział wszystko, co było w tej sytuacji do powiedzenia.

– Rozwód oznacza ekskomunikę – powiedział z naciskiem.

– Wiem – przyznała Mary z ciężkim sercem. – Ale anulowanie związku uważam za hipokryzję.

– Nie chcę odejść z Kościoła, Mary. I tak brakuje mi w życiu stałego oparcia.

Zmarszczyła czoło, słysząc ten przytyk. W końcu to ona odeszła od niego. Może więc miał rację. Może winna mu była chociaż tyle.

– Ale ja nie chcę twierdzić, że nasze małżeństwo nigdy nie istniało.

Uspokoił się, słysząc te słowa, i przez chwilę Mary wydawało się, że wyciągnie do niej rękę nad stołem i ujmie jej dłoń w swoją.

– Czy to ktoś, kogo znam... ten twój nowy mężczyzna?

Mary pokręciła głową.

– Domyślam się, że to jakiś Amerykanin – ciągnął Colm. – Zawrócił ci w głowie, mam rację?

– Nie jest Amerykaninem. Jest obywatelem Kanady – odparła wymijająco. – I rzeczywiście zawrócił mi w głowie – dodała, zdumiona własnym okrucieństwem.

– Jak się nazywa?

Wiedziała, dlaczego pyta: wcale nie chodziło mu o to, że może tego kogoś znać. Po prostu w jego pojęciu nazwisko mogło wiele powiedzieć o osobie. Colm miał jedną wadę – był synem swego ojca, ograniczonego człowieka, który świat dzielił na kategorie według grup etnicznych. Bez wątplenia właśnie przewracał w myślach kartki prywatnego leksykonu odpowiedzi. Gdyby wymieniła włosko brzmiące nazwisko, nazwałby faceta

żigolakiem. Gdyby usłyszał imię żydowskie, uznałby, że gość musi mieć mnóstwo pieniędzy, i na pewno zarzuciłby jej, że nigdy nie była zadowolona, mając za męża skromnego nauczyciela akademickiego.

– Nie znasz go – powiedziała.

– Już to mówiłaś. Chciałbym jednak wiedzieć, jak się nazywa.

Zamknęła oczy. Wcześniej miała nadzieję, że na razie uda jej się uniknąć tej kwestii, a z czasem wszystko i tak wyszłoby na jaw. Nabiła liść sałaty na widelec, zwlekając z odpowiedzią. W końcu wlepiała wzrok w talerz, bo nie potrafiła spojrzeć Colmowi w oczy.

– Ponter Boddit – powiedziała.

Usłyszała szczęk widelca uderzającego w talerz Colma.

– Chryste, Mary! Ten neandertalczyk?

– On jest dobrym człowiekiem, Colm. Łagodnym, inteligentnym, czułym – zaczęła bronić Pontera, ale od razu pożałowała tego odruchu.

– Co ty sobie wyobrażasz? – Ton głosu Colma nie był tak drwiący jak jego słowa. – Żartujesz sobie ze mnie? Jak będziesz się nazywała tym razem? „Mary Boddit”? Zamieszkacie tu, czy może stworzycie sobie dom na jego świecie? Jak... ?

Nagle umilkł, a jego brwi powędrowały w górę.

– Nie... nie, chyba tego nie zrobisz? Czytałem w gazetach, że podobno na jego świecie mężczyźni i kobiety nie mieszkają razem. Jezu, Mary, co to za dziwny kryzys wieku średniego?

W jej głowie kłębiły się odpowiedzi. Na litość boską, przecież miała dopiero trzydzieści dziewięć lat. Być może matematycznie rzeczywiście można by to nazwać „wiekiem średnim”, ale na pewno nie pod względem emocjonalnym. Zresztą to Colm pierwszy znalazł sobie kolejną partnerkę po tym, jak on i Mary się rozstali. Co prawda jego związek z Lyndą rozpadł się ponad rok temu...

– Nic nie rozumiesz. – Automatycznie uciekła się do zdania, które tak często powtarzała, gdy jeszcze trwało ich małżeństwo.

– Masz rację, rzeczywiście nie rozumiem. – Colm z trudem panował nad głosem. Starał się mówić na tyle cicho, by nie usłyszało go kilkoro innych klientów restauracji. – To... to chore. On nawet nie jest człowiekiem.

– Owszem, jest – odparła Mary stanowczo.

– W telewizji widziałem reportaż na temat twojego wielkiego odkrycia. Neandertalczyki nawet nie mają takiej samej liczby chromosomów jak my.

– To nie ma znaczenia.

– Jak to nie ma, do cholery. Może jestem tylko zwykłym profesorem angielskiego, ale wiem, że są odrębnym gatunkiem. I wiem też, że przez to ty i on nie moglibyście mieć dzieci.

Dzieci... Mary poczuła ukłucie w sercu. Rzeczywiście, kiedy była młodsza, chciała zostać matką. Ale kiedy ona i Colm wreszcie pokończyli doktoraty i zaczęli lepiej zarabiać, w ich małżeństwie działo się coraz gorzej. Popełniła w życiu niejedno głupstwo, wiedziała jednak, że nie powinno się powoływać na świat dziecka tylko po to, by podreperować rozpadający się związek.

Teraz wielkimi krokami zbliżała się do czterdziestki; Chryste, zanim się spostrzeże, wejdzie w okres klimakterium. Poza tym Ponter miał już dwie córki.

Ale mimo to...

Mimo to...

Aż do tej chwili, dopóki Colm nie powiedział tego wprost, Mary nawet nie zastanawiała się, czy chce mieć dziecko z Ponterem. Ale Colm miał rację. Romeo i Julia należeli tylko do innych rodów. Przeszkody między mężczyzną z Montekich i kobietą z Capulettich były niczym w porównaniu z tym, co dzieliło Pontera i ją, neandertalskiego mężczyznę i gliksińską

kobietę. Urodzeni pod nieszczęśliwą gwiazdą! Należeli do różnych światów, do różnych linii czasu.

– Nie rozmawialiśmy o dzieciach – przyznała. – Ponter ma już dwie córki. Prawdę mówiąc, za rok pewnie zostanie dziadkiem.

Patrzyła, jak szare oczy Colma zmieniają się w szpary. Zastanawiał się pewnie, jakim cudem można było przewidzieć coś takiego.

– Jednym z celów małżeństwa jest powołanie na świat dzieci – oznajmił.

Mary zacisnęła powieki. To ona nalegała, aby poczekał z tym, aż skończy doktorat. Właśnie dlatego zaczęła brać tabletki antykoncepcyjne, do diabła z papieskimi zakazami. Colm nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego chciała zwlekać, nie pojmował, że gdyby musiała pogodzić macierzyństwo z robieniem doktoratu, jej studia by na tym ucierpiały. Ale znała go wystarczająco dobrze i wiedziała, że główny ciężar wychowywania dziecka spadłby na nią.

– Neandertalczycy nie mają takich małżeństw jak my – powiedziała.

Nie uspokoiła tym Colma.

– To oczywiste, że chcesz go poślubić. Nie zależałoby ci na rozwodzie ze mną, gdybyś nie miała takiego zamiaru – stwierdził. Jednak po chwili jego ton złagodniał. Mary na moment przypomniała sobie, dlaczego Colm kiedyś tak ją pociągał. – Musisz go bardzo kochać, skoro bierzesz pod uwagę ekskomunikę.

– Tak – odparła, ale potem, tak jakby to słowo było niefortunnym przypomnieniem przysięgi składanej przed ołtarzem, dodała: – Owszem, bardzo go kocham.

Kelnerka przyniosła zamówione dania. Mary spojrzała na swoją rybę. Niewykluczone, że oto po raz ostatni jadła lunch z mężczyzną, który był jej mężem. Niespodziewanie dla samej siebie zapragnęła choć trochę podzielić

się z Colmem swoim szczęściem. Wcześniej zamierzała obstawać przy rozwodzie, ale on miał rację – to oznaczałoby ekskomunikę.

– Zgodzę się na anulowanie związku – powiedziała – jeśli tobie na tym zależy.

– To prawda, zależy mi – odparł i zaczął kroić stek. – Chyba nie ma sensu tego odwlekać – dodał po chwili. – Możemy zająć się tym od razu.

– Dziękuję.

– Mam tylko jedną prośbę.

Serce Mary zabiło niespokojnie.

– Jaką?

– Powiedz mu... powiedz Ponterowi, że nasze małżeństwo rozpadło się nie tylko z mojej winy. Powiedz, że byłem... że jestem... dobrym człowiekiem.

Mary zdobyła się na gest, który, jak jej się wydawało, Colm chciał wcześniej wykonać. Wyciągnęła do niego rękę i dotknęła jego dłoni.

– Oczywiście – zapewniła.

ROZDZIAŁ 4



Pozwólcie, że na początek zaznaczę, iż nie chodzi o sytuację „my przeciwko nim”. Nie chodzi o to, kto jest lepszy, Homo sapiens czy Homo neanderthalensis. Me chodzi o to, kto jest bardziej inteligentny, Gliksin czy Barast. Rzecz w tym, abyśmy określili nasze mocne strony i to, co w nas najlepsze, i abyśmy robili to, z czego możemy być najbardziej dumni...

Zaraz po lunchu z Colmem Mary wróciła do Richmond Hill. Ponter z zainteresowaniem oglądał powtórkę *Star Treka* na kanale Space. Oczywiście widział to po raz pierwszy, ale Mary od razu rozpoznała odcinek *Let That Be Your Last Battlefield*, w którym gościnnie wystąpili Frank Gorshin i Lou Antonio, wcinając się w krajobraz twarzami precyzyjnie pomalowanymi w połowie na czarno i w połowie na biało.

Po filmie ruszyli w pięciogodzinną podróż do domu Reubena Montego – planowali dotrzeć tam akurat na kolację.

Na autostradzie 400 minął ich czarny ford explorer z tablicą rejestracyjną D20 – wzorem ciężkiej wody. Mary zatrąbiła. Louise pomachała im przez tylną szybę i popędziła dalej.

– Wydaje mi się, że Lou przekracza ograniczenia prędkości – zauważył Ponter.

Mary przytaknęła.

– I założę się, że potrafi znakomicie się wywinąć od płacenia mandatów.

Mijały godziny; pokonywali kolejne kilometry. Shanię Twain i Martine McBride zastąpiła najpierw Faith Hill, a potem Susan Aglukark.

W pewnym momencie Ponter spytał Mary o jej wiarę.

– Chyba nie jestem najlepszym rzecznikiem katolicyzmu – stwierdziła. – Może powinnam cię poznać z ojcem Caldicottem.

– Dlaczego uważasz, że wyjaśniłby mi to lepiej od ciebie? – Ponter spojrzał na Mary, na moment odrywając wzrok od drogi. Jazda po autostradach wciąż była dla niego nowym doświadczeniem.

– Przede wszystkim dlatego, że otrzymał święcenia kapłańskie. – Mary odruchowo wykonała nieznaczny gest dłonią, unosząc ją lekko i uprzedzając pisk Haka, który Kompan emitował, gdy w rozmowie pojawiały się nieznanne mu słowa. – Otrzymał uprawnienia, dzięki którym jest duchownym.

– Przykro mi, ale wciąż nie rozumiem.

– Wspólnota Kościoła składa się z duchowieństwa oraz laikatu.

Ponter się uśmiechnął.

– To na pewno przypadek, że oba te słowa są trudne do wymówienia.

Mary w odpowiedzi również się uśmiechnęła. Bardzo polubiła specyficzne poczucie humoru Pontera.

– Chodzi o to – podjęła – że do duchowieństwa zaliczają się osoby specjalnie przeszkolone do pełnienia funkcji religijnych. Natomiast laikat to zwykli ludzie, tacy jak ja.

– Ale mówiłaś, że religia jest systemem opartym na wierzeniach, zasadach etycznych i kodeksie moralnym.

– Owszem.

– W takim razie wszyscy członkowie społeczeństwa mają równy dostęp do wszystkich tych rzeczy.

Mary zrobiła wielkie oczy.

– No tak, ale rzecz w tym, że spora część... hm... materiałów źródłowych może być różnie interpretowana.

– Na przykład?

Zmarszczyła brwi.

– Na przykład to, czy Maria, biblijna matka Jezusa, pozostała dziewicą do końca życia. W Biblii są wzmianki o „braciach i siostrach” Jezusa, ale niektórzy twierdzą, że dawniej mianem „braci i sióstr” określano także kuzynów i kuzynki.

Ponter kiwnął głową. Mary wiedziała, że w języku neandertalskim nie istnieje określenie na kuzynów, i podejrzewała, że Ponter usłyszał zdanie bez sensu, coś w rodzaju: „mianem braci i sióstr określano także braci i siostry”.

– I ta kwestia jest ważna?

– Nie, w zasadzie nie. Ale są też inne sprawy natury moralnej, które są istotne.

Mijali właśnie Parry Sound.

– A dokładnie jakie?

– Na przykład aborcja.

– Aborcja... przerwanie życia płodu?

– Tak.

– I jakie kwestie moralne się z tym wiążą?

– To, czy w ogóle takie rozwiązanie jest dopuszczalne? Czy można zabić nienarodzone dziecko?

– Dlaczego ktoś chciałby to zrobić? – zdziwił się Ponter.

– No cóż, jeśli kobieta zaszła w ciążę przypadkiem...

– Jak można przypadkiem zajść w ciążę?

– No, sam rozumiesz... – Mary na moment umilkła. – Nie, chyba jednak nie rozumiesz. Na twoim świecie kolejne pokolenia rodzą się co dziesięć

lat.

Ponter przytaknął.

– I wszystkie wasze kobiety przechodzą zsynchronizowany cykl menstruacyjny. Dlatego, kiedy kobieta i mężczyzna są razem przez cztery dni w miesiącu, zwykle przypada to na okres, kiedy zajście w ciążę jest niemożliwe.

Kolejne kiwnięcie głową.

– Tutaj jest inaczej. Mężczyźni i kobiety żyją ze sobą przez cały czas i uprawiają seks przez cały miesiąc. Czasem zdarzają się ciążę niechciane.

– Kiedy trafiłem tu po raz pierwszy, powiedziałaś mi, że twoi ludzie znają sposoby zapobiegania ciąży.

– Bo tak jest. Są metody mechaniczne, kremy oraz środki doustne.

Ponter spojrział przez szybę po stronie Mary na Georgian Bay, wielką zatokę na jeziorze Huron.

– I one nie są skuteczne?

– Przeważnie są, ale nie wszyscy stosują antykoncepcję, nawet jeśli nie chcą poczęcia dziecka.

– Dlaczego?

Mary wzruszyła ramionami.

– Bo jej stosowanie bywa kłopotliwe. Kosztowne. A ci, którzy wybierają metodę inną niż pigułki, muszą skupić się na tym zamiast po prostu cieszyć się chwilą.

– Mimo wszystko poczęcie nowego życia, a potem odrzucenie go...

– Sam widzisz! Nawet ty przyznajesz, że jest to kwestia sporna.

– Oczywiście. Życie jest cenne, ponieważ nie trwa wiecznie. – Ponter umilkł na chwilę. – A co twoja religia mówi o aborcji?

– Uważa ją za grzech i to śmiertelny.

– Aha. W takim razie twoja religia na pewno narzuca obowiązek antykoncepcji, mam rację?

– Nie. Stosowanie antykoncepcji także jest grzechem.

– To zupełnie... hm, wy chyba użylibyście słowa „niedorzeczne”.

Mary wzruszyła ramionami.

– Bóg powiedział nam: bądźcie płodni i rozmnażajcie się.

– I dlatego na twoim świecie jest aż tylu ludzi? Bo Bóg tak zarządził?

– No cóż, tak też można na to patrzeć.

– Ale... wybacz mi, nie rozumiem. Miałaś partnera przez wiele dekamiesięcy, tak?

– Tak, Colma.

– I nie masz dzieci.

– Zgadza się.

– A przecież na pewno ty i Colm uprawialiście seks. Dlaczego nie macie potomstwa?

– Bo... hm... bo ja stosuję antykoncepcję. Aby nie zajść w ciążę, biorę tabletki, połączenie syntetycznego estrogenu i progesteronu.

– I to nie grzech?

– Mnóstwo katolików tak postępuje. Dla wielu z nas jest to źródłem wewnętrznego konfliktu. Chcemy być posłuszni nakazom naszej wiary, ale jednocześnie musimy też brać pod uwagę praktyczną stronę życia. W 1968 roku, kiedy cały Zachód stawał się coraz bardziej liberalny w sferze seksu, papież Paweł VI ogłosił, że każde zbliżenie między mężczyzną i kobietą powinno służyć prokreacji. Pamiętam rozmowy moich rodziców na ten temat. Nawet oni byli tym zaskoczeni. Prawdę mówiąc, większość katolików spodziewała się rozluźnienia zasad, a nie ich zaostrzenia. – Mary westchnęła. – Według mnie kontrola urodzeń ma sens.

– Na pewno jest o wiele lepszym wyjściem niż aborcja – przyznał Ponter. – Ale przypuśćmy, że zaszłabyś w ciążę wtedy, gdy tego nie chciałaś. Przypuśćmy, że...

Mary zwolniła, pozwalając, aby inny wóz ją wyprzedził.

– Że co?

– Nie, nic. Przepraszam. Pomówmy o czymś innym.

Mary jednak domyśliła się, o co chciał zapytać.

– Chodzi ci o gwałt, tak? – Wzruszyła ramionami, dając tym Ponterowi do zrozumienia, że to dla niej trudny temat. – Zastanawiasz się, czego oczekiwaliby mój Kościół, gdybym zaszła w ciążę w wyniku gwałtu.

– Nie miałem zamiaru skierować twoich myśli na przykry temat.

– Rozumiem, w porządku. Sama zaczęłam mówić o aborcji. – Mary głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. – Gdybym wtedy zaszła w ciążę, Kościół oczekiwaliby, że urodzę dziecko, nawet jeśli zostało poczęte w wyniku gwałtu.

– I zrobiłabyś to?

– Nie. Nie. Wybrałabym aborcję.

– To kolejny przypadek, kiedy postąpiłabyś wbrew zasadom swojej religii?

– Kocham Kościół katolicki i cieszę się, że jestem katoliczką, ale nikt nie może kierować moim sumieniem. Cóż...

– Tak?

– Obecny papież jest już stary i schorowany. Myślę, że zostało mu niewiele życia. Może ten, kto go zastąpi, zmieni zasady.

– Ach, tak.

Autostrada oddaliła się od Georgian Bay. Po obu stronach mieli teraz skały i kępy sosen.

– Zastanawiasz się czasem nad przyszłością? – spytała Mary po jakimś czasie.

– Ostatnio myślę głównie o niej.

– Ale ja mówię o naszej wspólnej przyszłości.

– Ja też.

– Wybacz mi, nie chcę cię denerwować, ale uważam, że powinniśmy przynajmniej porozmawiać o takiej ewentualności. Może kiedy będę musiała wrócić do domu, przyjechałbyś tu razem ze mną. Mógłbyś się przenieść na mój świat na stałe.

– Dlaczego? – zdziwił się Ponter.

– Bo tutaj możemy być razem przez cały czas, a nie tylko przez cztery dni w miesiącu.

– To prawda, ale... ale ja mam tam swoje życie. – Ponter podniósł dużą dłoń. – Rozumiem, że twoje życie jest tutaj, ale ja mam Adikora.

– No tak... więc może... może Adikor mógłby przenieść się tu z nami.

Pojedyncza, długa brew Pontera wspięła się nad jego wał nadoczodołowy.

– A co z Lurt Fradlo, z partnerką Adikora? Czy ona też ma tu przyjechać?

– No, ona...

– A Dab, syn Adikora, który w następnym roku zamieszka razem ze mną i ze swoim ojcem? Nie możemy też zapominać o kobiecie, z którą jest Lurt, i o jej partnerze oraz ich dzieciach. Jest też moja mała Megameg.

Mary głośno wypuściła powietrze.

– Wiem. Wiem. To nierealne, ale...

– Tak?

Zdjęła jedną dłoń z kierownicy i ścisnęła jego udo.

– Ale tak bardzo cię kocham, Ponterze. Świadomość, że mogę cię widywać tylko przez cztery dni w miesiącu...

– Adikor bardzo kocha Lurt, ale również spędza z nią tylko tyle czasu. Ja bardzo kochałem Klast i też widywałem ją tylko przez te dni. – Twarz Pontera była spokojna. – Tak już u nas jest.

– Wiem. Ja tylko tak się zastanawiałam.

– Są też inne kwestie. Wasze miasta okropnie śmierdzą. Wątpię, bym mógł to znosić przez cały czas.

– Moglibyśmy znaleźć dom na wsi. Z dala od miast i samochodów. Gdzieś, gdzie powietrze jest czyste. Nie ma dla mnie znaczenia, gdzie zamieszkamy, ważne tylko, byśmy byli razem.

– Nie mogę porzucić mojej kultury – przyznał Ponter. – Ani zostawić rodziny.

Mary westchnęła.

– Rozumiem.

Ponter kilkakrotnie zamrugnął powiekami.

– Chciałbym... chciałbym znaleźć rozwiązanie, które by cię uszczęśliwiło.

– Tu nie chodzi tylko o mnie – wtrąciła. – Powiedz, co uszczęśliwiłoby ciebie?

– Mnie? Ja cieszyłbym się, gdybyś była w Centrum Saldak za każdym razem, gdy Dwoje będzie Jednym.

– I to by ci wystarczyło? Cztery dni w miesiącu?

– Musisz zrozumieć, Mare, że trudno mi brać pod uwagę dłuższy okres. Owszem, na twoim świecie spędziliśmy razem wiele dni, ale kiedy tu jestem, bardzo tęsknię za Adikorem.

Widząc minę Mary, zorientował się, że powiedział coś, co sprawiło jej przykrość.

– Przepraszam cię, Mare, ale nie możesz być zazdrosna o Adikora. Ludzie na moim świecie mają dwoje partnerów, po jednym każdej płci. Twoja niechęć wobec intymnych relacji, jakie łączą mnie z Adikorem, jest niestosowna.

– Niestosowna! – burknęła, ale po chwili odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. – Nie, oczywiście masz rację. Rozumiem to... przynajmniej na poziomie intelektualnym. I próbuję jakoś pogodzić się z tym na poziomie emocjonalnym.

– Może poczujesz się lepiej, wiedząc, że Adikor bardzo cię lubi, Mare, i naprawdę zależy mu na twoim szczęściu. – Ponter na moment umilkł, po czym dodał: – Ty chyba życzysz mu tego samego?

Nie odpowiedziała. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Pędzili drogą przed siebie.

– Mare? Przecież na pewno chcesz, aby Adikor był szczęśliwy, prawda?

– Słucham? Ach tak. Oczywiście, że tak.

ROZDZIAŁ 5



Przed czterema dekadami jeden z moich poprzedników urzędujących w Ovalnym Gabinetcie powiedział, że nadszedł czas, aby pójść naprzód większymi krokami – czas wspaniałego amerykańskiego przedsięwzięcia. Wtedy byłem małym dzieckiem w Montgomery, ale pamiętam dreszcz, jaki poczułem, słysząc te słowa...

Tuż przed siódmą wieczorem wjechali na podjazd przed domem Reubena Montego. Louise i Reuben oboje jeździli fordami explorerami. „To znak, że powinni być razem” – pomyślała Mary z uśmiechem. Wóz Louise był czarny, a Reubena rdzawoczerwony. Mary zaparkowała samochód i oboje z Ponterem ruszyli do drzwi wejściowych. Mijając forda Louise, miała ochotę dotknąć maski, ale pomyślała, że auto już dawno zdążyło ostygnąć.

Reuben miał dwuakrową działkę w Lively, niewielkiej miejscowości nieopodal Sudbury. Mary podobał się jego dom – dwupiętrowy, duży i nowoczesny. Zadzwoiła do drzwi i po chwili pojawił się w nich gospodarz. Obok niego stała Louise.

– Mary! – zawołał Reuben, zagarniając ją w ramiona. – I Ponter! – Puścił Mary i uściskał także neandertalczyka.

Reuben Montego był szczupłym, trzydziestopięcioletnim czarnym mężczyzną z ogoloną głową. Miał na sobie sportowy strój z logo drużyny Blue Jays z Toronto.

– Wchodźcie, wchodźcie – powiedział, gestem zapraszając ich do środka. Mary zdjęła buty. Ponter nie mógł tego zrobić, ponieważ ich nie

nosił. Nogawki neandertalskich spodni rozszerzały się u dołu w specjalne pokrowce na stopy.

– Mamy zjazd kwarantannowiczów! – oświadczył Ponter, przyglądając się ich grupce. Rzeczywiście, na polecenie kanadyjskiego centrum epidemiologii cała czwórka musiała spędzić cztery dni w odosobnieniu po tym jak Ponter zachorował podczas pierwszego pobytu na tej Ziemi.

– Masz rację przyjacielu – zgodził się Reuben. Mary rozejrzała się wokół. Bardzo podobały jej się meble: eleganckie połączenie stylu karaibskiego z kanadyjskim, ciemne drewno i wbudowane w ścianę regały na książki. Reuben raczej nie przejmował się takimi sprawami, ale jego była żona miała świetny gust.

Mary od razu poczuła się swobodnie. To właśnie tutaj zaczęła się zakochiwać w Ponterze. Poza tym ten dom stał się dla niej swego rodzaju azylem. Zaledwie dwa dni po tym, jak zgwałcił ją Cornelius Ruskin, znalazła tu bezpieczną przystań, w której mogła się schować, chroniona przez policjantów ustawionych na zewnątrz.

– Na dworze o tej porze roku bywa już dość chłodno – odezwał się Reuben – ale pomyślałem, że może przyrządzimy sobie grilla.

– Tak, proszę! – powiedział Ponter entuzjastycznie.

Gospodarz się roześmiał.

– W takim razie pozwólcie, że zabiorę się do pracy.

Louise Benoit była wegetarianką, ale nie przeszkadzało jej spożywanie posiłków w towarzystwie osób, które lubiły mięso. Całe szczęście, bo Ponter naprawdę je uwielbiał. Gospodarz położył na ruszcie trzy wielkie kawały wołowiny, a Louise zabrała się za przyrządzanie sałatki. Reuben co chwila wracał do środka i pomagał nakrywać stół do kolacji. Mary patrzyła, jak on i Lou krzątają się po kuchni, od czasu do czasu wymieniając czułe

gesty. Podobnie wyglądały początki jej małżeństwa z Colmem; później miała wrażenie, jakby ciągle sobie przeszkadzali.

Mary i Ponter proponowali, że pomogą, ale Reuben im podziękował. Wkrótce jedzenie było na stole i cała czwórka zasiadła do kolacji. Mary ze zdumieniem pomyślała, że zna tych ludzi – trzy najważniejsze osoby w jej życiu – dopiero od trzech miesięcy. No cóż, gdy zderzają się światy, wszystko szybko się zmienia.

Ona i Reuben jedli steki za pomocą widelców i noży. Ponter włożył specjalne rękawiczki stołowe, które przywiózł ze sobą. Trzymał mięso palcami i odgryzał po kawałku.

– Ostatnie miesiące były niezwykle dla nas wszystkich – zauważył Reuben. Być może myślał o tym samym co Mary.

Miał rację. Wiele się wydarzyło. Ponter Boddit w wyniku nieudanego eksperymentu z komputerem kwantowym przypadkiem przeniósł się do tej wersji rzeczywistości. Na drugiej Ziemi jego partner Adikor został oskarżony o zamordowanie przyjaciela i pozbycie się jego ciała. Na szczęście on i starsza córka Pontera zdołali ponownie otworzyć portal między światami, sprowadzić zaginionego z powrotem do domu i oczyścić Adikora z zarzutów.

Potem Ponter przekonał Najwyższą Radę Siwych, aby wyraziła zgodę na próbę otwarcia stałego portalu. Plan szybko wprowadzono w życie.

Tymczasem magnetyczne pole tej wersji Ziemi zaczęło się dziwnie zachowywać. Podobno było to preludium do przebiegunowania. Neandertalska Ziemia nieco wcześniej przeszła podobny proces – który zresztą miał niespodziewanie szybki przebieg. Ich pole magnetyczne zaczęło zanikać zaledwie przed dwudziestu pięciu laty, a odwrócenie polaryzacji i ponowne ustabilizowanie się biegunów magnetycznych zakończyło się już po piętnastu latach.

Mary, nękana wspomnieniami o gwałcie, opuściła York University i przyłączyła się do nowo utworzonej przez Jocka Kriegera grupy Synergia. Kiedy razem z Ponterem wróciła do Toronto, neandertalczyk zidentyfikował gwałciciela. Okazało się, że Cornelius Ruskin zgwałcił także Qaiser Remtullę, szefową wydziału, na którym wcześniej wykładała Mary.

– To prawda, zupełnie niesamowite – przyznała, uśmiechając się do Reubena, a potem do Louise. Tak świetnie razem wyglądali.

Ponter siedział obok niej. Chętnie wzięłaby go za rękę, gdyby nie miał na niej tej upačkanej rękawiczki. Druga para nie musiała się przejmować takimi przeszkodami. Reuben uścisnął dłoń Louise i spojrzał na nią z miłością.

Wszyscy czworo z ożywieniem rozmawiali, zając główny danie, potem sałatkę z owoców na deser, a wreszcie popijając kawę (dla trojga przedstawicieli *Homo sapiens*) i coca-colę (dla Pontera). Mary cieszyła się każdą minutą spotkania, ale jednocześnie czuła żal, że takie wieczory – wspólne kolacje z Ponterem i przyjaciółmi – będą rzadkie. Na jego świecie sprawy po prostu wyglądały inaczej.

– O, a tak przy okazji – odezwał się Reuben, upiwszy łyk kawy – moja przyjaciółka z Laurentian University wciąż mnie nagabuje, żebym ją poznał z Ponterem.

Właśnie na tej uczelni Mary przeprowadziła badanie DNA Pontera, udowadniając, że jest neandertalczykiem.

Ponter uniósł długą brew.

– Naprawdę?

– Nazywa się Veronica Shannon i pracuje w tutejszym instytucie badań układu nerwowego.

Ponter spodziewał się chyba, że Reuben powie coś więcej, ale ponieważ gospodarz milczał, neandertalczyk zachęcił go słowem „Ka?”, które w jego języku oznaczało „tak”.

– Wybacz – powiedział Reuben. – Po prostu nie bardzo wiem, jak mam to przedstawić. Przypuszczam, że nic ci nie mówi nazwisko Michael Persinger?

– Ale mnie mówi – wtrąciła Louise. – Czytałam o nim artykuł w „Saturday Night”.

Reuben kiwnął głową.

– Rzeczywiście, dali jego zdjęcie na okładkę. Pisali o nim również w „Wired” i w „The Skeptical Inquirer”, a także w „Maclean’s” oraz w „Scientific American” i „Discover”.

– Kto to taki? – spytał Ponter.

Reuben odłożył widelec.

– Persinger jest Amerykaninem. Przyjechał tu, żeby uniknąć wojska, jeszcze za dawnych, dobrych czasów, kiedy przybywały do nas najtęższe mózgi z zagranicy. Pracuje na Laurentian od lat i wynalazł urządzenie, które dzięki magnetycznej stymulacji mózgu potrafi wywołać u ludzi przeżycia duchowe.

– Aha, to o niego chodzi – stwierdziła Mary, przewracając oczami.

– Mówisz tak, jakbyś wątpiła w jego osiągnięcia – zauważył Reuben.

– Bo wątpię – przyznała. – Według mnie to kupa bzdur.

– Ja sam poddałem się podobnemu eksperymentowi. Nie u Persingera, ale u mojej znajomej, Veroniki. Opracowała system drugiej generacji w oparciu o badania Persingera.

– I co? Widziałeś Boga? – spytała Mary kpiąco.

– Owszem, można tak powiedzieć. Na pewno coś w tym jest. – Reuben zerknął na Pontera. – I dlatego właśnie ty jesteś im potrzebny, wielkoludzie.

Veronica chciałyby wypróbować swój sprzęt na tobie.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – zdziwił się Reuben, tak jakby odpowiedź była oczywista.
– Na naszym świecie aż huczy od spekulacji na temat tego, że wasi ludzie nigdy nie stworzyli religii. Bo nie mówimy przecież o sytuacji, w której istniał jakiś system wierzeń, lecz z czasem go porzuciliście. Nie, po prostu w całej waszej historii nikt nawet nie wpadł na to, że może istnieć Bóg lub życie po śmierci.

– Takie pojęcia byłyby... jak wy to mówicie?... w jawnej sprzeczności z obiektywną rzeczywistością – stwierdził Ponter. – Wybacz, Mary. Wiem, że w nie wierzysz, ale...

– Ale ty nie – dokończyła, kiwając głową.

– Wracając do sprawy – podjął Reuben – naukowcy skupieni wokół Persingera wierzą, że odkryli neurologiczne podstawy religijności *Homo sapiens*. Dlatego Veronica chciałyby sprawdzić, czy uda jej się wywołać przeżycie religijne u neandertalczyka. Jeśli to możliwe, będą mieli sporo do wyjaśnienia, ponieważ wy nie jesteście wierzący. Veronica podejrzewa jednak, że metoda, która sprawdza się w naszym przypadku, nie zadziała u ciebie. Według niej wasze mózgi różnią się od naszych na jakimś fundamentalnym poziomie.

– Fascynujące założenie – przyznał Ponter. – Czy procedura jest w jakimś stopniu niebezpieczna?

Reuben pokręcił głową.

– Wcale. Prawdę mówiąc, sam musiałem to zweryfikować. – Uśmiechnął się. – Największym problemem przy różnego rodzaju badaniach z zakresu psychologii jest to, że „króliki doświadczalne” rekrutuje się spośród studentów tego kierunku. Wiemy już bardzo dużo o mózgach takich ludzi. Możliwe, że są one typowe, ale nie wiemy tego na

pewno, ponieważ niewiele wiadomo o mózгах ogólnej populacji. Veronicę poznałem w zeszłym roku. Skontaktowała się ze mną, bo chciała zwerbować do swoich badań górników, czyli grupę demograficznie zupełnie inną od tej, z jaką zazwyczaj pracowała. – Reuben był lekarzem w kopalni niklu INCO, gdzie mieściło się także obserwatorium neutrin. – Zaproponowała chłopakom po kilka doków, ale korporacja chciała, abym sprawdził bezpieczeństwo procedury, zanim pozwoli swoim pracownikom na udział w doświadczeniu. Przeczytałem prace Persingera, zapoznałem się z modyfikacjami wprowadzonymi przez Veronicę i sam poddałem się eksperymentowi. Wartości pola magnetycznego są niewielkie w porównaniu z tymi, jakie stosuje się w badaniach metodą rezonansu magnetycznego, na które rutynowo kieruję swoich pacjentów. Są całkowicie bezpieczne.

– Czy mnie też proponuje kilka dolców? – spytał Ponter.

Reuben spojrział na niego zdziwiony.

– Hej, człowiek musi przecież coś jeść. – Ponterowi nie udało się zachować poważnej miny. Jego twarz rozciągnęła się w gigantycznym uśmiechu. – Nie martw się, Reuben, nie zrobię tego dla pieniędzy. – Zerknął na Mary. – Chcę lepiej zrozumieć ten aspekt ciebie, Mare... tę sferę, która jest tak ważną częścią twojego życia, a której ja zupełnie nie pojmuję.

– Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o mojej religii, chodź ze mną na mszę – zaproponowała.

– Chętnie. Ale chciałbym też poznać tę znajomą Reubena.

– Przecież wybieramy się na twój świat – zauważyła Mary z lekkim rozdrażnieniem. – Wkrótce Dwoje stanie się Jednym.

Ponter przytaknął.

– To prawda... i za nic nie zmarnowałbym tych dni. – Spojrział na Reubena. – Twoja znajoma musiałaby znaleźć dla nas czas jutro. Czy to

możliwe?

- Od razu do niej zadzwonię – zadeklarował Reuben, wstając z miejsca.
- Jestem pewien, że poruszy niebo i ziemię, aby wszystko załatwić.

ROZDZIAŁ 6



Jack Kennedy miał rację: rzeczywiście nadszedł czas, abyśmy ruszyli naprzód większymi krokami. Znowu przyszła na to pora. Bo naszą największą siłą od chwili, gdy narodziła się świadomość Homo sapiens, jest pragnienie poznawania nowych miejsc. Chcemy podróżować i badać, co kryje się za następnym wzgórzem, chcemy poszerzać nasze horyzonty i – jeśli wolno mi użyć określenia, które powstało zaledwie cztery lata po słynnym przemówieniu JFK – chcemy śmiało zmierzać tam, gdzie żaden człowiek jeszcze nie dotarł... [„... to boldly go where no man has gone before...” – słynne zdanie z czołówki serialu Star Trek.]

Ponter i Mary zatrzymali się na noc u Reubena. Spali na rozkładanej kanapie. Następnego dnia, wczesnie rano, pojechali na niewielki lokalny uniwersytet i odszukali pokój C002B – pracownię zespołu neurofizjologów.

Veronica Shannon okazała się chudą białą kobietą pod trzydziestkę. Miała rude włosy i nos, który Mary, zanim poznała neandertalczyków, nazwałaby dużym. Ubrana była w biały fartuch laboratoryjny.

– Dziękuję, że zgodził się pan przyjść, doktorze Boddit – powiedziała, potrząsając dłonią Pontera. – Bardzo dziękuję.

Uśmiechnął się do niej.

– Proszę, mów mi Ponter. Cała przyjemność po mojej stronie. Bardzo zaintrygowały mnie twoje badania.

– I Mary... możemy zwracać się do siebie po imieniu?... Bardzo się cieszę z naszego spotkania! – Veronica ścisnęła rękę Mary. – Tak się

martwiłam, że nie miałam okazji cię poznać, kiedy poprzednim razem odwiedziłaś nasz campus. Wyjechałam wtedy na całe lato do domu, do Halifaxu – wyjaśniła z uśmiechem i odwróciła wzrok, tak jakby krępować się mówić dalej. – Jesteś dla mnie wzorem – przyznała w końcu.

Mary zrobiła okrągłe oczy.

– Ja?

– Niewiele jest kanadyjskich kobiet naukowców, którym naprawdę udaje się osiągnąć sukces, ale tobie się powiodło. Nawet zanim pojawił się Ponter bardzo podbudowałaś naszą pozycję. Twoje osiągnięcia w badaniach kopalnego DNA są wspaniałe! Pierwsza klasa! Absolutnie pierwsza! Niech ktoś spróbuje teraz powiedzieć, że Kanadyjka nie może szturmem zdobyć świata.

– Hm, dziękuję.

– Naprawdę jesteś dla mnie wzorem. Ty, Julie Payette, Roberta Bondar...

Mary nigdy nie porównywała się do takich sław – Payette i Bondar były kanadyjskimi astronautkami. No, ale to ona pierwsza dotarła na inny świat...

– Dziękuję – powtórzyła. – Cóż, nie mamy za wiele czasu, może więc...

Veronica zarumieniła się lekko.

– Przepraszam. Oczywiście. Już wyjaśniam, na czym polega cała procedura. Moja praca opiera się na badaniach, które Michael Persinger rozpoczął w latach dziewięćdziesiątych właśnie tutaj, na Laurentian University. Nie ja stworzyłam Podstawy tego projektu. No, ale w końcu cała nauka opiera się na naśladownictwie. Moim zadaniem jest weryfikacja odkryć Persingera.

Mary rozejrzała się po laboratorium, ogarniając wzrokiem zwykłą uniwersytecką mieszankę lśniącego nowego sprzętu, wysłużonej aparatury i podniszczonych drewnianych mebli. Veronica kontynuowała wyjaśnienia:

– Metoda Persingera była skuteczna w niemal osiemdziesięciu procentach. Moje urządzenia są sprzętem drugiej generacji, zmodyfikowaną wersją tego, co on stworzył, dlatego ich skuteczność wynosi mniej więcej 94 procent.

– To niezwykle zbieg okoliczności, że tego typu badania prowadzone są tak blisko portalu między światami – zauważyła Mary.

Veronica pokręciła głową.

– Nie, Mary, to niezupełnie tak. Wszyscy jesteśmy tutaj z tego samego powodu, czyli niklu. Jego złoża powstały tu, ponieważ dwa miliardy lat temu właśnie w tym miejscu w Ziemię uderzyła asteroida. Musicie wiedzieć, że Persingera początkowo fascynowało zjawisko UFO. No bo niby dlaczego latające spodki najczęściej widywane są przez prostaczków na pustkowiu.

– Hm, piwo można dostać wszędzie – stwierdziła Mary.

Veronica zaśmiała się głośniej, niż żart na to zasługiwał. Nawet sama Mary nie uważała go za aż tak dobry.

– To prawda, ale Persinger postanowił potraktować sprawę poważnie. Nie żeby wierzył w latające spodki – podobnie zresztą jak ja – ale rzecz w tym, że naprawdę istnieje pewne zjawisko psychologiczne, w wyniku którego ludziom wydaje się, że widzą takie rzeczy. Persingera zastanowiło to, dlaczego takie osobliwości najczęściej widywane są na dworze i to zwłaszcza w odosobnionych miejscach. Tutejszy uniwersytet prowadzi sporo badań związanych z górnictwem, więc kiedy Persinger zaczął szukać ewentualnych przyczyn tego typu złudzeń, inżynierowie wspomnieli o wyładowaniach piezoelektrycznych.

Kompan Pontera, Hak, kilkakrotnie emitował krótki pisk, sygnalizując, że nie zrozumiał niektórych słów, ale ani Ponter, ani Mary nie przerywali

Veronice, która najwyraźniej dopiero się rozkręcała. Na szczęście sama domyśliła się, że termin „piezoelektryczny” jest Ponterowi obcy.

– Piezoelektryczność to powstawanie ładunku elektrycznego w kryształach skał w wyniku ich deformacji – wyjaśniła. – Wyładowania piezoelektryczne powstają na przykład, kiedy furgonetka przejeżdża po skalnym gruncie, tak jak w klasycznym scenariuszu pod tytułem „widziałem UFO”. Persingerowi udało się odtworzyć ten rodzaj wyładowań elektromagnetycznych w warunkach laboratoryjnych, no i proszę, okazało się, że niemal u wszystkich potrafił wywołać wrażenie, iż widzieli kosmitów.

– Kosmitów? – zdziwiła się Mary. – Ale wcześniej mówiłaś o Bogu.

– Jak zwał, tak zwał. – Veronica pokazała w uśmiechu wszystkie zęby. – Chodzi o jedno i to samo.

– Jak to?

Laborantka wzięła z regału książkę *Why God Wont Go Away: The Biological Basisfor Belief*. [Dlaczego Bóg nie chce odejść: biologiczne podstawy wiary.]

– Autorzy tej książki, Newberg i d’Aquili, zbadali mózgi ośmiu medytujących mnichów tybetańskich oraz grupy modlących się franciszkanek. Naturalnie stwierdzili u tych osób podwyższoną aktywność obszarów odpowiadających za koncentrację. Jednocześnie jednak badania wykazywały zmniejszoną aktywność w płacie ciemieniowym. – Veronica postukała się palcem w bok głowy, wskazując, gdzie znajduje się ów płat. – Ta jego część, która mieści się w lewej półkuli, pomaga nam w określeniu wizerunku własnego ciała, podczas gdy część w prawej umożliwia orientację w trójwymiarowej przestrzeni. Dlatego razem obie te części odpowiadają za określanie granicy między tym, gdzie kończy się nasze ciało, a zaczyna to, co jest poza nim. Kiedy płat ciemieniowy robi sobie

przerwę na kawę, naturalnym odczuciem jest to, o czym mówili mnisi: utrata poczucia własnej odrębności i wrażenie jedności z wszechświatem.

Mary przytaknęła.

– Chyba „Time” coś o tym pisał. Widziałam tytuł na pierwszej stronie.

Veronica uprzejmie pokręciła głową.

– To był „Newsweek”. Tak czy inaczej, te badania są pokrewne pracy Persingera i mojej. Newberg i d’Aquili zauważyli, że podczas objawień religijnych układ limbiczny tworzy na tomografii jaśniejsze plamy. Jednocześnie ten sam układ decyduje o tym, jakie znaczenie przypisujemy takim doświadczeniom. Weźmy inny przykład. Można pokazać rodzicowi sto fotografii dzieci, ale znacząco zareaguje dopiero wtedy, gdy zobaczy zdjęcie własnego dziecka. Dzieje się tak dlatego, że układ limbiczny oznaczył ten konkretny bodziec wizualny jako ważny. A skoro w trakcie przeżyć religijnych układ limbiczny dosłownie się rozpała, zyskują one rangę ogromnie istotnych. Właśnie z tego powodu nigdy nie da się ich dobrze opisać słowami. To tak, jakbym próbowała wam wyjaśnić, że mój chłopak jest najprzystojniejszym facetem na świecie. Wy na to: jasne, akurat. No to otwieram torebkę i wyjmuję jego zdjęcie. Myślę, że w ten sposób was przekonam. Wyobrażam sobie, jak mówicie: rany, rzeczywiście jest niezły. Tylko że gdybym naprawdę tak zrobiła, wy wcale byście w ten sposób nie zareagowali. Dla mnie on jest bez porównania najprzystojniejszy, ponieważ mój układ limbiczny zaklasyfikował jego wygląd jako szczególnie ważny. Nie ma jednak sposobu na to, bym mogła przekazać własne wrażenia słowami czy nawet obrazem. Tak samo jest z religijnymi doznaniem. Ktoś może bez końca opowiadać nam o własnym takim doświadczeniu, o tym, jak odmieniło jego życie i jakie było doniosłe, ale my i tak nie pocujemy tego w ten sam sposób.

Ponter przez cały czas uważnie słuchał, to ściągnął szerokie wargi, to znów unosząc długą, jasną brew aż nad podwójny łuk wału nadoczodołowego.

– I według ciebie ta religia, którą wasi ludzie mają, a moi nie... bierze się z funkcjonowania waszych mózgów? – spytał.

– Dokładnie tak! Jest wynikiem połączenia aktywności płatu ciemieniowego i układu limbicznego. Wystarczy spojrzeć, co się dzieje u ludzi chorych na alzheimera. Osoby, które przez całe życie były bardzo wierzące, często zupełnie przestają się interesować religią. A wszystko dlatego, że alzheimer już na początku paraliżuje układ limbiczny.

Veronica przez chwilę milczała, po czym dodała:

– Od dawna wiadomo, że tak zwane przeżycia religijne związane są z chemią mózgu, ponieważ może je wywołać spożycie środków halucynogennych. Właśnie ze względu na swoje działanie halucynogeny są podstawą obrzędów w wielu kulturach plemiennych. Nie od dzisiaj wiemy też, że dużą rolę odgrywa tu układ limbiczny. Osoby cierpiące na epilepsję, u których ataki ograniczają się wyłącznie do tego układu, doświadczają niewiarygodnie głębokich uniesień religijnych. Na przykład Dostojewski, który był epileptykiem, pisał, że podczas napadów padaczkowych „dotyka Boga”. Święty Paweł, Joanna d’Arc, święta Teresa z Avila i Emanuel Swedenborg prawdopodobnie także cierpieli na epilepsję.

Ponter oparł się o krawędź szafy na dokumenty i odruchowo zaczął się kiwać na boki, drapiąc się w plecy.

– To są imiona ludzi? – zapytał.

Zaskoczył tym Veronicę.

– Ludzi, którzy już nie żyją – odparła, przytakując. – Znanych religijnych postaci.

Mary pożałowała Pontera i wyjaśniła mu, czym jest epilepsja. Nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa. Przyszło jej do głowy, że może neandertalczyki obojętnie usunęli z puli genów także te odpowiedzialne za padaczkę. Poczła nieprzyjemny dreszcz, który pojawiał się za każdym razem, gdy myślała o tej praktyce.

– Ale nawet ktoś, kto nie jest epileptykiem, może tego doświadczyć – wyjaśniła Veronica. – Różne religie na całym świecie stworzyły odrębne rytualne tańce, śpiewy i inne zwyczaje. Dlaczego? Dlatego, że celowe, powtarzające się ruchy ciała podczas ceremonii sprawiają, iż układ limbiczny uznaje je za wyjątkowo ważne.

– No dobrze – wtrąciła Mary – ale...

– Zastanawiasz się, co ma piernik do wiatraka, tak? – przerwała jej Veronica.

Ponter spojrział na laborantkę ze zdumieniem, a Mary się uśmiechnęła.

– To tylko takie powiedzenie – wyjaśniła. – Veronice chodzi o to, co jedno ma wspólnego z drugim.

– No właśnie. Otóż wiemy już wystarczająco dużo o tym, w jaki sposób mózg tworzy doznania religijne, aby powtórzyć ten proces w warunkach laboratoryjnych... przynajmniej u przedstawicieli *Homo sapiens*. Dlatego umieram z ciekawości, czy uda się wywołać takie przeżycie u Pontera.

– Moja ciekawość nie jest śmiertelna – stwierdził neandertalczyk z uśmiechem – ale chętnie ją zaspokoję.

Veronica spojrziała na zegarek i zmarszczyła brwi.

– Niestety, moja doktorantka jeszcze nie przyszła, a sprzęt jest dość czuły i wymaga codziennego kalibrowania. Mary, może ty byś ją zastąpiła...?

– Zastąpiła w czym? – Mary poczuła, że drętwieje.

– Chodzi o wstępny test. Muszę najpierw się upewnić, czy urządzenie działa prawidłowo, zanim będę mogła uznać wyniki testu z udziałem Pontera za ważne. – Veronica podniosła rękę, tak jakby chciała uprzedzić ewentualny sprzeciw. – Z nowym sprzętem całe doświadczenie trwa dosłownie pięć minut.

Serce Mary zaczęło mocniej bić. Nigdy nie chciała naukowo badać tej sfery życia. Podobnie jak nieżyjący już Stephen Jay Gould uważała, że nauka i religia nie idą ze sobą w parze. Każda z tych rzeczy była ważna, ale jedna nie miała z drugą nic wspólnego.

– Nie jestem pewna, czy...

– Och, nie musisz się niczym przejmować. To nie jest niebezpieczne! Do przeczaszkowej magnetycznej stymulacji używam pola magnetycznego o indukcji tylko jednej mikrotlesli. Obracam je wokół płatów skroniowych w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i, tak jak mówiłam, niemal wszyscy ludzie – to znaczy przedstawiciele *Homo sapiens* – którzy biorą w tym udział, doświadczają jakiegoś mistycznego przeżycia.

– Jakie... jakie to uczucie? – spytała Mary.

– Wybacz nam na moment – powiedziała Veronica do Pontera i wzięła Mary na bok, tak by neandertalczyk nie słyszał, o czym mówią. – Podczas doświadczenia pojawia się wrażenie, że jakaś istota stoi za tobą lub obok ciebie. Sama forma zależy od przekonań badanego. Fanatyk UFO poczuje obecność kosmity. Ktoś wierzący być może uzna, że widzi samego Chrystusa, a osoba, która niedawno straciła kogoś bliskiego, może zobaczyć zmarłego. Niektórzy opowiadają, że poczuli dotyk aniołów lub Boga. Oczywiście doświadczenie jest całkowicie kontrolowane, a testowani są w pełni świadomi tego, że znajdują się w laboratorium. Ale pomyśl tylko, jak to jest, kiedy podobny efekt pojawia się późnym wieczorem u prostaczka, który znajduje się na jakimś pustkowiu. Albo u kogoś, kto

modli się w kościele, meczecie bądź synagodze. Wtedy coś takiego pewnie zwaliłoby cię z nóg.

– Ale ja naprawdę nie chciałabym...

– Proszę. Nie wiem, kiedy nadarzy się kolejna okazja poddania neandertalczyka takiemu eksperymentowi, a muszę najpierw mieć punkt odniesienia.

Mary odetchnęła głęboko. W końcu Reuben uznał procedurę za bezpieczną, no i nie chciała sprawić zawodu tej młodej i pełnej zapału kobiecie, która miała o niej tak wysokie mniemanie.

– Proszę, Mary – powtórzyła Veronica. – Jeśli moje założenia są słuszne, będzie to dla mnie ogromny krok naprzód.

Kanadyjki podbijające szturmem świat. Jak Mary mogła odmówić?

– W porządku – zgodziła się niechętnie. – Zaczynajmy.

ROZDZIAŁ 7



Nasza siła to zamiłowanie do podróży, ciekawość świata, chęć odkrywania i poszukiwania, pogoń za przygodą...

– Wszystko w porządku? – Głos Veroniki Shannon rozległ się z głośnika tuż obok ucha Mary. – Jest ci wygodnie?

– Tak – powiedziała do małego mikrofonu przyczepionego do bluzki. Siedziała w miękkim fotelu wewnątrz ciemnej kabiny wielkości małej łazienki. Zanim zgasły światła, zauważyła, że ściany pokryte są niewielkimi piramidami z szarej pianki. Domyśliła się, że to izolacja wygłuszająca.

Veronica kiwnęła głową.

– No dobrze. To będzie zupełnie bezbolesne... ale jeśli w którymś momencie zechcesz, abym wyłączyła urządzenie, po prostu daj mi znak.

Mary miała na głowie żółty kask, prawdopodobnie przerobiony z motocyklowego, z solenoidami przymocowanymi po bokach, na wysokości skroni. Nakrycie głowy było połączone wiązką przewodów z urządzeniami ustawionymi przy jednej ze ścian.

– No to do dzieła – oznajmiła Veronica.

Mary sądziła, że usłyszy jakieś brzęczenie lub poczuje łaskotanie przy uszach, ale niczego nie zarejestrowała. Tylko ciemność, ciszę i...

Poczuła napięcie w karku. Przygarbiła ramiona. Ktoś był w komorze razem z nią. Nie widziała go, ale czuła, jak jego oczy wpijają się w tył jej czaszki.

„To idiotyczne” – pomyślała. Zwykła siła sugestii. Gdyby Veronica nie przygotowała jej na to, na pewno niczego by nie wyczuła. Chryste, czasami zdumiewało ją to, na jakie dziwaczne badania można było zdobyć fundusze. Byle jaka sztuczka i...

Och, już wiedziała, kto jej towarzyszy... kto jest z nią w tej komorze.

Nie był to żaden on lecz ona.

Maria.

Dziewica.

Matka Boska.

Mary jej nie widziała... niezupełnie. Tylko bardzo, bardzo jasne światło przesunęło się z za jej pleców do przodu – blask, który nie raził w oczy. Nie miała jednak żadnych wątpliwości, kto to jest. Czystość, spokój, mądrość i łagodność. Zamknęła oczy, ale światło nie znikło.

Maryja.

Mary otrzymała imię na jej cześć i...

I w tej chwili włączył się jej ścisły umysł. Nic dziwnego, że zobaczyła właśnie Maryję. Gdyby była Meksykaninem o imieniu Jesus, być może wydawałoby jej się, że widzi Chrystusa. Gdyby miała na imię Teresa, pewnie poczułaby obecność Matki Teresy. Poza tym, nie dalej jak wczoraj rozmawiała z Ponterem o Najświętszej Marii, więc...

Ale nie.

Nie, to nie było to.

Nie miało znaczenia, co podpowiada jej logika.

W głębi serca czuła, co to za blask.

Jej dusza to wiedziała.

To była Maria, matka Jezusa.

„Dlaczego nie?” – pomyślała Mary. To nic, że znajdowała się na uniwersytecie, w laboratorium, w kabinie badawczej.

Zwykle sceptycznie podchodziła do współczesnych objawień i cudów, ale jeśli rzeczywiście się zdarzały, to Dziewica Maria mogła pojawić się wszędzie.

Przecież podobno zjawiała się w portugalskiej Fatimie.

I dotarła do Lourdes we Francji.

I do Guadalupe w Meksyku.

I La Vang w Wietnamie.

Dlaczego więc nie do Sudbury w Ontario?

Dlaczego nie na tutejszy uniwersytet?

Może nawet mogła przemówić do Mary?

Nie. Nie. W obecności Matki Boskiej należało zachować pokorę, idąc za jej wspaniałym przykładem.

Tylko...

Tylko czy rzeczywiście takie dziwne było to, że Dziewica pokazała się właśnie jej? Przecież Mary wybierała się na inny świat – świat, który nie znał Boga Ojca, świat, który nie miał pojęcia o boskim synu, Jezusie, świat, którego nigdy nie dotknął Duch Święty. To naturalne, że Marię z Nazaretu zainteresowała osoba, którą czekała taka podróż!

Czysta, jasna postać przesuwiała się teraz na lewo od Mary. Unosiła się, nie dotykając ziemi.

Jakiej ziemi? Znajdowali się w piwnicy. Tu nie było ziemi.

Mary tkwiła przecież w laboratorium!

Jej mózg reagował na przezczaszkową stymulację magnetyczną.

Znowu zamknęła oczy, mocno zaciskając powieki, ale to niczego nie zmieniło. Nadal czuła jej obecność.

Jej cudowną, cudowną obecność ...

Otworzyła usta, żeby odezwać się do Błogosławionej Dziewicy i...

I nagle widzenie znikło.

Mimo to Mary ogarnęła euforia. Nie czuła się tak od pierwszej eucharystii po bierzmowaniu, kiedy jeden jedyny raz w życiu miała wrażenie, że wstępuje w nią duch Chrystusa.

– I jak? – usłyszała kobiecy głos.

Zignorowała to ostre, niemiłe wtargnięcie w jej nabożne skupienie. Chciała sycić się tą chwilą, zatrzymać ją... choć ona odpływała jak senne marzenie, którego Mary nie potrafiła przekuć w świadomą myśl, zanim zniknie zupełnie...

– Mare – rozległ się inny, niższy głos – nic ci nie jest?

Znała ten głos. Kiedyś tak bardzo pragnęła znowu go usłyszeć, ale teraz, w tej chwili – dopóki trwała – chciała jedynie ciszy.

Tylko że ona tak szybko blakła. Jeszcze dwie sekundy, jedna... Drzwi do kabiny się otworzyły i światło – fluorescencyjne, surowe i sztuczne – wdarło się do wnętrza. Do środka weszła Veronica Shannon, a za nią Ponter. Młoda kobieta zdjęła Mary kask.

Ponter pochylił się ku ukochanej i krótkim, szerokim kciukiem wytarł jej policzek. Potem odsunął dłoń i pokazał jej, że kciuk jest mokry.

– Nic ci nie jest? – spytał raz jeszcze.

Aż do tego momentu nie czuła łez.

– Czuję się dobrze – odparła, ale uświadomiła sobie, że słowo „dobrze” zupełnie nie pasuje do jej stanu, więc dodała: – Czuję się wspaniale.

– Ale płaczesz... – zauważył Ponter. – Coś... coś poczułaś?

Przytaknęła.

– Co to było?

Odetchnęła głęboko i spojrzała na Veronicę. Choć czuła sympatię do młodej kobiety, wolała nie dzielić się swoimi doznaniem z osobą pragmatyczną, ateistką, która uznałaby jej przeżycie za wynik osłabienia aktywności płatu ciemieniowego.

– To... – zaczęła, ale umilkła. Przełknęła ślinę i spróbowała raz jeszcze. – To naprawdę niezwykle urządzenie, Veronica.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

– Prawda, że niesamowite? – powiedziała, po czym zwróciła się do Pontera: – Jesteś gotowy je wypróbować?

– Jak najbardziej. Jeśli mogę zyskać wgląd w to, co czuje Mary...

Veronica podała mu kask i od razu uświadomiła sobie, że nie przewidziała jednego problemu. Kask pasował na przeciętną głowę przedstawiciela *Homo sapiens* – głowę z wysokim czołem, bez wału nadczołowego lub z niewielką tylko wypukłością – mówiąc wprost, na taką, która mieściła mniejszy mózg.

– Chyba będzie ciasny – stwierdziła.

– Spróbuję jakoś go włożyć. – Ponter wziął nakrycie głowy, odwrócił je i zajrzał do środka, oceniając jego pojemność.

– Może myśl skromniej – zasugerował Hak, odzywając się przez zewnętrzny głośnik. Ponter gniewnie spojrzął na swoje lewe przedramię. Mary się roześmiała. Najwyraźniej przekonanie, że od myślenia puchnie głowa, było wspólne obu gatunkom.

W końcu Ponter postanowił spróbować. Ponownie odwrócił kask i wcisnął go na głowę, krzywiąc się przy tym. Rzeczywiście hełm był mały, ale wewnątrz miał piankową wyściółkę i przy kolejnym mocnym szarpnięciu w dół udało się wystarczająco zgnieść piankę, by kłykcie potyliczne zmieściły się w środku.

Veronica stanęła przed Ponterem, oceniając go jak pracownik sklepu optycznego doradzający w wyborze nowych okularów. Odrobinę poprawiła ułożenie kasku.

– Tak będzie dobrze – powiedziała wreszcie. – Jak mówiłam wcześniej Mary, to nic nie boli, ale jeśli będziesz chciał przerwać eksperyment, po

prostu daj mi sygnał.

Ponter kiwnął głową i skrzywił się. Tył kasku wpijał mu się w mięśnie karku.

Veronica odwróciła się w stronę zastawionej sprzętem półki. Zmarszczyła brwi, sprawdzając odczyt oscyloskopu, i ustawiła podziałkę.

– Odnotowuję jakiś rodzaj interferencji – powiedziała.

Ponter przez chwilę patrzył na nią zdziwiony.

– Ach, to moje implanty ślimakowe – domyślił się. – Dzięki nim Kompan może się ze mną komunikować bezgłośnie, jeśli zachodzi taka potrzeba.

– Możesz je wyłączyć?

– Tak. – Otworzył obudowę implantu i pomajstrował coś przy gałkach.

Veronica kiwnęła głową.

– O to właśnie chodziło. Interferencja zniknęła. – Spojrzała na Pontera i uśmiechnęła się zachęcająco. – No dobrze, usiądź, proszę.

Mary usunęła się z drogi i Ponter usiadł w fotelu plecami do niej.

Veronica opuściła kabinę badawczą, gestem poprosiła Mary o to samo, po czym z wysiłkiem zamknęła solidne stalowe drzwi, na których ktoś przykleił kartkę z napisem: „Szafa Veroniki”. Podeszła do komputera i zaczęła biegać strzałką myszy po ekranie. Mary przyglądała się temu zafascynowana.

– I jak? – spytała po chwili. – Czuje coś?

Veronica nieznacznie wzruszyła wąskimi ramionami.

– Nie sposób tego ocenić, chyba że sam coś powie. – Wskazała jeden z głośników podłączonych do komputera. – Ma włączony mikrofon.

Mary zerknęła na zamknięte drzwi kabiny. Pragnęła, aby Ponter doświadczył dokładnie tego co ona. Nawet gdyby zbył to jako iluzję – a na pewno by to zrobił – przynajmniej mógłby lepiej zrozumieć co ona tam

przeżyła i co spotkało tak wiele osób w historii *Homo sapiens*, które poczuły obecność jakiejś świętej mocy.

Oczywiście mogło mu się wydawać, że towarzyszy mu jakaś obca istota. To zabawne, że rozmawiali o tak wielu sprawach, ale jakoś nigdy nie pojawił się temat życia pozaziemskiego. Może jemu, i w ogóle wszystkim neandertalczykom, istnienie życia na innych światach wydawało się równie niemądre co pojęcie jakiegoś boga. W końcu przecież nie było na to żadnych konkretnych dowodów, przynajmniej na świecie Mary. W takiej sytuacji Baraści zbyliby podobne przekonania jako idiotyczne wymysły...

Mary nie spuszczała wzroku z zamkniętych drzwi.

Przecież religia nie była jakąś tam neuronową sztuczką czy mikroelektryczną ułudą. Na pewno istniało...

– W porządku – odezwała się Veronica. – Wyłączam zasilanie. – Podeszła do stalowych drzwi i otworzyła je z wysiłkiem. – Możesz już wyjść.

Ponter najpierw musiał przeprowadzić operację zdjęcia ciasnego kasku. Chwytał za krawędź po obu stronach głowy i mocno pchnął całe ustrojstwo w górę. Ustąpiło pod naciskiem. Oddał hełm Veronice, po czym potarł wał nadoczodołowy, próbując przywrócić normalne krążenie w tym miejscu.

– No i? – spytała Mary, nie mogąc dłużej wytrzymać.

Otworzył panel Haka i coś przełączył. Domyśliła się, że prawdopodobnie uruchomił implanty ślimakowe.

– No i? – powtórzyła.

Pokręcił głową. Przez ułamek sekundy miała nadzieję, że próbuje tylko rozprostować zdrętwiały kark.

– Nic – powiedział.

Nie miała pojęcia, że jedno słowo może wywołać aż takie przygnębienie.

– Nic? – powtórzyła Veronica, którą z kolei oświadczenie Pontera niezmiernie uradowało. – Jesteś pewien?

Przytaknął.

– Żadnych wrażeń wzrokowych? – upewniła się. – Żadnego uczucia, że coś jest w środku razem z tobą? Żadnego przeświadczenia, że jesteś obserwowany?

– Zupełnie nic. Tylko ja, sam na sam z własnymi myślami.

– A o czym myślałeś? – spytała Mary. Może Ponter po prostu nie rozpoznał duchowego przeżycia.

– O następnym posiłku – przyznał. – Zastanawiałem się, co zjemy. I jeszcze o pogodzie, i o tym, jak szybko nadejdzie zima. – Spojrzał na Mary i zauważył jej rozczarowaną minę. – I o tobie! – dodał szybko, aby nie było jej tak przykro. – Oczywiście myślałem też o tobie!

Uśmiechnęła się blado i odwróciła głowę. Jedno badanie na neandertalczyku niczego nie dowodziło, ale...

Ale zastanawiające było to, że ona, przedstawicielka *Homo sapiens*, przeżyła całe doświadczenie w pełni, a on, *Homo neanderthalensis*, nie poczuł nic...

Słowa pojawiły się w myślach nieproszone, ale taka była smutna prawda.

Ponter Boddit nie poczuł, czym jest błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ 8



To właśnie ów duch przygody pchnął naszych przodków w najdalsze zakątki świata...

Veronica Shannon krążyła po laboratorium. Mary zajęła jedno z dwóch identycznych krzeseł. Dla Pontera odstęp między metalowymi poręczami okazał się za mały, więc przysiadł na brzegu biurka Veroniki, na którym panował niesamowity porządek.

– Wiesz coś o psychologii, Ponterze? – spytała Veronica, splatając dłonie za wąskimi plecami.

– Trochę. Uczyłem się jej podczas studiów komputerowych na akademii. Była to jedna z nauk, które musiałem poznać w trakcie studiowania sztucznej inteligencji. Nie wiem, jak wy to nazywacie.

– Przedmiot obowiązkowy – odpowiedziała Mary.

– U nas studenci na pierwszym roku psychologii uczą się o Skinnerze – podjęła temat Veronica.

– Chodzi ci o behawioryzm? – Mary pokiwała głową; ona też musiała zaliczyć wstęp do psychologii.

– Zgadza się. Warunkowanie sprawcze, wzmocnienie i kara.

– Tak jak w szkoleniu psów – zauważył Ponter.

– Dokładnie. – Veronica przestała krążyć po pracowni. – Teraz proszę cię Mary, abyś nic nie mówiła. Chcę poznać odpowiedź samego Pontera,

więc mu nie podpowiadaj. – Mary skinęła głową. – No dobrze, Ponterze, pamiętasz, czego uczyłeś się na zajęciach z psychologii?

– Nie, raczej nie.

Młoda kobieta wyglądała na rozczarowaną.

– Ale ja pamiętam – wtrącił Hak swoim syntetyzowanym męskim głosem. – A dokładnie mówiąc, posiadam w pamięci odpowiednik podręcznika psychologii. Dzięki temu mogę Ponterowi służyć radą, kiedy robi z siebie idiotę.

Ponter uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Doskonale – stwierdziła Veronica. – W takim razie mam pytanie: jaki jest najlepszy sposób wpojenia komuś konkretnego zachowania? Nie chodzi mi o coś, co chcesz wykorzenić, lecz o coś, czego chcesz daną osobę nauczyć.

– Nagradzanie – odezwał się Hak.

– Nagradzanie, zgadza się! Ale jakie?

– Konsekwentne.

Veronica miała minę, jakby właśnie wyszło na jaw coś ogromnie ważnego.

– Konsekwentne – powtórzyła, jak gdyby to słowo było kluczem do wszystkiego. – Jesteś pewien? Absolutnie pewien?

– Tak – odparł zaintrygowany Hak.

– Otóż tutaj tak nie jest. Konsekwentne nagradzanie nie jest najlepszą metodą wpojenia komuś określonego zachowania – stwierdziła.

Mary zmarszczyła czoło. Kiedyś na pewno знаła właściwą odpowiedź, ale po tylu latach nie potrafiła wydobyć jej z pamięci. Na szczęście to Ponter zadał pytanie, na które czekała Veronica.

– W takim razie jaki sposób jest najlepszy, aby zaszczerpić jakieś zachowanie u waszych ludzi?

– Nagradzanie sporadyczne – oznajmiła triumfalnie Veronica.

Ponter zmarszczył brew.

– Masz na myśli to, że czasem pożądane zachowanie jest nagradzane, a czasem nie?

– Właśnie tak! Dokładnie o to mi chodzi!

– Ale to nie ma sensu.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Veronica, uśmiechając się szeroko. – To jedna z najdziwniejszych rzeczy w psychologii *Homo sapiens*. Ale absolutnie prawdziwa. Klasycznym przykładem jest hazard: jeśli grając w coś zawsze wygrywamy, zaczynamy się nudzić. Jeżeli jednak wygrywamy tylko czasem, gra nas wciąga. Podobnie jest z dziećmi, które marudzą rodzicom: „Kup mi zabawkę!”, „Pozwól mi bawić się do późna!”, „Zawieź mnie do centrum handlowego”. Takiego zachowania rodzice najbardziej u swoich pociech nie lubią, ale dzieciaki nie potrafią przestać nie dlatego, że marudzeniem zawsze osiągają pożądany rezultat, lecz dlatego, że czasami ten sposób się sprawdza. Nieprzewidywalność sprawia, że nie możemy się czemuś oprzeć.

– To nienormalne – stwierdził Ponter.

– Nie tutaj i nie według opinii, która mówi, że zachowanie większości nigdy nie jest nienormalne.

– Ale... brak przewidywalnego rezultatu jest przecież irytujący.

– Mogłoby się tak wydawać – zgodziła się Veronica. – Tylko znowu muszę zaznaczyć, że nie dla nas.

– Wyraźnie do czegoś zmierzasz, Veronico. O co chodzi? – spytała Mary, która do tej pory z fascynacją słuchała dyskusji.

– W naszym zespole badawczym zajmujemy się głównie wyjaśnianiem klasycznych objawień religijnych. Jednakże wielu wierzących nigdy nie doświadczyło niczego takiego, a mimo to nie zrezygnowało z wiary. To

luka w naszej pracy, brakujący element wyjaśnienia, dlaczego *Homo sapiens* wierzą w Boga. I oto mamy odpowiedź, rozumiecie? Właśnie ta psychologia wzmacniania – ten sposób, w jaki zaprogramowane są nasze mózgi – sprawia, że jesteśmy predysponowani do wiary w Boga. Gdyby Bóg istniał naprawdę, gatunek rozumny spodziewałby się po nim racjonalnego, przewidywalnego postępowania. Tymczasem tak nie jest. Czasami wydaje się, że Bóg chroni określonych ludzi, innym znowu razem pozwala, by zakonnica spadła do szybu windy. Nie do rymu, nie do sensu, dlatego mówimy...

– Mówimy, że „niezbadane są wyroki boskie” – dokończyła Mary, kiwając głową.

– Właśnie! – triumfalnie zapięła Veronica. – Modlitwa nie zawsze zostaje wysłuchana, ale ludzie nie przestają się modlić. Jednak u Barastów tak nie jest. – Odwróciła się do Pontera. – Prawda?

– Tak – potwierdził. – Nie potrzebuję Haka, aby ocenić, że postępujemy inaczej. Gdy wynik jest nieprzewidywalny i gdy nie da się określić pewnego schematu, odrzucamy dane działanie jako bezsensowne.

– Za to my nie. – Veronica zatarła ręce. Mary dostrzegła u niej ten sam entuzjizm, jaki sama miała przed laty, gdy udało jej się pozyskać DNA z kopalnego okazu neandertalczyka odkrytego w Niemczech. Wyglądała tak, jakby szykowała się do zdjęcia na okładkę „Science”. Uśmiechnęła się promiennie do Pontera, a potem do Mary. – Nawet jeśli nie da się dostrzec żadnego powtarzalnego schematu, wmawiamy sobie, że w tym wszystkim jest jakaś ukryta logika. Dlatego nie tylko wymyślamy historie o bogach, ale naprawdę w nie wierzymy.

Tym razem religijna Mary zupełnie się wycofała, za to jej naukowe ja przeżywało kulminacyjny moment.

– Jesteś tego pewna, Veronico? Bo jeśli tak, to...

– Oczywiście, że jestem pewna. Kiedyś nawet przeprowadzono taki eksperyment. Prześlę ci później e-mailem link do odpowiedniej strony. Otóż dwie grupy miały rozegrać partię na podzielonej na pola planszy, ale graczom nie objaśniono zasad. Wiedzieli tylko, że będą zdobywali punkty za prawidłowe zagrania, a błędnymi nie zdobędą nic. Jednej drużynie konsekwentnie przyznawano punkty za zajmowanie co drugiego pola w prawym dolnym rogu planszy. Oczywiście po kilku kolejkach, gracze łatwo się w tym połapali i zaczęli zwyciężać za każdym razem. Za to drugiej grupie przyznawano punkty losowo, bez względu na to, jakie posunięcia wykonali uczestnicy. Oni także próbowali wydedukować zasady rządzące grą i byli przekonani, że jeśli będą się tych reguł trzymali, to poprawią swoje wyniki.

– Naprawdę? – zdziwił się Ponter. – Mnie by taka gra przestała interesować.

– Ciebie tak – stwierdziła Veronica, uśmiechając się szeroko. – Ale nas by ona fascynowała.

– Albo irytowała – wtrąciła Mary.

– Oczywiście! A to by znaczyło, że nie dawałaby nam spokoju, ponieważ nie potrafimy tak po prostu zaakceptować, iż coś nie ma żadnego ukrytego sensu. – Veronica spojrzała na Pontera. – Czy mogę przeprowadzić jeszcze jeden mały test? I tym razem proszę cię, Mary, żebyś nic nie mówiła. Ponterze, czy wiesz, na czym polega rzut monetą?

Nie wiedział, więc wyłowiła z kieszeni fartucha pieniądze i pokazała mu, o czym mowa. Ponter kiwnął głową na znak, że rozumie, o co chodzi.

– Skoro już to wiesz, to wyobraźmy sobie, że rzuciłam monetą dwadzieścia razy i za każdym razem wypadła reszka. Jakie są szanse, że w kolejnym rzucie znowu wypadnie reszka?

– Jeden do jednego – odparł bez wahania.

– Właśnie! Albo, jak my byśmy to ujęli: pół na pół, zgadza się? Szanse są takie same.

Ponter kiwnął głową.

– A teraz ty, Mary. Na pewno wiesz, że Ponter ma absolutną rację: bez względu na to, ile razy pod rząd wypadnie reszka, zakładając oczywiście, że moneta ma równo rozłożony ciężar, prawdopodobieństwo, że w następnym rzucie będzie reszka, zawsze wynosi jeden do jednego. Ale kiedy zadaję to pytanie studentom pierwszego roku psychologii, większość z nich uważa, że szanse uzyskania reszki po raz kolejny są znikome. Na jakimś fundamentalnym poziomie nasze mózgi są tak skonstruowane, że dopatrujemy się celowości w przypadkowych zdarzeniach. I właśnie dlatego nawet osoby, które nigdy nie doświadczyły doznań, jakie wcześniej wywołał u ciebie, Mary, i tak w chaosie wydarzeń widzą dzieło Boga.

ROZDZIAŁ 9



To właśnie nasze pragnienie przygody kazało naszym przodkom brnąć tysiące mil przez ląd łączący Alaskę z Syberią w miejscu, gdzie dziś jest Cieśnina Beringa...

Mary postanowiła jeszcze przed wyjazdem zajrzeć na chwilę do uniwersyteckiej księgarni. Nie wzięła z domu żadnych książek, a przecież nie mogła liczyć na to, że na neandertalskim świecie znajdzie sobie coś do czytania.

Prawdę mówiąc, potrzebowała też kilku minut samotności, żeby spokojnie przetrwać to, co wydarzyło się w laboratorium. Dlatego zostawiła Pontera z Veronicą i ruszyła „torem kręglarskim” – długim, wąskim, przeszklonym korytarzem, który pełnił rolę łącznika między budynkami – do głównego gmachu uczelni. Z naprzeciwka szła atrakcyjna, młoda, ciemnoskóra dziewczyna. Mary nigdy nie była dobra w zapamiętywaniu ludzi, ale na twarzy drugiej kobiety na moment pojawił się cień rozpoznania, który równie szybko znikł.

Mary trochę się już do tego przyzwyczyła. Odkąd na początku sierpnia potwierdziła, że mężczyzna, którego wyłowiono ze zbiornika obserwatorium neutron, jest neandertalczykiem, wielokrotnie pojawiała się w mediach. Dlatego się nie zatrzymała. Dopiero po chwili dotarło do niej, kogo właśnie widziała...

– Keisha! – Obróciła się na pięcie, ponieważ ciemnoskóra kobieta już ją minęła.

Keisha odwróciła się z uśmiechem.

– Witaj, Mary.

– Ledwo cię poznałam.

Keisha sprawiała wrażenie lekko zakłopotanej.

– Ja ciebie zapamiętałam – powiedziała, po czym dodała nieco ciszej: – ale nie wolno nam inicjować kontaktu z osobami, które poznajemy w Centrum, chyba że one zwrócą się do nas pierwsze. Chodzi o zachowanie prywatności...

Mary skinęła głową. „Centrum”, o którym wspomniała Keisha, było ośrodkiem kryzysowym dla ofiar gwałtu, działającym na Laurentian University. Mary odwiedziła je po tym, co wydarzyło się w Yorku.

– Jak sobie radzisz? – spytała Keisha.

W końcu korytarza Mary zauważyła niewielki bufet z kawą i pączkami.

– Masz chwilę? – spytała. – Chciałabym cię zaprosić na kawę.

Młoda kobieta spojrzała na zegarek.

– Oczywiście. Ale... może wolałabyś porozmawiać na górze, w Centrum?

– Nie, to nie będzie konieczne – zapewniła Mary. Mimo to kilkadziesiąt metrów, które dzieliły ją od stoiska, przeszła w milczeniu, zastanawiając się nad pytaniem Keishy No właśnie: jak sobie radziła?

Bufet należał do sieci Tima Hortona, w której Mary czasami mogła kupić swoją ulubioną kawę z czekoladowym mlekiem. Tym razem również dostała to, czego chciała. Keisha poprosiła o sok jabłkowy. Mary zapłaciła za siebie i za nią. Usiadły przy jednym z dwóch małych stolików w sąsiedztwie przeszklonej ściany korytarza. Ludzie rzadko się tu zatrzymywali, przeważnie brali kawę i pędzili do swoich zajęć.

– Chciałabym ci podziękować – powiedziała. – Okazałaś mi wtedy wiele życzliwości...

Keisha miała w nosie niewielki kolczyk. Kiedy pochyliła głowę, mały kamień rozbłysnął w słońcu.

– Właśnie po to tu jesteśmy.

Mary skinęła głową.

– Pytałaś, jak sobie radzę... Hm, w moim życiu pojawił się mężczyzna.

Keisha się uśmiechnęła.

– Wiem, Ponter Boddit. Czytałam o was w „People”.

Mary się zdumiała.

– Pisano o nas w „People”?

– W zeszłym tygodniu – przytaknęła młodsza kobieta. – Zamieścili ładne zdjęcie twoje i Ponter a z ONZ.

Dobry Boże – pomyślała Mary, a na głos powiedziała:

– Ponter bardzo mi pomógł.

– Nie wiesz, czy zgodzi się pozować dla „Playgirl”?

Uśmiechnęła się. Prawie o tym zapomniała. Taka propozycja pojawiła się w trakcie pierwszego pobytu Pontera na tym świecie, kiedy razem przechodzili kwarantannę. W zasadzie chętnie pokazałaby swojego mężczyznę wszystkim lalkom, które w liceum umawiały się z futbolistami. Przy Ponterze każdy z nich wyglądałby mizernie. Poza tym podobała jej się myśl, że Colm prawdopodobnie nie mógłby się oprzeć pokusie i przekartkowałby magazyn w kiosku, zastanawiając się, jaką przewagę ma nad nim taki neandertalczyk...

– Nie mam pojęcia – odparła. – Ponter się śmiał, kiedy przyszło zaproszenie, i od tamtej pory o tym nie wspomniał.

– Jeśli się na to zdecyduje, proszę o egzemplarz z autografem.

– Nie ma problemu – stwierdziła Mary i naprawdę tak myślała. Wiedziała, że nigdy nie zapomni o gwałcie, podobnie jak Keisha nie mogła wyrzucić z pamięci tego, co sama przeżyła. Jednak fakt, że potrafiły żartować na temat mężczyzny pozującego nago dla rozrywki kobiet, świadczył, iż przebyły już długą drogę.

– Pytałaś, jak sobie radzę – zaczęła Mary i umilkła. – Coraz lepiej – dodała po chwili z uśmiechem. Dotknęła dłoni Kelshy – Z każdym dniem coraz lepiej.

Po kawie Mary popędziła do księgarni, błyskawicznie wybrała cztery książki i wróciła do pracowni C002B po Pontera. Potem razem weszli schodami na parter i wyszli na parking. Był rześki jesienny dzień. W Sudbury – czterysta kilometrów na północ od Toronto – niemal wszystkie liście zmieniły już barwę.

– *Drań!* – wykrzyknął Ponter.

– Zadziwiające! – przetłumaczył Hak.

– Co takiego?

– Co to jest? – Neandertalczyk wskazał palcem to, co go tak zdumiało.

Mary spojrzała w tamtą stronę i wybuchła śmiechem.

– To pies – wyjaśniła.

– Moja Pabo jest psem! – oświadczył Ponter. – Widziałem już tutaj inne, podobne do psów stworzenia. Ale to! Pierwszy raz widzę takie coś. – Pies i jego właścicielka zmierzali w ich stronę. Ponter pochylił się, opierając dłonie na kolanach, żeby z bliska przyjrzeć się małemu zwierzęciu na skórzanej smyczy, której drugi koniec trzymała atrakcyjna młoda kobieta. – Wygląda jak kiełbasa! – stwierdził.

– To jamnik – wyjaśniła właścicielka urażonym tonem. Na pewno domyślała się, kim jest Ponter, ale bynajmniej nie straciła z tego powodu

głowy.

– Czy to... – zająknął się Ponter. – Proszę mi wybaczyć, ale czy to jakaś wada rozwojowa?

Kobieta poczuła się jeszcze bardziej dotknięta.

– Nie. Jest dokładnie taki, jak powinien.

– Ale jego łapy! Jego uszy! I tułów! – Ponter wyprostował się i pokręcił głową. – Pies powinien polować – stwierdził, przyglądając się zwierzęciu tak, jakby było zniewagą dla swojego gatunku.

– Ależ jamniki są psami myśliwskimi – oznajmiła młoda kobieta ostrym tonem. – Zostały wyhodowane w Niemczech do polowań na borsuki. Po niemiecku nazywają się „dachshund”, a „dachs” to właśnie „borsuk”. Rozumie pan? Dzięki swojej budowie mieszczą się w borsucznych norach.

– Ach tak. W takim razie proszę mi wybaczyć – powiedział Ponter.

Kobieta wyglądała na udobruchaną.

– Pudle – prychnęła pogardliwie – to dopiero głupio wyglądające psy.

Cornelius Ruskin musiał przyznać, że z czasem jego samopoczucie zaczęło się zmieniać – i następowało to znacznie szybciej, niż się spodziewał. Siedział przed komputerem w swoim apartamencie w slumsach i wstukiwał hasła w wyszukiwarce Google. Na bardziej konkretne rezultaty zaczął trafiać dopiero po tym, jak przypadkiem w jednym z artykułów wyczytał, że kastrację zwierząt nazywa się „trzebieniem”, i wybrał celowe pominięcie wyników zawierających to słowo oraz dotyczących „psa”, „kota” lub „konia”.

Dość szybko trafił na stronę University of Plymouth z tabelą „Wpływ kastracji i terapii zastępczej testosteronem na zachowanie seksualne”. Pokazywała natychmiastowe ograniczenie aktywności w tej sferze u wykastrowanych świnek morskich...

Ale on przecież był człowiekiem, nie zwierzęciem! To, co dotyczyło gryzoni, nie mogło chyba...

Obracając kółkiem myszy, wyświetlił dalszą część strony. Zawierała wyniki pracy Heima i Hurscha, których badania wskazywały, iż ponad 50 procent gwałcicieli poddanych kastracji „zaprzestało aktywności seksualnej wkrótce po kastracji – podobnie, jak miało to miejsce u szczurów”.

Oczywiście pamiętał, jak w czasach, kiedy sam był studentem, feministki twierdziły, że gwałt jest aktem przemocy i nie ma nic wspólnego z seksem. Myliły się. Cornelius od dawna interesował się tym tematem. Przeczytał *A Natural History of Rape: Biological Bases of Sexual Coercion* [Historia gwałtu: biologiczne przyczyny przemocy seksualnej.] Thornhilla i Palmera zaraz po ukazaniu się tej książki w 2000 roku. Jej autorzy, opierając się na psychologii ewolucyjnej, twierdzili, że gwałt jest w rzeczywistości strategią rozrodczą – strategią seksualną – stosowaną przez...

Niechętnie zaliczał siebie do tej kategorii, ale taka była prawda. Chodziło o mężczyzn pozbawionych statusu i możliwości płodzenia potomstwa w normalny sposób. I nie miało znaczenia to, że niesprawiedliwie odmówiono mu szansy osiągnięcia takiego statusu. Liczyło się tylko to, że go nie miał i nie mógł zdobyć – nie w środowisku akademickim.

Nienawidził niekorzystnych dla niego zasad uczelnianej polityki. Był równie dobrym ekspertem w zakresie kopalnego DNA co Mary Vaughan – nie na darmo studiował w Oksfordzie w Ancient Biomolecules Centre.

Uważał swoją sytuację za absolutnie niesprawiedliwą – tak samo jak te cholerne zadośćuczynienia dla niewolników. Ludzie, którzy nigdy nie zrobili nic złego, musieli bulić wielkie sumy na rzecz tych, których dawno zmarli przodkowie byli źle traktowani. Dlaczego on miał cierpieć z powodu

stosowanej przez minione generacje seksistowskiej polityki zatrudniania pracowników?

Przez wiele lat ta myśl doprowadzała go do pasji.

Ale teraz...

Teraz...

Teraz był już tylko zły i po raz pierwszy, odkąd pamiętał, potrafił nad tym gniewem zapanować.

Niby wiedział, dlaczego czuje mniejszą złość. Ale czy na pewno? Przecież nie minęło jeszcze tak wiele czasu, odkąd Ponter pozbawił go jaj. Czy możliwa była tak szybka odmiana?

Najwyraźniej tak.

Kontynuując poszukiwania w Internecie, natrafił na artykuł z gazety „New Times”, ukazującej się w San Luis Obispo. Był to wywiad z Bruceem Clotfelterem, który za molestowanie dzieci spędził w więzieniu dwie dekady, zanim przeszedł zabieg kastracji. „To było jak cud”, mówił Clotfelter. „Następnego ranka uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od lat nie miałem tych potwornych seksualnych snów!”.

Następnego ranka...

Chryste! Tak szybko? To jaki był okres połowicznego zaniku testosteronu? Po kilku kliknięciach myszą Cornelius znalazł odpowiedź: „Czas połowicznego rozpadu testosteronu naturalnie występującego we krwi wynosi zaledwie kilka minut”, wyjaśniał jeden z artykułów. Drugi, bardziej konkretny, mówił o dziesięciu minutach.

Dalsze poszukiwania zawiodły Corneliusa na stronę Geocities, założoną przez człowieka, który urodził się jako mężczyzna, po czym przeszedł kastrację bez leczenia hormonalnego. Pisał on: „Cztery dni po zabiegu... okazało się, że potrafię spokojnie czekać, aż światło zmieni się na zielone, a drobne niedogodności przestały mnie tak bardzo złościć... „,

„Sześć dni po zabiegu wróciłem do pracy. Dzień był wyjątkowo napięty... a mimo to do końca zachowałem spokój. Wyraźnie odczuwałem skutki kastracji. Bez testosteronu przez cały czas czułem się lepiej”.

„Dziesięć dni po zabiegu miałem wrażenie, że jestem lekki jak piórko. Moje samopoczucie stale się poprawiało. Według mnie najsilniejszym efektem kastracji była zdolność zachowania spokoju, a zaraz potem spadek popędu płciowego”.

Natychmiastowa odmiana.

Po nocy.

Po kilku dniach.

Cornelius wiedział – wiedział! – że powinien być wściekły z powodu tego, co zrobił mu Ponter.

Ale już nie potrafił się wściekać...

ROZDZIAŁ 10



Ta żądza przygód sprawiła, że ludzie odważnie pożeglowali za horyzont, odkrywając nowe lądy Australii i Polinezji...

Za zamiarem stworzenia nowego portalu między światami w głównej siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych przemawiał jeden główny powód. Obecne przejście znajdowało się dwa kilometry pod ziemią. Od windy po stronie gliksińskiej trzeba było przejść 1200 metrów, a po stronie Barastów trzy kilometry.

Na dotarcie z powierzchni świata Mary na powierzchnię świata Pontera potrzebowali dwóch godzin. Zanim zjechali w dół windą górniczą kopalni Creighton, musieli włożyć ochronne kaski i buty. Kaski miały wbudowane latarki i ochraniacze na uszy, które można było w miarę potrzeby opuszczać.

Mary zabrała dwie walizki, które Ponter niósł bez wysiłku, po jednej w każdej ręce.

Przez większą część drogi w dół towarzyszyło im pięciu górników. Wyszli o poziom wyżej niż Mary i Ponter. Odetchnęła swobodniej, gdy zostali sami. Nigdy nie czuła się w tej kabinie komfortowo. Stale przypominała jej się tamta trudna podróż na dół, podczas której próbowała wyjaśnić Ponterowi, dlaczego początkowo nie potrafiła odwzajemnić jego dotyku pomimo wzajemnej sympatii.

Na poziomie 6800 stóp zaczęli mozolny marsz do obserwatorium neutron. Mary nigdy nie lubiła wysiłku fizycznego, ale tutaj to Ponter miał większe trudności, ponieważ temperatura na tej głębokości utrzymywała się na stałym poziomie czterdziestu jeden stopni Celsjusza – dla niego o wiele za wysokim.

– Już nie mogę się doczekać powrotu do domu – przyznał – do powietrza, którym mogę oddychać!

Wiedziała, że nie chodzi mu o ciepłe powietrze w kopalni. Miał raczej na myśli powrót do świata, gdzie nie używano paliw kopalnych, których spaliny drażniły jego potężny nochał na Ziemi *Homo sapiens*. Na szczęście na wsi u Reubena było pod tym względem całkiem znośnie.

Mary przypomniała sobie tytułową piosenkę serialu, który jako dziecko uwielbiała. Było tam coś o świeżym powietrzu i pożegnaniu z życiem w mieście.

Miała nadzieję, że zaaklimatyzuje się na Ziemi Pontera lepiej niż Lisa Douglas w Hooterville. [Lisa Douglas była jedną z bohaterek serialu *Green Acres*.] Tyle że od Mary ta podróż wymagała czegoś więcej niż tylko zamiany zgiełku świata sześciu miliardów dusz na spokój planety zamieszkaną przez zaledwie sto osiemdziesiąt pięć milionów... ludzi – Barastów przecież nie mogła określić mianem „dusz”, ponieważ nie wierzyli, iż je posiadają.

Dzień przed wyjazdem z Rochester Ponter udzielił wywiadu dla radia. Neandertalczyki byli mile widzianymi gośćmi wszędzie, gdzie się pojawiali. Mary z zainteresowaniem słuchała, jak Bob Smith, dziennikarz lokalnej stacji PBS, wypytuje Pontera o neandertalskie poglądy. Dość długo drążył temat sterylizowania przestępców.

Teraz, idąc błotnistym tunelem, zaczęli rozmawiać o tamtym wywiadzie.

– Tak – powiedziała Mary w odpowiedzi na pytanie Pontera – wypadłeś bardzo dobrze, tylko...

– Tylko co?

– Chodzi mi o to, co mówiłeś o sterylizowaniu ludzi. Ja...

– Tak?

– Przykro mi, Ponterze, ale nie potrafię tego zaakceptować.

Spojrzał na nią. Na głowie miał pomarańczowy kask, odpowiedni do kształtu głowy neandertalczyka, wykonany specjalnie dla niego.

– Dlaczego?

– Bo... bo to jest nieludzkie. Używam tego słowa świadomie. Według mnie ludzie nie powinni tak postępować.

Przez jakiś czas milczał, przyglądając się ścianom chodnika, zabezpieczonym drucianą siatką przed osuwaniem się skał.

– Wiem, że na tej Ziemi jest wielu takich, którzy nie wierzą w ewolucję – odezwał się w końcu – ale ci, którzy w nią wierzą, na pewno rozumieją, że ten proces w przypadku człowieka... jak by to powiedzieć?... utknął w miejscu. Odkąd medycyna umożliwia niemal wszystkim ludziom dożycie momentu, w którym osiągają dojrzałość płciową, nie ma już żadnej... żadnej... Nie jestem pewien, jak wy to nazywacie...

– Selekcji naturalnej – podpowiedziała Mary. – Rozumiem twój argument. Bez selektywnego doboru genów ewolucja nie jest możliwa.

– No właśnie. A przecież to właśnie ona uczyniła nas takimi, jakimi jesteśmy. Dzięki niej z czterech podstawowych, pierwotnych form życia wykształciły się różnorodne gatunki, jakie istnieją dzisiaj.

Mary spojrzała na Pontera ze zdziwieniem.

– Z czterech pierwotnych form?

Niepewnie zamrugł oczami.

– No tak.

– Z jakich? – spytała, myśląc, że wreszcie odkryła w światopoglądzie Pontera cień teorii kreacjonizmu. Może chodziło mu o neander-Adama, neander-Ewę, partnera neander-Adama i partnerkę neander-Ewy?

– To chyba jasne. Z pierwotnych roślin, zwierząt, grzybów i... nie znam waszej nazwy tych ostatnich... chodzi mi o grupę, do której zaliczają się pierwotniaki i niektóre jednokomórkowe glony.

– Protista lub Protoctista – odparła. – Zależy, kogo spytasz.

– Aha. W pierwotnym, prebiologicznym świecie każda z tych grup powstała niezależnie od innych.

– I macie na to dowody? U nas w zasadzie uważa się, że życie pojawiło się na naszym świecie tylko raz, mniej więcej przed czterema miliardami lat.

– Ale przecież te cztery formy są od siebie tak różne! – zauważył Ponter. Po chwili jednak wzruszył ramionami.

– No cóż, to ty jesteś genetykiem, nie ja. Niedługo poznasz naszych ekspertów od tych rzeczy i to ich powinnaś o to wypytać. Jedna ze stron, choć nie wiem która, na pewno będzie mogła wiele się nauczyć od drugiej.

Mary wciąż zdumiewało to, że znana jej nauka różniła się od neandertalskiej w tak wielu fundamentalnych kwestiach. Na razie jednak głowę zaprzętała jej ważniejsza sprawa...

Ważniejsza sprawa. Zadziwiająca, że uważała kwestię natury moralnej za bardziej istotną od prawdy naukowej.

– Wcześniej wspomniałeś o końcu ewolucji. Chcesz powiedzieć, że twój gatunek nadal ewoluuje, ponieważ wypleniacie z niego złe geny?

– „Wypleniacie”? – powtórzył Ponter, marszcząc brew. – Aha... to termin z ogrodnictwa. Chyba rozumiem. Tak, nie mylisz się. Wciąż poprawiamy pulę naszych genów, pozbywając się niepożądanych cech.

Mary jednym susem przesadziła dużą, błotnistą kałużę.

– Być może potrafiłabym to zaakceptować, gdyby nie fakt, że sterylizujecie nie tylko samych przestępców, ale także ich bliskich krewnych.

– Oczywiście. W przeciwnym razie geny mogą przetrwać.

Pokręciła głową.

– I właśnie tego nie potrafię ścierpieć. – Hak wyemitował krótki pisk. – „Ścierpieć”? Tolerować coś lub godzić się na to.

– Dlaczego?

– Ponieważ... ponieważ tak nie można. Jednostki mają swoje prawa.

– Oczywiście, że tak – przyznał Ponter – ale mają także cały gatunek. My chronimy i doskonalimy gatunek Barastów.

Mary próbowała ukryć dreszcz zgrozy, ale Ponter wyczuł jej nastawienie.

– Reagujesz negatywnie na to, co powiedziałem – zauważył.

– Bo widzisz, w historii *Homo sapiens* też byli ludzie, którzy tak mówili. W latach czterdziestych dwudziestego wieku Adolf Hitler próbował oczyścić naszą pulę genów, mordując wszystkich Żydów.

Ponter lekko przekrzywił głowę, prawdopodobnie słuchając Haka, który przez implant ślimakowy przypominał mu, kim są Żydzi. Mary wyobraziła sobie, jak mały, inteligentny komputer mówi: „To ci łatwowierni, którzy uwierzyli w tę całą historię z Jezusem”.

– Dlaczego chciał to zrobić? – spytał Ponter.

– Ze zwykłej nienawiści do tego narodu. Nie rozumiesz? Pozwolenie, aby ktoś decydował o tym, kto żyje, a kto ma umrzeć, lub kto może się rozmnażać, a komu tego nie wolno, to zabawa w Boga.

– „Zabawa w Boga” – powtórzył Ponter z zainteresowaniem. – Oczywiście nam taki pomysł nie przyszedłby do głowy.

– Ale co z ryzykiem korupcji czy niesprawiedliwości...

Ponter rozłożył ręce.

– Przecież wy niektórych przestępców uśmiercacie.

– Nie. To znaczy Kanadyjczycy tego nie robią. Ale Amerykanie tak. W niektórych stanach kara śmierci jest dopuszczalna.

– No właśnie. Co więcej, słyszałem też, że niemałe znaczenie ma tu kwestia rasy. – Ponter spojrzał na Mary. – Różnorodność twojego gatunku jest intrygująca. Moi ludzie są przystosowani do życia na północy. Wszyscy żyjemy na tych samych szerokościach geograficznych. Być może dlatego wyglądamy podobnie. Czy u was ciemniejsza barwa skóry wiąże się z przystosowaniem do życia w strefach bliższych równikowi?

Mary przytaknęła.

– A niektórzy z was mają... jak nazywacie takie oczy, jakie ma Paul Kiriyaama?

Mary dopiero po chwili przypomniała sobie, kim jest Kiriyaama – doktorantem, który razem z Louise Benoit uratował Pontera przed utonięciem w zbiorniku ciężkiej wody w obserwatorium neutrin. Przez kolejną chwilę starała się domyślić, o co Ponterowi chodziło z tymi oczami.

– Masz na myśli skórę, która nachodzi częściowo na oczy u Azjatów? To fałdy przyoczne.

– Właśnie. Domyślam się, że chronią oczy przed jaskrawym światłem. U nas tę rolę pełni wał nadoczodołowy, więc nigdy nie wykształciliśmy takiej cechy.

Mary powoli pokiwała głową, bardziej do siebie niż do Pontera.

– W Internecie i w gazetach pojawiało się wiele spekulacji na temat tego, co się stało z innymi rasami neandertalczyków. Wiele osób przypuszcza, że ... no, że wskutek waszych praktyk czyszczenia puli genów po prostu wymazaliście ich materiał genetyczny.

– Nigdy nie było żadnych innych ras. W rejonach waszej Afryki i Ameryki Środkowej mamy wprawdzie stacje badawcze, w których przebywają naukowcy, ale w zasadzie poza nimi nikt tam nie mieszka. – Ponter rozłożył ręce. – A bez różnorodności ras nigdy nie pojawił się problem dyskryminacji rasowej. Za to u was jest on dość poważny. Pewne cechy, takie jak barwa skóry, korelują z prawdopodobieństwem egzekucji. Za poważne przestępstwa, czy tak?

– Ciemnoskórzy rzeczywiście częściej skazywani są na karę śmierci niż biali. – Mary wolała nie dodawać, że jest tak zwłaszcza wtedy, gdy chodzi o morderstwo białego człowieka.

– Brak takich podziałów sprawił być może, że pomysł sterylizacji jakiejś odrębnej części ludzkości nigdy u nas nie powstał.

Z naprzeciwka zbliżało się do nich dwóch górników. Otwarcie gapili się na Pontera, choć Mary przypuszczała, że widok kobiety w kopalni jest równie rzadki. Dopiero kiedy ich minęli, wróciła do rozmowy.

– Ale przecież nawet bez odrębnych ras na pewno pojawia się chęć faworyzowania tych, z którymi jesteśmy bliżej spokrewnieni. Mam na myśli zjawisko, które daje się zaobserwować w całym królestwie zwierząt. Nie sądzę, aby neandertalczyki byli tu wyjątkiem.

– Wyjątkiem? Raczej nie. Pamiętaj jednak, że u nas relacje rodzinne są bardziej, hm, powiedzmy, że bardziej złożone niż u was, a nawet niż u większości innych gatunków zwierząt. Mamy niekończące się łańcuchy rodzinne partnerów i partnerek, a dzięki temu, że Dwoje staje się Jednym tylko w określonych terminach, nie ma problemu z ustalaniem ojcostwa, na co twój gatunek poświęca sporo wysiłku. – Ponter przerwał i uśmiechnął się. – A skoro już mówimy o piernikach i wiatrakach, to moi ludzie uważają wasze egzekucje i wieloletnie więzienie za bardziej okrutne od naszej sterylizacji i nadzoru sądowego.

Mary dopiero po chwili przypomniała sobie, czym jest „nadzór sądowy” u neandertalczyków. Chodziło o śledzenie transmisji z czyjegoś Kompana, pozwalającej na bieżąco monitorować wszystko, co mówi i robi dana osoba.

– No nie wiem – powiedziała. – Jak już wcześniej mówiłam, pomimo zakazu mojej religii stosuję antykoncepcję. A zatem nie jestem moralnie przeciwna metodom zapobiegającym poczęciu. Jednak... uniemożliwienie niewinnym ludziom posiadania potomstwa uważam za krzywdzące.

– Czyli że potrafiłabyś zaakceptować sterylizację samego sprawcy, jako alternatywę dla egzekucji bądź więzienia, ale nie jego rodzeństwa, rodziców i dzieci?

– Być może. Sama nie wiem. Może w pewnych okolicznościach, gdyby skazany sam wybrał taki rodzaj kary...

Ponter zrobił wielkie oczy.

– Pozwoliłabyś winnemu decydować o tym, jaka kara ma to spotkać?

Mary poczuła nieprzyjemny dreszcz. Czy mówiąc „to”, Hak próbował tylko oddać znaczenie rodzajowo neutralnego zaimka osobowego, który istniał w języku Barastów, czy też Ponter celowo dehumanizował przestępcę?

– W wielu sytuacjach pozwoliłabym sprawcy wybrać karę spośród odpowiednich możliwości – powiedziała, przypominając sobie, jak ojciec Caldicott pozostawił jej wybór pokuty, kiedy po raz ostatni była u spowiedzi.

– Jednak w niektórych przypadkach tylko jedna kara jest odpowiednia. Na przykład gdy... – Ponter urwał.

– Gdy co? – spytała.

– Nie, nic.

Zmarszczyła brwi.

– Masz na myśli gwałt?

Długo milczał, wpatrując się w błotnisty chodnik. Początkowo Mary sądziła, że uraziła go, sugerując, iż mógłby okazać taki brak wrażliwości i wrócić do przykrego dla niej tematu. Ale jego następne słowa zdumiały ją.

– Prawdę mówiąc, nie chodziło mi o zbrodnię gwałtu w ogóle. – Spojrzał na nią, po czym znowu spuścił wzrok, śledząc plątaninę śladów butów podświetlanych snopem światła latarki na jego kasku. – Chodziło mi konkretnie o ciebie.

Poczuła, jak mocno wali jej serce.

– Jak to?

– Na moim świecie partnerzy nie mają przed sobą tajemnic, a ja...

– Tak?

Odwrócił się i spojrzał w kierunku, z którego przyszli, upewniając się, czy nikt nie nadchodzi.

– Jest coś, o czym ci nie powiedziałem... coś, o czym nie powiedziałem nikomu oprócz...

– Oprócz kogo? Adikora?

Pokręcił głową.

– Nie. Nie, on też nic o tym nie wie. Wyjawilem to tylko jednej osobie, mężczyźnie mojego gatunku, Jurardowi Selganowi.

Mary zmarszczyła czoło.

– Nie pamiętam, byś mi o nim wspominał.

– Bo tego nie zrobiłem. On jest... rzeźbiarzem osobowości.

– Kim?

– No... pracuje z tymi, którzy chcą odmienić... swój stan emocjonalny.

– Chcesz powiedzieć, że to psychiatra?

Ponter przechylił głowę, słuchając wyjaśnień Haka. Kompan prawdopodobnie wyszedł od etymologii wyrazu, którego użyła. Jak na

ironię, termin „psyche” był w języku neandertalczyków najbliższy znaczeniowo słowu „dusza”. W końcu Ponter skinął głową.

– Owszem, można uznać, że to podobny specjalista.

Mary poczuła, jak cała sztywnieje, ale się nie zatrzymała.

– Chodziłeś do psychiatrii? Z powodu mojego gwałtu? – A sądziła, że ją zrozumiał, do cholery. Wprawdzie wiedziała, że niektórzy mężczyźni *Homo sapiens* traktowali swoje żony inaczej po tym, jak zostały zgwałcone. Być może zastanawiali się, czy w jakimś stopniu nie była to wina kobiety, czy skrycie nie pragnęła ona, by...

Ale Ponter?

Przecież Ponter powinien zrozumieć!

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Latarki na kaskach oświetlały tunel przed nimi.

No tak, kiedy zaczęła się nad tym zastanawiać, uświadomiła sobie, że Ponter koniecznie chciał poznać wszystkie szczegóły sprawy. Na posterunku policji chwycił nawet plastikową torbę zawierającą dowody gwałtu na Qaiser Remtulli i rozpoznał zapach sprawcy. Okazało się, że był nim jeden z kolegów Mary, Cornelius Ruskin.

Zerknęła na Pontera i na wielki, niezgrabny cień, jaki rzucał na skalną ścianę.

– To nie była moja wina – powiedziała.

– Słucham? – zdziwił się. – Nie, no przecież wiem, że nie.

– Nie pragnęłam tego. Nie prosiłam się o to.

– Tak, rozumiem.

– W takim razie dlaczego spotykasz się z tym... „rzeźbiarzem osobowości”?

– Już się z nim nie spotykam. Po prostu...

Umilkł. Mary spojrzała na niego. Przekrzywił głowę, słuchając czegoś, co mówił Hak. Po chwili niemal niezauważalnie przytaknął. Ten sygnał przeznaczony był dla Kompana, nie dla niej.

– Po prostu co? – spytała.

– Nic. Żałuję, że poruszyłem ten temat.

„Ja też” – pomyślała Mary, brnąc dalej w mrok.

ROZDZIAŁ 11



Właśnie dzięki tej pogoni za przygodę wikingowie dotarli do Ameryki Północnej przed tysiącem lat, a pięć wieków temu Nina, Pinta i Santa Maria przepłynęły przez Atlantyck...

Wreszcie dotarli do obserwatorium neutron. Przeszli przez ogromny obiekt – pełen rur i potężnych zbiorników – prosto do sterowni. Była pusta. Pojawienie się Pontera w zbiorniku ciężkiej wody zniszczyło detektor, a plany naprawy na razie wstrzymano z powodu ponownego otwarcia portalu.

Weszli do pomieszczenia nad komorą detektora, przedostali się przez właz i – ten etap budził w Mary największy lęk – zeszli po długiej drabinie na platformę znajdującą się sześć metrów nad podłożem. Zbudowano ją przy wylocie odpornej na zmiążdżenie rury Derkersa, którą wprowadzono w portal od neandertalskiej strony.

Mary stanęła na jej krawędzi i zajrzała do środka. Wewnątrz widziała dwukrotnie dłuższy odcinek tunelu, a po drugiej stronie majaczyły żółte ściany komory komputera kwantowego na świetle Pontera.

Oficer kanadyjskiej straży granicznej wziął od nich paszporty – Ponter otrzymał taki dokument, kiedy oficjalnie został uznany za obywatela Kanady.

Przepuścił Mary przodem. Na jej świetle nauczył się odrobiny galanterii.

Odetchnęła głęboko i ruszyła. Tunel miał szesnaście metrów długości i sześć szerokości. Przez przejrzystą ścianę dostrzegła w jego połowie pierścień nierównego niebieskiego światła. Widziała też cienie rzucone przez krzyżujące się metalowe elementy zapadkowego systemu Derkera, dzięki któremu tunel pozostawał otwarty. Jeszcze jeden oddech i przeszła zaznaczony niebieskim blaskiem próg nieciągłości. Miała wrażenie, jakby prąd przesunął się po jej skórze.

I już była tam – na neandertalskim świecie.

Obróciła się i patrzyła, jak Ponter idzie w jej stronę. Jego blond czupryna nastroszyła się, gdy przechodził przez błękitny pierścień. Tak jak większość neandertalczyków, miał naturalny przedziałek pośrodku wydłużonej czaszki.

Kiedy minął próg światła, Mary ponownie się odwróciła i opuściła tunel.

Byli na świecie, który 40 tysięcy lat wcześniej oddzielił się od jej własnego. Znajdowali się w komorze komputera kwantowego, której fragment widziała z drugiej strony. Obszerne pomieszczenie wypełniała regularna siatka cylindrycznych rejestrów. Komputer został zaprojektowany przez Adikora Hulda do obsługi oprogramowania Pontera Boddita i miał za zadanie rozkładać na czynniki pierwsze ogromne liczby, jakich dotychczas nie poddawano takim operacjom. Przejście do alternatywnego świata odkryto zupełnie przypadkowo.

– Ponter! – rozległ się niski głos.

Mary podniosła głowę. Adikor – partner Pontera – zbiegł po pięciu stopniach ze sterowni do komory komputera.

– Adikor! – ucieszył się Ponter. Podbiegł do przyjaciela i objął go mocno. Obaj polizali się nawzajem po twarzach.

Mary odwróciła wzrok. Oczywiście w normalnych okolicznościach – o ile o takich można było mówić w odniesieniu do jej pobytu na tym świecie

– rzadko widywałyby Pontera i Adikora razem. Gdy Dwoje stawało się Jednym, Adikor spędzał czas ze swoją partnerką i synem.

Ale teraz Dwoje nie było Jednym i Ponter powinien towarzyszyć przyjacielowi.

Po kilku chwilach mężczyźni oderwali się od siebie, a Ponter odwrócił się do Mary.

– Adikorze, pamiętasz Mare.

– Oczywiście. – Trzydziestocentymetrowy uśmiech Adikora wydawał się jak najbardziej szczery. Mary próbowała go odwzajemnić przynajmniej w autentyczności, bo na pewno nie w rozmiarze.

– Witaj, Adikorze – powiedziała.

– Mare! Jak dobrze znowu cię widzieć!

– Ciebie też.

– Co cię tu sprowadza? Przecież Dwoje jeszcze nie jest Jednym.

No i proszę. Od razu jej to wytknął.

– Wiem – odparła. – Tym razem przyjechałam na dłużej, żeby lepiej poznać neandertalską genetykę.

– Aha. W takim razie Lurt będzie mogła ci pomóc.

Mary nieznacznie przekrzywiła głowę. Oczywiście nie miała własnego Kompana; zastanawiała się tylko, czy Adikor kierował się szczerą życzliwością, czy też chciał jej uzmysłwić, że aby skorzystać z pomocy neandertalskiej kobiety, będzie musiała zostać w Centrum Saldak, z dala od niego i Pontera.

– Tak, wiem. Już się nie mogę doczekać, kiedy będziemy mogli znowu porozmawiać.

Ponter spojrzał na partnera.

– Zabiorę Mare na chwilę do naszego domu i załatwię jej kilka rzeczy, których będzie tutaj potrzebowała. Potem zorganizuję dla niej transport do

Centrum.

– W porządku – odparł Adikor. Zerknął na Mary, po czym przeniósł wzrok na Pontera. – Rozumiem, że dziś wieczorem jemy tylko we dwóch?

– Oczywiście – powiedział Ponter. – Oczywiście.

Mary powoli wyzbywała się skrępowania nagością na tym świecie, gdzie nigdy nie powstała żadna religia narzucająca takie tabu. Rozebrała się i przeszła procedurę laserowej dekontaminacji. Precyzyjne promienie przeniknęły przez jej organizm, niszcząc wszelkie obce molekuły. Podobne urządzenia zaczęto już budować na jej Ziemi, aby z ich pomocą zwalczać wiele różnych infekcji. Niestety, ponieważ nowotwory wywodziły się z prawidłowych tkanek ustroju, metodą tą nie dało się leczyć żadnej formy raka, także białaczki, która dwa lata wcześniej zabrała żonę Pontera, Klast.

Nie, nie „zabrała”. To Gliksini użyliby takiego eufemizmu, sugerującego, że Klast dokądś odeszła. Ponter powiedziałby po prostu, że przestała istnieć.

Poza tym nie była jego „żoną”, tylko *yat-dija* – dosłownie: „kobietą partnerką”. Na neandertalskim świecie Mary bardzo się starała myśleć neandertalskimi kategoriami; dzięki temu łatwiej radziła sobie z różnicami.

Punkty promieni laserowych tańczyły na jej skórze aż do chwili, gdy kwadratowa lampka nad drzwiami zmieniła kolor, sygnalizując, że Mary może opuścić kabinę. Na zewnątrz zaczęła wkładać neandertalski strój, a Ponter rozpoczął dekontaminację. Gdy za pierwszym razem trafił na Ziemię Mary, zachorował na końską odmianę nosówki. Gatunek *Homo sapiens* był na to odporny, ale *Homo neanderthalensis* nie. Procedura odkażania uniemożliwiała przeniesienie bakterii *Streptococcus equii* oraz wszelkich innych drobnoustrojów i wirusów na drugi świat. Każdy, kto przechodził przez portal, musiał się jej poddać.

Nikt z własnego wyboru nie zamieszkałby w dzielnicy Corneliusa Ruskina. Okolice Driftwood nie należały do przyjemnych. Nie brakowało tu przestępców oraz narkotyków. Jedynym plusem było to, że dało się stąd pieszo dojść na uniwersytet.

Cornelius zjechał windą czternaście pięter w dół do niechlujnego holu budynku. Mimo wszystko czuł swego rodzaju sympatię – nie, to za dużo powiedziane – może raczej pewną wdzięczność wobec tego miejsca. W końcu mieszkając tu, nie Potrzebował samochodu ani autocasco. Nie musiał też wykupywać miejsca na uniwersyteckim parkingu, a poza tym mógł zaoszczędzić co miesiąc 93 i pół dolara, bo tyle kosztował w Toronto miesięczny bilet na metro.

Dzień był piękny. Niebo bezchmurne i błękitne. Cornelius miał na sobie brązową zamszową kurtkę. Po drodze minął zakratowane okna niewielkiego sklepu spożywczego, w którym znajdował się ogromny stojak z magazynami pornograficznymi i trochę zakurzonych konserw. Cornelius zwykle kupował tu papierosy; na szczęście miał jeszcze w zapasie pół kartonu *du mauriersów*.

Po chwili znalazł się na terenie campusu. Przeszedł obok jednego z wysokich akademików. Wielu kręcących się wokół studentów wciąż jeszcze nosiło koszulki z krótkim rękawem, ale niektórzy włożyli już cieplejsze bluzy.

Przyszło mu do głowy, że mógłby załatwić sobie suplementy testosteronu na uniwersytecie. Wystarczyło wymyślić jakiś specjalny projekt z genetyki, do którego potrzebny byłby ten hormon. Może to zmotywowałoby go do powrotu na dawną posadę, ale...

Ale Cornelius już nie był tym samym człowiekiem. Przed wszystkim przestały go nękać koszmarne sny. Ostatnio spał jak kamień. Nie

przewracał się godzinami w łóżku, wściekając się z powodu wszystkiego, co w jego życiu poszło nie tak. Nie dręczyły go już prztyczki od losu i nie złościł się, że nikogo nie ma. Wystarczyło, że przyłożył głowę do poduszki, i zaraz zapadał w sen. Przesypiał całą noc, a rano budził się wypoczęty.

Owszem, przez jakiś czas w ogóle nie miał ochoty wstawać z łóżka, ale ten etap już minął. Czuł – nie energię i nie gotowość do codziennej walki o przetrwanie, tylko coś, czego nie pamiętał od lat, od wakacji z czasów dzieciństwa, kiedy mógł zapomnieć o szkole, klasowych łobuzach i codziennych bójkach, w których zawsze obrywał.

Czuł spokój.

– Dzień dobry, doktorze Ruskin – rozległ się wesoły męski głos.

Cornelius się odwrócił. Właśnie mijał go jeden ze studentów eukariotyki. Miał na imię John, Jim... lub jakoś tak podobnie. Kiedyś chłopak wspomniał, że w przyszłości chciałby wykładać genetykę. Cornelius miał ochotę poradzić biednemu głupcowi, żeby lepiej od razu zrezygnował. Na uniwersytetach nie było teraz porządných posad dla białych mężczyzn. Zamiast tego wysilił się na uśmiech.

– Witam – odparł.

– Dobrze, że pan wrócił! – zawołał student i popędził dalej.

Po jednej stronie chodnika rosła trawa, po drugiej znajdował się parking. Oczywiście Cornelius wiedział, dokąd zmierza – na wydział nauk przyrodniczych, do budynku Farquahrsna. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak zabawnie brzmi to nazwisko. Przypomniała mu się postać Charliego Farquahrsna, którą Don Harron z Toronto od lat grał w słuchowiskach radiowych na antenie CFRB oraz w amerykańskim serialu telewizyjnym *Hee Haw*.

Pokręcił głową. Dawniej, kiedy zbliżał się do tego budynku, był za bardzo... za bardzo... Takie niefrasobliwe myśli nie miały szans wydostać

się na powierzchnię.

Szedł jak automat, tą samą drogą co zawsze. Nagle zdał sobie sprawę, że dotarł do...

Właściwie to miejsce nie miało oficjalnej nazwy. Sam też nie nadał mu nigdy żadnej na własny użytek. Dwie ściany zbiegały się tu pod kątem prostym za zasłoną dużych drzew i z dala od latarni. To był ten punkt, to miejsce, w którym przyparł do muru dwie kobiety. Właśnie tu pokazał Qaiser Remtulli, kto naprawdę był górą. I tutaj bezlitośnie wdarł się w Mary Vaughan.

Wcześniej przychodził tu, kiedy chciał się pewniej poczuć i przypomnieć sobie, że przynajmniej przez jakiś czas to on miał przewagę. Często sam widok tych ścian wywoływał u niego wściekłą erekcję, ale tym razem nie doczekał się żadnej reakcji.

Mury pokrywało graffiti. Cornelius wybrał to miejsce z tych samych powodów, dla których upodobali je sobie grafficiarze i kochankowie próbujący upamiętnić swoje młodzińcze uczucie, tak jak on i...

Już dawno tamto zamazał, ale kiedyś, całe wieki temu, widniały tu inicjały jego i Melody, otoczone sercem.

Odpędził tę myśl, raz jeszcze spojrzął na dwie ściany i odwrócił się do nich plecami.

Pomyślał, że dzień jest zbyt piękny, aby iść do pracy. Gdy zawrócił w stronę domu, pogoda wydała mu się jeszcze bardziej słoneczna.

ROZDZIAŁ 12



To ta żądza przygód uniosła na skrzydłach Orville'a i Wilbura Wrighta, Amelię Earhart i Chucka Yeagera...

Kiedy wyszli z budynku kopalni Debral, Mary ze zdumieniem stwierdziła, że jest ciemno, choć do wieczora było jeszcze daleko. Spojrzała w górę i zaparło jej dech w piersiach.

– Mój Boże. Nigdy nie widziałam tylu ptaków! – Ogromna ich chmura dosłownie przesłaniała słońce. Wiele odzywało się w locie charakterystycznym *kek-kek-kek*.

– Naprawdę? – zdziwił się Ponter. – U nas to dość pospolity gatunek.

– To widać! – Mary wciąż zadzierała głowę do góry. – Chryste! – wykrzyknęła, gdy zauważyła rdzawoczerwone brzuszki i niebieskoszare główki. – To gołębie wędrowne!

– Jak to wędrowne, przecież fruwią.

– Nie, nie o to mi chodzi. Tak nazywamy te ptaki u nas. Ich łacińska nazwa to *Ectopistes migratorius*. Sporo o nich wiem, bo pracowałam nad pozyskaniem ich DNA.

– Kiedy pierwszy raz trafiłem na twój świat, zwróciłem uwagę na ich brak. U was wyginęły?

– Tak.

– Z winy Gliksinów?

– Tak. Zbyt chętnie na nie polowano – powiedziała Mary, wzruszając ramionami.

Ponter pokręcił głową.

– Nic dziwnego, że musieliście rozwinąć to wasze rolnictwo. My nazywamy te ptaki – Hak, proszę, nie tłumacz następnego słowa – *quidrat*. Są przepyszne i często je jadamy.

– Naprawdę?

Ponter kiwnął głową.

– Tak. Na pewno będziesz miała okazję ich spróbować.

Jak tylko Hak odzyskał łączność z planetarną siecią informacyjną, Ponter polecił mu wezwać sześcian podróżny. Wehikuł właśnie ku nim sunął. Miał wielkość samochodu osobowego. Poruszał się dzięki dużym wentylatorom zamontowanym pod spodem i z tyłu oraz trzem mniejszym, wspomagającym sterowanie pojazdem. Sześcian był w większości przezroczysty i mieścił cztery siodłowe siedziska, z których jedno zajmował kierowca, szczupły mężczyzna z pokolenia 146.

Wehikuł zwolnił, a następnie osiadł na ziemi. Jeden z jego boków odsunął się do góry, wpuszczając pasażerów do środka. Ponter wsiadł jako pierwszy i zajął jedno z tylnych miejsc. Mary usiadła obok niego. Poznawszy cel podróży, kierowca wystartował. Mary przyglądała się, jak mężczyzna operuje dźwigniami, obracając sześcian i ruszając w kierunku domu Pontera.

Zanim opuściła budynek windy, założyła na rękę tymczasowego Kompana. Wszyscy Gliksini, odwiedzający neandertalski świat, musieli nosić tego typu urządzenia, które wszystko rejestrowały i transmitowały informacje do archiwów alibi. Tylko że od tego piekielnego paska swędziała ją skóra. Wsunęła długopis pod mocowanie i zaczęła się drapać.

– Czy stałe aparaty też są tak uciążliwe? – spytała, spoglądając na Pontera.

– Ja zupełnie nie jestem świadomy fizycznej obecności Haka – przyznał.

– A skoro o tym mowa...

– Tak?

– Prowizoryczne Kompany działają tylko przez dwadzieścia dni, ponieważ źródłem ich zasilania są baterie, a nie procesy zachodzące w ludzkim organizmie. Oczywiście biorąc pod uwagę to, kim jesteś, na pewno bez trudu załatwimy ci nowy.

Uśmiechnęła się. Nie mogła się przyzwycząić do tego, że traktowano ją wyjątkowo, ponieważ nazywała się Mary Vaughan.

– Nie. Chyba powinnam mieć stałego Kompana.

Ponter uśmiechnął się szeroko.

– Cieszę się, że tak mówisz – powiedział. – Ale chyba zdajesz sobie sprawę, co oznacza założenie stałego implantu? Usunięcie go jest bardzo trudne i może w dużym stopniu uszkodzić mięśnie oraz nerwy przedramienia – dodał dla pewności.

Skinęła głową.

– Rozumiem, ale wiem też, że jeśli nie dam sobie wszczepić stałego Kompana, zawsze będę tutaj outsiderem.

– Dziękuję ci – powiedział ciepło. – Jaki chciałabyś mieć?

Już od dłuższej chwili przyglądała się wspaniałym krajobrazom – starym lasom i skałom.

– Jak to jaki?

– No bo możesz dostać standardowego Kompana albo – Ponter podniósł lewą rękę, obracając ją wewnętrzną stroną do Mary – możesz wybrać takiego jak mój, z modułem sztucznej inteligencji.

Zmarszczyła brwi.

– Nie zastanawiałam się nad tym.

– Niewielu ludzi ma inteligentne Kompany. Przypuszczam jednak, że już niedługo staną się dość powszechne. Tobie z pewnością przyda się możliwość analizy danych, jaką mają bardziej zaawansowane urządzenia. Przede wszystkim będziesz tego potrzebowała do symultanicznych tłumaczeń. Ale pozostałe funkcje możesz wybrać sama.

Spojrzała na Kompana Pontera. Z zewnątrz wyglądał tak samo jak dziesiątki innych implantów, jakie dotychczas widziała. Poza, oczywiście, złotym Kompanem Lonwisa Troba. Miała Jednak świadomość, że w środku znajduje się Hak.

– Jakie to uczucie mieć inteligentnego Kompana? – spytała.

– Można wytrzymać – odezwał się Hak własnym głosem. – Zdążyłem się już przyzwyczaić do tego wielkoluda.

Mary się roześmiała. Żart Haka rozśmieszył ją, ale i zaskoczył.

Ponter przewrócił oczami. Myny tej nauczył się od Mary.

– Często jest właśnie tak – stwierdził.

– Nie wiem, czy potrafiłabym się przyzwyczaić do tego, że przez cały czas ktoś byłby ze mną. – Zmarszczyła czoło. – Czy Hak jest naprawdę... świadomy?

– Jak to?

– Wiem, że nie wierzysz w dusze. Traktujesz swój umysł jako całkowicie przewidywalne oprogramowanie działające w maszynie twojego mózgu. Ale... jak to powiedzieć... czy Hak naprawdę myśli? Ma samoświadomość?

– Interesujące pytanie. Hak, co ty na to?

– Jestem świadomy własnego istnienia.

Mary nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Ale... ale, sama nie wiem... A co z pragnieniami i dążeniami?

– Chcę służyć Ponterowi.

– I to wszystko?

– Tak, to wszystko.

„Rany” – pomyślała Mary – „Colm powinien się ożenić z takim urządzeniem.”

– A co się stanie... wybacz, Ponterze... ale co się stanie z tobą, Hak, gdy Ponter umrze?

– Czerpię moc z biochemicznych i biomechanicznych procesów organizmu Pontera. W ciągu kilku decym od jego śmierci przestanę funkcjonować.

– I nie martwi cię to?

– Bez Pontera moja egzystencja nie miałaby już celu. Nie, nie martwi mnie to.

– Posiadanie inteligentnego Kompana jest bardzo przydatne – wtrącił Ponter. – Wątpię, czy bez pomocy Haka zachowałbym zdrowe zmysły podczas pierwszego pobytu na twojej Ziemi.

– Sama nie wiem – przyznała Mary. – Takie rozwiązanie trochę mnie przeraża... Nie gniewaj się, Hak. A można unowocześnić urządzenie później? No wiesz, zacząć od podstawowego, a dopiero po jakimś czasie dodać sztuczną inteligencję?

– Oczywiście. Mój Kompan na początku nie posiadał modułu AI.

– Może powinnam tak właśnie zrobić? Tylko że... – Przecież chciała znaleźć na tym świecie swoje miejsce. Bardzo przydałby się jej Kompan, który mógłby doradzać i wyjaśniać różne sprawy. – Nie, pójdę od razu na całość.

– Nie rozumiem – zdziwił się Ponter.

– Pójdę na całość. Zdecyduję się na Kompana, który myśli, tak jak Hak.

– Nie pożałujesz. – Ponter spojrzał na nią, uśmiechając się z dumą. – Wprawdzie nie ty pierwsza z Gliksinów trafiłaś na nasz świat. – Rzeczywiście, to wyróżnienie spotkało przedstawicielkę centrum epidemiologicznego z Ottawy lub pracownicę podobnego ośrodka w Atlancie. Mary nie miała pojęcia, która z nich pierwsza przeszła na drugą Ziemię. – Za to jako pierwsza będziesz miała stałego Kompana... Jako pierwsza staniesz się jedną z nas.

Mary spojrzała przez przezroczysty bok sześcianu na cudowny jesienny krajobraz.

I uśmiechnęła się.

Kierowca wysadził ich przy domu Pontera i Adikora, na szeregu płaskich paneli solarnych, które pełniły jednocześnie rolę lądowiska. Budynek powstał w systemie arborykonstrukcji. Jego centralną część stanowił wydrążony pień potężnego drzewa liściastego. Mary już raz tu była, ale teraz, kiedy wszystkie liście zmieniły barwę, dom wyglądał przepięknie. Wewnątrz, wzdłuż ścian, biegły żebra, w których dzięki chemicznym reakcjom powstawało chłodne, zielonkawobiałe światło.

Suka Pontera, Pabo, wybiegła im naprzeciw. Mary przywykła już do jej wilczego wyglądu. Pochyliła się i podrapała zwierzę za uchem.

– Szkoda, że nie mogę tutaj zostać – powiedziała, rozglądając się po okrągłym głównym pomieszczeniu.

Ponter objął ją. Przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na ramieniu. No cóż, cztery dni w miesiącu z Ponterem to i tak lepiej niż codzienność z Colmem.

Za każdym razem, gdy myślała o Colmie, przypominała sobie, co powiedział podczas ostatniego spotkania. Wcześniej nie zaprzętała sobie tym głowy, dopóki on nie wspomniał o tym wprost.

– Ponterze – odezwała się cicho, czując, jak jego pierś z każdym oddechem unosi się i opada.

– Tak, kobieto, którą kocham?

– W następnym roku ma zostać poczęta nowa generacja – powiedziała, starając się mówić jak najzwyczajszym tonem.

Ponter wypuścił ją z objęć i powoli uniósł brew.

– *Ka*.

– Czy my też powinniśmy wtedy pomyśleć o dziecku?

Zrobił wielkie oczy.

– Nie sądziłem, że możemy brać pod uwagę taką ewentualność – przyznał w końcu.

– Masz na myśli różną liczbę chromosomów? No tak, to na pewno byłoby przeszkodą, ale przypuszczam, że udałoby się ją jakoś obejść. Poza tym Jock przysłał mnie tutaj właśnie po to, abym poznała neandertalskie osiągnięcia w dziedzinie genetyki. Przy okazji mogłabym poszukać sposobu połączenia naszego DNA.

– Naprawdę?

Skinęła głową.

– Oczywiście zapłodnienie musiałyby nastąpić *in vitro*.

Hak zapiszczał.

– W probówce. Poza moim organizmem – wyjaśniła.

– Aha. Dziwię się, że twój system wierzeń popiera taki pro ces, skoro w sferze prokreacji obowiązuje tak wiele zakazów.

Mary wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, Kościół katolicki jest przeciwny sztucznemu zapłodnieniu. Ale ja chciałabym mieć dziecko. Twoje dziecko. Nie widzę nic złego w tym, by odrobinę pomóc naturze. – Spuściła wzrok. – Wiem jednak, że ty masz już dwie córki. Może więc nie chcesz więcej być ojcem?

– Ojcem będę już zawsze, do dnia mojej śmierci. – Mary podniosła głowę i z ulgą zobaczyła, że Ponter patrzy prosto na nią. – Nie zastanawiałem się nad kolejnym dzieckiem, ale...

Miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo pragnie, aby Ponter się zgodził.

– Ale co?

Wzruszył potężnymi ramionami. Uniosły się powoli, ciężko, tak jakby dźwigał na nich ciężar świata.

– My wierzymy w zerowy przyrost naturalny. Klast i ja spłodziliśmy już dwoje dzieci. To one są naszymi następcami.

– Ale Adikor i Lurt mają tylko jedno – zauważyła.

– Owszem, Daba. Lecz może za rok postarają się o następne.

– Mają taki zamiar? Rozmawialiście o tym? – Mary z niechęcią zauważyła nutę desperacji, która wkradła się w jej ton.

– Nie, nie poruszaliśmy takiego tematu. Mógłbym spytać o to Adikora, ale nawet gdyby nie zamierzali się starać o drugie dziecko, to Rada Siwych...

– Do diabła, Ponterze, mam dość tej Rady Siwych! Mam dość wszystkich zasad i reguł! Mam dość tej bandy starców kontrolujących twoje życie.

Spojrzał na nią, unosząc ze zdziwieniem brew.

– Przecież wiesz, że pełnią tę rolę, ponieważ zostali do niej wybrani. Zasady, których przestrzegania pilnują, zostały uchwalone przez mój lud.

Odetchnęła głęboko.

– Wiem. Przepraszam cię. Chodzi o to, że... że decyzja, by mieć dziecko, nie powinna obchodzić nikogo prócz nas dwojga.

– Masz rację – przyznał Ponter. – Na moim świecie niektórzy mają więcej niż dwoje dzieci. Czasem na świat przychodzą bliźnięta. Mój

najbliższy sąsiad ma dwóch synów, bliźniaków. Często też jest tak, że kobieta zachodzi w ciążę trzy razy: pierwszy raz, gdy ma dziewiętnaście lat, drugi mając dwadzieścia dziewięć i czasami trzeci, gdy ma trzydzieści dziewięć.

– Ja mam trzydzieści dziewięć lat. Dlaczego nie możemy spróbować?

– Niektórzy uznaliby, że takie manipulacje są sprzeczne z naturą.

Mary rozejrzała się wokół. Podeszła do jednej z kanap wyrastających ze ściany, usiadła i poklepała dłonią miejsce obok siebie, zapraszając Pontera, by do niej dołączył.

– Tam, skąd pochodzę – zaczęła mówić, gdy usiadł przy niej – są tacy, którzy uważają, że dwaj mężczyźni, których łączą intymne relacje... hm, jak to nazwała Louise, kiedy byliśmy u Reubena?... „czułe dotykane narządów płciowych”? Otóż są tacy, według których takie zachowanie jest sprzeczne z naturą, tak w przypadku mężczyzn, jak i kobiet. Ale oni nie mają racji. Nie wiem, czy powiedziałabym to z takim samym przekonaniem, zanim po raz pierwszy odwiedziłam twój świat, ale teraz wiem to na pewno. – Pokiwała głową w takim samym stopniu do siebie, jak do Pontera. – Świat... każdy świat... jest lepszy, jeśli mieszkający na nim ludzie darzą się miłością i troszczą się o siebie nawzajem. Jeżeli są dorośli, świadomi swoich czynów i nikogo nie krzywdzą, to ich wybory są wyłącznie ich prywatną sprawą. Mężczyzna i kobieta, dwóch mężczyzn czy dwie kobiety – to wszystko jest naturalne, pod warunkiem, że osoby te się kochają. Związek gliksieńskiej kobiety i Barasta też jest naturalny, jeśli łączy ich miłość.

– A nas łączy. – Ponter ujął drobne dłonie Mary w swoje wielkie ręce. – Mimo to znajdą się ludzie na twoim i na moim świecie, którzy będą przeciwni temu, byśmy mieli dziecko.

Mary ze smutkiem skinęła głową.

– Wiem o tym. – Westchnęła z żalem, wypuszczając z płuc całe powietrze. – Wiesz, że Reuben jest czarny.

– Powiedziałbym, że raczej lekko brązowy – zauważył Ponter z uśmiechem. – Ma całkiem ładny odcień skóry.

Mary nie była w nastroju do żartów.

– A Louise jest biała. Na moim świecie wciąż są ludzie, którzy sprzeciwiają się związkowi czarnego mężczyzny z białą kobietą. Ale się mylą! Bardzo się mylą! Podobnie jak ci, którzy być może są przeciwni temu, byśmy my byli razem albo mieli ze sobą dziecko. Oni też są w błędzie.

– Zgadzam się, oczywiście, ale...

– Ale co? Nic nie może się stać lepszym symbolem synergii obu światów – i miłości, która nas połączyła – niż nasze dziecko.

Ponter spojrział w oczy Mary. W jego złotych tęczówkach tańczyły iskierki.

– Masz rację, kochana. Masz absolutną rację.

ROZDZIAŁ 13



To właśnie ta pogoń za przygodę sprawiła, że odważni mężczyźni i kobiety, tacy jak Jurij Gagarin, Walentyna Tierieszkowa i John Glenn na słupach ognia wzniesli się na orbitę okołoziemską...

Co tydzień Jock Krieger robił przegląd wiadomości na temat neandertalczyków, jakie pojawiały się w mediach. Synergia prenumerowała sto czterdzieści pism oraz regularnie otrzymywała informacje gromadzone przez prasę, radio i telewizję. Partia materiałów, którą właśnie analizował, zawierała między innymi wstępną wersję wywiadu z Lonwisem Trobem, jaki miał się ukazać w „Popular Mechanics”, pięcioczęściową serię z „San Francisco Chronicle” na temat wpływu neandertalskiej technologii na przyszłość przedsiębiorstw w Dolinie Krzemowej, wystąpienie sprintera Jalska Lalpluna w programie stacji ABC *Wide World of Sports*, artykuł z „Minneapolis Star Tribune” proponujący przyznanie Tukanie Prat pokojowej nagrody Nobla za znalezienie sposobu na podtrzymanie kontaktu między światami, specjalny materiał CNN, w którym Craig Ventner rozmawiał z Borl Kadas, kobietą kierującą neandertalskim projektem poznania ludzkiego genomu, dokument z NHK [Nippon Hoso Kyo kai – japoński publiczny nadawca radiowo-telewizyjny.] na temat prawd i mitów o neandertalczykach, DVD *Walka o ogień* z komentarzem neandertalskiego paleo-antropologa oraz nowe studium departamentu

obrony, dotyczące kwestii bezpieczeństwa związanych z międzywymiarowymi portalami.

Louise Benoit w tym samym celu zeszła do dawnego salonu rezydencji zajmowanej obecnie przez grupę Synergia. Czytała właśnie artykuł w „New Scientist”, którego autor zastanawiał się, dlaczego neandertalczyki udomowili psy, skoro sami mieli zmysł powonienia równie dobry jak te zwierzęta i nie potrzebowali ich do polowań. Przerwała, słysząc głośne prychnięcie Jocka.

– O co chodzi? – spytała, zerkając na niego znad magazynu.

– Mam już tego dość. – Wskazał stertę tygodników, wycinków z gazet, taśm audio i nagrań wideo. – „Neandertalczyki są bardziej pokojowym gatunkiem niż my”. „Neandertalczyki są bardziej niż my wyczuleni na problemy środowiska”. „Neandertalczyki są bardziej od nas oświeceni”. Dlaczego tak jest, do cholery?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – spytała Louise z uśmiechem. Chwilę szperała w stosie pism, po czym wyciągnęła najnowszy numer „Mcleans”.

– Czytałeś główny artykuł w tym tygodniku?

– Jeszcze nie.

– Jest tu mowa o tym, że neandertalczyki są jak Kanadyjczycy, a Gliksini jak Amerykanie.

– I co to do diabła znaczy?

– Autor twierdzi, że neandertalczyki wierzą we wszystko, co liczy się także dla Kanady: socjalizm, pacyfizm, działanie na rzecz środowiska, humanizm.

– To chyba przesada.

– Och, nie mów, że się z tym nie zgadzasz. – W tonie Louise pojawiła się żartobliwa nutka. – Sama słyszałam, jak w rozmowie z Kevinem

przyznał rację Patowi Buchananowi, który nazwał mój kraj „Sowieckim Kanadystanem”.

– Kanadyjczycy też są Gliksinami, droga doktor Benoit.

– Nie wszyscy – droczyła się dalej Louise. – Przecież Ponter Boddit również jest obywatelem Kanady.

– Raczej wątpię, aby to był powód, dla którego prasa tak dobrze o nich pisze. Wszystko przez to, że dziennikarze sprzyjają lewicy.

– Nie sądzę. – Louise odłożyła magazyn. – Prawdziwym powodem, dla którego neandertalczyki wypadają w porównaniu z nami lepiej, jest to, że mają większe mózgi. Czaszka neandertalczyka ma o dziesięć procent większą pojemność niż nasza. Nam ledwie starcza szarych komórek, aby przebić się przez pierwszy etap pracy nad jakąś ideą: jeśli stworzymy lepszy oszczep, zabijemy więcej zwierząt. Jednak nie stać nas już na wysiłek, aby wybiec myślą do etapu drugiego: jeśli zabijemy zbyt wiele zwierząt, nic nie zostanie i umrzemy z głodu. Tymczasem wygląda na to, że neandertalczyki od samego początku myśleli perspektywicznie.

– To jak zdołaliśmy pokonać ich na naszej Ziemi?

– Przecież to u naszego gatunku, a nie u nich, pojawiła się świadomość – prawdziwa rozumność. Pamiętasz moją teorię? Wszechświat uległ rozszczepieniu w momencie narodzin tej świadomości. W jednej wersji zyskaliśmy ją my i tylko my, a w drugiej oni i tylko oni. Chyba nie powinno nikogo dziwić, że niezależnie od wielkości mózgu czy tężyzny fizycznej to właśnie świadome istoty zyskały przewagę – każda w swojej linii czasowej? Teraz jednak porównujemy świadome istoty o mózgu o objętości 1400 centymetrów sześciennych z tymi, które mają mózgi wielkości 1500 centymetrów sześciennych. – Uśmiechnęła się. – Od lat czekaliśmy na pojawienie się wielkogłowych kosmitów, no i proszę. Tyle że ci nie przybyli z Alfa Centauri, tylko z sąsiedztwa.

Jock zmarszczył brwi.

– Większy mózg nie musi oznaczać większej inteligencji.

– Rzeczywiście, niekoniecznie. Lecz przeciętnie *Homo sapiens* mają iloraz inteligencji równy 100. Do tego IQ rozkłada się według tak zwanej krzywej dzwonowej: na każdego osobnika z ilorazem 130 przypada jeden, którego iloraz wynosi 70. A założmy, że u nich przeciętne IQ wynosiło 110 – nawet przed czystką w puli genów. Może stąd właśnie taka różnica między nami.

– Wspomniałaś coś o krzywej dzwonowej. Czytałem o tym książkę i...

– I była pełna bzdur. Iloraz inteligencji nie zależy od rasy, poza przypadkami, gdy czynnikiem jest niedożywienie. Poznałem mojego partnera, Reubena Montego. Z zawodu jest lekarzem i jest ciemnoskóry. Gdyby autorzy *The Bell Curve* mieli rację, to Reuben byłby niesłychaną rzadkością, ale przecież nie jest. Dawniej różnice brały się z barier ekonomicznych lub społecznych, utrudniających czarnej ludności edukację na wyższych szczeblach. Nie wynikało to z jakiejś wrodzonej niższości.

– I twierdzisz, że jesteśmy z natury gorsi od neandertalczyków?

Louise wzruszyła ramionami.

– Na pewno ustępujemy im pod względem fizycznym. Dlaczego tak trudno jest nam zaakceptować to, że podobnie jest w sferze umysłowej?

Jock skrzywił się ze wstrętem.

– Skoro tak na to patrzysz... – Pokręcił głową. – Nie podoba mi się to. Kiedy byłem w RAND, mieliśmy za zadanie przechytryć wrogów, którzy dorównywali nam pod względem intelektualnym. Czasem mieli jakąś przewagę militarną, a czasem to my byliśmy górą w tej sferze, ale nie było mowy o tym, by któraś ze stron była z natury bardziej inteligentna od drugiej. Tymczasem teraz...

– Ale przecież my nie próbujemy przechytryć neandertalczyków – zauważyła Louise, po czym uniosła brwi. – Prawda?

– Co? Aa, nie, nie. Oczywiście, że nie. Skąd takie pomysły?

– Dziecko? – Lurt Fradło oparła dłonie na szerokich biodrach. – Ty i Ponter chcecie mieć dziecko?

Mary przytaknęła nieśmiało. Zostawiła Pontera w jego domu i sześcianem podróżnym dotarła do mieszkania Lurt W Centrum Saldak.

– Zgadza się.

Lurt rozpostarła ramiona i uściskała Mary.

– To cudownie! Absolutnie cudownie!

Mary poczuła, jak opuszcza ją napięcie.

– Nie sądziłam, że pochwalisz ten pomysł.

– Dlaczego? Ponter jest cudownym człowiekiem. Będziecie wspaniałymi rodzicami... – Przerwała i spojrzała na Mary. – Nie potrafię określać wieku Gliksinów. Ile ty masz lat, kochana?

– Trzydzieści dziewięć, czyli mniej więcej pięćset dwadzieścia miesięcy.

– Naszym kobietom bywa trudno zająć w ciążę w tym wieku – powiedziała Lurt przyciszonym głosem.

– U nas jest podobnie, ale mamy różne leki i sposoby, które mogą pomóc. Jest tylko jeden problem...

– Problem?

– Tak. Baraści, czyli ty i Ponter, macie po dwadzieścia cztery pary chromosomów, natomiast Gliksini, tacy jak ja, mają tylko dwadzieścia trzy pary.

Lurt zmarszczyła brew.

– To bardzo utrudni zapłodnienie.

Mary pokiwała głową.

– Właśnie. Prawdę mówiąc, wątpię, by udało nam się to osiągnąć metodami naturalnymi.

– To nie powód by rezygnować z prób! – Lurt uśmiechnęła się szeroko.

Mary odpowiedziała jej tym samym.

– Na pewno nie. Pomyślałam jednak, że może znajdę jakiś sposób na połączenie DNA Pontera z moim. Jeden z chromosomów u mojego gatunku powstał z połączenia dwóch chromosomów u naszego wspólnego przodka. Pod względem genetycznym zawartość sekwencji DNA jest bardzo podobna, tyle że u *Homo sapiens* znajduje się w jednym długim, a u *Homo neanderthalensis* w dwóch krótszych chromosomach.

Lurt powoli kiwała głową.

– I masz nadzieję, że poradzisz sobie z tym problemem?

– Tam myślałam. Sądzę, że to możliwe nawet przy technologii, jaką dysponują moi ludzie. Tyle że nie będzie łatwo. Twój ludzie są bardziej zaawansowani w wielu dziedzinach, dlatego zastanawiałam się, czy nie znasz kogoś, kto byłby ekspertem w tej sferze?

– Bardzo cię lubię, Mare. Ale mam wrażenie, że ty zawsze musisz w coś wdepnąć.

– Słucham?

– Rzecz w tym, że istnieje rozwiązanie twojego problemu – idealne rozwiązanie, ale...

– Ale co?

– Jest zakazane.

– Zakazane? Dlaczego?

– Z powodu ryzyka, jakie stanowiło to dla naszego sposobu życia. Znałam pewną specjalistkę od genetyki, Vissan Lennet. Jeszcze cztery miesiące temu mieszkała w Kraldak.

– Kraldak?

– To miasto oddalone o jakieś 350 tysięcy długości ramion od Saldak.
Ale już jej tam nie ma.

– Nie mieszka już w Kraldak?

Lurt pokręciła głową.

– Nie mieszka już nigdzie.

Brwi Mary gwałtownie podjechały w górę.

– Mój Boże... chcesz powiedzieć, że się zabiła?

– Co? Nie, nadal żyje. Przynajmniej z tego co nam wiadomo, ponieważ nikt nie ma z nią kontaktu.

Mary wskazała na przedramię Lurt.

– Nie można skontaktować się z jej Kompanem?

– Nie. Właśnie to ci próbuję powiedzieć. Vissan opuściła nasze społeczeństwo. Usunęła sobie implant i żyje gdzieś na pustkowiu.

– Dlaczego?

– Była znakomitym genetykiem, ale zbudowała urządzenie, którego Najwyższa Rada Siwych nie mogła przyjąć. Lokalni przedstawiciele Rady kontaktowali się ze mną w tej sprawie i pytali mnie o zdanie na ten temat. Nie chciałam, aby badania Vissan zostały przerwane, ale Najwyższa Rada Siwych uznała, że nie ma innego wyboru.

– Chryste, mówisz o tym tak, jakby stworzyła jakąś broń genetyczną!

– Co takiego? Nie, oczywiście, że nie. Nie była wariatką. Vissan zbudowała pewne urządzenie... „kodoner”, tak się chyba nazywało. Pozwalało na uzyskanie dowolnej sekwencji kwasu deoksyrybonukleinowego lub rybonukleinowego, dosłownie każdej, razem z odpowiednimi białkami. Wystarczyło tę sekwencję wymyślić, a kodoner Vissan mógł ją wyprodukować.

– Naprawdę? Rany! Tylko pomyśleć, co można dzięki takiej maszynie osiągnąć.

– Zbyt wiele, przynajmniej w opinii Najwyższej Rady Siwych. Bo widzisz, kodoner umożliwił między innymi wytworzenie... hm... nie jestem pewna, jak wy to nazywacie. Chodzi mi o chromosomy, które są w komórkach rozrodczych.

– Zestawy haploidalne – odpowiedziała Mary. – Z dwudziestoma trzema... przepraszam, dwudziestoma czterema chromosomami, które znajdują się w komórce jajowej i w plemniku.

– Właśnie.

– Nie rozumiem, w czym problem? – zdziwiła się Mary.

– Chodzi o nasz system sprawiedliwości. Nadal nie pojmujesz? Kiedy sterylizujemy przestępcę oraz najbliższych krewnych tej osoby, uniemożliwiamy im wytwarzanie haploidalnych gamet, a co za tym idzie, rozmnażanie się. Tymczasem dzięki kodonerowi Vissan można by to obejść i przekazać swoje geny przyszłym pokoleniom. Wystarczyłoby po prostu zaprogramować urządzenie tak, aby stworzyło chromosomy zawierające odpowiednią informację genetyczną.

– I dlatego zakazano używania tej maszyny?

– Tak. Siwi zarządzili przerwanie badań i Vissan wpadła w złość. Powiedziała, że nie chce należeć do społeczeństwa, które paraliżuje wiedzę, więc je opuściła.

– I gdzie teraz żyje... w lesie?

Lurt przytaknęła.

– To nic trudnego. W młodości wszyscy się tego uczymy.

– Ale... ale wkrótce nadejdzie zima.

– Na pewno zbudowała sobie jakiś dom lub znalazła inne schronienie. Jej kodoner rozwiązałby twoje problemy. Zanim Najwyższa Rada Siwych zakazała dalszych prac, powstało tylko jedno urządzenie. Zazwyczaj nic na tym świecie nie ginie: Kompany widzą i rejestrują wszystko. Ale Vissan

zabrała prototyp już po tym, jak usunęła sobie implant, i zrobiła to bez świadków. Przypuszczam, że jej kodoner wciąż istnieje. Dzięki niemu mogłabyś mieć dziecko hybrydę, którego tak pragniesz.

– Gdybym tylko znalazła tę maszynę.

– Właśnie.

ROZDZIAŁ 14



I to ta sama pogoń za przygodę sprawiła, że Eagle i Columbia, Interpid i Yankee Clipper, Aquarius i Odyssey, Antares i Kitty Hawk, Falcon i Endeavour, Orion i Casper oraz Challenger i America poleciały na Księżyc...

Operację wszczęcia stałego Kompana mógł przeprowadzić tylko neandertalski chirurg. Wcześniej Mary musiała wrócić do budynku kopalni Debral, gdzie na początku założono jej tymczasowe urządzenie. Tylko tam można było odblokować zapięcia. Następnie, w towarzystwie dwóch krępych neandertalskich egzekutorów, została przewieziona do szpitala w Centrum Saldak.

Chirurg, kobieta o imieniu Korbonon, należała do generacji 145, czyli była mniej więcej w wieku Mary. Zazwyczaj operowała poważnie uszkodzone kończyny, pokancerowane podczas nieudanych polowań. Jej wiedza na temat mięśni i tkanki nerwowej nie miała sobie równych.

– To będzie dość trudne – przyznała. Tymczasowy Kompan leżał na niewielkim stoliku obok, podłączony do zewnętrznego źródła zasilania. Wciąż pełnił rolę tłumacza Mary. Korbonon najwyraźniej nie była do takiej sytuacji przyzwyczajona. Mówiła nienaturalnie głośno, tak jakby dzięki temu jej pacjentka mogła zrozumieć neandertalski. – Twoje przedramię jest mniej umięśnione niż u Barasta, przez co zakotwienie Kompana może być trudniejsze. Na szczęście to, co słyszałam na temat proporcji ciała Gliksinów, jest prawdą: odcinki twojego przedramienia i ramienia

rzeczywiście mają tę samą długość. To powinno nam dać trochę większe pole działania. – U Barastów przedramiona były wyraźnie krótsze niż ramiona, a golenie krótsze niż uda.

– Sądziłam, że to rutynowy zabieg.

Jasna, lekko rudawa brew Korbonon uniosła się ze zdziwienia.

– Rutynowy? Nie ma mowy o rutynie, gdy chodzi o wszczępienie pierwszego Kompana dorosłej osobie. Oczywiście na samym początku, zaraz po wprowadzeniu tych urządzeń, wszczepiano je głównie dorosłym, ale chirurdzy, którzy przeprowadzali te zabiegi, już dawno nie żyją. Obecnie takie operacje przeprowadzane są rzadko, przeważnie wtedy, gdy ktoś straci ramię z implantem wszczepionym w dzieciństwie.

– Aha. – Mary tkwiła w czymś, co trochę przypominało fotel dentystyczny ze strzemionami i prawdopodobnie pełniło rolę wielofunkcyjnej platformy operacyjnej. Lewa ręka pacjentki spoczywała na niewielkiej podporze. Wewnętrzną stronę przedramienia umyła jakimś różowym, kwaśno pachnącym płynem do dezynfekcji skóry. Roztwór nie zawierał alkoholu. Mary zdziwiła się, że Korbonon nie włożyła maski chirurgicznej. – Nasi chirurdzy zwykle zakrywają nosy i usta – powiedziała lekko zaniepokojona.

– Dlaczego? – zdziwiła się Korbonon.

– Żeby nie zainfekować pacjenta i żeby pacjent nie zakaził ich.

– Równie dobrze mogłabym operować z zawiązanymi oczami! – oświadczyła Korbonon.

Mary już miała ją spytać dlaczego, ale sama się domyśliła, o co chodziło lekarce: doskonały węch neandertalczyków stanowił istotną część ich percepcji.

– Jakie zastosujesz znieczulenie? – Po raz pierwszy cieszyła się, że nie towarzyszy jej Ponter. W tej sytuacji pewnie zażartowałyby sobie:

„Znieczulenie? A co to takiego?”. I bez tego bardzo się denerwowała.

– Użyjemy regulatora neuronowego – odparła Korbonon.

– Naprawdę? – Pomimo strachu przed zabiegiem w Mary obudziła się ciekawość naukowca. – U nas stosujemy środki chemiczne.

Barastka pokiwała głową.

– My też tak robiliśmy, ale najpierw trzeba czekać, aż zaczną działać, potem znowu czekać, aż przestaną działać, a poza tym trudno je precyzyjnie zaaplikować w znieczuleniu miejscowym. W dodatku niektórzy są uczuleni na chemiczne środki anestetyczne.

– Jeszcze jedna technologia, na której moim ludziom na pewno będzie zależało – stwierdziła Mary. Do pomieszczenia weszła druga kobieta. Mary nie orientowała się, jak wygląda hierarchia neandertalskiego personelu medycznego, nie miała więc pojęcia, czy to pielęgniarka, czy też druga lekarka. A może jej stanowisko w ogóle nie miało odpowiednika w gliksińskim świecie.

Kobieta założyła na lewe ramię pacjentki dwie elastyczne metaliczne opaski, jedną tuż pod łokciem, a drugą nad nadgarstkiem. Potem, ku zdumieniu Mary, wzięła coś, co przypominało flamaster, i zaczęła kreślić złożoną siatkę linii między obiema opaskami. Z pisaka zamiast tuszu wydostawał się płynny metal. Nie był wcale gorący i bardzo szybko zastygał, jednocześnie matowiejąc. Wyglądało to trochę jak czekoladowe esy-floresy, które na lodach szybko zmieniały się w skorupkę, tylko kolory się nie zgadzały.

– Co to takiego? – spytała.

Kobieta z markerem nic nie odpowiedziała, za to odezwała się Korbonon.

– Zaznaczamy odpowiednie kanały nerwowe na twoim przedramieniu. Te linie tworzą elektryczne łącza między dwoma destabilizatorami.

Po kilku minutach druga kobieta kiwnęła głową i podeszła do niewielkiej konsoli. Pociągnęła za kilka gałek kontrolnych i Mary straciła czucie w przedramieniu.

– Rany.

– Wszystko w porządku – stwierdziła Korbonon. – Zaczynamy. – Zanim pacjentka połapała się, co się dzieje, lekarka już wykonała długie nacięcie równoległe do kości promieniowej. Mary niemal zwymiotowała na widok krwi wypływającej z rany na mały stolik, który, co zauważyła dopiero teraz, miał podwyższone krawędzie.

Była w szoku i bała się, że za chwilę zemdleje. Na jej świecie dokładano wszelkich starań, aby pacjent podczas operacji nie widział, co się dzieje. Tutaj zupełnie się tym nie przejmowano. Może konieczność upolowania sobie od czasu do czasu czegoś do jedzenia leczyła ludzi z przesadnej wrażliwości. Mocno przełknęła ślinę i starała się nad sobą zapanować; przecież tej krwi nie było chyba aż tak dużo...

Zastanawiała się, jak wyglądają tutaj operacje klatki piersiowej. Gliksińscy chirurdzy wchodzili na salę, gdzie czekał już pacjent z zasłoniętą twarzą i odkrytym niewielkim fragmentem ciała. Czy Baraści postępowali podobnie? Jeden z zaprzyjaźnionych z Mary lekarzy wyjaśnił jej kiedyś, że nie chodzi o to, aby nie ubrudzić pacjenta krwią. Po prostu dzięki temu chirurg mógł się skupić na krojeniu i zszywaniu zamiast myśleć o tym, że drąży powłokę jakiejś ludzkiej duszy. No, ale Baraści, wolni od kartezjańskiego dualizmu i spokojnie przyjmujący widok krwi, być może tego nie potrzebowali.

Korbonon wsunęła w nacięcie kilka niebieskawych, podobnych do sprężyn elementów, które najwyraźniej pełniły tę samą rolę co kleszcze. Następnie na tętnice, żyły i nerwy zaczęła zakładać niewielkie zaciski i

dziwne wihajstry. Mary wyraźnie widziała przeciętą skórę, warstwę tłuszczu i mięśnie aż po gładką, szarawą twardość kości promieniowej.

Po chwili druga kobieta – ta, która wcześniej nakreśliła na przedramieniu pacjentki linie znieczulające nerwy – przystąpiła do działania. Lekarze nosili tutaj żółte koszule z krótkim rękawem i niebieskie rękawiczki, sięgające aż za łokcie. Mary Pomyślała, że specjalnie są takie długie, żeby krew nie zasychała na owłosionych przedramionach Barastów.

Druga Barastka wyjęła nowego Kompana ze sterylnego opakowania. Mary przyzwyczała się już do wyglądu zewnętrznych paneli tych urządzeń, ale nigdy jeszcze nie widziała ich od drugiej strony. Implant przypominał topograficzny model jakiegoś terenu z wyżynami, nizinami i kanałami, którymi prawdopodobnie miały biec naczynia krwionośne. Pomimo mdłości z fascynacją patrzyła, jak chirurg przecina jej tętnicę promieniową – ulubioną przez samobójców. Oba końce szybko zabezpieczono zaciskami, ale zdążyła z niej wytrysnąć kilkudziesięciocentymetrowa struga krwi.

Mary skrzywiła się lekko. Nie miała pojęcia, jak Vissan Lennet, twórczyni kodonera, zdołała samodzielnie usunąć sobie Kompana; musiało to być potwornie trudne zadanie.

Korbonon użyła następnie laserowego skalpela, podobnego do tego, jakim Mary musiała się posłużyć, gdy Ponter został postrzelony przed siedzibą ONZ. Oba końce tętnicy promieniowej zostały podłączone do dwóch różnych otworów na spodzie Kompana. Mary wiedziała, że urządzenia te nie mają własnego zasilania; czerpały moc z procesów zachodzących w organizmie człowieka. Już sama siła, z jaką krew przepływała przez tętnicę promieniową wystarczała za niezły napęd. Podobno implant miał wbudowany generator hydroenergetyczny – a raczej krwioenergetyczny.

Mary ciągle miała ochotę odwrócić głowę – tak samo jak wtedy, gdy skacząc po kanałach trafiała na serial *The Operation* na kanale edukacyjnym – ale jednocześnie nie mogła oderwać wzroku od tego, co się działo. Zafascynowana przyglądała się ostatniemu etapowi wszczepiania Kompana, kauteryzacji naczyń krwionośnych i procesowi zamykania skóry krótkimi seriami lasera. Na koniec krawędzie Kompana zabezpieczono specjalną, podobną do kitu substancją uszczelniającą, która podobno wspomagała gojenie się rany.

W porównaniu z pierwszym stadium zabiegu kolejne – polegające na wszczepieniu dwóch implantów ślimakowych – było już prostsze, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie. Możliwe, że Mary tak to postrzegała, ponieważ nie mogła obserwować tej części operacji.

W końcu wszystko było gotowe. Rękę wytarto do czysta z krwi, z panelu Kompana zdjęto zabezpieczającą folię, a w implantach ślimakowych ustawiono moc wyjściową.

– Gotowe – oznajmiła Korbonon, pociągając maleńką, przypominającą paciorek gałkę w panelu. W sumie było tych gałek sześć, każda innego koloru. – Proszę bardzo.

– Witaj, Mary – rozległ się syntetyzowany głos. Mary miała wrażenie, że dobywa się on gdzieś z wnętrza jej głowy, z punktu znajdującego się idealnie pośrodku między uszami. Miał lekko kobiecą, neandertalską barwę – głęboką i dudniącą – ale idealnie radził sobie z głoską „i”. Jak widać, problem ten został już rozwiązany.

– Witaj – odparła Mary. – Hm, jak mam do ciebie się zwracać?

– Tak jak sobie życzysz.

Zmarszczyła brwi.

– Co powiesz na Christine? – zaproponowała. Tak miała na imię jej siostra.

– Świetnie – odparł głos w jej głowie. – Oczywiście, jeśli zmienisz zdanie, możesz nadawać mi imiona tak często, jak ci się podoba.

– Znakomicie sobie radzisz z wymową.

– Tak. Używam też skrótowców.

Mary była pod wrażeniem.

– Naprawdę potrafisz wymawiać wszystkie głoski! Kompan Pontera tego nie umie.

– Nie było to trudne zadanie dla programistów. Wystarczyło rozpracować koncept leżący u podstaw takiej wymowy – oznajmiła Christine.

Mary ze zdumieniem poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Podczas rozmowy z Kompanem zupełnie zapomniała o zewnętrznym świecie. Zastanawiała się, czy przekrzywia głowę, Podobnie jak robili to neandertalczyki. Nie miała pojęcia, czy ten gest jest zachowaniem odruchowym, czy też wyuczonym – zwykłym uprzejmym znakiem, który sygnalizował innym, że dana osoba jest chwilowo zajęta.

Korbonon z uśmiechem pochyliła się nad pacjentką, która nadal siedziała w fotelu operacyjnym.

– Domyślam się, że twój Kompan działa.

Mary po raz pierwszy usłyszała tłumaczenie tak, jak słyszał je Ponter – nie przez zewnętrzny głośnik, tylko w środku głowy. Christine okazała się znakomitą imitatorką. Wprawdzie angielskie słowa były czasem akcentowane w dziwnych miejscach – trochę tak, jakby mówił je William Shatner – ale brzmienie w dużym stopniu przypominało głos lekarki.

– Tak, oczywiście – odparła i gdy tylko skończyła, przez zewnętrzny głośnik rozległo się tłumaczenie na neandertalski: *Ka pan ka*.

– Świetnie – powiedziała Korbonon, nie przestając się uśmiechać. – To już wszystko.

– Czy mój Kompan transmituje dane do archiwum alibi?

– Tak.

– Transmituję – dodała Christine własnym głosem po przetłumaczeniu *Ka* lekarki.

Mary wstała z fotela, podziękowała obu kobietom i opuściła gabinet. W poczekalni ośrodka medycznego siedziało czterech neandertalskich mężczyzn. Każdy z nich miał złamaną jakąś kończynę. Jeden był w srebrnym stroju Ekshibicjonisty. Mary uznała, że ktoś taki nie pogniewa się, jeśli zada mu pytanie, więc śmiało do niego podeszła.

– Co się stało? – zapytała.

– Nam? – upewnił się Ekshibicjonista. – Nic specjalnego, zwykły wypadek podczas polowania.

Mary przypomniała sobie Erika Trinkausa i jego pogląd, że urazy pradawnych neandertalczyków często przypominały obrażenia jeźdźców na rodeo.

– Na co polowaliście?

– Na łosia.

Żałowała, że nie było to jakieś bardziej egzotyczne zwierzę.

– I warto było tak się narażać?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Mięso łosia zawsze jest tego warte. Przecież nie można cały czas jeść tylko gołębi wędrownych i bizonów.

– W takim razie życzę, żeby wszystko się szybko zagoiło.

– Na to liczymy – odparł Ekshibicjonista z uśmiechem.

Mary pożegnała się i wyszła ze szpitala prosto w słoneczne popołudnie. Podejrzewała, że sprawiła widowni Ekshibicjonisty niemałą przyjemność.

W tej samej chwili dotarło do niej, że znajdowała się w pomieszczeniu z czterema obcymi mężczyznami, ale nie czuła żadnego niepokoju. Na swojej

Ziemi na pewno byłaby w takiej sytuacji przerażona, nawet teraz, gdy już znała tożsamość gwałciciela. Tymczasem tutaj bezczelnie podeszła do jednego z neandertalczyków i zagała rozmowę.

Ze zdumieniem spojrzała na tkwiącego w przedramieniu Kompana – Christine. Świadomość, że wszystko jest rejestrowane, wydawała jej się nierzeczywista aż do chwili, gdy jej własny, stały Kompan stał się częścią niej. Teraz rozumiała, jakie to wyzwalające uczucie. Tutaj była bezpieczna. Mogło ją otaczać mnóstwo ludzi, ale żaden nigdy nie spróbowałby jej skrzywdzić... ponieważ nie uniknąłby kary.

Mogła poprosić, aby Christine wezwała sześcian podróżny, ale dzień był taki piękny, że wolała wrócić do Lurt na piechotę. Po raz pierwszy, odkąd przybyła na ten świat, bez skrępowania patrzyła w oczy innym neandertalczykom, tak jakby byli jej sąsiadami, jakby stała się jedną z nich, jakby znalazła tu swój dom.

ROZDZIAŁ 15



W zastygłym popiele wulkanicznym w dolinie Laetoli zachowały się ślady ludzkich stóp. Zostawili je tam mężczyzna i kobieta z australopiteków – przodkowie zarówno Gliksinów, jak i Barastów. Wędrowali powoli, ramię w ramię przemierzając świat. To pierwsze odciski stóp hominidów. Ślady człowieka są też w Tranquility Base, Oceanie Burz, kraterach Fra Mauro i Descartes, kotlinie Hadley Rille oraz w dolinie Taurus-Littrow na Księżycu – tam to prawdziwie gigantyczne skoki...

Mary czuła się potwornie zmęczona po zabiegu. Pomyślała, że dobrze jej zrobi długa drzemka, więc po dotarciu do domu Lurt położyła się spać na zagłębionym w podłodze kwadratowym posłaniu pełnym poduszek. Obudziła się dopiero po dwóch decymach, kiedy gospodyni wróciła z laboratorium.

– Zobacz! – pochwaliła się swoim nowym Kompanem.

Prawie wszystkie takie urządzenia wyglądały podobnie, ale Lurt wyczuła, że Mary chce usłyszeć komplement.

– Wspaniały – przyznała.

– Prawda? Ale to nie on, to ona. Nazwałam ją Christine.

– Witaj – rozległ się syntetyzowany głos z głośnika Kompana.

– Christine, poznaj Uczoną Lurt Fradlo – powiedziała Mary. – Jest partnerką Uczonego Adikora Hulda, który z kolei jest partnerem mojego...

– zawahała się, w myślach szukając właściwego określenia, po czym wzruszyła ramionami – ... mojego chłopaka, Uczonego Pontera Boddita.

– Zdrowego dnia, Uczona Fradlo – odezwała się Christine.

– Zdrowego dnia – odparła Lurt. – Proszę, zwracaj się do mnie po imieniu.

– Oczywiście.

Lurt głęboko wciągnęła powietrze nosem, wdychając zapachy.

– Ginrald jeszcze nie wróciła – stwierdziła. Ginrald była partnerką Lurt.

– Nie – odparła Mary. – Daba i Karatal też jeszcze nie ma w domu. Dab był synem Lurt i Adikora, a Karatal małą córeczką Ginrald i jej partnera.

Lurt skinęła głową.

– To dobrze, bo musimy o czymś porozmawiać.

– O co chodzi?

Lurt milczała. Najwyraźniej nie wiedziała, jak zacząć.

– Czy zrobiłam coś nie tak? – spytała Mary. – Obraziłam cię w jakiś sposób? – Wiedziała, że podczas dłuższego pobytu na tym świecie czekało ją wiele trudności wynikających z różnic kulturowych, ale we wszystkim starała się brać przykład z gospodyni.

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. – Lurt gestem poprosiła Mary, by przeszła razem z nią do okrągłego głównego pokoju. Barastka usiadła okrakiem na siodłowym krześle, a Mary wybrała kanapę. – Chodzi tylko o sprawę mieszkania.

Mary skinęła głową. Oczywiście.

– Nadużyłam twojej gościnności. Przepraszam.

Lurt podniosła do góry rękę, odwracając ją wnętrzem dłoni do Mary.

– Proszę, nie zrozum mnie źle. Podczas twojej poprzedniej wizyty ogromnie się cieszyłam, że zamieszkałaś z nami, ale w moim domu i tak jest tłoczno. Wiem, że za kilka dekamiesięcy Dab opuści nas, aby zamieszkać z Ponterem i Adikorem, ale...

– Ale to będzie dopiero za kilka dekamiesiccy – dokończyła Mary, kiwając głową.

– Właśnie. Jeśli chcesz spędzić na tym świecie więcej czasu, powinnaś mieć własny dom.

Mary zmarszczyła brwi.

– Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Najpierw muszę porozmawiać z Ponterem, bo co innego, gdy obciąża się czyjeś konto niewielkimi wydatkami, a co innego, gdy chce się kupić mieszkanie...

Lurt roześmiała się serdecznie, bez cienia drwiny.

– Tutaj nie kupuje się domów. Wybiera się jeden spośród tych, które są puste, i się go zajmuje. Twój wkład w społeczność nie podlega dyskusji; podzieliłaś się z nami ogromną porcją nowej dla nas wiedzy. Bez wątpienia zasłużyłaś sobie na dom.

– Chcesz powiedzieć, że domy tutaj nie są własnością prywatną?

– Nie. Dlaczego miałyby być? Aha, no tak, już rozumiem. Pamiętaj, że my mamy stałą liczbę ludności. Nie ma potrzeby tworzenia nowych domów poza tymi, które powstają, aby zastąpić stare, umierające drzewa. Arborykonstrukcję nadzorują nasze władze, bo drzewa dopiero po długim czasie nadają się do zamieszkania. Zawsze sadi się ich trochę więcej, aby goście odwiedzający Saldak mieli się gdzie zatrzymać. Możemy poszukać dla ciebie takiego lokum. Znam świetną stolarz, która może zrobić dla ciebie meble. Na pewno bardzo spodoba się jej wyzwanie, jakim będzie konieczność sprostania twoim szczególnym potrzebom. – Lurt na moment umilkła. – Oczywiście mieszkałabyś sama.

Mary nie chciała mówić, że to byłaby dla niej ulga. Przyzwyczała się do życia w pojedynkę. Odkąd rozstała się z Colmem, polubiła spokojne wieczory w domu. Stresował ją rozgardiasz panujący u Lurt. Tylko...

Tylko że ten świat był taki odmienny. Nie czuła się gotowa sprostać mu samodzielnie. Wprawdzie teraz mogła liczyć na pomoc Christine, ale wiedziała, że to skok na zbyt głęboką wodę.

– Masz może przyjaciółkę, której przydałaby się współlokatorka? – spytała. – No wiesz, kogoś, kto jest sam, ale na jakiś czas chętnie podzieli się obowiązkami domowymi z inną osobą?

Lurt postukała kciukiem w środek czoła, tuż nad miejscem, gdzie łączyły się dwa łuki jej wału nadoczodołowego.

– Niech no chwilkę się zastanowię... – powiedziała. Po chwili przekrzywiła głowę, słuchając sugestii swojego Kompana. – To doskonały pomysł – stwierdziła, potakując. Spojrzała na Mary. – Jest pewna kobieta, Bandra Tolgak. Mieszka niedaleko stąd. Bardzo ją lubię. Jest geologiem, a poza tym fascynują ją Gliksini.

– Rodzina z nią nie mieszka?

– Nie. Jej związek z partnerką zakończył się dość dawno, a dwie córki już się od niej wyprowadziły... młodsza niedawno. Bandra mówiła mi, jak pusty wydaje jej się teraz dom. Może da się namówić na lokatorkę...

Był chłodny jesienny dzień. Cirrusy wyglądały tak, jakby ktoś namalował je palcami na srebrzystym niebie. Lurt i Mary dotarły właśnie do budynku szerokości boiska do piłki nożnej. Sądząc po ułożeniu okien, miał cztery kondygnacje.

– To jest nasza Akademia Nauk... ta dla kobiet – wyjaśniła Lurt. – Tu pracuje Bandra Tolgak.

Zbliżyły się do jednych z wielu solidnych drzwi bez szyb. Lurt otworzyła je i weszły w korytarz o przekroju kwadratu. Oświetlały go zagłębione w ścianach rury, w których zachodziły reakcje katalityczne. Wokół kręciło się mnóstwo neandertalskich dziewcząt z generacji 147 – w

wieku odpowiednim na naukę na uniwersytecie. Korytarzem śmigają też tam i z powrotem patykowate roboty, wypełniając różne polecenia. Lurt zatrzymała się, gdy dotarły do dwóch wind. U neandertalczyków nieużywane kabiny pozostawały otwarte, aby wewnątrz nie robiło się zbyt duszno i aby od razu było widać, która znajduje się akurat na danym piętrze. Lurt weszła do środka pierwsza.

– Laboratorium Bandry Tolgak – powiedziała głośno. Drzwi się zamknęły i winda ruszyła do góry. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się na inny korytarz.

– Trzecie wejście po prawej stronie – oznajmił syntetyzowany głos.

Mary i Lurt znalazły odpowiednią pracownię i weszły do środka.

– Zdrowego dnia, Bandro – odezwała się Lurt.

Neandertalska kobieta siedziała plecami do nich. Odwróciła się z uśmiechem.

– Lurt Fradlo! Zdrowego dnia! – zawołała i w tej samej chwili jej oczy o zdumiewającej barwie pszenicy spoczęły na Mary. – A to pewnie Uczona Vaughan. Lurt uprzedziła mnie, że się do mnie wybieracie. – Kobieta ponownie się uśmiechnęła i ku zdumieniu Mary wyciągnęła do niej rękę.

Mary uścisnęła ją mocno.

– Hm... nie wiedziałam, że neandertalczyki podają sobie ręce na powitanie.

– Och, nie robimy tego – przyznała wciąż uśmiechnięta Bandra. – Ale czytałam sporo o was, Gliksinach. Jesteście fascynującymi ludźmi! – Wypuściła dłoń Mary. – Czy zrobiłam to, jak należy?

– Tak. Bardzo dobrze.

Bandra się rozpromieniła. Należała do generacji 144 i była o dziewięć lat starsza od Mary, a dokładnie o osiem i pół, ponieważ Mary przyszła na

świat we wrzeźniu, podczas gdy większość neandertalczyków rodziła się na wiosnę. Owłosienie na twarzy i ciele Bandry mieniło się miedzią i srebrem.

– Cieszę się. Aha, chwileczkę! Jest jeszcze jeden rytuał! – Bandra ułożyła przyjemne rysy twarzy w poważną minę. – Jak się pani miewa?

Mary się roześmiała.

– Świetnie, dziękuję. A pani?

– Również doskonale. – Bandra wybuchła śmiechem. – Niezwykli ludzie! Tyle drobnych uprzejmości! Dla mnie to prawdziwy zaszczyt poznać Uczoną Vaughan.

– Proszę, mów mi Mary.

– Nie mogę – odparła Bandra ze śmiechem. – Ale z przyjemnością będę mówiła „Mare”.

Laboratorium Bandry pełne było mineralogicznych okazów – kryształów skalnych, wypolerowanych kamieni, pięknych geod i innych cudów.

– Cieszę się, że wreszcie mam okazję spotkać Gliksina. Czytałam o twoich ludziach wszystko, co u nas znalazłam.

– Hm, to miło.

– Opowiedz mi coś o sobie. Masz dzieci?

– Jeszcze nie.

– Aha. Ja mam dwie córki i wnuka. Chciałabyś zobaczyć ich zdjęcia?

– Chętnie.

Bandra znowu się roześmiała.

– Wy Gliksini i wasze skomplikowane maniery! Jesteś tak cudownie uprzejma! Na pewno, żeby mnie nie urazić, przez całe decymy oglądałabyś obrazy, które zarejestrowałam podczas moich podróży.

Mary poczuła się swobodniej. Dobry humor Bandry był zaraźliwy.

– Chyba nie masz nam za złe tej wizyty – powiedziała Lurt – ale...

– Ale akurat przechodziłyście obok! – stwierdziła Bandra, szeroko uśmiechając się do Mary.

Mary przytaknęła.

– Ruch to zdrowie – powiedziała Bandra z przesadnym akcentem. – Wy, Gliksini, macie takie cudowne powiedzonka.

– Dziękuję.

– Lurt wspominała, że chcesz mnie o coś poprosić. – Bandra gestem ogarnęła skały wypełniające całe laboratorium. – Nie mam pojęcia, w czym może ci pomóc geolog, ale – to moje ulubione powiedzonko – „cała zamieniam się w słuch”.

– Hm, no tak. Chodzi o to, że szukam mieszkania w Centrum Saldak.

– Naprawdę?

Mary się uśmiechnęła.

– Niech mnie dunder świśnie, jeśli kłamię.

Bandra ryknęła śmiechem.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie! – odparła. – Mam stary, duży dom i teraz mieszkam w nim sama.

– Wiem to od Lurt. Zamierzam tu zostać jedynie przez jakiś miesiąc, ale gdybyś chciała mieć współlokatorkę...

– Chciałabym, tylko... – Bandra umilkła.

Mary miała ochotę zapytać: „Tylko co?”, ale przecież Bandra nie musiała niczego uzasadniać.

– Mówisz, że tylko na miesiąc? – spytała po chwili. – Czyli że zostaniesz tutaj tylko na jeden okres, gdy Dwoje będzie Jednym?

– Tak, ale wtedy oczywiście nie będę ci przeszkadzała.

Na szerokiej twarzy neandertalki widać było walkę emocji. Mary oczywiście rozumiała wahanie Bandry. Z jednej strony musiała się liczyć z niedogodnościami, z jakimi wiązało się goszczenie u siebie obcej osoby, a z

drugiej – miała możliwość przebywania przez jakiś czas z kobietą z drugiego świata.

– No dobrze – powiedziała w końcu Bandra. – Jak wy to mówicie? Twój dom jest moim domem.

– Chyba na odwrót.

– Ach, tak, tak! Ciągłe się uczę!

Mary się uśmiechnęła.

– Ja też.

ROZDZIAŁ 16



Upłynęły już jednak trzy dekady, odkąd Eugene Cernan jako ostatni spacerował po Księżycu. Ostatni! Kto by pomyślał, że pokolenia urodzone po 1972 roku o ludziach odwiedzających inne światy będą się uczyły tylko na lekcjach historii...

Dom Bandry okazał się o wiele wygodniejszy od domu Lurt, choć wcale nie był większy. Po pierwsze, Mary bardziej podobały się tutejsze meble, a po drugie, okazało się, że Bandra uwielbia obserwować ptaki i ma wielki talent do rysowania. Ściany i sufity ozdobiła przepięknymi malunkami lokalnego ptactwa, w tym również gołębia wędrownego. Mary także uwielbiała ptaki. Miedzy innymi właśnie dlatego na uniwersytecie sama zajęła się analizą DNA gołębia wędrownego, podczas gdy jej doktorantka, Daria, badała materiał genetyczny egipskiej mumii.

Dziwnie się czuła, wracając do domu wcześniej od gospodyni, zwłaszcza że nie musiała otwierać żadnych zamków. Neandertalczycy po prostu nie zamykali drzwi na klucz – nie Musieli tego robić.

Bandra, tak jak wielu Barastów, miała domowego robota. Z wyglądu przypominał patykowatego insekta. Gdy Mary weszła do domu, zmierzył ją niebieskimi, mechanicznymi oczami – podobnymi do oczu Lonwisa – po czym wrócił do pucowania i odkurzania.

Wiedziała, że Pontera zobaczy dopiero gdy Dwoje znowu stanie się Jednym, ale mogła przecież z nim porozmawiać. Jej nowy, lśniący Kompan

mógł się skomunikować z jego Kompanem.

Ułożyła się wygodnie na kanapie w głównym pokoju i podziwiając piękne malowidło na suficie, poprosiła Christine, aby wywołała Haka.

– Cześć, skarbie. – Użyła określenia, które w kategorii czułych słów było dla Pontera równie trudne do wymówienia co „kochanie”. No, ale on przecież słuchał tylko tłumaczenia Christine.

– Mare! – usłyszała jego uradowany głos. – Jak dobrze cię słyszeć!

– Tęsknię za tobą – przyznała. Czowała się tak jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat i zamknięta w swoim pokoju w domu rodziców rozmawiała z Donnym.

– Ja też za tobą tęsknię.

– Gdzie jesteś?

– Z Pabo na spacerze. Przyda się nam trochę ruchu.

– Jest z tobą Adikor?

– Nie, został w domu. Co u ciebie słyhać?

Po raz pierwszy rozmawiała z Ponterem za pośrednictwem Kompanów. Na początek opowiedziała mu o zabiegu wszczepienia jej własnego implantu, a potem o przewodzce do Bandry.

– Lurt powiedziała mi o czymś bardzo intrygującym. Podobno jest jakieś zakazane urządzenie, które mogłoby nam pomóc w poczęciu dziecka.

– Naprawdę? Co to takiego?

– Lurt mówiła, że to wynalazek Vissan Lennet.

– Och! Przypominam ją sobie. Widziałem ją na Podglądaczu. Podobno usunęła Kompana i postanowiła żyć w lesie. Zrobiła to z powodu konfliktu z Siwymi w sprawie jakiegoś odkrycia.

– Właśnie! – przytaknęła Mary. – Wynalazła urządzenie zwane kodonerem, które pozwala stworzyć dowolne nici DNA, a my dokładnie

tego potrzebujemy, żeby mieć dziecko. Lurt mówiła, że Vissan prawdopodobnie zachowała prototyp.

– Być może, ale jeśli... Przepraszam cię na moment. Dobra sunia! Dobra sunia! No masz! Aport! Aport! Wybacz mi, chciałem powiedzieć, że nawet jeśli urządzenie istnieje, to nadal nie wolno go używać.

– Racja. Na tym świecie nie, ale jeśli zabierzemy je na mój...

– Znakomity pomysł! Tylko jak je zdobędziemy?

– Myślę, że najlepiej będzie odszukać Vissan i zapytać ją wprost. Co mamy do stracenia?

– Ale jak ją znajdziemy? Przecież nie ma Kompana.

– Lurt mówiła, że dawniej Vissan mieszkała w mieście o nazwie Kraldak. Wiesz, gdzie to jest?

– Oczywiście. Na północ od jeziora Duranlan, waszego Erie. Kraldak jest mniej więcej w tym samym miejscu co na twoim świecie Detroit.

– Skoro mieszka gdzieś w lesie, to może nie oddaliła się zbyt od tego miejsca, jak sądzisz?

– Możliwe. Bez Kompana nie mogła skorzystać z żadnego transportu.

– Lurt wspomniała jeszcze, że Vissan mogła sobie zbudować jakieś schronienie.

– To zrozumiałe.

– Moglibyśmy więc przestudiować zdjęcia satelitarne i odszukać na nich nowe zabudowania... takie, których nie ma na mapach sprzed czterech miesięcy.

– Chyba zapominasz, gdzie jesteś, kochana – upomniał ją Ponter. – Baraści nie mają satelitów.

– No tak. A niech to. A jakiś zwiad lotniczy? No wiesz, zdjęcia robione z samolotów?

– Samolotów też nie mamy, ale mamy helikoptery.

– Może więc po jej zniknięciu ktoś robił z helikoptera zdjęcia terenów, o które nam chodzi?

– Kiedy to dokładnie było?

– Lurt mówiła, że około czterech miesięcy temu.

– W takim razie na pewno tak. Latem borykamy się z problemem pożarów w lasach – tych wywołanych przez pioruny i tych spowodowanych przez ludzi. Dzięki zdjęciom z powietrza śledzimy ich przebieg.

– I można takie zdjęcia zdobyć?

– Hak?

W głowie Mary odezwał się głos Haka.

– Właśnie je ściągam – oznajmił Kompan. – Według archiwów alibi implant Vissan Lennet przerwał transmisję danych w dniu 148/101/17. Od tamtej pory w okolicach Kraldak przeprowadzono trzy powietrzne zwiady. Problem w tym, że chaty, którą łatwo da się dostrzec zimą, latem można nie zauważyć pod koronami drzew liściastych.

– Ale i tak spróbujesz, dobrze? – poprosiła Mary.

– Oczywiście.

– Pewnie i tak nic to nie da – westchnęła. – Jeśli to, co Lurt mówiła o kodonerze, jest prawdą, przypuszczam, że nie my pierwsi próbujemy namierzyć Vissan.

– Dlaczego?

– To chyba jasne: ludzie poddani przymusowej sterylizacji na pewno szukają możliwości obejścia kary, jaka została im wymierzona.

– Może i tak – odparł Ponter – ale odkąd Vissan wycofała się z życia w społeczności, upłynęło mało czasu, a wysterylizowanych osób nie ma znowu tak wiele. Poza tym nikt na tym świecie nie będzie się starał o dziecko przed następnym latem, więc...

– Przepraszam, że się wtrącam, ale coś znalazłem – odezwał się Hak.

– Co? – spytała Mary.

– Chatę, której szukamy, a dokładniej mówiąc budynek, którego nie ma na starszych mapach. Znajduje się około trzydziestu pięciu kilometrów na zachód od Kraldak. – Hak przełożył dla Mary neandertalskie jednostki miary. Ponter prawdopodobnie usłyszał coś w rodzaju: „70 tysięcy długości ramion”.

– Wspaniale! – ucieszyła się. – Ponterze, musimy się tam wybrać!

– Oczywiście.

– Możemy pojechać jutro?

– Mare... – Głos Pontera zabrzmiał surowiej.

– Co? Ach, no tak. Dwoje nie jest jeszcze Jednym, tylko że...

– Co takiego?

Westchnęła.

– Nie, nie, masz rację. W takim razie pojedziemy tam, kiedy Dwoje będzie Jednym?

– Oczywiście, kochana. Wtedy możemy robić wszystko, co tylko będziesz chciała.

– Świetnie. No to jesteśmy umówieni.

Między Bandrą i Mary wszystko układało się *simpatico* – Bandra uwielbiała to słowo. Lubiły spędzać spokojne wieczory w domu. Miały do omówienia niekończącą się listę tematów naukowych, ale rozmawiały również o sprawach osobistych.

Mary przypominało to pierwsze dni z Ponterem podczas kwarantanny w domu Reubena Montego. Dzielenie się myślami z Bandrą okazało się intelektualnie i emocjonalnie stymulujące. Barastka była cudownie ciepłą, życzliwą i zabawną osobą.

Czasem jednak rozmowy prowadzone w głównym pomieszczeniu domu Bandry przeradzały się – no, może nie w zaciekle kłótnie, ale na pewno w gorące wymiany zdań.

– Wiesz – stwierdziła raz Bandrą, sadowiac się na drugim końcu kanapy, na której siedziała Mary – tę przesadną potrzebę prywatności z pewnością podsycają wasze religie. Na początku sądziłam, że prywatność umożliwia wam oddawanie się pewnym przyjemnym czynnościom, które zostały zakazane. Nadal uważam, że po części tak właśnie jest, ale odkąd Powiedziałaś mi o mnogości waszych systemów wierzeń, nie mogę przestać myśleć, że nawet samo praktykowanie wiary mniejszości wymagało utajnienia. Pierwsi wyznawcy twojego systemu, chrześcijaństwa, spotykali się w tajemnicy przed innymi, zgadza się?

– Tak – przyznała Mary. – Najważniejszym dla nas dniem jest Boże Narodzenie, upamiętniające dzień narodzin Jezusa. Obchodzimy je 25 grudnia, zimą, choć Jezus przyszedł na świat wiosną. Wiemy o tym, ponieważ w Biblii powiedziane jest, iż stało się to wtedy, gdy pasterze czuwali nocą nad stadami, a tak jest tylko na wiosnę, kiedy rodzą się jagnięta. – Mary się uśmiechnęła. – Hej, to zupełnie tak jak u was. Też lubicie rodzić wiosną.

– Prawdopodobnie z tej samej przyczyny: aby potomstwo mogło trochę podrosnąć, zanim znowu nadejdzie zima.

Mary zebrało się na żarty.

– Wy, Baraści, przypominacie owce także pod innymi względami. Jesteście wyjątkowo łagodni.

– Tak nas widzisz?

– Nie prowadzicie wojen. Z tego, co widziałam, w waszym społeczeństwie w zasadzie nie ma przemocy. Chociaż... – Mary już miała

wspomnieć o nieszczęsnym zdarzeniu sprzed lat, którego rezultatem była roztrzaskana szczęka Pontera; na szczęście w porę umilkła.

– Może masz rację. Za to polujemy, oczywiście nie przez cały czas, chyba że na tym właśnie polega czyjś wkład w społeczeństwo. Taka forma aktywności pozwala pozbyć się agresji. Wyrzucamy ją z siebie. Jak wy byście to określili?

– Katharsis – odpowiedziała Mary. – Rozładowanie nagromadzonych uczuć.

– Katharsis! Jeszcze jedno wspaniałe słowo! Wystarczy rozwalić kilka zwierzęcych łbów albo oskrobać mięso z kości i człowieka ogarnia cudowny spokój.

Mary przez chwilę zastanawiała się, czy potrafiłaby zabić zwierzę w jakimkolwiek celu. Doszła do wniosku, że nie. Oczywiście komary się nie liczyły.

– My tego nie robimy.

– Wiem, uważacie to za niegodne cywilizowanych ludzi. Tymczasem my sądzimy, że między innymi właśnie dzięki temu cywilizacja mogła powstać.

– No, ale skoro mowa o prywatności... czy u was nikt nie wykorzystuje zupełnego jej braku? Nikt po kryjomu, w tajemnicy nie omija zabezpieczeń archiwów alibi i nie podgląda tego, co robicie?

– Po co miałyby to robić?

– Na przykład po to, żeby nie dopuścić do obalenia władzy.

– Dlaczego ktoś miałyby ją obalać? Przecież można zwyczajnie wybrać kogoś innego.

– No tak, dzisiaj można. Ale na pewno nie od początku mieliście demokratyczny ustrój.

– Tylko co?

– Plemiennych wodzów? Wojskowych dyktatorów? Imperatorów uważających siebie za bogów? Nie, tych ostatnich skreślmy. No, ale... – Mary zmarszczyła brwi. Ale co? Bez rolnictwa nie było granic terytorialnych, które wymagałyby obrony. Pierwsi ludzie uprawiający rolę mogli samodzielnie chronić te kilkaset akrów, ale dziesiątki tysięcy kilometrów kwadratowych terenów łowieckich to za wielki obszar, by mogła go strzec niewielka grupa.

Poza tym po co tego pilnować? Napad na gospodarstwo dawał natychmiastowy rezultat: zboża skradzione z pola lub ze spichlerza. Za to w zbieractwie i łowiectwie, jak wiele razy mówił Ponter, najbardziej liczyła się znajomość terenu: nikt nie mógł tak po prostu wejść na nowe terytorium i od razu z powodzeniem korzystać z jego zasobów. Taki ktoś nie wiedziałby, gdzie zwierzęta chodzą do wodopoju, gdzie ptaki składają jaja i gdzie rosną drzewa rodzące najwięcej owoców. Nie, ten styl życia sprzyjał raczej pokojowej wymianie dóbr. Podróżnemu o wiele łatwiej było przywieźć ze sobą coś, co miało wartość, i wymienić to na świeżo upolowanego zwierza, niż samemu polować.

Niemniej, gdyby zaszła taka potrzeba, każdy neandertalczyk na pewno potrafiłby samodzielnie zdobyć sobie jedzenie *f* tak jak Vissan, która teraz musiała radzić sobie ze wszystkim sama. Poza tym przy kontrolowanej wielkości populacji – praktykowanej przez Barastów od setek lat – nie brakowało wolnych terenów dla każdego, kto wolał działać w pojedynkę.

– Na pewno jednak zdarzały się sytuacje, kiedy ludziom nie podobała się wybrana przez nich władza i chcieli się jej pozbyć – zauważyła Mary.

– O tak, oczywiście.

– I co się wtedy działo?

– W dawnych czasach? Zanim oczyszczono pulę genów? Mieliśmy zamachy.

– No właśnie! I to powód, aby naruszyć prywatność innych osób: próba udaremnienia zamachu. Gdyby ktoś próbował cię zabić, chciałabyś mieć na tę osobę oko i uniemożliwić jej spiskowanie.

– Zamach nie wymaga żadnego spisku – stwierdziła Bandra, unosząc brew. – Po prostu podchodzi się do kogoś i rozwała mu się czaszkę. Wierz mi, dla wybranych reprezentantów to doskonała zachęta do tego, by dbać o zadowolenie swojego elektoratu.

Mary roześmiała się mimo woli.

– Ale przecież nawet gdy większość jest zadowolona, zawsze znajdują się wyjątki.

Bandra skinęła głową.

– I właśnie dlatego już dawno uznaliśmy za konieczne oczyszczenie puli genów z materiału genetycznego, który może prowadzić do antyspołecznych zachowań.

– Tylko że ta czystka puli genów... – Mary nie chciała, aby zabrzmiało to jak krytyka, lecz zdradził ją ton głosu. – Próbowałam rozmawiać o tym z Ponterem, ale to trudne. On tak ślepo popiera to rozwiązanie. A właśnie ono przyprawia moich ludzi o gęsią skórkę w jeszcze większym stopniu niż wasz brak prywatności.

– „Przyprawia o gęsią skórkę”! Och, wspaniałe powiedzenie!

– Mówię poważnie, Bandro. W przeszłości próbowaliśmy podobnych rozwiązań i... nigdy nie kończyły się dobrze. Rzecz w tym, że według nas nie sposób w takich sytuacjach uniknąć korupcji. Byli już tacy, którzy próbowali zetrzeć z powierzchni ziemi określone grupy etniczne.

Pisk Kompana.

– Grupy ludzi wyróżniających się pewnymi cechach, wynikającymi z ich pochodzenia geograficznego.

– Ale przecież różnorodność ma ogromną wartość genetyczną – zauważyła Bandra. – Ty, jako specjalistka w zakresie chemii życia, na pewno to wiesz.

– Owszem, ale... no, próbowaliśmy... to znaczy moi ludzie... nie, nie dosłownie moi, tylko źli ludzie, źli członkowie mojego gatunku, uciekali się do... do zbrodni, które nazywamy „ludobójstwem”. Próbowali doprowadzić do zagłady innych ras ludzkich i...

Cholera jasna – zachnęła się w myślach Mary. Dlaczego nie potrafiła konwersować z neandertalczykami o pogodzie? Po co zawsze poruszała tak okropne tematy? Gdyby umiała czasem zamknąć buzię na kłódkę...

– Ludobójstwo – powtórzyła Bandra, tym razem bez zachwyty. Nie musiała pytać, czy gatunek *Homo neanderthalensis* stał się pierwszą ofiarą ludobójstwa dokonanego przez *Homo sapiens*.

– Ale jak decydujecie, które cechy należy wyeliminować? – zastanowiła się Mary.

– To chyba oczywiste. Nadmierną agresję. Nadmierny egoizm. Skłonności do złego traktowania dzieci. Upośledzenia umysłowe. Predyspozycje do chorób genetycznych.

Mary pokręciła głową; wciąż nie mogła zapomnieć o tamtej przerwanej rozmowie z Ponterem.

– Według nas każdy ma prawo do posiadania potomstwa.

– Dlaczego? – spytała Bandra.

Mary zmarszczyła czoło.

– Bo to... to prawo każdego człowieka.

– To jest ludzkie pragnienie – zauważyła Bandra. – Ale czy prawo? Ewolucję umożliwia rozmnażanie się tylko niektórych członków populacji.

– Myślę, że dla nas przeciwdziałanie brutalności doboru naturalnego jest znamieniem cywilizacji.

- Ale przecież społeczność, jako całość, jest ważniejsza od jednostki.
- Sądzę, że w *przeważającej części* moi ludzie nie podzielają tego zdania. Przywiążemy olbrzymią wagę do indywidualnych praw i swobód.
- Olbrzymią wagę? Chyba raczej olbrzymią cenę? – Bandra pokręciła głową. – Słyszałam o tych wszystkich środkach bezpieczeństwa, jakie są konieczne na waszych terminalach transportowych, o wielkich liczbach egzekutorów, którzy pilnują waszych miast. Twierdzicie, że nie chcecie wojen, a poświęćcie ogromne środki na przygotowywanie się do nich i prowadzenie ich. Macie terrorystów i tych, którzy trudnią się uzależnianiem innych od substancji chemicznych. Macie plagę osób wykorzystujących dzieci, a do tego... wybacz mi, że tak mówię... a do tego wasz przeciętny iloraz inteligencji jest o wiele niższy od tego, jaki być powinien.
- Nigdy nie znaleźliśmy sposobu mierzenia ilorazu inteligencji, który nie byłby kulturowo tendencyjny.
- Bandra zamrugła ze zdziwieniem.
- Jak inteligencja może być kulturowo tendencyjna?
- Hm, jeśli na przykład zapytasz przeciętnie inteligentne dziecko z bogatej rodziny, jakie słowo pasuje do słowa „filizanka”, odpowie, że „spodek”. Spodki to takie małe talerzyki, na których stawia się filizanki z kawą... z gorącym napojem. Ale jeśli o to samo spytasz przeciętnie inteligentne dziecko z biednej rodziny, może nie znać odpowiedzi, bo możliwe, że jego rodziców nie było stać na spodki.
- Inteligencja to nie jakiś tam sprawdzian wiedzy ogólnej – stwierdziła Bandra. – Są znacznie lepsze metody pozwalające określić jej poziom. My badamy liczbę połączeń nerwowych powstałych w mózgu. Ich liczba jest dobrym, obiektywnym wskaźnikiem.
- Ale ludzie, którym odmówiono prawa do posiadania potomstwa z powodu niedostatecznej inteligencji, na pewno byli z tego powodu

niezadowoleni.

– Owszem, lecz z definicji nietrudno było nimi manipulować.

Mary poczuła nieprzyjemny dreszcz.

– Ale...

– Nie zapominaj, jak wygląda nasza demokracja: pozwalamy głosować tylko tym, którzy ukończyli 600 miesięcy, czyli osiągnęli dwie trzecie przeciętnej długości życia. To jest... Delka?

– Czterdzieści osiem lat – odpowiedziała Delka, Kompan Bandry.

– W przypadku większości kobiet jest to wiek, w którym nie mogą mieć więcej dzieci. Także mężczyźni w tym wieku zwykle już nie płodzą potomstwa. Dlatego osoby, które uczestniczyły w głosowaniu na temat inteligencji, podejmowały decyzję, która nie dotyczyła bezpośrednio ich samych.

– To nie demokracja, jeśli prawo do głosu ma jedynie mniejszość.

Bandra zmarszczyła czoło, jakby próbowała zrozumieć uwagę Mary.

– U nas wszyscy mają takie prawo, tyle że nie przez całe życie. Poza tym, odmiennie niż na twoim świecie, nigdy nie odmówiliśmy człowiekowi w odpowiednim wieku prawa głosu ze względu na płeć bądź kolor skóry.

– Ale przecież ci, którzy w tej sprawie głosowali, musieli martwić się o swoje dzieci, które były w wieku rozrodczym i nie mogły głosować.

Bandra zawahała się na moment. Mary to zastanowiło. Do tej pory jej neandertalska przyjaciółka odpowiadała pewnie.

– Każdy ma nadzieję, że przyszłość jego dzieci będzie szczęśliwa, i dla każdego jest to ważne – powiedziała w końcu. – Ale głosowanie odbyło się, zanim przeprowadzono testy inteligencji. Teraz chyba już rozumiesz. Na podstawie referendum podjęto decyzję, aby przez dziesięć kolejnych generacji uniemożliwić prokreację dolnym pięciu procentom ludności. Znajdź mi rodzica, który uważa, że jego dziecko znajdzie się akurat w tych

najniższych pięciu procentach. To niemożliwe! Głosujący naturalnie zakładali, że ich dzieci ten zakaz nie obejmie.

– Tymczasem niektórych to dotknęło.

– Tak. Niektórych tak. – Bandra nieznacznie wzruszyła ramionami. – Ale tu chodziło o dobro społeczeństwa, rozumiesz?

Mary pokręciła głową.

– Moi ludzie nigdy by na coś takiego nie wyrazili zgody.

– Za to teraz już nie musimy się przejmować pulą genów. Tylko czasem zdarzają się wyjątki. Po dziesięciu pokoleniach restrykcje zostały zniesione. Większość chorób genetycznych usunięto na dobre, z nadmierną agresją także w zasadzie się uporano, a średnia inteligencja znacznie się poprawiła. Oczywiście nadal rozkłada się ona według krzywej dzwonowej, ale skończyło się na... Jak wy to nazywacie? Mamy takie pojęcie w statystyce: pierwiastek kwadratowy ze średniej pierwiastków odchyień od średniej arytmetycznej...

– Odchylenie standardowe – stwierdziła Mary.

– Aha. No właśnie. Po dziesięciu generacjach przeciętna inteligencja przesunęła się o całe odchylenie standardowe w lewo.

Mary już miała zamiar powiedzieć „chyba w prawo”, ale w porę przypomniała sobie, że neandertalczyki czytają od prawej strony do lewej, a nie od lewej do prawej.

– Naprawdę? Aż o tyle? – zdziwiła się.

– Tak. Nasi najgłupszy ludzie są teraz tak samo inteligentni jak dawniej przeciętnie inteligentni członkowie naszego społeczeństwa.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, by u nas zaakceptowano odgórne decyzje na temat tego, kto może posiadać potomstwo. – Mary pokręciła głową.

– Ależ ja nie bronię naszej metody – powiedziała Bandra. – Macie doskonałe powiedzenie: „Każdy orze, jak może”. – Uśmiechnęła się szeroko i ciepło. – No, dość już tych poważnych tematów. Wieczór jest piękny! Może pójdziemy na spacer? Potem opowiesz mi wszystko o sobie.

– Co chciałabyś wiedzieć?

– Wszystko. Wszyściusięńko. Co do joty. Od deski do deski...

Mary się roześmiała.

– Rozumiem – powiedziała, wstając z kanapy.

ROZDZIAŁ 17



Jak mogło do tego dojść? Jak mogliśmy zrezygnować z najszlachetniejszych dążeń, które doprowadziły nas nad wąwozu Oldwai do księżycowych kraterów? Otóż przestaliśmy pragnąć więcej. Wiek, który niedawno się skończył, był świadkiem większych postępów w sferze ludzkiego bogactwa, dobrobytu, zdrowia, długowieczności, technologii i wygod materialnych niż całe czterdzieści tysięcy lat przed nim...

Mary z czasem przyzwyczała się do nowego porządku dnia: rankami i popołudniami studiowała neandertalską genetykę razem z Lurt i innymi specjalistkami w tej dziedzinie, a wieczory spędzała w przytulnym domu Bandry.

Zawsze uważała, że ma za szerokie biodra, ale miednica u neandertalskich kobiet była jeszcze szersza. Pamiętała, jak kiedyś Erik Trinkaus zasugerował, że u neandertalczyków ciąża mogła trwać jedenaście lub dwanaście miesięcy, ponieważ szersze biodra pozwalały na urodzenie większego dziecka. Później jednak zarzucono ten pogląd, kiedy kolejne badania wykazały, że inne ukształtowanie miednicy neandertalczyków wynikało z ich sposobu chodzenia. Uważano, że poruszali się rozkołysanym krokiem, tak jak kowboje z Dzikiego Zachodu. Teraz Mary mogła zobaczyć to na własne oczy.

Neandertalskie siodłowe krzesła były dla niej niewygodne. Ponieważ większość Barastów miała golenie krótsze od ud, popularne u nich krzesła miały siedziska trochę za blisko ziemi, jak na jej gust. Dlatego poprosiła,

aby znajoma Lurt zrobiła dla niej nowy fotel z ramą z sękatej sosny i wygodnymi poduszkami pod plecy i siedzenie.

Tego dnia Bandra wróciła do domu pierwsza. Odpoczywała w swojej sypialni, ale wyszła stamtąd, kiedy Mary stanęła w drzwiach.

– Cześć, Mare – powiedziała. – Tak mi się wydawało, że czuję twój zapach.

Mary się uśmiechnęła. Naprawdę zaczynała się do tego wszystkiego przyzwyczajać!

– Spójrz! – Bandra wskazała mebel. – Przywieziono twój fotel! Musisz go wypróbować.

Mary powoli usiadła na wyściełanym siedzeniu.

– No i jak?

– Jest cudowny! – przyznała, wypróbowując różne pozycje. – Naprawdę. Bardzo wygodny.

– Zgodnie z zaleceniem lekarza! – oznajmiła Bandra, po czym zdumiała Mary, podnosząc dłonie z wystawionymi do góry kciukami.

– Jak najbardziej! – roześmiała się Mary.

– Wart wszystkich pieniędzy! Ideał!

– Z całą pewnością tak.

– Aha. – Bandra była w doskonałym humorze. – Bingo! W dechę! – zadeklarowała i uśmiechnęła się do Mary, która też odpowiedziała jej ciepłym uśmiechem.

Jeszcze tego samego wieczoru Mary poddała nowy mebel dłuższemu testowi, zwijając się na nim zjedną z książek, które kupiła w księgarni na Laurentian University.

Bandra pracowała nad nowym malunkiem ptaka. W końcu jednak uznała, że przyszedł czas na przerwę. Podeszła do Mary i stanęła za nią.

– Co czytasz?

Mary instynktownie pokazała jej książkę, ale w tym samym momencie uświadomiła sobie, że Bandra nie potrafi przeczytać tytułu – choć biorąc pod uwagę jej zachwyty językiem angielskim, należało się spodziewać, że wkrótce zacznie się go uczyć.

– To *Posiadacz* – wyjaśniła. – Autorem jest John Galsworthy. Na moim świecie zdobył najwyższą nagrodę dla pisarzy, Nobla w dziedzinie literatury. – Colm od lat polecał jej dzieła Galsworthyego, ale Mary postanowiła je przeczytać dopiero gdy jej siostra Christine zachwyciła się nową adaptacją BBC *Sagi rodu Forsytheów*. *Posiadacz* był pierwszym tomem tej serii.

– O czym to jest?

– O bogatym prawniku żonatym z piękną kobietą. Prawnikiem wynajmuje architekta, żeby zbudować dom na wsi, ale jego żona wdaje się z tym człowiekiem w romans.

– Aha – odezwała się Bandra. Mary spojrzała na nią, uśmiechnęła się i spróbowała raz jeszcze wyjaśnić fabułę.

– To książka o zawłościach relacji między Gliksinami.

– Prze czytasz mi fragment? – spytała Bandra.

Jej prośba zaskoczyła Mary, ale też sprawiła jej przyjemność.

– Oczywiście.

Bandra usiadła okrakiem na siodłowym krześle naprzeciwko Mary i oparła ręce o kolana. Mary zaczęła cicho czytać tekst, a Christine przekładała go na neandertalski.

Większość ludzi gotowa uważać małżeństwo takie jak związek Soamesa i Ireny za najszcześliwiej dobrane: on wnosił majątek – ona urodę; doskonale warunki do wzajemnych ustępstw. Nie istnieje powód, dla

którego by nie mogli ciągnąć pospołu taczki życia, chociażby mieli się wzajem nienawidzić. Mniejsza o to, jeżeli każde z nich pójdzie własną drogą, byleby nie zostały przekroczone granice przyzwoitości, byleby uszanowana została świętość węzłów małżeńskich, nienaruszalność ogniska domowego. Połowa małżeństw wśród wyższych warstw klasy średniej opiera się na następujących zasadach: nie obrażać poczucia przyzwoitości społeczeństwa oraz drażliwości Kościoła. Aby uniknąć tego, warto poświęcić własne uczucia. Korzyści ustalonego ogniska rodzinnego są widoczne i namacalne – składa się na nie tyle obiektów posiadania! Utrzymanie status quo nie grozi żadnym ryzykiem. Zburzenie ogniska rodzinnego jest w najlepszym razie wielce niebezpiecznym, w dodatku czysto egoistycznym eksperymentem.

Ten punkt nadawał się do obrony i młody Jolyon westchnął.

„Sedno całej tej sprawy – pomyślał – to własność, lecz wiele ludzi wolałoby nie stawiać jej na tej płaszczyźnie. W ich pojęciu idzie wyłącznie o «świętość węzłów małżeńskich». Ale podstawą świętości węzłów małżeńskich jest świętość rodziny, a świętość rodziny oparta jest na świętości posiadania. A przecie wszyscy ci ludzie są wyznawcami Tego, który nic nigdy nie posiadał na własność. Ciekawe!”

I młody Jolyon ponownie westchnął...

[*Saga rodu Forsythe'ów*, t. I: *Posiadacz*, PIW 1972. Przekład: Róża Centnerszwerowa]

– Interesujące – przyznała Bandra, gdy Mary przerwała lekturę.

Mary się roześmiała.

– Na pewno mówisz tak tylko przez grzeczność. Dla ciebie to muszą być same bzdury.

– Nie. Nie. Myślę, że rozumiem. Ten mężczyzna... Soames, tak? ... żyje z tą kobietą, tą...

– Ireną – odpowiedziała Mary.

– Ale w ich związku nie ma ciepła. On potrzebuje znacznie więcej intymności niż ona.

Mary z podziwem skinęła głową.

– Zgadza się.

– Podejrzewam, że takie problemy są uniwersalne – stwierdziła Bandra.

– Pewnie tak. Prawdę mówiąc, utożsamiam się z Ireną. Poślubiła Soamesa nie wiedząc, czego tak naprawdę pragnie. To tak jak ja Colma.

– A teraz już znasz swoje pragnienia?

– Wiem, że pragnę Pontera.

– Ale nie możesz mieć tylko jego samego. On ma Adikora i córki.

Mary zagięła róg strony i zamknęła książkę.

– Wiem – odparła cicho.

Bandra wyczuła, że zasmuciła towarzyszkę.

– Przepraszam – powiedziała. – Zrobię sobie coś do picia. Ty też się czegoś napijesz?

Mary wiele by dała za lampkę wina, ale neandertalczyki nie znali takich trunków. Ze swojego świata zabrała za to kilową puszkę rozpuszczalnej kawy. Zwykle nie pijała kawy wieczorami, ale w neandertalskich domach temperatura wynosiła 16 stopni – Gliksini i Baraści stosowali taką samą skalę: różnicę między punktem topnienia i temperaturą wrzenia dzielono na sto części. Mary wolała mieć w domu 20 lub 21 stopni. Pomyślała, że czara kawy na pewno ją rozgrzeje.

– Pomogę ci – zaproponowała i razem przeszły do strefy przygotowywania posiłków.

Na swojej Ziemi Mary zwykle miała pod ręką czekoladowe mleko. Tutaj nie mogła go dostać, ale przywiozła pudełko mleka w proszku i rozpuszczalną czekoladę. Połączenie tych składników z ulubioną przez nią kawą Maxwell House dało smak zbliżony do tego, jaki lubiła.

Po chwili wróciły do głównego pokoju. Jego podłogę pokrywał mech. Bandra usiadła na jednej z lekko łukowatych kanap wyrastających ze ścian pomieszczenia. Mary chciała z powrotem usiąść w fotelu, ale uświadomiła sobie, że nie ma gdzie odstawić naczynia z kawą. Dlatego wzięła *Posiadacza* – Colm zdenerwowałby się, widząc połamany grzbiet książki i ośle uszy – i zajęła drugi koniec kanapy, stawiając kawę na sosnowy stolik przed sobą.

– Na twoim świecie mieszkasz sama. – To nie było pytanie; Bandra już o tym wiedziała.

– Tak. Mam mieszkanie w bloku. To takie prywatne po koje w dużym budynku, którego właścicielami są wszyscy jego mieszkańcy. Prawie dwieście osób.

– Dwieście osób! Jak duży jest ten dom?

– Ma dwadzieścia dwa piętra... dwadzieścia dwa poziomy. Ja mieszkam na siedemnastym.

– Na pewno masz wspaniałe widoki!

– Rzeczywiście. – Mary uświadomiła sobie, że odpowiedziała odruchowo. Z okien widziała przecież beton i szkło, budynki i autostrady. Niegdyś odpowiadało jej to, ale teraz jej upodobania zaczęły się zmieniać.

– I co się teraz dzieje z tym miejscem?

– Nadal jest moją własnością. Kiedy postanowimy z Ponterem, co chcemy robić na dłuższą metę, podejmę decyzję co do mieszkania. Być może je zatrzymamy.

– A jakie macie zamiary?

– Sama chciałabym wiedzieć. – Mary podniosła naczynie i upiła łyk kawy. – Tak jak mówiłaś, w grę wchodzi nie tylko Ponter.

– Ty też nie powinnaś być sama – powiedziała Bandra, spuszczać wzrok.

– Słucham?

– Ty też nie powinnaś być sama. Jeśli chcesz się stać częścią tego świata, nie powinnaś być sama o tej porze miesiąca.

– Hm. Na moim świecie większość ludzi czuje pociąg wyłącznie do płci przeciwnej.

Bandra na chwilę podniosła głowę, po czym znowu wlepiła wzrok w podłogę.

– I nie ma związków między kobietami?

– Oczywiście, że są, czasami. Ale przeważnie kobiety żyjące w takich związkach nie mają partnerów mężczyzn.

– Tutaj tak nie jest.

– Wiem – powiedziała cicho Mary.

– Ja... my... między nami dobrze się układa...

Mary poczuła, że cała drętwieje.

– Tak, to prawda – przyznała.

– Tutaj dwie kobiety mieszkające razem, jeśli się lubią i nie są spokrewnione genetycznie, stają się... – nagle duża dłoń Bandry znalazła się na kolanie Mary – ... stają się sobie bliskie.

Mary spojrzała na tę dłoń. W przeszłości zdarzało jej się spychać z kolan ręce mężczyzn, ale...

Nie chciała urazić Bandry, która była tak miła, że zgodziła się przyjąć ją pod swój dach.

– Bandro, ja... ja nie czuję pociągu do kobiet.

– Może to... to tylko... – Bandra szukała odpowiedniego określenia – ... tylko uwarunkowanie kulturowe.

Mary zmarszczyła brwi. Może rzeczywiście tak było, ale to niczego nie zmieniało. Wprawdzie kiedy miała trzynaście czy czternaście lat, całowała się z koleżankami, ale po prostu ćwiczyły wtedy pocałunki, bo nie chciały się skompromitować przed chłopakami.

Przynajmniej tak to sobie tłumaczyły, choć...

Choć rzeczywiście na swój sposób było to przyjemne.

Jednak...

– Przykro mi, Bandro. Nie chcę być nieuprzejma, ale nie jestem zainteresowana.

– Wiesz – Bandra spojrzała Mary w oczy, a potem odwróciła wzrok – nikt nie potrafi zadowolić kobiety tak jak druga kobieta.

Serce Mary drgnęło.

– Na pewno tak jest, ale... – Delikatnie zdjęła dłoń Bandry ze swojego kolana. – Ale to nie dla mnie.

Bandra kilka razy skinęła głową.

– Jeśli zmienisz zdanie... – Pozostawiła tę myśl niedokończoną i dopiero po chwili dodała: – Gdy Dwoje nie jest Jednym, można się czuć bardzo samotną.

To z pewnością prawda – pomyślała Mary, ale nic nie powiedziała.

– Pójdę już spać – rzekła w końcu Bandra. – Wy sobie życzycie „miłych snów”, tak?

Mary zdołała się uśmiechnąć.

– Tak. Dobranoc, Bandro.

Wzrokiem odprowadziła neandertalską przyjaciółkę do drzwi jej sypialni. Sama miała oddzielny pokój, który dawniej należał do młodszej córki Bandry, Dranny. Pomyślała, że może też powinna się już położyć, ale

potem zmieniła zdanie i postanowiła jeszcze trochę poczytać. Miała nadzieję, że dzięki temu przestanie myśleć o tym, co się wydarzyło.

Wzięła do ręki *Posiadacza* i otworzyła książkę na zagiętej stronie. Ton prozy Galsworthy'ego wydawał się kpiący, ironiczny. Nie tylko neandertalczyki dostrzegali wady w Gliksinach. Wróciła do lektury, z przyjemnością zagłębiając się w znakomite opisy życia zamożnej klasy średniej w wiktoriańskiej Anglii. Autor bez wątpienia potrafił posługiwać się słowem i...

O Boże...

Z walącym sercem zatrzasnęła książkę.

Boże.

Głęboko wciągnęła powietrze, wypuściła je i raz jeszcze odetchnęła.

Soames właśnie...

Serce podjechało jej do gardła.

Może źle coś zrozumiała. W końcu przecież proza nie była dosłowna. Poza tym przy jej obecnym stanie umysłu...

Otworzyła tom ostrożnie, niepewnie, tak jak zrobiłby to Colm, i odnalazła miejsce, w którym przerwała lekturę. Oczami przebiegła raz jeszcze po zwartej czcionce i...

Nie, nie miała cienia wątpliwości. Soames Forsythe, Posiadacz, właśnie dowiódł, że traktuje swoją żonę, Irenę, jak własność. Wyraźnie nie interesowała się ani nim, ani małżeńskim łóżem, więc ją zgwałcił.

Do tej chwili Mary czytała z przyjemnością – sceny potajemnego romansu Ireny z architektem Bosinneyem przypominały trochę jej własny, dziwny, zakazany związek z Ponterem. Ale...

Gwałt.

Nie mogła winić Galsworthyego. Takie zachowanie pasowało do Soamesa.

Właśnie tak postąpiłby mężczyzna.

Odłożyła książkę na stolik, obok naczynia z ostygłą kawą. Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że wpatruje się w drzwi sypialni Bandry. Bóg wie, jak długo się im przyglądała. W końcu wstała z kanapy i wróciła do swojego pokoju, w samotność, w ciemność.

ROZDZIAŁ 18



Tutaj, w Ameryce Północnej, a także w Japonii i w Europie, i w Rosji, i na całym naszym wspaniałym świecie przeważnie żyje nam się teraz lepiej niż kiedykolwiek przedtem – i jakość życia wciąż się poprawia...

Wreszcie nadszedł ten czas! Dwoje znowu stało się Jednym. Mary wraz z dziesiątkami kobiet czekała na otwartej łące na mężczyzn, którzy łąda moment mieli przybyć. Była tu Lurt z małym Dabem. I Jasmel, starsza córka Pontera – ale ona wyglądała przede wszystkim swojego partnera, Tryona. Mega, młodsza córka Pontera, wypatrywała taty. Mary stała obok dziewczynki, trzymając ją za rękę. Odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że opiekunka małej, Daklar Bolbay, nie przysłała. Ta kobieta narobiła już dość kłopotów Mary, Ponterowi i Adikorowi.

W końcu pojawił się poduszkobus. Gdy Ponter i Adikor wysiedli, Mary podbiegła do swojego mężczyzny. Przytulili się i polizali się po twarzach. Potem Ponter uściskał obie córki i posadził sobie Mega na ramionach. Adikor zniknął gdzieś ze swoją partnerką i synem.

Ponter przyjechał z trapezową walizką, którą zwykle Zabierał w podróże na drugą Ziemię. Mary wzięła bagaż, bo on niósł Mega.

Wcześniej za pośrednictwem Kompanów ustalili, że wyruszą na poszukiwanie Vissan trzeciego dnia wakacyjnej przerwy. Według prognozy pogody w Saldak miało wtedy padać, ale w Kraldak zapowiadano bezchmurne niebo.

Mary, Ponter i Mega spędzili razem wspaniały ranek. Wprawdzie robiło się już coraz chłodniej i drzewa zmieniły kolor, ale powietrze było rześkie i czyste. Po lunchu Mega pobiegła bawić się z przyjaciółmi, a Mary i Ponter udali się do domu Bandry. Neandertalczycy bardzo otwarcie traktowali sprawy seksu, ale Mary nie czułaby się swobodnie, wiedząc, że w domu jest ktoś oprócz niej i Pontera. Na szczęście na razie mieli cały tylko dla siebie, bo Bandra zapowiedziała, że wróci z Harbem, swoim partnerem, dopiero wieczorem.

Seks jak zawsze był bajeczny. Mary kilkakrotnie szczytowała. Kiedy już się sobą nasycili, wzięli wspólną kąpiel, z czułością myjąc się nawzajem. Potem ułożyli się wygodnie na stosie poduszek i oddali się rozmowie. Teraz to Christine tłumaczyła słowa Mary.

Większą część popołudnia spędzili na przytulaniu się, rozmowach i spacerowaniu. Po prostu cieszyli się swoim towarzystwem. Obejrzeni też krótką sztukę komediową. Neandertalczycy uwielbiali teatr. Elektryczne wentylatory na tyłach sceny pchały feromony wykonawców ku widowni, jednocześnie usuwając z sali feromony widzów.

Potem zegrali w neandertalską grę planszową o nazwie *partanlar*. Przypominała skrzyżowanie warcabów z szachami. Wszystkie pionki wyglądały identycznie, ale sposób, w jaki mogły się poruszać, zależał od tego, na którym ze stu pól planszy się znajdowały.

Obiad zjedli w restauracji prowadzonej przez dwie starsze kobiety, które nie miały już partnerów. Ze smakiem spałaszowali pyszną dziczyznę, wspaniałe sałatki z pinioli, liści paproci i smażonych bulw oraz gotowane kacze jaja. Jak gdyby nigdy nic siedzieli sobie na wyściełanej kanapie w głębi restauracyjnej sali i karmili się nawzajem. Oczywiście używali neandertalskich rękawiczek stołowych.

– Kocham cię – powiedziała Mary, przytulając się do Pontera.

– A ja ciebie – odparł. – Bardzo.

– Szkoda... szkoda, że Dwoje jest Jednym tylko przez kilka dni.

– Kiedy jestem z tobą, też chciałbym, aby te chwile trwały zawsze. –

Ponter pogładził Mary po włosach.

– Niestety, kiedyś muszą się skończyć – westchnęła. – Nie wiem, czy zdołam się tu zadomowić na stałe.

– Nie ma rozwiązań idealnych, ale mogłabyś...

Mary wyprostowała się i spojrzała na niego.

– Co chciałeś powiedzieć?

– Mogłabyś wrócić na swój świat.

Poczła ukłucie w sercu.

– Ponterze, ja...

– Mogłabyś wracać tam na dwadzieścia pięć dni w miesiącu i przyjeżdżać tutaj, gdy Dwoje staje się Jednym. Obiecuję ci, że za każdym razem będę się starał dać ci cztery dni pełne miłości, zabawy i namiętności.

– Ale... – Zmarszczyła czoło. Wolałaby znaleźć rozwiązanie, które pozwoliłoby im zawsze być razem. Tylko że to wydawało się niemożliwe. – Podróżowanie między Toronto i Sudbury byłoby uciążliwe – przyznała. – A do tego dochodzą procedury dekontaminacji, którą trzeba przechodzić w obie strony i...

– Zapominasz, kim jesteś – zauważył Ponter.

– S-słucham?

– Jesteś Mare Vaughan.

– I?

– Jesteś tą Mare Vaughan. Każda akademia... hm, wybacz, każdy uniwersytet chętnie cię zatrudni.

– No właśnie, z pracą wiąże się kolejny problem. Nie mogę co miesiąc brać czterech dni wolnego.

- Znowu nie doceniasz swoich możliwości.
 - Jak to?
 - Chyba prawidłowo zrozumiałem tryb waszej pracy. Zajęcia akademickie trwają mniej więcej osiem miesięcy w roku, tak?
 - Owszem. Od jesieni do wiosny.
 - Czyli że cztero – lub pięciokrotnie Dwoje stanie się Jednym, gdy nie będziesz miała zajęć na uniwersytecie. Z pozostałych ośmiu razy kilka częściowo obejmie pierwszy i ostatni dzień waszych siedmiodniowych części miesiąca, a wtedy i tak nie pracujesz.
 - Mimo to...
 - Mimo to pozostaną jeszcze dni, podczas których będziesz zmuszona opuścić zajęcia.
 - Właśnie. I nikt nie zrozumie tego, że...
 - Wybacz mi, kochana, ale każdy to zrozumie. Już przed tą wizytą więcej niż inni Gliksini wiedziałaś o genetyce samych neandertalczyków i lepiej znałaś naszą ogólną wiedzę z tej dziedziny. Byłabyś największym skarbem każdego uniwersytetu i na pewno dałoby się dostosować plan zajęć do twoich potrzeb.
 - Mam wrażenie, że zbyt lekceważysz trudności.
 - Tak? Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Trzeba spróbować.
- Mary zacisnęła wargi, myśląc intensywnie. Ponter miał rację, na pewno nie szkodziło zapytać.
- Wciąż jednak pozostaje sprawa podróży z Toronto do Sudbury, zwłaszcza jeśli do jazdy samochodem dodamy czas, jaki zabiera dotarcie do portalu. Z czterech dni zrobi się sześć.
 - Tylko jeżeli nadal będziesz mieszkała w Toronto. Ale możesz przecież kontynuować swój wkład w społeczność na Laurentian University w

Sudbury. Już cię tam znają, bo pracowałam w tamtejszym laboratorium podczas mojego pierwszego pobytu na twoim świecie.

– Laurentian... – Mary wypróbowała brzmienie tego słowa, zastanawiając się nad takim rozwiązaniem. Był to cudowny, mały uniwersytet z pierwszorzędnym wydziałem genetyki, no i prowadzono tam fascynujące ekspertyzy z zakresu medycyny sądowej...

Medycyna sądowa.

Gwałt. Ten piekielny gwałt.

Wątpiła, aby jeszcze kiedyś mogła się poczuć komfortowo na York University. Tam musiałaby stawić czoło Corneliusowi Ruskinowi, a poza tym pracowałaby z Qaiser Remtullą, drugą kobietą zgwałconą przez Ruskina. Być może do tego gwałtu by nie doszło, gdyby Mary zgłosiła policji, że została zaatakowana. Teraz za każdym razem, gdy myślała o Qaiser, dręczyło ją poczucie winy. Perspektywa pracy z nią wydawała się przytłaczająca – a perspektywa pracy z Ruskinem zupełnie ją przerażała.

Ponter zaproponował bardzo sensowne rozwiązanie.

Mogła wykładać genetykę na Laurentian...

I mieszkać niedaleko kopalni Creighton – pierwszego portalu między światami...

Poza tym wolała cztery dni w miesiącu w towarzystwie Ponter a niż pełnoetatowy związek z innym mężczyzną...

– Ale... ale co z generacją 149? Co z naszym dzieckiem? Nie mogłabym znieść myśli o tym, że mogłabym je widywać tylko kilka dni w miesiącu.

– Według naszych zwyczajów dzieci mieszkają z matkami.

– Chłopcy tylko do ukończenia dziesiątego roku życia. Potem przenoszą się do ojców, tak jak Dab, który niedługo zamieszka z wami. Chyba nie potrafiłabym pogodzić się z tym, że moje dziecko musi mnie opuścić zaledwie po dziesięciu latach.

Ponter pokiwał głową.

– Skoro i tak konieczne będzie manipulowanie chromosomami, abyśmy w ogóle mogli mieć dziecko, to przypuszczam, że wybór płci okaże się przy tym prostą sprawą. Dziewczynka mieszkałaby z matką do ukończenia dwustu dwudziestu pięciu miesięcy, czyli osiemnastu lat. Nawet na twoim świecie dzieci zostają do tego czasu z rodzicami, mam rację?

Mary kręciło się w głowie.

– Uczony Boddicie, jesteś geniuszem – powiedziała w końcu.

– Staram się, jak mogę, Uczona Vaughan.

– Rozwiązanie nie jest może idealne...

– Nie ma rzeczy idealnych.

Mary musiała się z tym zgodzić. Przytuliła się do Pontera, a potem powoli polizała go po lewym policzku.

– Wiesz – powiedziała, przytulając twarz do jego zarostu – to może się udać.

ROZDZIAŁ 19



Pozwoliliśmy sobie na chwilę odpoczynku, cieszyliśmy się kilkoma dekadami dobrobytu po okresie zimnej wojny i oddaliśmy się jednej z ulubionych przyjemności naszego gatunku ludzkości: przystanęliśmy na chwilę, aby poczuć zapach róż...

Po wyjściu z restauracji odszukali Mega i przez jakiś czas się z nią bawili. Wkrótce jednak przyszła pora spania i dziewczynka musiała wrócić do swojej opiekunki, Daklar Bolbay. To podsunęło Mary pewien pomysł: ona i Ponter mogli spędzić noc w domu Pontera, na Obrzeżach. Adikor i tak zostawał w Centrum, a Bandra i Harb mieliby cały dom dla siebie. Pontera zaskoczyła taka propozycja – po prostu kobieta nie miała zwyczaju odwiedzać domu mężczyzny. No, ale Mary była u niego już dwa razy, a poza tym kiedy wyjaśniła mu, że nie lubi się kochać, gdy obok znajduje się ktoś jeszcze, szybko się zgodził i wezwał sześcian podróżny.

Po cudownym seksie Mary przygotowała sobie kąpiel w okrągłej, zagłębionej w podłożu wannie, a Ponter usiadł na krześle. Udawał, że coś czyta w elektronicznym notesie, ale Mary zauważyła, że wpatruje się w jeden punkt. Pabo drzemała cicho u stóp pana.

Ponter przyjął inną pozycję, niż zrobiłby to mężczyzna *Homo sapiens*. Nie podparł długiej szczęki na ugiętej dłoni. No, oczywiście proporcje jego ramienia nie były normalne. Nie, do cholery, nie! „Normalne” nie było odpowiednim słowem. Może po prostu klasyczna poza „Myśliciela” Rodina

nie odpowiadała neandertalczykowi. Poza tym – dlaczego nie zwróciła na to uwagi wcześniej? – kłykcie potyliczne dodatkowo obciążały tył jego głowy, idealnie równoważąc ciężką twarz. Może więc nie podpierał szczęki, kiedy się zamyślał, ponieważ nie czuł takiej potrzeby.

Tak czy inaczej, siedział pogrążony w zadumie.

Mary wyszła z wanny i wytarła się ręcznikiem, a potem naga przeszła przez łazienkę i przysiadła na szerokiej poręczy fotela.

– Co byś chciał za wyjawienie swoich myśli? – spytała.

– Wątpię, by były wiele warte. – Ponter zmarszczył czoło.

Uśmiechnęła się i pogłaskała jego umięśnione ramię.

– Coś cię dręczy?

– Dręczy? – Ponter wypróbował nowe słowo. – Nie, nie. Po prostu zastanawiam się nad czymś.

Objęła ręką szerokie ramiona ukochanego.

– Czy ma to związek ze mną?

– Po części tak.

– Ponterze, postanowiliśmy spróbować... być razem. Ale aby to się udało, musimy ze sobą rozmawiać.

Wyglądał na szczerze zatroskanego. Zrobił minę, jakby chciał powiedzieć: „Sądzisz, że tego nie wiem?”.

– I? – spytała.

– Pamiętasz Veronicę Shannon?

– Oczywiście, z Laurentian University. – Kobietę, dzięki której Mary ujrzała Maryję.

– Jej praca... nasuwa pewne wnioski. Udało jej się określić pewne struktury w mózgu *Homo sapiens* odpowiedzialne za skłonności religijne.

Mary zrobiła głęboki wdech. Taka myśl nie podobała jej się, ale jednocześnie natura naukowca nie pozwalała jej zignorować tego, co

pokazała Veronica.

– Może i tak – odparła, wypuszczając z płuc powietrze.

– Skoro więc znana jest przyczyna religijności, to...

– To co?

– To może dałoby się z niej wyleczyć.

Jej serce na moment zamarło. Przez chwilę myślała, że z wrażenia spadnie z poręczy fotela.

– Wyleczyć – powtórzyła, tak jakby to słowo wypowiedziane jej głosem mogło się stać bardziej strawne. – Ponterze, nie można wyleczyć z religii. To nie jest choroba.

Nie odpowiedział, ale ze swego miejsca na poręczy Mary zauważyła, jak jego brew wędruje nad wał nadoczodołowy, tak jakby chciał spytać: „Czyżby?”.

Wolała coś powiedzieć, zanim on wypełni pustkę kolejnymi opiniami, których nie chciała słyszeć.

– Religia jest częścią mnie – oznajmiła.

– Ale z jej powodu na twoim świecie dzieje się tyle zła.

– I tyle dobra.

Ponter obrócił głowę tak, by na nią spojrzeć.

– Sama prosiłaś mnie, żebym ci powiedział, o czym myślę. Ja wolałem zachować to dla siebie.

Zmarszczyła czoło. Gdyby rzeczywiście chciał zachować te myśli tylko dla siebie, nie zauważyłaby, że coś jest nie tak, i nie spytałaby go o przyczynę.

– Na pewno można określić, jaka mutacja spowodowała u Gliksinów tę skłonność – nie dawał za wygraną Ponter.

Mutacja. Religia jako mutacja. Słodki Jezu.

– Skąd wiesz, że to u moich ludzi nastąpiła jakaś mutacja? Może nasz stan jest normalny, taki jak u naszych przodków, a to twoi ludzie są mutantami.

– Może i tak. Jeśli to prawda, nie byłaby... – Umilkł i wzruszył ramionami.

– Nie byłaby to jedyna zmiana na lepsze od momentu oddzielenia się linii ewolucyjnych *neanderthalensis* i *sapiens*? – Mary dokończyła jego myśl pełnym goryczy tonem.

– Mare – powiedział Ponter łagodnie.

Ona jednak nie zamierzała mu tego odpuścić.

– Widzisz! Nawet nie macie takich możliwości artykulacji jak my! To my jesteśmy bardziej zaawansowanym gatunkiem!

Otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale zamknął je, nie wypowiadając tego, co myślał. Wiedziała, że pewnie miał na końcu języka idealną replikę na jej uwagę o możliwościach głosowych – Gliksini, przy swojej budowie krtani, mogli się zakrztusić, a u neandertalczyków nie było to możliwe.

– Przepraszam – powiedziała po chwili. Zsunęła się z poręczy na kolana Pontera i położyła mu ręce na ramionach. – Tak mi przykro. Proszę, wybacz mi.

– Nie ma sprawy.

– Po prostu dla mnie to trudny temat. Na pewno to rozumiesz. Nie potrafię się pogodzić z takimi poglądami. Religia jako wynik przypadkowej mutacji? Religia jako szkodliwy element? Moja wiara jako biologiczna reakcja pozbawiona jakichkolwiek podstaw w wyższej rzeczywistości?

– Nie mogę powiedzieć, że to rozumiem, bo tak nie jest. Nigdy nie wierzyłem w coś wbrew dowodom, że jest inaczej. Ale...

– Ale co?

Znowu umilkł. Nie schodząc mu z kolan, odchyliła się do tyłu i przyjrzała się jego szerokiej, zarośniętej twarzy. Miał takie mądre i życzliwe spojrzenie.

– Ponterze, przepraszam cię za moją wcześniejszą reakcją. Absolutnie nie chcę, żebyś przez to zamykał się w sobie i obawiał się otwarcie ze mną rozmawiać. Proszę, powiedz to, co zamierzałeś.

Odetchnął głęboko z taką siłą, że Mary poczuła na twarzy podmuch.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że spotykałem się z rzeźbiarzem osobowości?

Skinęła głową.

– W związku z gwałtem.

– To był jeden z powodów moich spotkań, ale były też inne... inne sprawy... kwestie...

– U nas mówimy w takiej sytuacji o problemach – odpowiedziała.

– Aha. No właśnie, okazało się, że muszę się uporać z innymi problemami.

– I?

Ponter zmienił pozycję w fotelu, bez trudu przesuwał siebie i Mary.

– Rzeźbiarz osobowości, do którego chodziłem, nazywa się Jurard Selgan. – Była to mało istotna informacja, ale Ponter potrzebował więcej czasu na zebranie myśli. – Wysunął on pewną hipotezę...

– Jaką?

Ponter nieznacznie wzruszył ramionami.

– Dotyczącą mojego uczucia do ciebie.

Mary zeszywniała. Nie dość że przysparzała Ponterowi problemów, to jeszcze dowiadywała się, że ktoś, kogo nigdy nie spotkała, snuł na jej temat jakieś teorie!

– I co to była za hipoteza? – W jej głos wkradł się iście plejstoceni chłód.

– Wiesz, że moja partnerka zmarła na raka krwi.

Przytaknęła.

– Klast już nie ma. Jej istnienie skończyło się całkowicie i zupełnie.

– Podobnie jak życie żołnierzy, których nazwiska widnieją na pomniku weteranów wojny w Wietnamie. – Mary przypomniała sobie wspólną podróż do Waszyngtonu i to, czego Ponter z takim zapalem próbował tam dowieść.

– Właśnie! Dokładnie tak!

Skinęła głową, czując, jak elementy układanki trafiają na swoje miejsca.

– Denerwowało cię to, że ludzie odwiedzający tamto miejsce znajdowali pocieszenie w świadomości, iż bliskie im osoby w pewnym sensie nie przestały dla nich istnieć.

– *Ka* – przyznał Ponter cicho. Christine nie zawracała sobie głowy tłumaczeniem neandertalskiego słowa oznaczającego „tak”, jeśli Barast tylko to wypowiadał.

Mary ponownie skinęła głową.

– Ty... ty im zazdrościłeś, że znajdują pokrzepienie po tragicznej stracie. Sam nie mogłeś go poczuć, bo nie wierzysz W niebo ani w życie po śmierci.

– *Ka* – powiedział znowu Ponter, ale tym razem, po długiej pauzie, zaczął mówić dalej, a Christine podjęła tłumaczenie. – Ale Selgan i ja nie rozmawialiśmy o mojej wizycie w Waszyngtonie.

– A o czym?

– On zasugerował, że... mój pociąg do ciebie...

– Tak?

Ponter zadarł głowę do góry i spojrzał na malowany sufit.

– Wcześniej powiedziałem, że nigdy nie zdarzyło mi się wierzyć w coś wbrew dowodom, iż jest inaczej. Tak samo jest z wiarą w to, na co nie ma żadnych dowodów. Selgan jednak zasugerował, że być może uwierzyłem ci, kiedy mówiłaś, że masz duszę i że w pewnym sensie będziesz istniała nawet po śmierci.

Mary ściągnęła brwi i przekrzywiła głowę na bok, zdumiona tym, co słyszała.

– On... on... – Ponter nie był w stanie mówić dalej. W końcu podniósł rękę do góry. – Hak?

Kompan podjął wyjaśnienia, zwracając się do Mary po angielsku.

– Nie przejmuj się, Mare. Ponter też nie dostrzegał tego, co było oczywiste dla Uczzonego Selgana... no i dla mnie.

– Czyli czego?

– Nie można wykluczyć, że gdybyś ty miała umrzeć, Ponter nie czułby tak dotkliwego żalu jak wtedy, gdy zmarła Klast. Nie dlatego, że mniej cię kocha, ale dlatego, że pocieszałby się myślą, iż nadal w jakiejś formie istniejesz.

Mary poczuła, jak ogarnia ją bezwład. Gdyby ręce Pontera nie obejmowały jej w pasie, zsunęłaby się z jego kolan.

– Mój... Boże. – Kręciło jej się w głowie. Zupełnie nie wiedziała, co myśleć.

– Ja nie uważam, że Selgan ma rację – odezwał się Ponter – ale...

Mary nieznacznie kiwnęła głową.

– Ale jesteś naukowcem i to... – Przerwała i zamyśliła się na chwilę. Wiara w życie po śmierci rzeczywiście niosła swego rodzaju pocieszenie. – To jest interesująca hipoteza.

– *Ka* – potwierdził Ponter.

Rzeczywiście, *Ka*.

ROZDZIAŁ 20



Ale nadszedł czas na nowo podjąć tę podróż, bo właśnie nasze zamiłowanie do takich przygód sprawia, że jesteśmy wspaniali...

– Nie zgadniesz, co dziś będziemy robić! – powiedział Ponter do Mega. – Wybierzemy się na wycieczkę! Polecimy helikopterem!

Dziewczynka śmiała się od ucha do ucha.

– Wiem! Mare mi już powiedziała! Hura!

Gdy Dwoje stawało się Jednym, zwiększał się ruch między miastami. W tych dniach helikopter stale kursował między Centrum Saldak i Centrum Kraldak. Ponter, Mary i Mega właśnie zmierzali do miejsca, gdzie czekał na nich śmigłowiec. Ponter zabrał ze sobą skórzaną torbę. Mary zaproponowała, że ją poniesie, skoro on niósł na barana córkę.

Helikopter miał cylindryczny kadłub w kolorze czerwono-brązowym. Mary pomyślała, że wygląda jak olbrzymia puszka napoju Dr Pepper. Kabina okazała się wyjątkowo przestronna. Dorośli zajęli szerokie, wyściełane fotele naprzeciwko siebie, a Mega usiadła obok taty. Bawiła się jak nigdy dotąd, patrząc przez okno na oddalającą się ziemię.

Kabina miała doskonale wyciszenie. Mary tylko kilka razy w życiu leciała helikopterem i za każdym razem hałas przyprawiał ją o ból głowy.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział Ponter do córki. Otworzył skórzaną torbę i wyciągnął z niej skomplikowaną drewnianą zabawkę.

Mega pisnęła z zachwyty.

– Dziękuję, tatusiu!

– O tobie też nie zapomniałem. – Ponter uśmiechnął się do Mary. Ponownie sięgnął do torby i wyjął egzemplarz kanadyjskiej gazety „The Globe and Mail”.

– Skąd to wzięłeś? – Mary wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Z laboratorium komputera kwantowego. Poprosiłem jednego z Gliksinów, aby dostarczył mi to z drugiej strony.

Ucieszył ją tą niespodzianką. Prawie nie myślała o własnym świecie, ale miło by było poznać najświeższe wiadomości. Poza tym brakowało jej komiksu z Dilbertem. Rozłożyła gazetę. Na pierwszej stronie pisano o pociągu, który wykoleił się w pobliżu Vancouver, o groźbach, jakie Indie i Pakistan wysuwały nawzajem pod swoim adresem, i o ministrze finansów, który przedstawił w parlamencie propozycję nowego budżetu.

Odwróciła kartkę. Papier zaszeleścił głośno i...

– O Boże!

– Co się stało? – spytał Ponter.

Mary cieszyła się, że siedzi.

– Papież nie żyje – powiedziała cicho. Musiało się to stać kilka dni wcześniej, bo nie pisano już o tym na pierwszej stronie.

– Kto taki?

– Zwierzchnik mojego Kościoła. Zmarł.

– Przykro mi. I co teraz będzie? Czy to oznacza jakiś kryzys?

Pokręciła głową.

– Właściwie nie... chyba nie. Papież był już stary i schorowany. Od jakiegoś czasu mówiono, że jego dni są policzone. ~ Bandra знаła całe mnóstwo figur retorycznych, więc Mary rozleniwiała się i przestała ich unikać w rozmowach. Teraz jednak zauważyła zdziwienie na twarzy Pontera. – To znaczy, że spodziewano się jego śmierci.

- Spotkałaś go kiedyś?
- Czy spotkałam papieża? – Mary zaskoczyło to pytanie.
- Nie. Zwykle tylko ważne osobistości mogą liczyć na audiencję u niego. – Spojrzała na Pontera. – Ty miałbyś o wiele większe szanse niż ja.
- Hm... nie wiedziałbym, co powiedzieć przywódcy twojej religii.
- Ojciec Święty jest nie tylko przywódcą kościoła. Papież jest pośrednikiem między ludzkością a Bogiem.

W tej chwili Mega zapragnęła wspiąć się na kolana taty. Pomógł jej trochę.

- Chcesz powiedzieć, że papież rozmawia z Bogiem? – spytał.
- Podobno.
- Bardzo nieznacznie pokręcił głową.
- Mary uśmiechnęła się wymuszenie.
- Wiem, że według ciebie to niemożliwe.
- Lepiej zostawmy ten temat. Mówiłaś, że nie znałaś papieża osobiście i jego śmierć nie wiąże się z kryzysem twojego systemu wiary, a mimo to wydajesz się smutna. – Ponter mówił cicho i Mega nie zwracała uwagi na jego słowa. Za to Christine podawała tłumaczenie wprost w implanty ślimakowe Mary z normalną głośnością.

- Po prostu to dla mnie szok – przyznała Mary. – No i...
- Tak?
- Z impetem wypuściła powietrze.
- Nowy papież będzie podejmował nowe decyzje w fundamentalnych sprawach dotyczących polityki Kościoła.
- Na przykład jakich? – Ponter zamrugał powiekami, nie bardzo rozumiejąc słowa Mary.
- Kościół katolicki... hm, no cóż, wiele osób twierdzi, że instytucja ta nie nadąża za duchem czasów. Wiesz, że nie dopuszcza aborcji ani nie zezwala

na rozwody, czyli na rozwiązywanie małżeństw. Jednocześnie jednak zabrania swoim duchownym uprawiać seks.

– Dlaczego?

Mega z ciekawością obserwowała świat za oknem.

– Hm, podobno życie seksualne przeszkadza w pełnieniu obowiązków duchowych. Ale wiele innych religii nie wymaga od swojego duchowieństwa celibatu. Poza tym mnóstwo katolików uważa, że z takiego zakazu wynika więcej złego niż dobrego.

– Złego? Wprawdzie czasami mówimy dorastającym chłopcom, żeby się nie powstrzymywali, bo nagromadzą za dużo spermy i eksplodują, ale to oczywiście tylko żart. Co złego może wynikać z celibatu?

Mary odwróciła głowę.

– Zdarza się, że księża... członkowie duchowieństwa, którzy muszą żyć w celibacie... – Umilkła i zamknęła oczy, po czym zaczęła od nowa. – Zaznaczam, że chodzi tylko o bardzo niewielki procent duchownych. Większość z nich to dobrzy, uczciwi ludzie. Ale znane są przypadki takich, którzy wykorzystywali nieletnich.

– Wykorzystywali jak? – spytał Ponter.

– Seksualnie.

Ponter zerknął na Mega. Wydawała się pochłonięta widokiem i nie zwracała uwagi na rozmowę.

– Zdefiniuj „nieletnich”.

– Chodzi o małych chłopców i dziewczynki, od trzech-czterech lat w górę.

– W takim razie to dobrze, że ci księża żyją w celibacie. Gen odpowiedzialny za takie skłonności powinien zostać wypleniony.

– Z tym się zgadzam. – Wzruszyła ramionami. – Może jednak Baraści postępują słusznie, sterylizując nie tylko samego przestępcę, ale też

wszystkich, których materiał genetyczny jest przynajmniej w połowie taki jak jego. Mam Wrażenie, że u nas sprawa molestowania dzieci przez księży osiągnęła rozmiary epidemii. – Mary podniosła „Globe”. – Na pewno do takich wniosków można dojść, czytając gazety.

– Ja nie umiem ich czytać, choć mam nadzieję kiedyś się tego nauczyć. Oglądałem za to wasze wiadomości w telewizji i słuchałem radia. Słyszałem stwierdzenia typu: „Kiedy wreszcie poznamy ciemną stronę cywilizacji neandertalczyków? Przecież na pewno mają także złe cechy”. Ale mówię ci, Mare – Christine mogła zastąpić sposób, w jaki Ponter wypowiadał imię Mary, ale tego nie robiła – nie mamy tu nic, co dałoby się porównać z takimi, co molestują dzieci, zatruwają środowisko, konstruują i detonują bomby, zmuszają innych do niewolniczej pracy i są terrorystami. My niczego nie ukrywamy, a mimo to wśród Gliksinów wciąż pojawiają się opinie, że na pewno dopuszczamy się równie złych uczynków. Nie wiem, czy takie błędne rozumowanie ma jakiś związek z waszymi skłonnościami do religijności, ale wyrządza podobne szkody: twoi ludzie wierzą, że pewna ilość zła jest nieuchronna, że nie da się jej uniknąć. Tymczasem tak nie jest. Jeśli z kontaktu między naszymi światami wypłynie jakaś korzyść, być może będzie nią właśnie ta świadomość.

– Może masz rację – przyznała Mary. – Ale my też z czasem zmieniamy się na lepsze. I właśnie w tym dużą rolę może odegrać nowy papież.

– Tatusiu, spójrz! Drugi helikopter! – Mega wskazała śmigłowiec w oddali.

Ponter wyciągnął szyję.

– Rzeczywiście – powiedział, głaszcząc włosy córki. – Wielu ludzi odbywa dalekie podróże, żeby zobaczyć się z ukochanymi osobami, gdy Dwoje jest Jednym.

Mary zaczęła, aż dziewczynkę znowu pochłonie widok za oknem.

– Wiele zależy od tego – powiedziała w końcu – jakie decyzje podejmie nowy Ojciec Święty. A raczej, ujmując to słowami mojej wiary, jak Bóg każe mu postąpić. Ostatni papież nie rozprawił się skutecznie z problemem molestowania dzieci przez księży. Nowy mógłby tego dokonać. Mógłby też odwołać wymóg celibatu, opracować mniej rygorystyczną politykę antyaborcyjną i uznać homoseksualistów.

– Jak to uznać?

– No, zaakceptować. Kościół traktuje związki między osobami tej samej płci jako grzech. Niewykluczone jednak, że nowy papież rozluźni zasady w tej kwestii oraz w innych.

– A jakie jest twoje zdanie w tych sprawach?

– Moje? Ja jestem za wolnością wyboru. Według mnie kobieta powinna mieć prawo zdecydować, czy chce donosić ciążę, czy nie. Nie mam nic przeciwko homoseksualizmowi. Nie uważam, że księży trzeba zmuszać do celibatu. I na pewno nie sądzę, że rozwiązanie małżeństwa musi być aż tak trudne. Oczywiście to ostatnie jest dla mnie ze zrozumiałych względów ważne. Oboje z Colmem zgodziliśmy się na unieważnienie związku, czyli, mówiąc wprost, na oświadczenie przed Kościołem i Bogiem, że nasze małżeństwo nigdy nie istniało, aby można je było wykreślić z rejestrów. Tylko że teraz... – Mary urwała na chwilę. – Teraz myślę, że powinniśmy trochę z tym poczekać i przekonać się, co w tej sprawie postanowi nowy papież. Wolałabym, aby pozwolił katolikom się rozwodzić, nie każąc im opuszczać Kościoła.

W chwili, gdy to powiedziała, pochylił się nad nimi obcy mężczyzna.

– Za chwilę będziemy lądowali w Kraldak. Proszę zapiąć córce pasy.

Ponter wezwał sześcian podróżny, aby zawiózł całą ich trójkę we wskazane przez Haka miejsce. Kierowcy chyba nie spodobał się taki kurs –

chata znajdowała się daleko poza Obrzeżami Kraldak. Na szczęście Ponter zdołał go jakoś przekonać. Sześcian sunął nad skalistym terenem, omijając po drodze kępy drzew i przelatując nad mnóstwem niewielkich jezior. Wreszcie dotarli na miejsce.

Wysiedli i zbliżyli się do chaty. Przypominała trochę dom z bali, tyle że pnie stały tu pionowo, a nie poziomo. Ponter zastukał. Nikt mu nie odpowiedział, chwycił więc za kłamkę w kształcie rozgwiazdy, pociągnął drzwi i...

Mała Mega krzyknęła głośno.

Mary miała wrażenie, że krew zastyga *jej* w żyłach. Na ścianie naprzeciwko wejścia, oświetlona blaskiem wpadającym przez okno, wisiała gigantyczna czaszka zwierza...

Nieprawdopodobnego zwierza.

Wyglądał jak mityczny cyklop. Zdeformowana czaszka miała pośrodku wielki oczodół.

Ponter wziął córkę na ręce i zaczął ją uspokajać.

– To tylko głowa mamuta – wyjaśnił. Mary uświadomiła sobie, że ma rację. Kły usunięto, a w miejscu centralnego otworu zwierza za życia miał trąbę.

Ponter zawołał Vissan po imieniu. Chata miała tylko jedno, duże pomieszczenie ze stołem pośrodku, pojedynczym krzesłem, skórami na podłodze, kamiennym kominkiem, stosem drewna na opał i górą ubrań w kącie. Nie było gdzie się ukryć. Mary odwróciła się i rozejrzała po okolicy w nadziei, że gdzieś w pobliżu dostrzeże gospodynię, ale kobieta mogła być gdziekolwiek...

– Halo, Uczony Boddicie! – dobiegł ich głos kierowcy sześcianu.

Ponter wyjrzał za drzwi.

– Tak? – zawołał.

– Jak długo tu będziecie?

– Nie wiem. Decymę, może trochę dłużej.

Kierowca przez chwilę nad czymś myślał.

– W takim razie wybiorę się na polowanie – oświadczył w końcu. – Już od miesiący nie zapuszczałem się tak daleko od miasta.

– Dobrej zabawy. – Ponter pomachał mężczyźnie, po czym wrócił do chaty i podszedł do sterty ubrań w kącie. Podniósł do twarzy koszulę i głęboko wciągnął nosem powietrze. Powtarzał tę czynność, kolejno biorąc do rąk inne części garderoby, aż wreszcie kiwnął głową do Mary. – Znam już jej zapach.

Posadził sobie Mega na barana i wyszedł na zewnątrz. Mary ruszyła za nim, zamykając za sobą drzwi. Ponter rozszerzył nozdrza, wsysając przez nie powietrze. Obszedł niemal całą chatkę dookoła, aż w końcu się zatrzymał.

– Tędy – powiedział, wskazując na wschód.

– Świetnie. No to ruszajmy.

Małe neandertalskie dziewczynki wiele wiedziały o zbieractwie, ale rzadko miały okazję obserwować myśliwego. Dla Mega była to wspaniała przygoda. Nawet z córką na ramionach Ponter szybko szedł przez las, omijając przeszkody. Mary z trudem za nim nadążała. Po drodze spłoszyli kilka jeleni i stado gołębi wędrownych, które poderwały się do lotu.

Mary kiepsko radziła sobie z ocenianiem odległości w lesie, ale przypuszczała, że przeszli jakieś sześć lub siedem kilometrów, zanim Ponter wreszcie się zatrzymał i wskazał majaczącą w oddali postać pochyloną nad strumieniem.

– Tam jest – powiedział cicho. – Szliśmy pod wiatr, więc jestem pewien, że jeszcze nie wyczuła naszej obecności.

– W takim razie podejźmy bliżej – zasugerowała Mary.

Ponter nakazał córce być cicho. Udało im się zbliżyć do kobiety na odległość jakichś czterdziestu metrów, ale wtedy Mary nastąpiła na gałązkę, która pękła z głośnym trzaskiem. Zaalarmowana Vissan podniosła głowę. Na moment wszyscy zamarli w bezruchu jak postacie niezwykłego obrazu. Ponter, Mary i Mega patrzyli na kobietę, a ona na nich. Po chwili jednak zerwała się do ucieczki.

– Zaczekaj! – zawołała Mary. – Nie uciekaj!

Nie spodziewała się, że jej słowa odniosą jakiś skutek, ale kobieta gwałtownie przystanęła i odwróciła się. Dopiero wtedy dotarło do Mary, że krzyknęła po angielsku. Christine po chwili posłusznie przetłumaczyła jej słowa na neandertalski. Vissan prawdopodobnie nigdy dotąd nie słyszała ani tak cienkiego głosu, ani tego dziwnego, obcego języka. Ktoś, kto od początku lata mieszkał w głuszy bez Kompana i Podglądacza, nie mógł wiedzieć, że otwarto portal do równoległego świata.

Ponter, Mega i Mary podeszli trochę bliżej. Zatrzymali się w odległości dwudziestu metrów od kobiety, której twarz wyrażała absolutne zdumienie.

– Kim... kim jesteś? – spytała po neandertalsku.

– Nazywam się Mary Vaughan. Proszę, nie uciekaj! Czy to ty jesteś Vissan Lennet?

Kobieta rozdziawiła szeroką szczękę. Mary uświadomiła sobie, że Barastka nigdy wcześniej nie słyszała takich dźwięków.

– Tak – odparła w końcu. – Jestem Vissan. Proszę, nie róbcie mi krzywdy.

Mary zaskoczona zerknęła na Pontera.

– Nic ci nie zrobimy! – zawołała, po czym zwróciła się do Pontera. – Dlaczego ona się nas obawia?

– Nie ma Kompana – odparł cicho. – Nic nie rejestruje tego spotkania z jej strony, a poza tym nie ma żadnego statusu w świetle naszego prawa. Nie

mogłaby zażądać wglądu do rejestrów w archiwum alibi.

– Nie bój się nas! – zawołała Mega. – Jesteśmy dobrzy!

Całej trójce udało się zbliżyć o kolejne pięć metrów.

– Kim ty jesteś? – spytała kobieta ponownie.

– To Gliksinka! – wyjaśniła Mega. – Nie widzisz?

Vissan wpatrywała się w Mary.

– Niemożliwe. Powiedzcie mi prawdę.

– Mega ma rację. Należę do gatunku, który wy nazywacie Gliksinami.

– Zdumiewające! Ale... ale jesteś dorosłym osobnikiem. Gdyby komuś udało się pozyskać materiał genetyczny Gliksinów przed wieloma dekamiesiącami, na pewno bym o tym wiedziała.

Chwilę trwało, zanim Mary zrozumiała, co Vissan ma na myśli. Sądziła, że Mary jest klonem wyhodowanym z kopalnego DNA.

– Nie, to nie tak. Ja...

– Pozwól, że ja wyjaśnię – wtrącił Ponter. – Vissan, czy wiesz, kim ja jestem?

Kobieta zmrużyła oczy, a potem pokręciła głową.

– Nie.

– To mój tatuś – wyjaśniła Mega. – Nazywa się Ponter Boddit. Jest z generacji 145. A ja ze 148!

– Znasz może chemiczkę Lurt Fradlo? – spytał Ponter, nie spuszczać wzroku z Vissan.

– Fradlo? Z Saldak? Słyszałam o badaniach, jakie prowadziła.

– Ona jest partnerką Adikora – oznajmiła Mega. – A Adikor jest partnerem mojego taty.

Ponter położył dłoń na ramieniu córki.

– Zgadza się. Adikor i ja zajmujemy się fizyką kwantową. Wspólnie udało nam się dotrzeć do równoległego świata, na którym to Gliksini

przetrwali do dnia dzisiejszego, a Baraści wyginęli.

– Nabieracie mnie.

– Nie, wcale nie! – zaprzeczyła Mega. – To najprawdziwsza prawda! Tatuś wpadł do innego świata, kiedy był w kopalni Debral. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. A Daklar myślała, że Adikor zrobił tatusiowi coś złego, ale Adikor jest dobry; nigdy by nic takiego nie zrobił! Jasmel – moja starsza siostra – pomogła mu sprowadzić tatę z powrotem. A potem zrobili portal, który jest ciągle otwarty i Mare przyszła do nas z drugiej strony.

– To niemożliwe – stwierdziła Vissan, zerkając na przedramię Mary. – Ona musi być z tego świata. Ma Kompana.

Mary również spojrzała na swoją rękę. Fragment panelu Christine wystawał spod mankietu jej kurtki. Zdjęła ją, podwinęła rękaw bluzki i wyciągnęła rękę przed siebie.

– Mój Kompan został wszczepiony dopiero niedawno – powiedziała. – Rana wciąż jeszcze się goi.

Vissan zrobiła krok w kierunku Mary, potem jeszcze jeden i następny.

– Rzeczywiście – powiedziała w końcu.

– Mówimy prawdę – zapewnił Ponter, wskazując Mary.

– Sama widzisz, że tak.

Vissan oparła dłonie na szerokich biodrach i uważnie przyjrzała się twarzy Gliksinki z jej małym nosem, wysokim czołem i dziwną wypukłością pod dolną szczęką.

– Chyba widzę – powiedziała pełnym zdumienia głosem.

ROZDZIAŁ 21



Naukowcy mówią nam, że przodkowie naszego gatunku dotarli do północnego krańca Afryki, spojrzeli na północ przez Cieśninę Gibraltarską i dostrzegli tam nowy ląd – oczywiście zapragnęli pokonać zdradziecki przesmyk wodny i tak trafili na kontynent europejski...

Vissan należała do generacji 144. Była prawie o dziesięć lat starsza od Mary. Miała zielone oczy i siwe włosy z kilkoma pasmami blond, zdradzającymi ich dawny kolor. Nosiła zwykły strój masowej produkcji, połatany tu i ówdzie kawałkami skóry, a przez ramię miała przewieszoną skórzaną torbę, prawdopodobnie z tym, co zebrała tego ranka.

– Przyjmuję wyjaśnienie tego, kim jesteś – powiedziała, gdy całą czwórka ruszyli w drogę powrotną do jej chaty – ale nie rozumiem, dlaczego mnie odszukaliście.

Dotarli właśnie do niewielkiego strumyka. Ponter wziął Mega na ręce i przeskoczył go jako pierwszy, potem podał rękę Mary. Vissan poradziła sobie sama.

– Podobnie jak ty, specjalizuję się w biologii molekularnej – wyjaśniła Mary. – Bardzo zainteresował nas twój kodoner.

– To zakazane urządzenie. – Vissan wzruszyła ramionami. – Przez bandę krótkogłowych głupców.

Ponter gestem uciszył kobiety. Nieopodal pasły się jelenie. Mary z przyjemnością patrzyła na te piękne stworzenia.

– Vissan, masz dość jedzenia? – wyszeptał Ponter. Christine podała tłumaczenie z normalną głośnością, ponieważ tylko Mary mogła je słyszeć.
– Chętnie upoluję dla ciebie jedno z tych zwierząt.

Vissan się roześmiała.

– Jesteś bardzo miły, Ponterze – odparła zwykłym tonem – ale niczego mi nie potrzeba.

Kiwnął głową na znak, że rozumie, i ruszyli dalej. Spłoszone jelenie rozpięzchły się po lesie. W oddali widać już było chatkę Vissan.

– Twoje urządzenie interesuje mnie nie tylko z powodów naukowych – przyznała Mary. – Ponter i ja chcielibyśmy mieć dziecko.

– Będę miała małą siostrzyczkę! – ucieszyła się Mega. – Mam już starszą, a teraz będę miała młodszą. Niewiele dzieci może mieć i dużą siostrę, i małą, więc jestem wyjątkowa.

– Zgadza się, kochanie – przytaknęła Mary. – Jesteś bardzo wyjątkowa.

– Co się stało z twoją partnerką z Barastów? – spytała Pontera Vissan.

– Już jej nie ma.

– Ach tak. Przykro mi.

Wreszcie dotarli do chaty. Vissan otworzyła drzwi i gestem zaprosiła pozostałych do środka. Zdjęła futrzaną kurtę i...

... Mary dostrzegła potworną bliznę po wewnętrznej stronie jej lewego przedramienia, skąd Vissan usunęła sobie Kompana.

Ponter usiadł z córką przy stole. W drodze powrotnej dziewczynka znalazła sosnową szyszkę i dwa kamienie, które koniecznie chciała pokazać teraz tacie.

Mary spojrzała na Vissan.

– Masz jeszcze prototyp swojego wynalazku?

– Po co wam on? Czy jedno z was zostało z nakazu władz poddane sterylizacji?

– Nie. Nic z tych rzeczy.

– W takim razie do czego potrzebujecie kodonera?

Mary zerknęła na Pontera, który uważnie słuchał, jak mała Mega opowiada mu o tym, czego właśnie uczyła się w szkole.

– Baraści, Gliksini, a także szympansy, bonobo, goryle i orangutany wywodzą się od wspólnego przodka – powiedziała Mary. – Ten przodek najprawdopodobniej miał dwadzieścia cztery pary chromosomów, tak jak wszyscy jego potomkowie poza Gliksinami. U nas doszło do zespolenia dwóch chromosomów w jeden, co oznacza, że mamy dwadzieścia trzy pary. Genom ma tę samą długość, ale różna liczba chromosomów mogłaby w znacznym stopniu utrudnić naturalne poczęcie.

– Fascynujące! – przyznała Vissan. – Rzeczywiście kodoner z łatwością stworzyłby odpowiedni diploidalny zestaw chromosomów łączący DNA Pontera z twoim.

– Na to liczyliśmy – przyznała Mary. – Dlatego chcielibyśmy wiedzieć, czy prototyp urządzenia jeszcze istnieje.

– Owszem, ale nie mogę wam go dać. Jest zakazane. Wciąż nie potrafię się z tym faktem pogodzić, niemniej jednak taka jest rzeczywistość. Zostalibyście ukarani za jego posiadanie.

– Kodoner jest zakazany tylko tutaj – stwierdziła Mary.

– Nie, nie tylko w Kraldak. Jest zakazany na całym świecie.

– Na tym świecie – zauważyła Mary. – Ale nie na moim. Zabrałabym go ze sobą. Ponter i ja moglibyśmy tam postarać się o dziecko.

Głęboko osadzone oczy Vissan zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Przez kilka chwil milczała. Mary wolała jej nie ponaglać.

– To chyba możliwe – powiedziała wreszcie Barastka. – Dlaczego nie? Lepiej, żeby ktoś skorzystał z urządzenia, niż żeby nikomu się nie przysłużyło. Ale będziecie potrzebowali specjalistycznej pomocy. Trzeba

pobrać od ciebie komórkę jajową i zastąpić haploidalny zestaw chromosomów pełnym diploidalnym, stworzonym przez kodoner. Potem jajo zostanie Umieszczone w twojej macicy. Od tego momentu ciąża będzie Przebiegała zwyczajnie. – Vissan się uśmiechnęła. – Łącznie z zachciankami na słone bulwy, porannymi mdłościami i innymi dolegliwościami.

Mary z entuzjazmem podchodziła do pomysłu, dopóki był abstrakcyjnym, niemal magicznym rozwiązaniem. Ale teraz...

– Nie sądziłam, że trzeba będzie usunąć moje naturalne DNA. Myślałam, że po prostu tak spreparuje się DNA Pontera, aby stało się kompatybilne z moim.

Vissan uniosła brew.

– Mówiłaś, że zajmujesz się biologią molekularną. Skoro tak, to na pewno wiesz, że nie ma nic wyjątkowego zarówno w kwasie deoksyrybonukleinowym produkowanym przez twój organizm, jak i tym wytworzonym przez maszynę. Prawdę mówiąc, nie sposób odróżnić naturalnej nici od sztucznie wytworzonej. Nie ma między nimi żadnej chemicznej różnicy.

Mary zmarszczyła czoło. Często krytykowała swoją siostrę za to, że przepłaca, kupując „naturalne” witaminy, które pod względem składu chemicznego nie różniły się niczym od tych produkowanych w laboratoriach. No, ale...

– Ale jedna nić pochodzi z mojego organizmu, a druga nie.

– W zasadzie tak...

– Nie, przepraszam cię. Oczywiście masz rację – przyznała Mary. – Od lat powtarzam moim studentom, że DNA to nic innego jak tylko zakodowane informacje genetyczne. – Uśmiechnęła się do Pontera i małej Mega. – Jeśli są to nasze informacje, dziecko też będzie nasze.

Ponter spojrział na nią i skinął głową.

– Trzeba tylko będzie dokonać sekwencjonowania naszego materiału genetycznego – zauważył.

– To nie problem – stwierdziła Vissan. – Prawdę mówiąc, kodoner poradzi sobie także i z tym zadaniem.

– Wspaniale! – ucieszyła się Mary – Masz prototyp tutaj?

– Nie, jest ukryty. Zakopany. Ale dobrze go zabezpieczyłam. Mam go niedaleko. Mogę go raz-dwa wydostać.

– To by dla nas wiele znaczyło – powiedziała Mary. W tej samej chwili przyszła jej do głowy pewna myśl. – A może chciałabyś wrócić ze mną na moją Ziemię? Gwarantuję ci, że twoje urządzenie nie będzie tam zakazane i nikt nie zabroni ci kontynuowania badań.

– Zdumiewający pomysł! – przyznała Vissan. – Jaki jest twój świat?

– Hm, zupełnie inny. Przede wszystkim jest tam o wiele więcej ludzi.

– Ile?

– Sześć miliardów.

– Sześć miliardów? To chyba nie potrzebujecie urządzeń wspomagających zapłodnienie...

Mary musiała przyznać jej rację.

– Poza tym mężczyźni i kobiety mieszkają ze sobą przez cały czas.

– To szaleństwo! I nie działają sobie na nerwy?

– No... czasem działają... U nas jest po prostu zupełnie inaczej. Też mamy wiele pięknych rzeczy. Stację orbitalną, która krąży po orbicie okołoziemskiej. Budynki, które pną się coraz wyżej, ku niebu... – „Choć już o dwa mniej niż kiedyś”, dodała ze smutkiem w myślach. – I nasza kuchnia jest bardziej urozmaicona.

– Byłeś tam, Ponterze?

– Tatuś był tam już trzy razy! – wtrąciła Mega.

- Myślisz, że by mi się tam spodobało? – chciała wiedzieć Vissan.
- To zależy – przyznał. – A podoba ci się tutaj, w tej głuszy?
- Bardzo. Już się do tego miejsca przywiązałam.
- Jesteś wrażliwa na zapachy?
- Jakie zapachy?
- Oni tam produkują energię, spalając ropę i węgiel, dlatego w ich miastach śmierdzi.
- To mało zachęcające. Chyba jednak wolę zostać u siebie.
- Do niczego nie będziemy cię zmuszali – stwierdziła Mary. – Tylko naucz nas obsługi kodonera.

Vissan spojrzała na Pontera.

- A ty jak się na to zapatrujesz? Ja dobrowolnie uwolniłam się od cywilizacji i Siwi – Najwyżsi czy Najniżsi – nie mają już nade mną władzy. Ale ty...

Ponter zerknął na Mary, po czym przeniósł wzrok na Vissan.

- Już raz przeciwstawiłem się Radzie Siwych. Zlekceważyłem wydany przez nich nakaz powrotu na naszą Ziemię i dzięki temu portal do drugiego świata pozostał otwarty. Prawdę mówiąc, nadal byłbym na świecie Mare, gdyby nasza ambasadorka nie przekonała innych Barastów, aby przeszli na drugą stronę . A poza tym...

– Tak?

- Uważam, że niektórych ludzi sterylizuje się niesłusznie i dlatego... – Umilkł nagle, a Mary dokończyła za niego.

- Chodzi mu o jego partnera, Adikora. Kiedy Ponter zniknął z tego świata, przedostając się na mój, Adikora posądzano o to, że go zamordował i pozbył się ciała. Groziła mu sterylizacja. Czy tak, Ponterze?

- Co? – spytał nieobecny tonem. – Aaa, tak. Tak, właśnie to miałem na myśli.

– Skoro oboje chcecie użyć kodonera, chętnie wam go dam. – Vissan wskazała gestem drzwi. – Zaraz po niego pójde. Tylko nie przyznawajcie się nikomu – przynajmniej na tym świecie – że jest w waszych rękach.

ROZDZIAŁ 22



Także część naszych kuzynów, Barastów, mających swoje korzenie w Europie, wybrała się na południe do Gibraltaru z jego słynną skałą – symbolem trwałości i stabilności. Ze swego miejsca neandertalczyki patrzyli na południe, ku nieznanemu lądowi Afryki...

– Jock, mogłabym zamienić z tobą słówko?

Siedzący za biurkiem Krieger podniósł głowę. Chyba trochę zbyt paranoicznie wystrzegał się otwartego podziwiania urody Louise. Wiedział, że to przez różnicę pokoleń – w końcu miał o trzydzieści sześć lat więcej niż ona – no, ale był świadkiem, jak jego koledzy z RAND ściągali na siebie kłopoty z powodu rzekomo seksistowskich uwag, więc wolał uważać.

– Ach, Louise – powiedział, wstając zza biurka. Tego odruchu nie zdołał się pozbyć, tak jak innych manier, które wpoili mu rodzice. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Pamiętasz naszą rozmowę o ewentualnym wpływie zaniku pola magnetycznego planety na świadomość?

– Jak mógłbym zapomnieć? Mówiłaś, że ludzka świadomość „uruchomiła się” właśnie podczas takiego procesu.

– Zgadza się. Czterdzieści tysięcy lat temu do „wielkiego skoku” doszło w trakcie zanikania magnetycznego pola Ziemi, co teraz znowu się zaczyna. Na naszym wszechświecie pole powróciło z taką samą

polaryzacją, jaką miało wcześniej – tak się dzieje mniej więcej w połowie tego typu zdarzeń – i nie pozostawiło u nas żadnych śladów przebiegunowania. Za to na drugim świecie polaryzacja uległa odwróceniu i została zarejestrowana w ich zapisie geologicznym. Jak mówiłam wcześniej, nieprzypadkowo świadomość hominidów pojawiła się podczas zaniku pola magnetycznego i...

– Wspominałaś też, że tym razem również może to w jakiś sposób wpłynąć na naszą świadomość, a nawet spowodować jej zanik.

– Właśnie. Wtedy wysunęłam taką hipotezę, ponieważ dostrzegłam zbieżność między wystąpieniem wielkiego skoku naprzód i okresem, gdy na Ziemi doszło do zaniku pola magnetycznego. Najwyraźniej musiała istnieć jakaś zależność między polem magnetycznym a świadomością. Od tamtej pory sporo szperałam, próbując ustalić, czy ktoś prowadził badania elektromagnetycznej natury świadomości. I przyznaje, Jock, że teraz martwię się jeszcze bardziej.

– Dlaczego? Neandertalczycy przecież przetrwali jedno przebiegunowanie, to, które zaczęło się na ich świecie ćwierć wieku temu. Nie mieli żadnych problemów. – Jock zdumiał się, kiedy przeczytał wyniki prac prowadzonych przez Coego i Prevota, pokazujące, że w skałach jego własnej Ziemi również znajdują się dowody na to, iż do zaniku pola magnetycznego mogło dojść w ciągu dosłownie tygodni, a nie całych stuleci. – Skoro oni przetrwali to bezproblemowo, dlaczego u nas miałyby być inaczej?

– Nie mam nic przeciwko Barastom – przyznała Louise. Nazywanie ich neandertalczykami podobno stawało się politycznie niepoprawne. – Ale są odrębnym gatunkiem i mają inaczej zbudowane mózgi. Wystarczy przyjrzeć się ich czaszkom, żeby to stwierdzić. Fakt, że oni przeszli to bez szwanku, nie oznacza, że podobnie będzie z nami.

– Och, daj spokój, Louise!

– Mówię serio. Szukałam w sieci informacji na temat zależności między polem elektromagnetycznym a świadomością i natrafiłam na coś bardzo interesującego. Nazywa się to teorią CEMI.

– Jaką teorią? Cieni? – zdziwił się Jock. „Idealna nazwa dla niewydarzonych wymysłów” – dodał w myślach.

– CEMI – sprostowała Louise. – To skrót od Conscious Electromagnetic Information. Opracowało ją niezależnie od siebie dwoje naukowców: John Joe McFadden z University of Surrey oraz Susan Pockett z Nowej Zelandii. – Louise spojrzała za okno, starając się zebrać myśli. – Rzecz w tym, że określono już wszystkie konkretne strefy ludzkiego mózgu. Wiemy, gdzie powstają obrazy wizualne, gdzie rozwiązywane są zadania matematyczne, a nawet – na pewno czytałeś o tym w prasie – gdzie mają swoje źródło uczucia religijne. Nie udało nam się odkryć jedynie dokładnej lokalizacji świadomości w mózgu. Otóż McFadden i Pockett twierdzą, że ją znaleźli. Niedokładnie w samym mózgu, ale w tym, co go otacza i przenika: w polu elektromagnetycznym. Takie pole umożliwia komunikowanie się nawet bardziej oddalonym od siebie neuronom, łącząc wszystkie fragmenty informacji w zintegrowaną całość, w spójny obraz rzeczywistości.

– Bezprzewodowa komunikacja w mózgu? – zdziwił się Jock. Temat zaczynał go intrygować.

– Właśnie. W 1993 roku Karl Popper zasugerował, że świadomość jest przejawem pola siłowego w mózgu, ale sądził, że jest to jakiś nieznan nam rodzaj pola. Uważał, że już byśmy je odkryli, gdyby chodziło o znaną nam energię. Tymczasem McFadden i Pockett twierdzą, że jest to po prostu pole elektromagnetyczne.

– I wykryli jego istnienie?

– Wiadomo, że w samym mózgu oraz wokół niego istnieje aktywność elektromagnetyczna. Właśnie to mierzy badanie EEG. Pamiętaj jednak, że nasi przyjaciele Baraści połączyli elektromagnetyzm z siłą jądrową. Okazuje się, że pola elektromagnetyczne, włączając w to pole Ziemi oraz te, jakie wytwarzają nasze mózgi, są bardziej skomplikowane, niż sądziliśmy.

– I ci badacze, o których wspomniałaś, dowiedli, że takie pola mają związek ze świadomością?

Louise odsunęła włosy z czoła.

– Nie, jeszcze nie. I przyznaję, że w ogóle sam ten pomysł wywołuje wielki sprzeciw w pewnych kręgach. Staruszek Kartezjusz wierzył w dualizm – w to, że ciało i umysł są odrębne – ale jego teorie już dawno wyszły z mody, a niektórzy postrzegają CEMI jako niemiłe widziany powrót do tamtych poglądów. Jednak biorąc pod uwagę przetwarzanie informacji, teoria CEMI ma sens. McFadden i Pockett twierdzą, że świadomość oraz informacja są tym samym zjawiskiem, postrzeganym w różnych ramach odniesienia i...

– I co?

– Hm... jeśli świadomość jest zjawiskiem elektromagnetycznym, to chyba nie powinno nas dziwić, że po raz pierwszy pojawiła się właśnie podczas zaniku pola geomagnetycznego. W oparciu o niedawne doświadczenia Barastów wiemy już, że taki zanik sam w sobie nie wywołuje problemów ze świadomością... ale pamiętaj, że ja zajmuję się zjawiskami solarnymi. Co prawda moją specjalnością są neutrina, ale interesuję się też całym spektrum problemów związanych z promieniowaniem Słońca. Otóż nasze mózgi, z ich wrażliwym polem elektromagnetycznym, w trakcie zaniku pola magnetycznego Ziemi przez całe lata, a być może nawet dekady, będą podlegać działaniu strumieni

promieniowania słonecznego, które w normalnych warunkach do nas nie dociera. Im bardziej w to wnikam, tym częściej myślę, że naprawdę może dojść do jakiejś awarii świadomości.

– Ależ to obłąd – stwierdził Jock. – Świadomość nie może być elektromagnetyczna. W zeszłym roku robiono mi rezonans magnetyczny i zapewniam cię, młoda damo, że podczas całego badania byłem w pełni świadomy.

– To właśnie najczęstszy argument przeciwko tej teorii – przyznała Louise, kiwając głową. – McFadden zajął się tą konkretną kwestią w swoim najnowszym referacie zamieszczonym w „Journal for Consciousness Studies”. Twierdzi, że płyn w komorach mózgowych przyczynia się do wytworzenia swego rodzaju klatki Faradaya, która izoluje mózg od większości zewnętrznych pól elektrycznych. Co do badania metodą rezonansu magnetycznego, McFadden przypomina, że są to statyczne pola elektryczne – zmienia się tylko kierunek poruszających się ładunków – i dlatego nie powodują one skutków fizjologicznych. Magnetyczne pole Ziemi też jest statyczne i dość jednorodne – a raczej było takie do momentu, gdy rozpoczął się proces jego zaniku. Tymczasem w przeciwieństwie do statycznego, zmienne zewnętrzne pole elektromagnetyczne prowadzi do powstania w mózgu zjawiska przewodzenia. Dlatego wpływa na aktywność mózgową. Prawdę mówiąc, są nawet surowe wytyczne dotyczące wielokrotnej magnetycznej stymulacji przeczaszkowej, do których należy się stosować, aby nie doprowadzić do zaburzeń u zdrowych ludzi.

– Ale... ale jeśli świadomość jest elektromagnetyczna, dlaczego nie potrafimy jej wykryć?

– Właśnie że potrafimy. Susan Pockett podaje przykłady rozmaitych badań, które dowodzą, iż elektromagnetyczne pole mózgu zmienia się

zawsze w ten sam określony sposób w reakcji na konkretne bodźce. Można zmierzyć zmiany w elektromagnetycznym polu mózgu osoby, która patrzy na coś czerwonego, a nie niebieskiego, albo słyszy środkowe C zamiast wysokiego, i tak dalej. Pockett naprawdę skutecznie odpiera zarzuty pod adresem jej teorii. Na przykład, jeśli ciało modzelowate, czyli pasmo istoty białej łączące prawą i lewą półkulę, zostanie przerwane, można by się spodziewać, że komunikacja między półkulami zaniknie. A tymczasem, poza celowo zaaranżowanymi sytuacjami, pacjenci, u których tak jest, funkcjonują całkiem normalnie. Pomimo braku fizycznego połączenia między półkulami mózgu świadomość tych osób pozostaje zintegrowana właśnie dlatego, że – jak twierdzi Pockett – jest ona wynikiem działania pola elektromagnetycznego obejmującego cały mózg, a nie jakichś reakcji neurochemicznych zachodzących w tym organie.

– Czyli że co? Obie półkule porozumiewają się telepatycznie? Daj spokój!

– Faktem jest, że komunikują się, nawet gdy nie ma między nimi bezpośredniego łącza.

– W takim razie dlaczego nie odbieram twoich myśli, kiedy stoję obok ciebie?

– No tak, po pierwsze pamiętaj, że mózg tkwi w klatce Faradaya, która go osłania. Po drugie, Pockett uważa, że oscylacje związane ze świadomością wahają się w przedziale od jednego do stu herców, przy czym większość osiąga około 40 Hz. Dla takiej wartości długość fali wynosi 8 tysięcy kilometrów, a wiadomo, że idealna antena do odbioru elektromagnetycznego sygnału powinna mieć długość jednej fali. A zatem bez naprawdę gigantycznego odbiornika lub ogromnie czułego sprzętu nie zdołasz nigdy przechwycić nic z mojej świadomości. Bliskość nie ma tu żadnego znaczenia. Oczywiście to, że pole ogranicza się do objętości

pojedynczego mózgu, ma sens. Jedną z ważniejszych kwestii związanych ze świadomością jest problem wzajemnego powiązania aktywności różnych fragmentów sieci neuronowej. Spójrz na przykład na tę książkę. – Louise wskazała tom leżący na biurku Jocka. Było to stare studium taktyk stosowanych w wojnie nuklearnej. – Jedna część mózgu rejestruje kolor zielony. Druga odróżnia dany przedmiot od tła. Trzecia wygrzebuje z archiwum pamięci słowo „książka”. Wiemy, że tak właśnie działa nasz mózg, wykonując wiele oddzielnych funkcji. Ale jak wszystkie te kawałki łączą się ze sobą, dając w sumie myśl, że patrzymy na zieloną rzecz zwaną książką? Według CEMI dzieje się to właśnie za sprawą pola elektromagnetycznego.

– To tylko przypuszczenia – stwierdził Jock.

– Fakt, takie potraktowanie problemu jest bardzo nowatorskie, ale to solidna naukowa teoria, która wysuwa możliwe do zweryfikowania założenia. Mówię ci, Jock, dopóki nie zaczęła się cała ta heca z alternatywnymi światami, w zasadzie nie zastanawiałam się nad tym, co składa się na naszą świadomość. Ale to naprawdę fascynująca sfera badań.

– Myślisz, że zanik magnetycznego pola Ziemi zakłóci *jej* funkcjonowanie?

– Nie twierdzę, że coś na pewno się wydarzy. W końcu masz rację, że neandertalczycy niedawno przeszli przebiegunowanie na swoim świecie i nic im się nie stało. No, ale przyznaję, że się martwię. I ty chyba też powinieneś.

ROZDZIAŁ 23



Ale neandertalczycy nie pokonali Cieśniny Gibraltarskiej. I tam poznaliśmy różnicę między nami a nimi. Bo gdy my zobaczyliśmy nowy świat tak niedaleko, postanowiliśmy go zdobyć...

– To – powiedziała Vissan, stawiając na stole bladozielone urządzenie – jest prototyp kodonera.

Mary przyjrzała się urządzeniu. Kształtem i wielkością przypominało trzy bochenki chleba ułożone jeden za drugim – oczywiście żaden neandertalczyk nie użyłby takiego porównania.

– Potrafi syntetyzować każdą nić kwasu deoksyrybonukleinowego lub rybonukleinowego wraz z białkami niezbędnymi do wyprodukowania chromosomów czy innych struktur.

Mary pokręciła głową ze zdumieniem.

– To prawdziwa fabryka życia – stwierdziła, patrząc na Vissan. – Na moim świecie dostałabyś za to nagrodę Nobla... najwyższe wyróżnienie w dziedzinie nauki.

– A tutaj kodoner jest zakazany. – W głosie Vissan zabrzmiała gorycz. – A przecież miałam dobre intencje.

– Czyli jakie? – Mary zmarszczyła brwi.

Vissan przez chwilę milczała.

– Mam młodszego brata, który żyje w zamkniętym ośrodku – powiedziała w końcu. – Naukowcom udało się wyeliminować większość

dziedzicznych chorób genetycznych, ale czasem występują genetyczne wady, których się nie dziedziczy. Mój brat ma... hm, nie wiem, jak wy to nazywacie. Ma dodatkowy chromosom dwudziesty drugi.

– Chyba dwudziesty pierwszy – odruchowo poprawiła ją Mary. – Nie. Oczywiście masz rację. U was jest to chromosom dwudziesty drugi. My nazywamy to zespołem Downa.

– Czy u Gliksinów objawy są takie same? Niedostateczny rozwój umysłowy i fizyczny?

Mary przytaknęła. U gatunku *Homo sapiens* zespół Downa łączył się z charakterystycznymi cechami fizycznymi, takimi jak wystający język, płaska twarz czy fałdy przyoczne. Zastanawiała się, jak wygląda Barast z zespołem Downa.

– Moja matka należała do generacji 140. Powinna urodzić swoje pierwsze dziecko, kiedy miała dwadzieścia lat, ale nie zaszła wtedy w ciążę. Nie stało się to także, kiedy miała lat trzydzieści. Ja urodziłam się, gdy skończyła czterdzieści lat, a mój brat, Lanamar, kiedy miała pięćdziesiąt.

– Cięża w tak późnym okresie życia zwiększa ryzyko wystąpienia zespołu Downa także wśród moich ludzi – przyznała Mary.

– To dlatego, że organizm ma mniejszą zdolność wytwarzania czystych zestawów chromosomów. Właśnie temu chciałam zaradzić – i udało mi się. Mój kodoner mógł wyeliminować wszystkie błędy kopiowania, wykluczyć wszystkie...

– Co takiego?

– Przykro mi – odezwała się Christine – ale nie wiem, jak przetłumaczyć słowo, którego użyła Vissan. Chodzi o nieprawidłowość liczby chromosomów. Są trzy tam, gdzie powinny być tylko dwa.

– Trisomia – podpowiedziała Mary.

– Gdyby moi rodzice – ciągnęła Vissan – mieli do dyspozycji metody pozwalające niezależnie od wieku stworzyć idealny diploidalny zestaw chromosomów, Lanamar urodziłby się normalny. Taki sposób pozwoliłby wyeliminować mnóstwo podobnych schorzeń.

„Rzeczywiście” – pomyślała Mary. Jedno na 500 dzieci Gliksinów rodziło się z aberracją chromosomu płciowego, na przykład z zespołem Klinefeltera (czyli z dwoma lub większą liczbą chromosomów X i z jednym Y, bądź też z ich mozaiką), z trzema chromosomami X, z zespołem Turnera (pojedynczym chromosomem X zupełnie pozbawionym pary bądź występującym ze skróconym drugim chromosomem płciowym), czy z zespołem XYY powodującym u mężczyzn większą agresję. Mary podejrzewała, że Cornelius Ruskin ma dodatkowy chromosom Y; wskazywały na to jego budowa ciała i usposobienie. Zdarzały się także inne kombinacje, ale w większości takich przypadków dochodziło do samoistnych poronień.

– To nie wszystko – powiedziała Vissan. – Na początku kierowałam się chęcią zapobiegania trisomii i innym tego typu wadom. Jednak kiedy zaczęłam badania, zdałam sobie sprawę z cudownych możliwości, jakie się przede mną otwierały.

– Z jakich? – spytał Ponter.

– Chciałam wyeliminować przypadkowość doboru genów, dając rodzicom możliwość wyboru cech potomstwa.

– Jak to? – zdziwił się.

Vissan spojrzała na niego.

– Odziedziczyłeś pewną grupę cech po ojcu i inną po matce; połowa twojego kwasu deoksyrybonukleinowego pochodzi od jednego rodzica, a połowa od drugiego. W sumie te dwie połówki dają twoje czterdzieści osiem chromosomów. Jednak każdy twój plemnik zawiera przypadkowy

zbiór tych wszystkich cech. Ty – Ponter Boddit – masz gen koloru oczu od ojca i od matki, gen koloru włosów od ojca i od matki, gen determinujący kształt wału nadoczodołowego od ojca i od matki, i tak dalej. Ale twój plemnik zawiera tylko dwadzieścia cztery chromosomy, czyli połowę twojego kwasu deoksyrybonukleinowego. W każdej twojej komórce rozrodczej znajduje się albo gen z cechą od ojca, albo gen z cechą od matki, ale nigdy i jeden, i drugi. Jeden plemnik otrzyma zestaw informacji genetycznej z kolorem oczu twojej matki, kolorem włosów twego ojca i kształtem wału nadoczodołowego twojej matki. W drugim znajdzie się dokładnie odwrotna kombinacja. W trzecim będą tylko cechy twojej matki, a w czwartym tylko twego ojca. I tak dalej, po kolei, z dziesiątkami tysięcy twoich genów. Prawdopodobieństwo powstania dwóch plemników z taką samą kombinacją zakodowanych cech jest znikome. Podobnie jest z komórkami jajowymi. Można być niemal całkowicie pewnym, że nie znajdą się dwie o takim samym połączeniu materiału genetycznego matki matki oraz materiału genetycznego ojca matki.

– Rozumiem – powiedział Ponter.

– Weźmy na przykład Mega. Jest twoją córką, tak?

– Jestem! – przytaknęła dziewczynka.

Vissan przykucnęła obok małej.

– Ma brązowe oczy, a ty masz złote – zauważyła Vissan. – Masz jeszcze inne dzieci?

– Starszą córkę, Jasmel.

– I jakiego koloru oczy ma Jasmel?

– Takie jak moje.

– Szczęściara! – Mega wydeła wargi.

– Rzeczywiście – przyznała Vissan, po czym wstała i pogłaskała dziewczynkę po głowie. Spojrzała na Pontera. – Brązowy kolor oczu jest

dominujący; złoty jest recesywny. Prawdopodobieństwo, że dziecko odziedziczy twój kolor oczu, wynosiło zaledwie jeden do czterech. Gdybyś jednak powierzył przygotowanie materiału genetycznego kodonerowi, mógłbyś zdecydować, że chcesz, aby obie córki miały złote oczy lub jakąkolwiek inną cechę zawartą w kodach genetycznych twoim i twojej partnerki.

– Bu! – jęknęła Mega. – Chciałabym mieć złote oczy!

– Czy teraz już rozumiecie? – spytała Vissan. – Podczas naturalnego zapłodnienia łączą się zupełnie przypadkowo skomponowane zestawy cech. – Ponter skinął głową. – Nie uważacie jednak, że to szalone? Absolutna ruletka cech! I nie mówię tu tylko o tak mało znaczących sprawach jak kolor oczu. Na przykład, Ponterze, masz dwa geny odpowiadające za elastyczność soczewki oka: jeden od matki i jeden od ojca. Załóżmy, że ten od matki jest dobry i umożliwia ostre widzenie aż po starość, ale ten, który odziedziczyłeś po ojcu, sprawił, że od dzieciństwa musiałeś nosić korygujące szkła. Swojemu dziecku przekazesz tylko jeden z tych genów. Który wybierzesz?

– Oczywiście gen mojej matki – przyznał Ponter.

– Właśnie! Jednak przy naturalnym poczęciu nie masz tego wyboru. W ogóle nie masz żadnego wyboru. Zupełną loterią jest to, jakie geny otrzyma twój potomek, ponieważ pozwalasz niedoskonałej naturze decydować o informacji genetycznej, jaka znajdzie się w każdym z twoich plemników. Ale gdybyśmy sekwencjonowali twój kwas deoksyrybonukleinowy, moglibyśmy z każdej pary odziedziczonych przez ciebie cech wybrać lepszy gen. W ten sposób otrzymalibyśmy haploidalny zestaw zawierający tylko te bardziej pożądane cechy. Tak samo moglibyśmy zrobić z materiałem genetycznym Mary, tworząc haploidalny zestaw najlepszych cech z jej genetycznego repertuaru. Potem wystarczyłoby połączyć oba te

zestawy i stworzyć najlepszego potomka, jakiego moglibyście spłodzić. To dziecko nadal będzie pod względem genetycznym w połowie takie jak ojciec, a w połowie takie jak matka, ale odziedziczy najlepszą ze wszystkich możliwych kombinacji materiału genetycznego obojga rodziców.

– Rany – powiedziała Mary z podziwem. – Wprawdzie to niezupełnie dzieci na zamówienie, ale...

Vissan pokręciła głową.

– Nie, choć to też jest technicznie możliwe przy użyciu kodonera. Wystarczy wprowadzić allele nieobecne u żadnego z rodziców. Ale to nigdy nie było moją intencją. Wkrótce zostanie poczęta generacja 149 i chciałam, aby było to najlepsze pokolenie wszech czasów, posiadające same pozytywne cechy rodziców, którzy dadzą tej generacji początek. – Barastka ponownie pokręciła głową, a jej głos stał się jeszcze niższy niż zwykle. – W ten sposób zrobilibyśmy dla naszego gatunku tyle samo dobrego, ile wcześniej działośo dzięki oczyszczeniu puli genów. – Westchnęła ze smutkiem. Po chwili jednak zdołała otrząsnąć się z żalu, przynajmniej na jakiś czas. – No cóż, nigdy do tego nie dojdzie. Ale przynajmniej wy możecie skorzystać z możliwości, jakie daje kodoner.

Mary miała wrażenie, że za moment jej serce eksploduje. Miała zostać matką! To naprawdę miało się stać.

– To cudownie, Vissan, dziękuję ci! Nauczysz nas go obsługiwać?

– Jak najbardziej. Mam nadzieję, że baterie wciąż są naładowane... – Barastka dotknęła jednej z kontrolki i po chwili kwadratowy monitor pośrodku urządzenia obudził się do życia. – Można oczywiście podłączyć kodoner do większego monitora. Najpierw wlewamy odpowiednie związki chemiczne tutaj, w tę szparę. – Wskazała otwór po prawej stronie. – A to, co powstanie, wychodzi tędy w postaci zawiesiny wodnej. – Pokazała kurek

z lewego boku. – Naturalnie trzeba tu zamocować sterylne szklane naczynie.

– A jak się wprowadza dane? – spytała Mary, z fascynacją przypatrując się urządzeniu.

– Jest opcja sterowania głosem. – Vissan pociągnęła za gałkę kontrolną i odwróciła się przodem do maszyny. – Stwórz nić kwasu deoksyrybonukleinowego długości stu tysięcy nukleotydów, składającą się z powtarzającego się kodonu adenina-cytozyna-tymina. – Spojrzała na Gliksinę. – To aminokwas o nazwie...

– Treonina – dokończyła Mary.

Vissan przytaknęła.

– Właśnie.

Na urządzeniu zapaliło się kilka zielonych światełek.

– Aha, i proszę, sygnalizuje, że należy wprowadzić składniki. – Wskazała na monitor. – Widzisz? Tutaj podane jest, czego potrzeba. Dane można też wprowadzić, używając klawiatury. – Wskazała przełącznik. – Tym wybiera się między kwasem deoksyrybonukleinowym i rybonukleinowym. Dane można wprowadzać na jakimkolwiek poziomie szczegółowości, aż po pojedyncze nukleotydy. – Wskazała cztery przyciski tworzące kwadrat.

Mary kiwnęła głową. Przełącznik musiał być ustawiony na DNA, ponieważ na klawiszach widniały neandertalskie symbole adeniny, guaniny, tyminy i cytozyny. Przesunęła palcem obok innego zestawu przycisków w układzie osiem na osiem.

– A te pewnie służą do określania kodonów, tak? – W genetyce kodonami nazywano sekwencje trzech nukleotydów. W sumie było ich 64. Każdy kodował jeden z dwudziestu aminokwasów w białku. Ponieważ

kodonów było więcej niż aminokwasów, niektóre kombinacje oznaczały to samo i traktowano je jako genetyczne synonimy.

– Tak, zgadza się – potwierdziła Vissan. – Umożliwiają wybór kodonów. A jeśli jest ci wszystko jedno, jaki kodon zostanie użyty dla konkretnego aminokwasu, wystarczy wprowadzić nazwę samego aminokwasu. O, tutaj. – Wskazała dwadzieścia guzików ułożonych w czterech rzędach po pięć. – Zazwyczaj tych kontrolek używa się tylko do drobnych korekt. Ręczne wybieranie wszystkich elementów długiej sekwencji kwasu deoksyrybonukleinowego byłoby potwornie uciążliwe. Zwykle wystarczy podłączyć kodoner do komputera i skopiować genetyczny design, jaki chcemy otrzymać.

– Zdumiewające. Nie uwierzyłabyś, ile musimy się napracować przy klejeniu genów. – Mary spojrzała na Vissan. – Dziękuję ci.

– Bardzo proszę. No to zabierzmy się do roboty.

– Teraz? – zdziwiła się Mary.

– Oczywiście. Nie wyprodukujemy tu kwasu deoksyrybonukleinowego, ale ustawimy cały proces. Najpierw pobierzemy próbki DNA twojego i Pontera, a potem przeprowadzimy ich sekwencjonowanie.

– Możesz to zrobić tutaj?

– Kodoner może. My tylko dostarczymy mu próbki DNA. Analiza każdej potrwa około decymy.

– Tak krótki czas wystarczy na sekwencjonowanie całego genomu człowieka? – zdumiała się Mary.

– Tak. Uruchomimy kodoner, a potem upolujemy sobie coś do jedzenia.

– Chętnie pomogę – zgłosił się Ponter, podnosząc rękę – choć wiem, że świetnie radzisz sobie sama.

– W towarzystwie będzie weselej – odparła Vissan. – Ale najpierw pobiorę próbki materiału genetycznego od każdego z was...

ROZDZIAŁ 24



Zagrożenia związane z zanikiem pola magnetycznego naszej Ziemi uświadamiają nam, że ludzkość jest zbyt ważna, aby miała tylko jeden dom – głupotą jest stawianie wszystkiego na jedną kartę...

Ponter skontaktował się z kierowcą sześcianu podróżnego i odprawił go do Kraldak. Uznał, że kiedy będą gotowi wracać do domu, wezwą drugi pojazd.

Potem razem z Vissan wybrali się na polowanie, zostawiając Mary i Mega w chacie. Mega pokazała Mary, jak działa jej nowa zabawka; potem Mary opowiedziała dziewczynce fragment *Księgi dżungli* Kiplinga, a wreszcie nauczyła się od małej krótkiej neandertalskiej piosenki. Doskonale się bawiły. Mary wiedziała, że z własnym dzieckiem będzie jeszcze cudowniej.

W końcu Vissan i Ponter wrócili z bażantem. Gospodyni zabrała się za przyrządzanie ptaka, a Ponter przygotował sałatkę. Okazało się, że na dachu chaty są kolektory słoneczne. Vissan miała też próżniarkę do przechowywania żywności, elektryczny grzejnik, lampy i inne urządzenia. Wszystko to dostała w prezencie od przyjaciół, kiedy postanowiła opuścić neandertalską społeczność. Mary pomyślała, że w zasadzie takie życie nie było złe, byle tylko mieć co czytać. Vissan pokazała jej swój elektroniczny notes i zademonstrowała, w jaki sposób może go ładować za pomocą baterii słonecznych na dachu.

– Tutaj są teksty, które w sumie liczą ponad cztery miliardy słów – wyjaśniła. – Oczywiście nie mam dostępu do nowych materiałów, ale to nic. Nowe opracowania i tak są niewiele warte. Nie to co klasyka! – Vissan przycisnęła niewielkie urządzenie do piersi. – Uwielbiam czytać klasykę!

Mary się uśmiechnęła. Vissan przypominała jej Colma, który wychwalał zalety Shakespearea i innych pisarzy z dawnych epok. Musiała ukrywać swoje romanse, żeby uniknąć kłótni.

Obiad smakował wybornie – a może to liczba pokonanych tego dnia kilometrów zaostrzyła ich apetyty.

Przed posiłkiem zdjęli ze stolika kodoner, ale kiedy skończyli jeść, Vissan ponownie ustawiła urządzenie na blacie. Mega zwinęła się w kącie pomieszczenia i ucięła sobie drzemkę, a troje dorosłych otoczyło stół. Vissan zajęła jedyne krzesło, Ponter usiadł na pieńku, a Mary przycupnęła na próżniarce, dokładnie naprzeciwko czaszki mamuta.

– Sekwencjonowanie zakończone – stwierdziła Vissan, zerkając na wyświetlacz. Mary patrzyła na nią, a nie na ekran. Znała zaledwie kilka neandertalskich znaków i nie potrafiła odczytać symboli, które pokazywał. Barastka chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. – Jak widzicie – powiedziała, wskazując monitor – kodoner sporządził listę pięćdziesięciu tysięcy aktywnych genów w kwasie deoksyrybonukleinowym Mare i pięćdziesięciu tysięcy w kwasie deoksyrybonukleinowym Pontera.

– Aż pięćdziesięciu? – zdziwiła się Mary. – Sądziłam, że w ludzkim DNA jest tylko trzydzieści pięć tysięcy aktywnych genów. Tak wynika z naszych ostatnich badań.

Vissan zmarszczyła czoło.

– Ach, no tak, pominęliście... nie wiem, jak je nazywacie. To rodzaj podwojenia egzonów. Później mogę ci pokazać, o co chodzi.

– Chętnie się z tym zapoznam – odparła zafascynowana Mary.

– Skoro kodoner dysponuje już listą pięćdziesięciu tysięcy alleli genów każdego z was, oznacza to, że mógłby przystąpić do wyprodukowania pary gamet, które mają taką samą liczbę chromosomów. Tylko...

– Tylko co? – spytała Mary.

– Wcześniej wyjaśniłam wam, jakie miało być pierwotne przeznaczenie tego urządzenia. Chodziło o umożliwienie rodzicom wyboru tych alleli, jakie chcieli dać dziecku.

– Myślę, że w tym możemy się zdać na los. – Te słowa wymknęły się Mary, zanim zdążyła się nad nimi zastanowić. Przyszło jej do głowy, że być może dała o sobie znać jej naturalna niechęć do majstrowania przy narodzinach życia... choć przecież samo wykorzystanie kodonera było ogromną ingerencją w sprawy natury!

Vissan zmarszczyła brew.

– Gdybyście oboje byli Barastami, zaakceptowałabym taką decyzję; ale wtedy, jak sama wcześniej zauważyłaś, Mare, nie potrzebowalibyście kodonera do stworzenia przypadkowej kombinacji waszego materiału genetycznego. – Kręcąc głową, Vissan spojrzała na przedramię Pontera. – Nigdy nie sądziłam, że jeszcze kiedyś skorzystam z pomocy implantu, ale... Kompanie Pontera!

– Zdrowego dnia. – Z zewnętrznego głośnika urządzenia rozległ się męski głos. – Nazywam się Hak.

– Witaj, Haku. Przypuszczam, że po tym, jak nawiązano kontakt z ludźmi Mare, przeprowadzono badania dotyczące różnic między kwasem deoksyrybonukleinowym Barastów i Gliksinów.

– O tak, obecnie jest to dość popularny temat – przyznał Hak.

– I wyniki tych badań są dostępne za pośrednictwem planetarnej sieci informacyjnej?

– Oczywiście.

– To dobrze. Będziemy musieli je sprawdzać w trakcie pracy. – Vissan przeniosła wzrok z Mary na Pontera, a potem z powrotem na Mary. – Stanowczo odradzam przypadkowe zestawianie waszego materiału genetycznego. Chodzi przecież o połączenie dwóch gatunków. – Wskazała na wyświetlacz. – No tak, wyraźnie widać, że genomy Barastów i Gliksinów są niemal identyczne, ale powinniśmy dokładnie przeanalizować miejsca, w których się różnią, i rozważnie wybrać kombinacje. – Wskazała twarz Mary. – Czy takie małeńkie nosy są typowe dla twojego gatunku?

Mary przytaknęła.

– No widzisz! Idiotyczne byłoby zakodowanie genu małego, gliksińskiego nosa i gigantycznej barastowej opuszki węchowej. Cechy należy dobrać tak, aby pasowały do siebie, a przynajmniej sobie nie przeszkadzały.

– Oczywiście, masz rację. – Mary skinęła głową. W brzuchu miała rewolucję, ale próbowała nadrabiać miną. – W takim razie co mamy w menu?

– Hak... – Vissan zwróciła się do Kompana.

– Genetyczna rozbieżność między...

– Chwileczkę! Jeszcze nie zadałam ci pytania.

Ponter się uśmiechnął.

– Hak jest bardzo inteligentnym Kompanem. Znasz Kobasta Gansta?

– Tego badacza od sztucznej inteligencji? Słyszałam o nim.

– Jakies dziesięć miesięcy temu unowocześnił mój implant. Jak widzisz, nie tylko ty zamierzałaś poprawić życie Barastów. Kobast postawił sobie za cel, aby każdy z pokolenia 149 miał do dyspozycji prawdziwie inteligentne implanty.

– Mam nadzieję, że nie uniemożliwią mu dalszych badań, tak jak mnie. Choć jeśli to zrobią, chętnie powitam go jako sąsiada. No, ale wracajmy do

pracy. Rzeczywiście miałam poprosić Haka, aby streścił nam, co wiadomo na temat różnic między genomami Gliksinów i Barastów.

– A ja właśnie miałem przedstawić wam te informacje – odparł Hak nieco urażonym tonem. – Tak jak powiedziałaś, każdy Gliksin i każdy Barast mają około pięćdziesięciu tysięcy aktywnych genów. 98,7 procent z nich to allele obecne u obu populacji; zaledwie 462 geny istnieją u Barastów, ale nie u Gliksinów lub na odwrót.

– Rozumiem. – Vissan spojrzała na Mary. – W takim razie powinniśmy uważnie przeanalizować te 462 geny i dokonać rozsądnego wyboru w każdym z tych przypadków. Resztę, jeśli zechcecie, możecie pozostawić losowi.

Mary spojrzała na Pontera, upewniając się, czy nie ma żadnych obiekcji.

– W porządku – powiedziała.

– No dobrze. Zanim zaczniemy, musimy ustalić dwie ważne kwestie. Kodoner pozwoli nam przygotować diploidalny zestaw chromosomów zawierający wasz wspólny materiał genetyczny. A zatem, czy decydujemy się na dwadzieścia trzy, czy na dwadzieścia cztery pary chromosomów? Mówiąc inaczej, czy pod względem liczby chromosomów dziecko ma być Barastem, czy Gliksinem?

– Dobre pytanie. Na moim świecie musiałam zdefiniować oba nasze gatunki, tak aby dla celów imigracyjnych dało się określić, do którego każdy należy. Prawdopodobnie to właśnie liczba chromosomów stanie się podstawą takiego rozróżnienia w świetle prawa.

– Wasze dziecko pod wieloma względami może być hybrydą, ale w tej kwestii musi być albo jednym, albo drugim.

– Rany... Ponterze?

– To ty zajmujesz się genetyką, Mare. Sprawa liczby chromosomów jest... jak ty byś to określiła ... o wiele bliższa twojemu sercu niż mojemu.

– I nie masz w tej kwestii żadnych preferencji?
– Na poziomie emocjonalnym nie. Podejrzewam jednak, że z uwagi na sytuację prawną warto, by nasze dziecko było Gliksinem.

– Jak to?

– My mamy zjednoczony rząd całego świata – Najwyższą Radę Siwych. Wasza Organizacja Narodów Zjednoczonych liczy 191 państw członkowskich plus jeszcze inne, które nie mają statusu członków. Powstaną więc kwestie natury imigracyjnej związane z każdym z tych krajów, mam rację?

Mary przytaknęła.

– Sądzę, że łatwiej zdołamy przekonać jeden światowy rząd, że istota z dwudziestoma trzema parami chromosomów powinna mieć prawo żyć i pracować na tym świecie, niż ponad dwieście waszych rządów, że istota z dwudziestoma czterema parami chromosomów powinna otrzymać takie same prawa jak pozostali ludzie.

Mary spojrzała na Vissan.

– Rozumiem, że dziś jeszcze nie stworzymy DNA naszego dziecka? – upewniła się.

– Nie, oczywiście, że nie. Myślę, że to nastąpi już na twoim świecie, kiedy będziesz gotowa zająć w ciążę. Ja tylko pokazuję wam, jakie problemy powinniście rozstrzygnąć.

– Czyli że nie musimy o wszystkim ostatecznie zdecydować już teraz?

– Zgadza się.

– W takim razie odłożmy to do szuflady.

– Słucham? – zdziwiła się Vissan.

– Zostawmy to na razie i zajmijmy się kolejnymi kwestiami. Co jeszcze musimy rozstrzygnąć?

– Następny problem nie wynika z waszej szczególnej sytuacji, niemniej jednak musicie zdecydować, czy chcecie mieć chłopca, czy dziewczynkę, bo to będzie miało wpływ na sposób, w jaki kodoner przygotuje kwas deoksyrybonukleinowy Pontera.

– O tym już rozmawialiśmy – przyznała Mary. – Chcemy mieć córkę.

Vissan dotknęła kontrolki na kodonerze.

– A zatem dziewczynka. Teraz sprawdźmy, co nam jeszcze zostało... – Spojrzała na wyświetlacz.

– Kolejna sekwencja genów odpowiada za przedziałek we włosach – odezwał się Hak. – Baraści mają naturalny przedziałek pośrodku głowy. U Gliksinów naturalne przedziałki wypadają raczej z boku. Mary ma allele tylko na takie boczne przedziałki, natomiast Ponter po obojgu rodzicach odziedziczył oczywiście przedziałek centralny. Możecie wziąć po jednym z każdej pary i przekonać się, który gen okaże się dominujący, albo, jeśli chcecie mieć pewność co do rezultatu, weźcie oba allele od Pontera lub oba od Mare.

Mary spojrzała na Pontera. Rzeczywiście, u neandertalczyków włosy układały się tak jak u bonobo. Na początku wydawało jej się to dziwne, ale już się do tego przyzwyczaiła.

– Sama nie wiem.

– Z boku – zdecydował Ponter. – Skoro mamy mieć córkę, powinna być podobna do matki.

– Jesteś pewien? – spytała Mary.

– Oczywiście.

– W takim razie z boku. Weźmiemy oba moje allele.

– Załatwione. – Vissan dotknęła kolejnych kontrolki i wskazała na kwadratowy wyświetlacz. – Widzicie, jak to się robi? Te punkty na ekranie dotykowym pozwalają wybrać odpowiednie allele.

Mary kiwnęła głową.

– To dość proste – stwierdziła.

– Dziękuję – odparła Vissan. – Długo pracowałam nad tym, aby urządzenie było jak najprostsze w obsłudze. Następną grupę alleli sama umiem rozpoznać, przynajmniej po stronie Pontera. Odpowiadają za kolor oczu. Mare, ty masz oczy niebieskie, u nas takie się nie zdarzają. Tęczówki Pontera mają barwę złotego brązu, którą nazywamy *delint*. Jest rzadka i z tego powodu bardziej ceniona.

– Niebieskie oczy są u Gliksinów cechą recesywną – przyznała Mary.

– Podobnie jak *delint* u nas. A zatem, jeśli weźmiemy obydwie twoje allele, córka będzie miała oczy niebieskie, jeśli dwa allele Pontera, urodzi się ze złotymi oczami. Albo możemy wziąć po jednym od każdego z was i pozwolić losowi zdecydować...

Proces wybierania kolejnych cech zajął im sporo czasu. Robili tylko krótkie przerwy, bo najpierw Mary, a potem Ponter musieli skorzystać z toalety – czyli użyć drewnianego nocnika.

– Teraz mamy do rozstrzygnięcia interesującą kwestię neurologiczną – powiedziała w pewnym momencie Vissan. – Tu wolałabym nie brać po jednym z alleli od każdego z was, ponieważ zwyczajnie nie wiemy, jaki skutek da ich pomieszenie. Uważam, że znacznie bezpieczniejsze dla dziecka będzie wybranie albo alleli Mary, albo Pontera, bez prób łączenia cech. U Barastów gen ten odpowiada za rozwój części płatu ciemieniowego znajdującej się w lewej półkuli mózgowej. Nie możemy ryzykować uszkodzenia mózgu, więc...

– Powiedziałaś „płat ciemieniowy”? – upewniła się Mary, przysuwając się bliżej. Jej serce zaczęło mocniej bić.

– Tak. Jeśli ta część nie rozwinie się prawidłowo, może dojść do afazji bądź do zaburzenia funkcji motorycznych, dlatego...

Mary spojrzała na Pontera.

– Ty ją do tego namówiłeś?

– Słucham? – zdziwił się.

– Daj spokój, Ponterze. Mowa o części płata ciemieniowego znajdującej się w lewej półkuli!

– I? – Zmarszczył brew.

– Veronica Shannon mówiła, że ta część odpowiada za uczucia religijne u ludzi mojego gatunku. Wrażenie podróżowania poza ciałem; poczucie jedności ze światem. Wszystko to ma swoje korzenie właśnie tam.

– Ach, o to ci chodzi.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałeś, iż ta kwestia tu wypłynie?

– Naprawdę, Mare, nie miałem pojęcia.

Odwróciła głowę.

– Mówiłeś o „wyleczeniu” z religii i proszę bardzo, znalazło się rozwiązanie.

– Mare – wtrąciła Vissan – Ponter i ja niczego nie ustalaliśmy.

– Nie? Długo was nie było, kiedy poszliście polować...

– Naprawdę – zapewniła Barastka. – Nic nie wiem o żadnych badaniach.

Mary głęboko wciągnęła powietrze i bardzo powoli je wypuściła.

– Przepraszam – powiedziała w końcu. – Nie powinnam tak reagować.

Wiem, że Ponter nigdy nie próbowałby mnie w ten sposób zwieść.

Hak wyemitował krótki pisk, ale Ponter nie poprosił o wyjaśnienie słowa.

Mary wyciągnęła do niego rękę.

– Ponterze, jesteś moim partnerem, choć jeszcze nie mieliśmy uroczystości ślubowania. Wiem, że nigdy byś mnie nie oszukał.

Nie odpowiedział.

Pokręciła głową.

– Po prostu nie spodziewałam się, że ta kwestia tutaj się pojawi. Przypuszczałam, że będzie mowa o kolorze oczu i włosów, ale nie, że będziemy decydować o tym, czy dziecko ma być ateistą, czy osobą wierzącą. Kto by pomyślał, że to zależy od genów?

Ścisnął jej dłoń.

– Ta kwestia jest dla ciebie o wiele ważniejsza niż dla mnie. Rozumiem to. Zrobimy tak, jak postanowisz.

Mary znowu głęboko odetchnęła. Gdyby mogła porozmawiać o tym z ojcem Caldicottem. Tylko że przecież katolicki ksiądz nie pochwalałby całego tego procederu.

– Nie jestem ślepa, wiesz? – powiedziała. – Przecież widzę, jak spokojny jest ten twój świat. Przekonałam się też, jak... – umilkła, przez moment się nad czymś zastanawiała, po czym wzruszyła ramionami, bo nie znalazła lepszego sformułowania niż to, które początkowo przyszło jej do głowy – ... jak uduchowieni są twoi ludzie. Wciąż pamiętam to, co mówiłeś, gdy u Reubena oglądaliśmy katolicką mszę w telewizji, i potem pod pomnikiem weteranów wojny w Wietnamie... – Ponownie wzruszyła ramionami. – Słuchałam cię wtedy uważnie, ale...

– Ale nie jesteś przekonana – dokończył Ponter spokój – nie. – Nie mam do ciebie o to pretensji. Żaden ze mnie socjolog. Moje refleksje o tym, ile... – tym razem to on umilkł, wyraźnie świadomy tego, jak delikatny jest to temat, ale po chwili dokończył tak, jak początkowo zamierzał, nie mogąc znaleźć lepszego słowa – ... ile zła spowodowała religia na twoim świecie, są tylko subiektywnymi odczuciami, zwykłym filozofowaniem. Nie potrafię udowodnić swojej racji i wątpię, by ktokolwiek był w stanie to zrobić.

Mary zamknęła oczy. Może w modlitwie znalazłaby jakąś wskazówkę. Ale przecież w przeszłości nigdy żadnej nie otrzymała, dlaczego więc tym razem miało być inaczej?

– Może powinniśmy zostawić to losowi – odezwała się wreszcie. – Niech to on wybierze, jaki gen odziedziczy nasza córka.

– Gdyby chodziło o jakąś mało ważną cechę – wtrąciła cicho Vissan – pewnie bym się z tobą zgodziła, Mare. Ale mówimy przecież o części mózgu, która jest tak odmienna u obu gatunków. Nierozważne byłoby wzięcie jednego allelu od Gliksina i jednego od Barasta i liczenie na to, że wszystko jakoś się ułoży.

Mary zmarszczyła brwi. Wiedziała, że Vissan ma rację. Skoro postanowili powołać na świat dziecko hybrydę, musieli podjąć definitywną decyzję.

Ponter puścił jej dłoń, ale po chwili zaczął ją głaskać.

– Przecież nasz wybór nie dotyczy tego, czy nasza córka będzie miała duszę, czy nie. Decydujemy jedynie o tym, czy ona sama będzie wierzyła w to, że ma duszę – zauważył.

– Niczego nie musicie dziś postanawiać – powiedziała Vissan. – Moją intencją było jedynie zademonstrowanie wam całego procesu ustawiania kodonera. Zestaw diploidalny powinniście stworzyć dopiero, gdy trzeba będzie umieścić embrion w twojej macicy, Mare. – Barastka splotła ręce. – Ale gdy ten moment nadejdzie, będziecie musieli dokonać wyboru.

ROZDZIAŁ 25



Nadszedł czas, byśmy ruszyli naprzód większymi krokami. Ale tym razem nie jest to tylko wielkie amerykańskie przedsięwzięcie. Jeśli wolno mi się odwołać do innego przemówienia, już czas, abyśmy wszyscy: czarni i biali, żydzi i goje, protestanci i katolicy, hinduiści, muzułmanie i buddyści, kobiety i mężczyźni wszystkich wyznań oraz kobiety i mężczyźni niewierzący, obywatele wszystkich 191 zjednoczonych narodów, członkowie każdej rasy i wyznawcy każdej religii – ruszyli dalej wspólnie, w pokoju i harmonii, z wzajemnym szacunkiem i przyjaźnią, kontynuując podróż, którą my, Homo sapiens, na krótko tylko przerwaliśmy...

– Wydaje mi się, że wy dwoje macie sporo do omówienia – stwierdziła Vissan. – Może zabiorę Mega na dwór i popatrzymy sobie na gwiazdy – zaproponowała. Dziewczynka przed chwilą się przebudziła. – Co ty na to, Mega?

– Jasne!

Vissan włożyła futrzaną kurtę, a córkę Pontera owinęła w dwie za duże koszule.

Otworzyła drzwi. Mary poczuła na twarzy powiew chłodnego powietrza. Patrzyła, jak Vissan i Mega wychodzą i jak drewniane skrzydło drzwi zamyka się za nimi.

– Mare... – zaczął Ponter.

– Zaczekaj, pozwól mi chwilę pomyśleć – poprosiła. – Muszę się zastanowić.

Spokojnie wzruszył ramionami i podszedł do kominka, żeby w nim rozpalić.

Mary wstała z próżniarki i zajęła krzesło Vissan. Brodę podparła dłonią.
Broda...

Cecha *Homo sapiens*.

Cecha błaha, kompletnie nieważna.

Westchnęła. Gdyby nie to, że chłopcy Barastów wcześniej przynosili się do ojców, płęć dziecka nie byłaby dla niej ważna.

I na pewno nie dbała o przedziałek ich córki. Ani o to, jakiego koloru będzie miała oczy. Ani czy będzie umięśniona tak jak Barastka. Ani jaki zmysł węchu odziedziczy.

Byle tylko była zdrowa...

Odwieczne zaklęcie recytowane przez rodziców.

Mary nie doświadczyła w życiu żadnych uniesień religijnych poza tym, co spotkało ją w laboratorium Veroniki. Niemniej jednak wierzyła w Boga. Nawet teraz, mając świadomość, że to budowa jej mózgu predysponuje ją do takiej wiary, wciąż wierzyła.

Czy chciała odmówić córce komfortu, jaki siedł w parze z taką wiarą? Czy chciała uniemożliwić jej doświadczenie religijnego zachwyty, które wprawdzie poza tamtym laboratorium wymykało się Mary, ale podobno dotykało tak wielu ludzi?

Myślami wróciła do świata, na którym się znajdowała, i w jej głowie pojawiły się słowa, które czasem słyszała w telewizji, gdy była młoda. Słowa, których aż dotąd unikała.

Bezbożnicy.

Komuniści.

Ale przecież neandertalski system zdawał egzamin.

Sprawdzał się o wiele lepiej niż skorumpowany, moralnie zbankrutowany kapitalizm na jej świecie – świecie, na którym stale wykrywano kolejne nadużycia: w Big Tobacco, w Enronie, w WorldCom i wielu innych firmach. Jedni kierowali się wyłącznie chciwością, zagarniając nieprzychylnie wielkie sumy dla siebie, podczas gdy inni nie mieli nawet co jeść.

I sprawdzał się lepiej niż religijne instytucje na jej świecie – jej Kościół przez dekady ukrywał problem molestowania dzieci przez księży, jej religia i wiele innych odmawiały kobietom swobody wyboru, fanatycy religijni rozbijali samoloty o drapacze chmur...

Ponter czynił postępy w rozpalaniu ognia. Smużki dymu pięły się w górę ze szczap, które ułożył na kamieniach w kominku.

W końcu, kiedy wachlowaniem obudził płomień do życia, Mary wstała z krzesła i podeszła do swojego mężczyzny kucającego przy palenisku.

Spojrzał na nią. W blasku ognia jego wał nadoczodołowy i wielki nochal rzucały ostre cienie, ale mimo to wyglądał łagodnie.

– Zaakceptuję każdy twój wybór – powiedział, wstając.

Położyła dłonie na jego ramionach.

– Chciałabym mieć o wiele więcej czasu na zastanowienie.

– Mamy go trochę – zauważył Ponter – ale nie możemy się zastanawiać w nieskończoność. Jeśli chcemy, aby nasza córka przyszła na świat z generacją 149, musi zostać na czas poczęcia.

Mary wiedziała, że w jej głosie brzmi rozdrażnienie.

– Może więc nie musi być z generacji 149. Może urodzi się rok później. Albo dwa lata.

– Wiem, że na twoim świecie dzieci rodzą się co roku. Jeśli nasza córka będzie się tam wychowywała, nie ma znaczenia, kiedy zostanie poczęta. Jeżeli jednak postanowimy wychowywać ją głównie – a nawet tylko

częściowo – na tym świecie, albo po prostu uznamy, że powinna mieć szansę dopasowania się do tutejszej społeczności, trzeba to zrobić we właściwym czasie.

– To – powiedziała Mary, odsuwając się, żeby spojrzeć na Pontera.

Jego brew powędrowała do góry.

– To – powtórzyła. – „Trzeba to zrobić we właściwym czasie”. Niezbyt romantyczne podejście.

Ponter przyciągnął ją do siebie.

– Musimy sprostać kilku... wyjątkowym wyzwaniom. Ale czy jest coś bardziej romantycznego od dziecka dwojga ludzi, którzy się kochają?

Zmusiła się do uśmiechu.

– Masz rację. Przepraszam – powiedziała. – Słusznie uważasz, że powinniśmy to zrobić w odpowiednim momencie. – Mary urodziła się we wrześnie i dobrze wiedziała, jakie to uczucie, kiedy jest się choćby o pół roku młodszą od wielu dzieci na szkolnym placu zabaw. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, jak strasznie by było mieć o rok albo dwa mniej od pozostałych. Owszem, ich córka miała się przede wszystkim wychowywać w świecie Gliksinów, ale po osiągnięciu pełnoletności mogła postanowić, że chce mieć dom na neandertalskim świecie, a nigdy by tu nie pasowała, gdyby nie należała do określonej generacji.

– Jesteś gotowa do podjęcia decyzji? – spytał Ponter po chwili milczenia.

Spojrzała nad jego ramieniem na płomienie.

– Mój brat Bill ożenił się z protestantką – powiedziała po chwili. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka zła była wtedy moja mama! Bill i Dianę – tak ma na imię jego żona – musieli dokonać wyboru, w jakiej wierze chcą wychowywać dzieci. Do mnie docierały tylko sygnały ich problemów, i to oczywiście wyłącznie z punktu widzenia Billa, ale podobno zrobiła się z

tego wielka batalia. A teraz ty pytasz mnie, czy jestem gotowa zdecydować, czy nasze dziecko powinno być predysponowane do wiary w Boga?

Ponter nic nie powiedział. Przytulił ją tylko i pogładził po włosach. Nawet jeśli bardzo pragnął poznać jej decyzję, nie okazał tego. Była mu za to wdzięczna. Gdyby wyczuła z jego strony jakiś niepokój, wiedziałaby, że ma określone preferencje, i tym więcej trudności miałyby z uporządkowaniem własnych uczuć. Naprawdę nie miała pojęcia, jakie rozwiązanie by Wolał. Początkowo sądziła, że chce, aby jego dziecko było takie jak on, pozbawione...

Nienawidziła określenia, które zaczęło pojawiać się w prasie jeszcze przed otwarciem portalu do neandertalskiego świata.

... pozbawione „genu Boga”.

Ale przecież Ponter miał dość rozumu, aby wiedzieć, że nie da się zamówić człowieka, tak jak zamawia się pizzę: „Poproszę zestaw drugi bez cebuli”. Tutaj wszystkie składniki łączyły się w jedną całość. Może więc chciał, aby jego dziecko odziedziczyło wiarę swojej matki? Może właśnie to miał być sprawdzian zapowiedziany przez rzeźbiarza osobowości? Czy córkę wierzącą w życie po śmierci darzyłby innym uczuciem niż Jasmel i Mega?

Mary nigdy nie odważyłaby się zapytać go o to. Po zakodowaniu wybranych genów w chromosomach ich dziecka, nie było sensu czegokolwiek żałować ani wracać do dawnych sporów.

Pamiętała taką scenę z serialu *Star Trek* – z odcinka reżyserowanego przez Williama Shatnera, w którym przyrodni brat Spocka, Sybok, wyrusza na poszukiwania Boga – scenę narodzin Spocka. Jego ludzka matka, Amanda, rodziła w jaskini, wspomagana przez wolkańską akuszerkę. Kiedy

niemowlę pokazano ojcu dziecka – Wolkaninowi – ten z wielkim rozczarowaniem powiedział tylko dwa słowa: „Taki ludzki... „.

Mary pokręciła głową na samo wspomnienie tamtej sceny. A czego, do diabła, spodziewał się ten Wolkanin? Dlaczego powołał na świat dziecko hybrydę, a potem manifestował rozczarowanie tym, że syn ma cechy gatunku matki? Mary i Ponter naprawdę szukali tego, co w obu światach najlepsze – pragnęli łączyć, a nie dzielić.

– To nie jest żaden defekt – powiedziała w końcu. – To nie wada gliksieńskiego mózgu. Możliwość wiary w Boga – jeśli chcemy w niego wierzyć – jest częścią ludzi takich jak ja. – Wzięła Pontera za rękę. – Zdaję sobie sprawę ze zła, do którego przyczyniła się religia... zorganizowana religia. I tak jak ty, zaczynam dostrzegać szkody, jakie wyrządziła na moim świecie sama wiara w życie po śmierci. Tak wiele bestialskich uczynków rzeczywiście ma związek z przekonaniem, że wszystkie niesprawiedliwości zostaną nam wynagrodzone w przyszłym życiu. Mimo to chciałabym, aby moja córka – nasza córka – przynajmniej potencjalnie mogła wierzyć w te rzeczy.

– Mare...

Odsunęła się od niego.

– Nie. Pozwól mi skończyć. Twoi ludzie sterylizują kryminalistów i tłumaczą, że robią to z myślą o czystości puli genów. A przecież chodzi o znacznie więcej, przynajmniej w sytuacji, gdy przestępcy są mężczyznami, prawda? Wy nie tylko ich sterylizujecie, na przykład poprzez wazektomię. Wy ich kastrujecie – usuwacie tę ich część, która odpowiada nie tylko za agresję, ale także za pożądanie seksualne.

Mary zauważyła, że Ponter sprawia wrażenie zdenerwowanego, ale uznała, że po prostu żaden mężczyzna nie lubi rozmawiać o kastracji.

– Mówię to jako kobieta, która została zgwałcona, jako ofiara najgorszego z czynów, do jakich pcha testosteron. Ale mówię to także jako ktoś, kto doświadczył radości seksu. Być może w niektórych sytuacjach usunięcie jąder wytwarzających ten hormon jest słuszne. Niewykluczone, że w niektórych przypadkach także usunięcie genu Boga miałyby swoje uzasadnienie. Ale nie od razu na starcie, nie na początku.

Ponownie spojrzała na Pontera.

– W moim Kościele funkcjonuje pojęcie grzechu pierworodnego: oznacza to, że ludzie rodzą się nieczyści, obarczeni złem i winą za czyny swoich przodków. Ja jednak odrzucam ten pogląd. Veronica Shannon wspomniała o behawioryzmie, o tym, że człowiekowi można wpoić każde zachowanie, każdą reakcję. Być może u Gliksinów i u Barastów osiąga się to innymi metodami, ale podstawy są takie same. Nowe dziecko... nowe życie... to nic innego jak możliwości, które mogą się rozwinąć w taki czy inny sposób. Dlatego chcę, aby nasza córka miała cały ich potencjał i aby dzięki twojej i mojej miłości stała się najlepszym człowiekiem, jakim może być.

Ponter skinął głową.

– Zgodzę się na wszystko, na czym tobie zależy.

– Zależy mi właśnie na tym. Na dziecku, które może wierzyć w Boga.

ROZDZIAŁ 26



Staję tu dzisiaj przed wami, aby ogłosić nowy etap podróży. Nadszedł czas, moi przyjaciele, aby przynajmniej część z nas ruszyła dalej, zostawiając Ziemię i decydując się na krok, który dla ludzkości będzie kolejnym olbrzymim skokiem...

Mary, Ponter i Mega zostali na noc u Vissan. Spali na podłodze. Następnego dnia, z kodonerem owiniętym w skóry, aby nikt nie zorientował się, co to takiego, cała trójka wróciła sześcianem do Centrum Kraldak, a stamtąd helikopterem do Saldak... akurat na sam koniec dnia, na które Dwoje stało się Jednym.

Ponter spotkał się z Adikorem i razem wsiedli do poduszkobusu zabierającego wszystkich mężczyzn do ich domów. Mary wiedziała, że na następny dzień ma zaplanowaną kolejną wyprawę. Razem z delegacją Organizacji Narodów Zjednoczonych, której towarzyszył Jock Krieger, wybierał się na wyspę Donakat.

Czuła nieznośny ból. Nie mogła się doczekać następnych wakacji. Przypuszczała, że wtedy już nie będzie mieszkała na rym świecie. Musiała przecież wrócić do Synergii. Ale oczywiście zamierzała przyjechać tu na te kilka wolnych dni.

Była potwornie zazdrosna o Adikora. Wiedziała, że traktuje go niesprawiedliwie, ale cały ten układ sprawiał, że czuła się jak ta „druga”,

tak jakby Ponter wykradał się na schadzki z nią, a potem wracał do swojej prawdziwej rodziny.

Powoli ruszyła z powrotem do domu Bandry, niosąc owinięty w skóry kodoner. Wokół kręciło się mnóstwo kobiet. Żadna z nich nie wydawała się smutna. Jedne rozmawiały między sobą, co chwila wybuchając śmiechem; inne szły dokądś z twarzami rozciągniętymi w uśmiechach – nie takich, jakie posyła się komuś na powitanie, lecz potajemnych i osobistych, jakie pojawiają się, gdy wspominamy coś przyjemnego.

Mary czuła się jak idiotka. Co ona do cholery robiła na tym świecie z tymi ludźmi? Owszem, lubiła czas spędzany z Ponterem. Seks był niezmiennie bajeczny, rozmowy z nim wciąż ją fascynowały, a ostatnia wspólna wyprawa w poszukiwaniu Vissan okazała się pod wieloma względami wspaniała. Tylko że teraz musiała czekać dwadzieścia pięć dni, by znowu go spotkać!

Chmura gołębi wędrownych na moment przesłoniła słońce. Mary wiedziała, że to ptaki wędrowne. Kursowały między dwoma domami, tym na północy i tym na południu. Westchnęła z żalem i ruszyła dalej. Domyślała się, dlaczego neandertalskie kobiety, które mijała po drodze, były uśmiechnięte. Przecież nie wracały do samotnej egzystencji, tylko do kochanek i do dzieci – wracały do swoich rodzin.

Podniosła kołnierz kurtki z mamuciego włosa. Skądś pojawił się chłodny wiatr. Nienawidziła zimy w Toronto i przypuszczała, że tutaj jeszcze bardziej nie lubiłaby tej pory roku. Jej miasto było duże, rozwinięte przemysłowo, z mnóstwem ludzi i samochodów, a to miało niebagatelny wpływ na lokalny klimat. Na północy i na południu zimą bez przerwy padał śnieg, ale w Toronto zdarzało się to tylko kilka razy do roku i zwykle nie wcześniej niż w okresie świąt Bożego Narodzenia. Oczywiście Saldak znajdowało się o 400 kilometrów dalej na północ, w miejscu, gdzie na

świecie Mary było Sudbury, a w Sudbury zawsze padały tony śniegu. W Saldak śnieżyło pewnie jeszcze bardziej.

Poczuła nieprzyjemny dreszcz, a przecież jeszcze nie było tak zimno. Zastanawiała się, czy nie poprosić Kompana o informacje na temat tutejszych zim, ale podejrzewała, że Christine tylko potwierdzi jej najgorsze obawy.

W końcu dotarła do szerokiego, przysadzistego drzewa, które stanowiło główną konstrukcję domu Bandry. Jego liście zaczęły już opadać. Weszła do środka. Miała na sobie neandertalskie spodnie połączone z pokrowcami na stopy, ale gdy tylko przekroczyła próg, instynktownie sięgnęła w dół, aby zdjąć buty. Westchnęła. Nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek zdoła przywyknąć do tego miejsca.

Zaniosła kodoner do swojej sypialni i wróciła do głównego pomieszczenia. Usłyszała szum wody. Bandra była już w domu. Może jej partner wolał wrócić na Obrzeża wcześniejszym poduszkobusem. Lejąca się woda zagłuszyła pewnie hałas, jaki Mary zrobiła swoim wejściem, a ponieważ drzwi do łazienki były zamknięte – ze względu na higienę, nie na potrzebę prywatności – Bandra jeszcze nie poczuła jej zapachu.

Mary wzięła sobie sok z kuchni. Słyszała, że neandertalczyki, którzy pracowali na południu przy zbiorze owoców, golili głowy i ciała, żeby lepiej znosić wysokie temperatury. Spróbowała wyobrazić sobie Pontera bez włosów. W telewizji widywała czasem kulturystów z nagimi torsami i plecami. Przypuszczała, że albo dokładnie je golili, albo taki efekt dawały przyjmowane przez nich sterydy. Tak czy inaczej, wolała Pontera takim, jaki był.

Bandra powinna już wyjść z umywalni, ale drzwi wciąż były zamknięte, a Mary bardzo chciało się siku. Z czystej konieczności zmusiła się do

przewyciężenia obaw przed wspólnym korzystaniem z łazienki. Podeszła do drzwi i pchnęła je otwartą dłonią.

Bandra stała pochylona nad umywalką i patrzyła w kwadratowe lustro nad zlewem.

– Wybacz – przeprosiła ją Mary – ja tylko... Och! Bandro, co ci się stało?

Dopiero po chwili zauważyła krew na gładkim granicie umywalki; czerwone krople były mało widoczne na ciemno-różowym kamieniu.

Bandra próbowała ukryć twarz. Mary podeszła bliżej.

– Co ci jest? – spytała, kładąc dłoń na ramieniu Barastki. Bandra mogła bez trudu ją powstrzymać. Na pewno miała dość siły. Początkowo stawiała lekki opór, ale w końcu pozwoliła, by Gliksinka obróciła ją twarzą do siebie.

Mary gwałtownie wciągnęła powietrze. Lewa strona twarzy Bandry wyglądała okropnie. Niebieskoczarny siniec z żółtą otoczką miał średnicę przynajmniej dziesięciu centymetrów. Zaczynał się tuż nad wałem nadoczodołowym i obejmował cały policzek aż po kącik ust. Pośrodku widniał strup wielkości połowy siniaka. Bandra zdarła większą jego część i stąd się wzięły świeże ślady krwi na umywalce.

– Mój Boże. Co ci się stało? – Mary znalazła szorstki, kwadratowy kawałek materiału pełniący rolę myjki, zmoczyła go i pomogła Bandrze oczyścić ranę.

Łzy przepełniły głębokie studnie oczu Barastki i popłynęły po jej twarzy, omijając wielki nos, skapując ze szczęki prosto do granitowego zlewu i rozmywając krople krwi.

– Nie-niepotrzebnie pozwoliłam ci tu zamieszkać – powiedziała cicho Bandra.

– Dlaczego? Co ja takiego zrobiłam?

Bandra nie zwróciła uwagi na jej pytanie.

– Nie jest aż tak źle – stwierdziła, patrząc w lustro.

Mary odłożyła myjkę i położyła dłonie na szerokich ramionach Barastki.

– Bandro, co się stało?

– Próbowałam usunąć strup. Myślałam, że może zdołam zamaskować siniak tak, iż nic nie zauważysz, ale... – Pociągnęła nosem. U neandertalczyków tej czynności towarzyszył głośny, burczący dźwięk.

– Kto ci to zrobił?

– To nie ma znaczenia.

– Oczywiście, że ma! Kto to był?

Bandra znalazła w sobie odrobinę siły, by zaprotestować.

– Przyjęłam cię do mojego domu, Mare. Wiesz, że Baraści nie potrzebują wiele prywatności, ale w tej sprawie proszę, abyś uszanowała moją.

Mary poczuła mdłości.

– Bandro, nie mogę spokojnie patrzeć, jak ktoś cię krzywdzi.

Bandra wzięła myjkę i kilkakrotnie musnęła nią bok twarzy, sprawdzając, czy rana przestała krwawić. Krwawienie ustało, więc odłożyła myjkę z powrotem. Mary wyprowadziła ją z łazienki i posadziła na kanapie. Sama usiadła obok, wzięła duże dłonie Bandry w swoje i spojrzała w pszeniczne oczy Barastki.

– A teraz powiedz mi, co się stało. Spokojnie, bez pośpiechu.

Bandra odwróciła wzrok.

– Nie robił tego przez trzy miesiące, więc myślałam, że tym razem też tak będzie. Sądziłam, że może...

– Kto cię skrzywdził?

– Harb. – Bandra powiedziała to niemal bezgłośnie, ale Christine wyraźnie powtórzyła imię dla Mary.

– Harb? Twój partner?

Bandra poruszyła głową kilka milimetrów w górę i w dół.

– Mój... Boże. – Mary westchnęła i pokiwała głową, bardziej do siebie niż do przyjaciółki. – No dobrze – powiedziała. – Oto, co zrobimy: musimy zgłosić zajście władzom.

– *Tant* – zaprotestowała Bandra. Nie.

– Tak – powiedziała Mary stanowczo. – Tego typu rzeczy zdarzają się także na moim świecie. Nie musisz tego znosić. Możemy poprosić o pomoc.

– *Tant!* – sprzeciwiła się zdecydowanie Bandra.

– Wiem, że to trudne, ale pójdziemy tam razem. Będę z tobą przez cały czas. Nie pozwolimy, aby to się powtórzyło. – Mary wskazała Kompana Bandry. – W archiwach alibi na pewno jest zapis tego, co ci zrobił, prawda? Nie ujdzie mu to na sucho.

– Nie wniosę przeciwko niemu żadnych zarzutów. Bez oskarżenia ofiary nie ma przestępstwa. Takie jest prawo.

– Rozumiem, wydaje ci się, że go kochasz, ale naprawdę nie musisz tego znosić. Żadna kobieta nie powinna.

– Ja go nie kocham. Ja go nienawidzę.

– Dobrze, w takim razie zróbmy coś z tym. Pomogę ci doprowadzić się do porządku, przebierzesz się w czyste ubranie i pójdziemy do arbitra.

– *Tant!* – Bandra plasnęła dłonią o stojący przed nią stolik. Huk był tak głośny, że Mary przez chwilę obawiała się, iż z blatu zostaną drzazgi. – *Tant!* – Głos Bandry zabrzmiał stanowczo.

– Ale dlaczego? Przecież nie musisz znosić jego zachowania...

– Nic nie wiesz o naszym świecie – przerwała Bandra. – Nic. Nie mogę iść z tym do arbitra.

– Dlaczego? Przecież takie pobicie jest przestępstwem, mam rację?

– Oczywiście.

– Nawet jeśli dochodzi do tego między osobami, które są parą, tak?

Bandra kiwnęła głową.

– W takim razie dlaczego nie chcesz tego zgłosić?

– Ze względu na nasze dzieci! – wybuchła Bandra. – Ze względu na Hapnar i Drannę.

– Jak to? – zdziwiła się Mary. – Obawiasz się, że Harb je skrzywdzi? Czy... czy był agresywnym ojcem?

– Widzisz! – zapiała Bandra. – Nic nie rozumiesz.

– W takim razie mi w tym pomóż, bo jestem gotowa sama iść do arbitra.

– A co ty masz do tego?

Mary zdumiało to pytanie. Przecież to chyba sprawa wszystkich kobiet. Nie można...

I wtedy wreszcie zrozumiała. Poczula się tak, jakby trafił w nią meteor. Sama nie zgłosiła policji tego, że została zgwałcona, i przez to szefowa jej wydziału stała się następną ofiarą Corneliusa Ruskina. Teraz próbowała w jakiś sposób tamto odpokutować. Nie chciała już nigdy czuć się winna dlatego, że nie zgłosiła przestępstwa przeciwko kobiecie.

– Jesteś moją przyjaciółką. Ja tylko chcę ci pomóc.

– Skoro tak, to zapomnij, że mnie taką widziałeś.

– Ale...

– Musisz mi to obiecać!

– Ale dlaczego, Bandro? Nie powinnaś tego znosić.

– Właśnie że muszę! – Bandra zacisnęła potężne pięści i zamknęła oczy.

– Muszę.

– Dlaczego? Na litość boską...

– To nie ma nic wspólnego z twoim śmiesznym Bogiem. Takie są realia.

– Jakie realia?

Bandra odwróciła wzrok i odetchnęła głęboko.

– Realia naszego prawa – powiedziała w końcu.

– Jak to? Czy nie ukarzą go za coś takiego?

– O tak – odparła Bandra z goryczą. – Ukarzą go na pewno.

– Więc dlaczego?

– Wiesz, jaka będzie kara? Jesteś związana z Ponterem Bodditem. Co groziło jego partnerowi, Adikorowi, gdy niesłusznie oskarżono go o morderstwo?

– Sterylizacja – odparła Mary. – Ale Adikor na to nie zasługiwał. Nic nie zrobił. Za to Harb...

– Myślisz, że obchodzi mnie to, co stanie się z nim? Ale oni wysterylizują nie tylko Harba. Agresji nie można tolerować. Należy usunąć ją z puli genów. Sterylizacji poddani zostaną wszyscy, którzy mają pięćdziesiąt procent wspólnego z nim materiału genetycznego.

– Chryste – jęknęła cicho Mary. – Twoje córki...

– Właśnie! Wkrótce zostanie poczęta generacja 149. To będzie drugie dziecko mojej Hapnar, ale Dranna zajdzie w ciążę po raz pierwszy. Jeśli zgłoszę występki Harba...

Mary czuła się tak, jakby ktoś walnął ją w żołądek. Gdyby Bandra zgłosiła, co zrobił Harb, jej córki zostałyby poddane sterylizacji, podobnie jak rodzeństwo Harba i jego rodzice, jeśli jeszcze żyli – choć może matkę Harba by to ominęło, bo na pewno przeszła już menopauzę.

– Nie sądziłam, że neandertalscy mężczyźni mogą być tacy. Tak mi przykro, Bandro.

Barastka nieznacznie wzruszyła masywnymi ramionami.

– Już od dawna dźwigam ten ciężar. Przyzwyczaiałam się do niego. Tylko...

– Tak?

– Sądziłam, że to się skończyło. Nie uderzył mnie, odkąd odeszła moja partnerka. Ale...

– Oni nigdy nie przestają. Nie na zawsze. – Mary czuła w ustach kwaśny smak. – Musi istnieć jakieś rozwiązanie... – Umilkła na moment, a potem coś przyszło jej do głowy. – Przecież możesz się bronić. To na pewno jest zgodne z prawem. Mogłabyś...

– Co?

Mary wlepiała wzrok w pokrytą mchem podłogę.

– Neandertalczyk może przecież zabić jednym celnym uderzeniem pięści.

– To prawda! Sama więc widzisz, że musi mnie kochać, bo w przeciwnym razie już bym nie żyła.

– Bicie nie jest sposobem okazywania miłości, ale gdybyś mu oddała? Mocno? Może to dla ciebie jedyne wyjście.

– Nie mogę – sprzeciwiła się Bandra. – Gdyby arbiter uznał, że nie musiałam go zabić, zarzut agresji postawiono by mnie, a wtedy moje córki i tak by ucierpiały, bo mają przecież połowę moich genów.

– Przeklęty paragraf 22 – zachnęła się Mary. Spojrzała na Bandrę. – Znasz to powiedzenie?

Bandra przytaknęła.

– Dotyczy sytuacji bez wyjścia, ale tu się mylisz, Mare. Ja mam wyjście. W końcu jedno z nas umrze, ja lub Harb. Do tego czasu... – Barastka podniosła ręce i otworzyła pięści, odwracając dłonie wnętrzem do góry w geście wyrażającym bezsilność.

– Ale dlaczego się z nim nie rozwiedziesz, czy jak wy to tutaj nazywacie? To podobno proste.

– Prawna strona tego, co nazywasz rozwodem, rzeczywiście jest prosta, ale ludzie i tak będą plotkowali, zastanawiali się dlaczego. Gdybym chciała

zakończyć mój związek z Harbem, pytaliby o to i mnie, i jego. Prawda mogłaby wtedy wyjść na jaw i moim córkom też groziłaby sterylizacja. – Bandra pokręciła głową. – Nie, tak jest lepiej.

Mary objęła Bandrę i zaczęła gładzić jej srebrno-miedziane włosy.

ROZDZIAŁ 27



Czas, moi bracia, abyśmy wyruszyli na Marsa...

„To musi być dla niego potwornie irytujące” – pomyślał Ponter. Każdy takt dyskomfortu Radnego Bedrosa sprawiał mu satysfakcję.

Przecież to właśnie Bedros nakazał jemu oraz ambasadorce Tukanie Prat powrót z Ziemi Mare, bo chciał zamknąć portal między światami. Oczywiście Ponter odmówił, a Tukana przekonała dziesięcioro wybitnych neandertalczyków – w tym Lonwisa Troba – aby wybrali się w podróż do drugiej rzeczywistości.

I teraz to Bedros musiał powitać delegację z tamtego świata. Ponter osobiście nadzorował komputer kwantowy, kiedy delegaci przechodzili przez tunel Derkera. Nie byłoby dobrze, gdyby człowiek pełniący funkcję najbliższą roli światowego przywódcy tych z natury nerwowych Gliksinów został przecięty na pół w wyniku zamknięcia się portalu.

Radny nie zjechał na dół kopalni Debral, tylko zaczekał, aż sekretarz generalny oraz pozostali przedstawiciele Organizacji Narodów Zjednoczonych dotrą na powierzchnię.

Okrągła winda musiała kursować dwa razy, aby dostarczyć Wszystkich na górę, ale w końcu cała grupa opuściła kopalnię. W pobliżu czekało czterech ubranych na srebrno Ekshibicjonistów, dzięki którym cała społeczność mogła śledzić rozwój wydarzeń. Ciemnoskóry lider Organizacji Narodów Zjednoczonych wyszedł z bloku windy jako

pierwszy, za nim pojawił się Ponter, dalej trzech mężczyzn i dwie kobiety o jaśniejszej skórze, a na koniec Jock Krieger, najwyższy z całej grupy.

– Witamy na Jantar – powiedział Bedros. Wcześniej poinstruował swojego Kompana, aby nie tłumaczył nazwy, którą Baraści określali swoją planetę. Siedmioro Gliksinów nie miało Kompanów. Nie założyli nawet tymczasowych urzędów. Podobno sporo na ten temat debatowano, ale „immunitet dyplomatyczny”, o którym Ponter już wcześniej słyszał, sprawił, że zwolniono ich z obowiązku rejestrowania w archiwach alibi wszystkiego, co mówili i robili. Wprawdzie, o ile Ponter się nie mylił, Jock Krieger nie miał prawa do tego przywileju, lecz mimo to on także nie nosił Kompana.

– Z wielkimi nadziejami na przyszłość witamy was tutaj – ciągnął Bedros. Ponter z całych sił starał się powstrzymać uśmiezek. Aby nauczyć się, jak według norm Gliksinów powinno wyglądać odpowiednie przemówienie, Bedros musiał brać lekcje u Tukany Prat, która wcześniej zlekceważyła jego autorytet. Wydawało się, że Radny przemawia całe decymy. Potem sekretarz generalny zrewanżował się podobnym powitaniem.

Ponter uznał, że Jock Krieger musi mieć serce Barasta. Podczas gdy inni chętnie uczestniczyli w pompie, on wyraźnie ignorował przemówienia. Przyglądał się za to lasom i wzgórzom wokół, śledził wzrokiem każdego przelatującego w górze ptaka i patrzył na błękitne niebo.

Wreszcie wygłaszanie mów dobiegło końca. Ponter podszedł do Jocka. Mężczyzna miał na sobie długi, beżowy płaszcz związany w pasie beżową szarfą, skórzane rękawiczki i nakrycie głowy z odstającym brzegiem. Cała delegacja Gliksinów zaczęła na dole w kopalni, aż ich stroje zostaną odkażone.

– No i jak ci się podoba nasz świat?

Jock powoli pokręcił głową.

– Jest przepiękny... – powiedział z zachwytem.

Podglądacz w domu Bandry wisiał na ścianie w pomieszczeniu dziennym. Kształtem był dopasowany do łagodnej krzywizny okrągłego pokoju. Wielki kwadrat ekranu dzielił się na cztery mniejsze, z których każdy pokazywał perspektywę jednego z czterech Ekshibicjonistów obecnych w kopalni niklu Debrał, którą przed chwilą opuściła delegacja Organizacji Narodów Zjednoczonych. Bandra wołała tego dnia nie wychodzić z domu, więc Mary została z nią pod pretekstem oglądania wizyty Gliksinów.

– O, popatrz! Widać Pontera! – zauważyła Barastka.

Mary miała nadzieję, że choć na chwilę go zobaczy – i niestety wyglądało na to, że na tej chwili się skończy. Ekshibicjonistów nie interesował żaden Barast. Całą uwagę skupiali na grupie Gliksinów.

– Kto jest kim? – spytała Bandra.

– Ten mężczyzna tutaj... – Mary z typową dla Kanadyjczyków obawą przed posądzeniami o rasizm nie powiedziała „czarny” ani „ciemnoskóry”, choć była to najbardziej oczywista różnica między Kofim Annanem i resztą grupy – ... jest sekretarzem generalnym Organizacji Narodów Zjednoczonych.

– Który?

– Ten po lewej stronie.

– Z brązową skórą?

– Hm, tak.

– Czyli że jest przywódcą waszego świata?

– No, nie. Niezupełnie. Jest za to najwyższym rangą w ONZ.

– Aha. A kim jest ten wysoki?

– To Jock Krieger. Mój szef.

– Hm, wygląda... drapieżnie.

Mary zastanowiła ta uwaga. Bandra chyba miała rację.

– Rzeczywiście, wilkiem mu z oczu patrzy.

– Ooo! – zachwyciła się Bandra. – To takie powiedzenie?

– Aha.

– Doskonale do niego pasuje. – Z przekonaniem pokiwała głową. – Nie podoba mi się jego nastawienie. W twarzy nie ma radości – stwierdziła i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że być może sprawia Mary przykrość taką oceną. – Przepraszam! Nie powinnam tak mówić o twoim przyjacielu.

– Nie jest nim. – Mary zawsze w tej kwestii trzymała się zasady, że przyjacielem jest ktoś, kto choć raz odwiedził ją w domu lub odwrotnie. – Tylko razem pracujemy.

– Ach, popatrz! On nie ma Kompana.

Mary przyjrzała się uważniej ekranowi.

– Rzeczywiście. – Sprawdziła wszystkie cztery monitory. – Żaden z Gliksinów go nie ma.

– Jak to możliwe?

Mary zmarszczyła czoło.

– Przypuszczam, że to przez immunitet dyplomatyczny, który...

– Który co?

Mary poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić.

– Zwykle oznacza to, że podczas podróży dyplomaty nikt nie sprawdza jego bagażu. Jeśli uda mi się przekazać kodoner Jockowi, bez problemów przetransportuje urządzenie na mój świat.

– Doskonale – ucieszyła się Bandra. – O, spójrz, znowu widać Pontera!

Lot z Saldak na wyspę Donakat trwał dwie decymy. Ponter wiedział, że to o wiele dłużej, niż zajmuje podobna podróż na świecie Mare. Właśnie myślał o ukochanej i o urządzeniu Vissan, dzięki któremu mogli mieć dziecko, kiedy siedzący obok niego Jock wyrwał go z zadumy.

– Nigdy nie zbudowaliście samolotów? – spytał.

– Nie. Sam się nad tym zastanawiałem. Wprawdzie wielu moich ludzi fascynowały ptaki i możliwość latania, ale widziałem u was te długie... „pasy startowe”? Tak to się nazywa?

Jock przytaknął.

– No właśnie. Widziałem pasy startowe, jakich potrzebują wasze samoloty, i myślę, że tylko gatunek, który już wcześniej przyzwyczał się do wycinania dużych obszarów lasu pod pola uprawne, mógł uznać takie rozwiązanie za naturalne. Tak samo jak w przypadku waszych autostrad.

– Nigdy w ten sposób na to nie patrzyłem – przyznał Jock.

– My tutaj nie mamy dróg takich jak wasze. Większość z nas, hm, jak by to powiedzieć, preferuje domatorstwo. Niewiele podróżujemy i wolimy mieć jedzenie dosłownie tuż za progiem.

Jock rozejrzył się po kabinie helikoptera.

– Podróżuje się tym wygodnie. Między siedzeniami jest sporo miejsca. My zwykle staramy się zmieścić w samolotach jak najwięcej ludzi. Zresztą to samo dotyczy pociągów czy autobusów.

– Wygoda nie była naszym głównym celem – stwierdził Ponter. – Chodziło raczej o to, aby nikt nie musiał mieć tuż pod nosem cudzych feromonów. W waszych dużych samolotach bardzo mi to przeszkadzało, zwłaszcza że w kabinach utrzymywane jest zwiększone ciśnienie. Jednym z powodów, dla których nie latamy tak wysoko jak wy, jest fakt, że nasze kabiny nie muszą być szczelne; do środka stale wprowadzane jest świeże powietrze, aby uniknąć nagromadzenia feromonów i... – Ponter urwał i

przekrzywił głowę. – Ach tak, dziękuję ci, Hak. – Spojrzał ponownie na Jocka. – Wcześniej prosiłem Haka, aby dał mi znać, kiedy będziemy przelatywali nad miejscem odpowiadającym waszemu Rochester. Jeśli teraz wyjrzysz przez okno...

Jock przytknął twarz do kwadratowej szyby. Ponter pochylił się do przodu i wyjrzał przez inne okno. Z tej wysokości widział południowy brzeg zbiornika wodnego, który Jock nazywał jeziorem Ontario.

– Tu są tylko lasy – zauważył zdumiony Jock, odwracając się z powrotem do Pontera.

Ponter skinął głową.

– Jest tu kilka chat myśliwskich, ale nie ma żadnych większych osiedli ludzkich.

– Trudno mi nawet zorientować się w terenie bez dróg.

– Wkrótce będziemy przelatywali nad jednym z Finger Lakes. Nazywamy te jeziora tak samo jak wy. Ich kształt nasuwa oczywiste skojarzenia. Powinieneś bez trudu je rozpoznać.

Jock jak zahipnotyzowany patrzył przez okno.

Ekshibicjoniści nie mogli polecieć na południe z całą delegacją Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale Bandra przypuszczała, że na miejscu, na wyspie Donakat, będą już czekali inni. Na razie poleciała Podglądaczowi się wyłączyć, co też zrobił. Potem odwróciła się do Mary.

– Wczoraj wieczorem niewiele mówiłyśmy o... o moim problemie z Harbem.

Mary skinęła głową.

– Czy z tego powodu odeszła twoja partnerka?

Bandra zadarła głowę do góry i zapatrzyła się na sufit. Pokrywały go setki malunków ptaków reprezentujących dziesiątki gatunków. Każdego

przedstawiła z najdrobniejszymi szczegółami.

– Tak. Nie mogła patrzeć na to, jak mnie traktował. Ale... ale w pewnym sensie lepiej, że odeszła.

– Dlaczego?

– Łatwiej jest ukryć wstyd, kiedy nikt cię nie widzi.

Mary położyła dłonie na ramionach Bandry i cofnęła się o krok, aby spojrzeć jej prosto w twarz.

– Nie masz czego się wstydzić Bandro. Nic złego nie zrobiłaś.

Bandra z wysiłkiem skinęła głową.

– Wiem, ale...

– Żadnych ale. Znajdziemy jakieś wyjście z sytuacji.

– Takiego wyjścia nie ma. – Bandra wytarła dłonią oczy.

– Na pewno jest. I znajdziemy je. Razem.

– Nie musisz tego robić – powiedziała cicho Bandra, kręcąc głową.

– Właśnie że muszę.

– Dlaczego?

Mary lekko wzruszyła ramionami.

– Powiedzmy, że mam dług wobec kobiet.

– Jesteśmy na miejscu, panie i panowie – oznajmił Radny Bedros. – Oto wyspa Donakat, którą wy nazywacie Manhattanem.

Jock nie wierzył własnym oczom. Znał Nowy Jork jak własną kieszeń – ale to!

Tu było cudownie.

Właśnie przelatowali nad południowym Bronksem – tyle że tutaj były tylko stare drzewa: orzechy włoskie, cedry, kasztanowce, klony i dęby z koronami w ognistych kolorach jesieni.

– Spójrzcie tam! – zawołał Kon Annan. – Rikers Island!

Rzeczywiście była tam – oczywiście bez kolonii karnej i trzykrotnie mniejsza od tej sztucznie rozbudowanej, którą znał Jock. Kiedy helikopter przelatywał bezpośrednio nad nią, Krieger zauważył też, że nie ma tu mostu prowadzącego na południe, do Queens. Nie było też lotniska po lewej stronie, gdzie na jego świetle znajdowała się LaGuardia. Zamiast niego w dole rozciągała się zatoka.

Jock zdumiał się na widok czegoś, co wyglądało jak lotniskowiec. Nie sądził, że neandertalczyki mają takie maszyny. Obawiał się, że pytaniem sprowokuje siedzącego obok neandertalczyka do niekończących się wyjaśnień, ale musiał się dowiedzieć, co to takiego.

– Co to jest?

– Statek – odparł Ponter takim tonem, jakby odpowiedź była oczywista.

– Wiem, że to statek – odparł Jock z urazą. – Ale dlaczego jest taki szeroki i płaski u góry?

– To są kolektory słoneczne, napędzające jego turbiny.

Pilot najwyraźniej otrzymał polecenie okrążenia wyspy i pokazania jej gościom w całej okazałości. Lecieli teraz na zachód, nad Wards Island, wyspą upstrzoną na brzegach budynkami, które przypominały chatki.

Helikopter kontynuował lot. Manhattan wyglądał tak, jakby Central Park rozrósł się od East River Drive po Henry Hudson Parkway.

– Wyspa Donakat stanowi Centrum miasta, które nazywamy Pepraldak – poinformował Ponter. – Jest to strefa kobiet. W Saldak Obrzeża od Centrum dzieli wiele kilometrów. W Pepraldak te strefy oddziela ciek wodny, który wy nazywacie rzeką Hudson.

– Czyli że mężczyźni mieszkają w New Jersey?

Ponter przytaknął.

– A jak podróżują przez rzekę? Nie widzę żadnych mostów.

– Sześciiany podróżne mogą poruszać się także ponad wodą – wyjaśnił Ponter – więc latem używa się właśnie ich. Natomiast zimą rzeka zamarza i można zwyczajnie przejść na drugi brzeg.

– Hudson nie zamarza.

Ponter wzruszył ramionami.

– Na tym świecie zamarza. Wasze działania wpływają na zmianę klimatu w większym stopniu, niż sądzicie.

Helikopter zakręcił na południe i leciał teraz wzdłuż rzeki. Chwilę później dotarli do miejsca, w którym zmieniała bieg, co oznaczało, że mijali właśnie dziewicze obszary Hoboken. Jock spojrzał w lewo. Manhattan znajdował się na swoim miejscu. Pagórkowaty – czy jego nazwa nie oznaczała przypadkiem „wyspy wielu wzgórz”? – upstrzony jeziorami... i bez drapaczy chmur. Wśród drzew prześwitywały budynki z cegły, ale żaden z nich nie miał więcej niż cztery piętra. Jock obrócił się w prawo. Tam, gdzie powinien się znajdować Liberty State Park, ciągnęły się lasy. Widział wyspy Ellis i Liberty, choć oczywiście bez żadnej statuy – całe szczęście, bo nie miał ochoty oglądać trzydziestometrowego neandertalczyka...

Usłyszał okrzyki pozostałych pasażerów. Właśnie dostrzegli to samo co on. W zatoce Upper New York Bay pływały dwa walenie. Pewnie dotarły tu z Atlantyku. Oba miały po dwanaście metrów długości i ciemnoszare grzbiety.

Helikopter zawrócił na wschód i przeleciał nad przesmykiem między Governors Island a Battery Park, a potem ruszył szlakiem East River. Wzdłuż brzegu rzeki Jock zobaczył setki domów hodowanych metodą arborykonstrukcji, a dalej...

– Co to takiego?

– Obserwatorium – powiedział Ponter. – Wiem, że wy umieszczacie swoje olbrzymie teleskopy w półkulistych osłonach, ale my wolimy takie sześciennie konstrukcje.

Jock pokręcił głową. Gdyby tylko w Greenwich Village było dość ciemno, można by stamtąd zobaczyć tyle gwiazd!

– Jest tu dużo zwierząt? – spytał.

– O tak. Bobry, niedźwiedzie, wilki, lisy, szopy, jelenie, wydry, że nie wspomnę o przepiórkach, kuropatwach, łabędziach, gęsiach, indykach i o milionach gołębi wędrownych. – Ponter zerknął za okno. – Szkoda, że teraz jest jesień. Na wiosnę zobaczylibyście róże i wiele innych dzikich kwiatów.

Helikopter zszedł teraz dość nisko, ale nadal leciał wzdłuż East River. Niebieskie wody kipiały w wirach powietrza pchanego w dół śmigłami. Dotarli do miejsca, gdzie rzeka zakreślała na północ, i pilot ruszył dalej z jej biegiem, a po pokonaniu jeszcze dwóch kilometrów wylądował na szerokiej łące porośniętej wysokimi trawami i otoczonej przez jabłonie oraz grusze. Radny Bedros wysiadł jako pierwszy, za nim Ponter i Adikor, a następnie sekretarz generalny. Jock opuścił helikopter jako następny, a zaraz za nim wysypała się z maszyny reszta grupy. Powietrze było słodkie i czyste, rześkie i chłodne. Niebo miało odcień błękitu, jaki Jock znał z wakacji spędzanych w Arizonie. Nigdy nie widział takiego nad Nowym Jorkiem.

Na miejscu czekała na nich delegacja miejscowych kobiet oraz dwie Ekshibicjonistki. Znowu ogłoszono przemówienia. Kilka zdań powiedziała przewodnicząca lokalnej Rady Siwych. Jock zgadywał, że jest mniej więcej w jego wieku – czyli należy do generacji... właśnie, do jakiej? Chyba do 142. Większość włosów goliła, zostawiając tylko długi, siwy kucyk, który sterczał nad kłykciami potylicznymi. Według Jocka wyglądała odrażająco, nawet jak na Barastkę.

Zakończyła swoje powitanie zaproszeniem na posiłek, który czekał ich w późniejszej porze dnia. Podobno przygotowano wielkie ostrygi i jeszcze większe homary. Potem poprosiła Pontera Boddita, aby zabrał głos.

– Dziękuję. – Ponter wysunął się przed wszystkich. Jock słabo go słyszał. Neandertalczyki nie używali mikrofonów ani głośników, ponieważ Kompany mogły wszystko retransmitować bez konieczności stosowania dodatkowego sprzętu.

– Wykonaliśmy sporą pracę – ciągnął Ponter – aby określić na naszej wersji Ziemi miejsce, które dokładnie odpowiada lokalizacji waszej siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jak wiecie, nie mamy tutaj satelitów ani innych metod, które dorównywałyby waszemu globalnemu systemowi określania położenia. Nasi rzeczoznawcy nadal toczą spory. Niewykluczone, że pomyliliśmy się o kilkadziesiąt metrów. Mamy nadzieję wkrótce rozwiązać ten problem. Jednak... – Ponter odwrócił się i wskazał przed siebie. – Widzicie tamte drzewa? Według nas wyznaczają one punkt głównego wejścia do budynku Sekretariatu. A te mokradła z tamtej strony? Tam znajduje się Zgromadzenie Ogólne.

Jock patrzył na to wszystko ze zdumieniem. To był Nowy Jork bez milionów ludzi, bez powietrza, od którego szczypały oczy, bez tłoku samochodów, tysięcy taksówek, tłumów rozpychających się ludzi, smrodu i hałasu. Miał przed sobą Manhattan taki, jaki był on jeszcze kilkaset lat temu, w 1626 roku, kiedy Peter Minuit kupił go od Indian za 24 dolary. Tak wyglądał, zanim zalano go betonem, zabudowano i zanieczyszczono.

Pozostali członkowie delegacji szeptali coś między sobą. Ci, którzy mówili po angielsku, myśleli podobnie jak on.

Ponter ruszył w stronę brzegu East River. Dotarli do niego szybciej, niż powinni – no, ale spora część współczesnego Manhattanu znajdowała się na

terenach sztucznie osuszonych. Neandertalczyk przyklęknął nad rzeką, zanurzył złączone dłonie w wodzie i kilkakrotnie spryskał nią twarz.

Pozostali patrzyli na to obojętnie, zupełnie nie pojmując znaczenia tego gestu. Jock jednak zrozumiał.

Ponter Boddit właśnie umył twarz w surowej, nieoczyszczonej, niefiltrowanej, nieskażonej wodzie z East River.

Jock pokręcił głową. Nienawidził tego, co jego ludzie zrobili ze swoim światem, i pragnął, aby jakimś sposobem mogli zacząć od nowa.

ROZDZIAŁ 28



Wierzę, że my, ludzie z tej Ziemi, powinniśmy podjąć zobowiązanie, aby przed upływem dekady wysłać międzynarodową załogę kobiet i mężczyzn na Czerwoną Planetę...

Mary i Bandra razem śledziły transmisje Ekshibicjonistów z wyspy Donakat. Fajnie było oglądać Pontera w neandertalskim odpowiedniku telewizji. Projekt otwarcia nowego portalu fascynował wszystkich.

Na początek Ponter poświęcił chwilę na wyjaśnienie trudności związanych z budową portalu na powierzchni ziemi. Jego laboratorium kwantowe powstało głęboko w kopalni, gdzie nie docierało promieniowanie słoneczne, które mogło powodować dekoherencję rejestrów kwantowych. W tym samym czasie, gdy on i Adikor dokonali przełomowego odkrycia – dosłownie wpadając do drugiego świata – inna grupa badaczy prowadziła podobne eksperymenty, próbując rozkładać na czynniki pierwsze równie wielkie liczby. Zespół ten składał się z samych kobiet. Podobno były już w drodze na Donakat. Przeprowały się statkiem przez ocean z kontynentu zwanego na drugiej Ziemi Europą, aby wspomóc projekt swoją znajomością technologii osłonowych.

– Znalazłaś sobie dobrego mężczyznę – zauważyła Bandra.

Mary się uśmiechnęła.

– Dzięki.

– Jak długo się znacie?

– Dopiero od trzeciego sierpnia. – Mary odwróciła wzrok, unikając pszenicznych oczu Bandry.

Barastka przekrzywiła głowę, słuchając tłumaczenia daty. Mary spodziewała się, że usłyszy uszczypliwy komentarz o tym, jak to nie lubi marnować czasu. W końcu sama też nigdy nie przepuszczała okazji, aby wytknąć swojej siostrze, Christine, że zbyt szybko angażowała się w związki, zakochując się po uszy w coraz to nowych „prawdziwych skarbach”. Ale Bandra nic takiego nie powiedziała.

– Masz wielkie szczęście, że go spotkałaś.

Mary przytaknęła. Naprawdę miała szczęście. Poza tym nie musiała się niczego wstydić, znała przecież mnóstwo osób, które miewały szalone romanse. Owszem, Colma znała o wiele dłużej, zanim jej się oświadczył, ale nawet gdy mówiła mu „tak”, miała wątpliwości.

Teraz nie miała żadnych.

Skoro była całkowicie pewna, po co miała zwlekać.

– *Carpe diem* – powiedziała.

Tłumacz Bandry wyemitował krótki pisk.

– Wybacz, to po łacinie... w innym języku. Oznacza „chwytaj dzień”. Nie marnuj całego życia na zamartwianie się, po prostu łap szansę i wykorzystuj ją.

– Dobra filozofia – przyznała Bandra, wstając z kanapy. – Powinniśmy się chyba zająć wieczornym posiłkiem.

Mary kiwnęła głową i ruszyła za Bandra do strefy przygotowywania jedzenia. Znajdowała się tam spora próżniarka – w której żywność przechowywano bez potrzeby chłodzenia – oraz laserowa kuchenka działająca w oparciu o technologię laserową, jaką stosowano również w komorach odkażających.

W pokrywie próżniarki znajdował się wbudowany kwadratowy monitor wyświetlający jej zawartość, aby nie trzeba było za każdym razem otwierać urządzenia, kiedy chciało się sprawdzić, co jest w środku.

– Może mamuta? – zaproponowała Bandra, patrząc na listę.

– Bardzo chętnie! Od dawna chciałam spróbować, jak to smakuje.

Bandra uśmiechnęła się, podniosła wieko próżniarki, które ustąpiło z cichym sykiem, i wyjęła ze środka dwa steki. Włożyła mięso do laserowej kuchenki, po czym wypowiedziała jakieś polecenie.

– Pewnie trudno jest upolować mamuta – zagaiła Mary.

– Sama nigdy nie próbowałam – przyznała Bandra. – Ci, którzy wybrali to zajęcie jako swój wkład, mówią, że metoda polowania jest dość prosta – dodała, wzruszając ramionami. – Ale jak to się u was mówi: domniemany zły czai się w drobiazgach.

Mary zamrugała niepewnie, próbując odszyfrować podane przez Christine tłumaczenie słów Bandry.

– Aha, chodzi ci o to, że diabeł tkwi w szczegółach.

– Exactamundo!

Mary się roześmiała.

– Będzie mi ciebie brakowało, kiedy stąd wyjadę.

– Mnie też będzie ciebie brakowało. – Bandra zrewanżowała się przyjaciółce uśmiechem. – Jeśli tylko będziesz potrzebowała lokum na naszym świecie, zawsze możesz zatrzymać się u mnie.

– Dziękuję, ale...

Bandra podniosła dużą dłoń.

– Tak, tak, wiem. Planujesz przyjeżdżać tu tylko, gdy Dwoje będzie Jednym, a wtedy chcesz spędzać cały czas z Ponterem. A ja...

– Tak mi przykro, Bandro. Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Nie przejmujemy się tym teraz. Po prostu cieszymy się czasem, jaki nam został do twojego wyjazdu.

– *Carpe diem?*

Bandra się uśmiechnęła.

– Exactamundo!

Posiłek był wspaniały. Mięso mamuta miało bogaty, złożony smak, a słodki klonowy sos do sałaty, który przyrządziła Bandra, okazał się wart grzechu.

Mary usiadła wygodniej na siodłowym krześle i westchnęła z zadowoleniem.

– Szkoda, że nie macie tutaj wina.

– Wina? – powtórzyła Bandra. – A co to takiego?

– Taki napój. Alkohol. Ze sfermentowanych winogron.

– Dobrze smakuje?

– Hm, nie o smak w tym chodzi... a przynajmniej nie tylko o smak. Alkohol wpływa na centralny układ nerwowy, to znaczy tak jest u Gliksinów. Sprawia, że się odprężamy.

– Ja jestem odprężona.

Mary się uśmiechnęła.

– Prawdę mówiąc, ja też.

W numerze „The Globe and Mail”, który Ponter przywiózł Mary z podróży, przedstawiano wyniki konkursu na najzabawniejszy dowcip świata. Bynajmniej nie chodziło o żart, który wywoływałby największy śmiech – nie była to próba znalezienia odpowiednika tajnej broni Monty Pythona, czyli dowcipu, który sprawiał, że każdy, kto go przeczytał, umierał ze śmiechu. Chodziło raczej o wymyślenie żartu pokonującego

wszelkie bariery kulturowe – takiego, który rozśmieszyłby niemal wszystkie ludzkie istoty.

Mary postanowiła wypróbować zwycięski dowcip na Bandrze. Dotyczył polowania, więc pomyślała, że powinien się podobać neandertalczykom. Najpierw kilkakrotnie wplotła w rozmowę odpowiednie hasła, aby wprowadzić Bandrę w temat, a następnie, około dziewiątej wieczorem – pod koniec szóstej decymy dnia – wytoczyła działa: – No to posłuchaj. Dwóch facetów wybrało się na polowanie. Nagle jeden z nich pada jak długi. Nie oddycha i ma zaszklone oczy. Drugi przerażony wybiera numer 9-1-1. U nas to telefon pogotowia, bo my nie mamy Kompanów. No więc facet dzwoni na pogotowie z komórki. Zupełnie nie wie, co robić, jest w szoku. Mówi: „Halo, jestem na polowaniu. Mój znajomy, Bob, przewrócił się i przestał oddychać. Obawiam się, że nie żyje. Co mam robić? Co robić?”.

Operator, który odebrał połączenie, odpowiada: „Proszę się uspokoić. Proszę oddychać głęboko. Przede wszystkim musimy się upewnić, czy Bob naprawdę nie żyje”.

„Jasne”, mówi gość i operator słyszy, jak facet odkłada telefon i odchodzi. Za chwilę – trach! – pada strzał. Facet wraca do telefonu i mówi: „Dobra, i co teraz?”.

Bandra wybuchła śmiechem. Piła właśnie sosnowy napar i gdyby była Gliksinką, napój poszedłby jej nosem. Na szczęście neandertalczyki mieli innej budowy krtań.

– To okropne! – oświadczyła, wycierając łzy z oczu.

Mary uśmiechnęła się tak szeroko, że mogłaby w tej chwili konkurować z Ponterem.

– Prawda, że straszne?

Resztę wieczoru spędzili rozmawiając o swoich rodzinach, żartując, słuchając nagrań neandertalskiej muzyki, odtwarzanej bezpośrednio przez ich implanty ślimakowe, i ogólnie dobrze się bawiąc. Mary miała kilka bliskich przyjaciółek, zanim poznała Colma, ale po wyjściu za mąż oddaliła się od nich i właściwie nie znalazła sobie nowych znajomych po rozstaniu z mężem. Jedną z pozytywnych cech neandertalskiego systemu było według niej to, że dawał mnóstwo czasu na pielęgnowanie przyjaźni z innymi kobietami.

Choć obie były dosłownie z różnych światów, Bandra okazała się osobą, z którą Mary chętnie by się zaprzyjaźniła: ciepłą, dowcipną, życzliwą i inteligentną – taką, z którą można było się pośmiać z głupiego dowcipu albo pomówić o ostatnim przełomowym odkryciu naukowym.

Po jakimś czasie Bandra wyciągnęła planszę do gry *partanlar* – tej samej, w którą Mary grała z Ponterem. On miał szachownicę z drewna, z kwadratami bejcowanymi na przemian to na ciemno, to na jasno. Tymczasem Bandra, jak na geologa przystało, miała planszę z polerowanego kamienia z czarnymi i białymi polami.

– Świetnie! – ucieszyła się Mary. – Znam tę grę! Ponter nauczył mnie zasad.

Podczas gry w szachy lub warcaby gracze siadali naprzeciwko siebie i każdy próbował wkroczyć swoją armią pionków na drugą połowę szachownicy. W *partanlar* gra nie polegała na atakowaniu i wycofywaniu się. Bandra umieściła planszę na niskim stoliku przed jedną z kanap, robiąc Mary miejsce obok siebie.

Grały przez jakąś godzinę – ale była to przyjemna rozgrywka, pozwalająca miło spędzić czas, a nie rywalizacja typu „przekonajmy się, kto jest lepszy”, którą preferował Colm. Ani Mary, ani Bandra nie

przejmowały się tym, kto wygra, i otwarcie podziwiały nawzajem swoje sprytne posunięcia.

– Przyjemnie spędza się z tobą czas – przyznała Bandra.

– Ja też lubię tu być.

– Wiesz, są na tej Ziemi ludzie, którzy nie aprobują kontaktów między naszymi światami. Radny Bedros – pamiętasz, widziałas go na Podglądaczu – on właśnie się do takich zalicza. Ale przecież od kilku zgniłych jabłek nie psuje się cała reszta. Bedros nie ma racji, Mare. Myli się co do twoich ludzi. Ty jesteś tego dowodem.

– Dziękuję ci. – Mary się uśmiechnęła.

Bandra wahała się przez chwilę, błędząc wzrokiem to w lewo, to w prawo. W końcu pochyliła się i powoli polizała lewy policzek Mary.

Mary cała zeszywniała.

– Bandro...

Barastka wlepiała wzrok w podłogę.

– Przepraszam... – powiedziała cicho. – Wiem, że ty tak nie robisz...

Mary powoli uniosła głowę Bandry tak, że znalazły się twarzą w twarz.

– Nie – odparła. – Tak nie robię. – Spojrzała w pszeniczne oczy Bandry. Jej serce waliło jak oszałałe.

Carpe diem.

Przysunęła się bliżej i musnęła ustami wargi Bandry.

– Robię za to tak – powiedziała.

ROZDZIAŁ 29



Jeśli nasi neandertalscy kuzyni zechcą do nas dołączyć, będą mile widzianymi uczestnikami tej wspaniałej marsjańskiej przygody. Wydaje się jednak, że niewielu z nich tego zapragnie...

Cornelius Ruskin zapukał do drzwi gabinetu.

– Proszę – rozległ się znajomy kobiecy głos z lekkim pakistańskim akcentem.

Cornelius odetchnął głęboko i otworzył drzwi.

– Witaj, Qaiser – powiedział, wchodząc do środka.

Metalowe biurko profesor Qaiser Remtulli stało prostopadle do wejścia, dłuższą krawędzią do ściany, lewym, krótszym bokiem do okna. Kobieta miała na sobie ciemnozielony żakiet i czarne spodnie.

– Cornelius! – przywitała go. – Już zaczynaliśmy się o ciebie martwić.

Ruskin zdobył się na uśmiech, ale nie powiedział: „To miło z waszej strony”.

Na okrągłej twarzy Qaiser pojawił się wyraz dezaprobaty.

– Powinieneś był mnie uprzedzić, że przyjdiesz dziś do pracy. Dave Olsen wziął za ciebie zastępstwo na popołudniowe zajęcia.

Cornelius nieznacznie pokręcił głową.

– Nie ma sprawy. Prawdę mówiąc, przyszedłem porozmawiać właśnie o tym.

Qaiser postąpiła tak, jak każdy pracownik akademicki, kiedy ma gościa: wstała z obrotowego fotela i zdjęła stertę książek i papierów z drugiego krzesła. Miało metalową ramę i pomarańczowe winylowe poduszki.

– Siadaj, proszę – powiedziała.

Cornelius usiadł, skrzyżował nogi w kostkach i...

Po raz kolejny pokręcił głową, zastanawiając się, czy kiedyś przywyknie do tego wrażenia. Przez całe życie, kiedy siadał w takiej pozycji, czuł lekki ucisk jąder, ale teraz nie poczuł nic.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – spytała Qaiser.

Spojrzał jej prosto w twarz: brązowe oczy, brązowa skóra, brązowe włosy, trio różnych odcieni czekolady. Wyglądała na jakieś czterdzieści pięć lat, czyli na dziesięć lat starszą od niego. Widział, jak płakała z bólu, jak błagała, by nie robił jej krzywdy. Nie żałował tamtego; zasłużyła sobie, tylko że...

Tylko...

– Qaiser, chciałbym wziąć urlop.

– Wykładowcom, którzy nie są u nas na etacie, nie przysługuje płatny urlop – odparła.

Cornelius skinął głową.

– Wiem, jednak... – Wcześniej wszystko sobie przećwiczył, ale teraz zaczął się wahać. Zastanawiał się, czy obrał właściwą strategię. – Słyszałaś, że chorowałem. Mój lekarz radził mi... odpocząć. Wziąć trochę wolnego.

Rysy twarzy Qaiser ułożyły się w zatroskaną minę.

– To coś poważnego? Może mogłabym ci jakoś pomóc?

Pokręcił głową.

– Nie, nic mi nie będzie. Ale nie... nie jestem w stanie wrócić do sali wykładowej.

– No cóż, zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Jeśli przetrzymasz jakoś te kilka tygodni, to...

– Przykro mi, ale nie sądzę, by to było dobre rozwiązanie w moim przypadku.

Zmarszczyła brwi.

– Wiesz, że i tak mamy w tym roku za mało wykładowców. Brakuje nam Mary Vaughan.

Cornelius skinął głową, ale nic nie powiedział.

– Muszę cię zapytać o jedno – powiedziała Qaiser. – W końcu chodzi przecież o wydział genetyki. Mamy tu styczność z wieloma czynnikami, które potencjalnie mogły wywołać twoją chorobę, więc... hm, muszę mieć na względzie zdrowie studentów i bezpieczeństwo wydziału. Czy twoje problemy mają związek z jakimiś substancjami lub próbkami, z którymi miałaś styczność tutaj?

Pokręcił głową.

– Nie. Nie, nic z tych rzeczy. – Odetchnął głęboko. – Ale nie mogę tu dłużej zostać.

– Dlaczego?

– Ponieważ... – Jeszcze kilka tygodni temu nie mógłby rozmawiać o tym, nie wpadając we wściekłość, tymczasem teraz...

Nieznacznie wzruszył ramionami.

– Ponieważ wygrałyście. Pokonał mnie system.

– Jaki system?

– Och, daj spokój! System zatrudniania, system awansowania, rozdzielania stałych etatów. Dla białego mężczyzny nie ma tu miejsca.

Qaiser nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

– Dla naszej uczelni to niezwykle trudna kwestia – przyznała. – Podobnie jak dla wszystkich uniwersytetów. Wiesz przecież, że choć jestem

tutaj ja i jeszcze kilka kobiet, to i tak wydział genetyki nie spełnia uniwersyteckich wytycznych w sferze stałych etatów obejmowanych przez kobiety.

– Powinnyście stanowić czterdzieści procent – stwierdził Cornelius.

– Właśnie, a nie jesteśmy nawet blisko takiego wyniku... Jeszcze nie. – W głosie Qaiser pojawiła się obronna nuta. – A przecież w zasadzie powinno być pół na pół i...

– Pół na pół – powtórzył Cornelius. Powiedział to tak spokojnie, że sam się zdumiał. Zaskoczył też Qaiser, bo umił kła. – Nawet w sytuacji, gdy tylko dwadzieścia procent podań składają kobiety?

– No tak, w zasadzie masz rację, ale przecież celem nie jest połowa, tylko czterdzieści procent.

– Ile stałych etatów jest na tym wydziale?

– Piętnaście.

– A ile z nich zajmują kobiety?

– Obecnie? Wliczając w to Mary?

– Oczywiście.

– Trzy.

Pokiwał głową. Zemścił się na dwóch. Trzecia poruszała się na wózku inwalidzkim i nie potrafił się przemóc...

– A zatem trzy kolejne pozycje, jakie się zwolnią, muszą zostać przydzielone kobietom, mam rację?

– No tak. Zakładając, że posiadają odpowiednie kwalifikacje.

Cornelius zadziwiał sam siebie. To ostatnie zdanie niegdyś wywołałoby u niego wybuch agresji, ale teraz...

– I jeśli się okaże, że Mary odejdzie na stałe, a przypuszczam, że tak będzie – powiedział zupełnie spokojnym głosem – będziesz musiała zatrudnić kobietę także na jej miejsce, tak?

Qaiser kiwnęła głową, ale wciąż nie patrzyła mu w oczy.

– Czyli że cztery kolejne stałe etaty muszą przypaść kobietom. – Powiedzenie tego przyszło mu łatwiej, niż się spodziewał. Na moment umilkł, po czym dodał: – I najlepiej, aby były czarne i niepełnosprawne.

Qaiser ponownie przytaknęła.

– Jak często zwalnia się stały etat? – spytał, choć sam znał odpowiedź.

– To zależy, kiedy wykładowcy odchodzą na emeryturę lub zmieniają pracę.

Cornelius w milczeniu czekał.

– Mniej więcej co dwa lata – przyznała w końcu Qaiser.

– Średnio raczej co trzy – sprostował. – Wierz mi, dokładnie to policzyłem. Oznacza to, że dopiero za dwanaście lat zaczniecie szukać mężczyzny, a nawet wtedy wybieriecie raczej kogoś niepełnosprawnego lub należącego do mniejszości, zgadza się?

– W zasadzie...

– Mam rację?

Qaiser nie musiała odpowiadać. Cornelius czytał odpowiedni fragment umowy między radą wydziału a zarządem uczelni tak często, że mógł go recytować z pamięci, łącznie ze wszystkimi dziwacznymi biurokratycznymi sformułowaniami:

(I) Na wydziałach, gdzie kobiety zajmują mniej niż 40 procent stałych etatów wśród pracowników naukowych oraz personelu bibliotecznego, w sytuacji, gdy kwalifikacje kandydatów są zasadniczo podobne, należy polecić na stanowisko kobietę zaliczającą się do widocznej/rasowej mniejszości, do rdzennych mieszkańców tych terenów lub niepełnosprawną.

(II) Jeśli wśród kandydatów nie ma osoby określonej w (I), to w sytuacji, gdy kwalifikacje kandydatów są zasadniczo podobne, należy wybrać na stanowisko kandydata (kobietę lub mężczyznę) należącego do widocznej/rasowej mniejszości, rdzennego mieszkańca tych terenów lub osobę niepełnosprawną.

Jeżeli wśród kandydatów nie ma nikogo spełniającego wymogi określone w (I) lub (II), wówczas stanowisko można powierzyć ubiegającemu się o nie mężczyźnie.

- Tak mi przykro – powiedziała w końcu Qaiser.
- Wszyscy są w kolejce przed sprawnym białym mężczyzną.
- Jest tak dlatego, że...

Qaiser urwała, a Cornelius spojrzał na nią spokojnie.

- Tak? – spytał.

Poruszyła się niespokojnie.

– Jest tak dlatego, że w przeszłości sprawni biali mężczyźni często trafiali na sam początek kolejki.

Cornelius pamiętał ostatni raz, gdy ktoś użył w rozmowie z nim takiego argumentu – jakiś mięczak liberał na oficjalnej imprezie zeszłej wiosny. Wtedy rzucił się tamtemu gościowi do gardła i niemal wyrwał mu płuca, krzyząc, że nikt nie powinien być karany za to, co robili jego przodkowie. Właściwie to...

Teraz zdawał sobie z tego sprawę.

Właściwie to wtedy zrobił z siebie osła. Obrażony wyszedł z przyjęcia.

– Może masz rację – powiedział do Qaiser. – Jak szła ta modlitwa? „Boże, daj mi pogodę ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagę, abym zmieniał to, co zmienić mogę, i mądrość, abym

potrafił odróżnić jedno od drugiego”. – Na moment umilkł, po czym dodał:
– W tym przypadku potrafię odróżnić jedno od drugiego.

– Naprawdę mi przykro – przyznała Qaiser.

– I dlatego powinienem odejść. – „Zabrać swoje zabawki i wrócić na własne podwórko...” – dodał w myślach.

– Większość uczelni prowadzi podobną politykę jak nasza. Dokąd zamierzasz pójść?

– Może spróbuję szczęścia w prywatnym przemyśle. Uwielbiam wykładać, ale...

Qaiser pokiwała głową.

– W tej chwili na topie są biotechnologie. W tym sektorze tworzy się mnóstwo miejsc pracy, a poza tym...

– A poza tym to nowa dziedzina, więc nie musi nadrabiać historycznych niesprawiedliwości – dokończył Cornelius spokojnym tonem.

– Wiesz, co powinieneś zrobić? Zgłoś się do Synergii!

– Co to takiego?

– Sponsorowana przez amerykański rząd grupa doradców zajmujących się badaniami poświęconymi neandertalczykom. Właśnie oni ściągnęli do siebie Mary Vaughan.

Cornelius zamierzał z miejsca odrzucić ten pomysł. Praca z Mary byłaby równie trudna jak praca z Qaiser. Ale w tym momencie Qaiser dodała:

– Słyszałam, że Mary zaproponowali sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich.

Poczuł, jak opada mu szczeka. Chryste... to blisko ćwierć miliona kanadyjskich. Właśnie takie pieniądze powinien zarabiać facet taki jak on, z doktoratem z Oksfordu!

– Nie chciałbym się wtrącać w sprawy Mary – powiedział niepewnie.

– Och, nic byś jej nie zaszkodził. Prawdę mówiąc, słyszałam, że odeszła z Synergii. Daria Klein dostała od niej e-mail. Podobno postanowiła na stałe przenieść się na neandertalski świat.

– Na stałe?

Qaiser przytaknęła.

– Tak słyszałam.

Cornelius zmarszczył brwi.

– W takim razie nie zaszkodziłoby, gdybym się do nich zgłosił...

– Oczywiście, że nie! – Qaiser wyraźnie chciała mu jakoś pomóc. – Napiszę ci list polecający. Założę się, że potrzebują nowego specjalisty od DNA na miejsce Mary. Robieś doktorat w Ancient Biomolecules Centre, tak? Będziesz idealnym kandydatem.

Cornelius zastanawiał się przez chwilę. Zrobił to, co zrobił, ponieważ działał pod wpływem frustracji. Czuł, że pod względem zawodowym znalazł się w martwym punkcie. Miło by było, gdyby ostatecznie umożliwiło mu to znalezienie pracy, na jaką zasługiwał.

– Dziękuję, Qaiser – powiedział, uśmiechając się do niej. – Bardzo ci dziękuję.

ROZDZIAŁ 30



Niezależnie od tego, czy neandertalczyki postanowią towarzyszyć nam w podróży na Czerwoną Planetę, powinniśmy przyjąć ich interpretację tej barwy. Mars nie jest symbolem wojny; czerwień to kolor zdrowia i życia – i choć teraz planeta ta pozbawiona jest życia, długo taka nie pozostanie...

Mary postanowiła dostarczyć kodoner Jockowi, aby mógł zabrać go z powrotem...

Z powrotem gdzie?

Śmiała się, kiedy widziała na Podglądaczu, jak Radny Bedros nazywa świat Barastów „Jantarem”. Ziemia, którą Mary uważała za swój dom, nie miała jednej nazwy. W każdym języku nazywano ją inaczej. Po angielsku określano ją słowem *Earth*. Po łacinie – *Terra*. Francuzi i francuskojęzyczni Kanadyjczycy mówili na nią *Terre*. W esperanto nazywała się *Tero*. Greckie słowo – *Gaea* – było popularne wśród ekologów. Rosjanie mówili *Ziemia*, Szwedzi – *Jorden*. Po hebrajsku nazywano ją *Eretz*, po arabsku – *Ard*, po persku – *Zamin*, po mandaryńsku – *Diaiu*, a po japońsku – *Chikyuu*. Według Mary najpiękniejsze ze wszystkich było tahitańskie słowo *Vuravura*. Ponter nazywał tamtą Ziemię po prostu „światem Mare”, ale Mary wątpiła, aby to określenie się upowszechniło.

Tak czy inaczej, musiała przekazać urządzenie Jockowi, aby bezpiecznie trafiło na... na Gliksinię?

Nie. Zbyt dziwnie. Może więc Sapiensja? Albo... Pojawił się sześcian podróżny, który Mary wcześniej wezwała. Zajęła jedno z dwóch siedzeń z tyłu pojazdu.

– Do kopalni Debral – poprosiła.

Kierowca przyjrzał się jej chłodno.

– Wracamy do domu?

– Ja? Nie. Ale ktoś inny wraca.

Serce Mary zabiło żywiej, gdy zauważyła Pontera w grupie wracających z wyspy Donakat. Obiecała sobie jednak, że będzie się zachowywała jak prawdziwa autochtonka i nie rzuci mu się w ramiona. W końcu przecież Dwoje nie było teraz Jednym!

Jednak gdy nikt nie patrzył, posłała Ponterowi całusa, a on uśmiechnął się do niej szeroko.

No, ale nie jego tutaj szukała. Przyjechała zobaczyć się z Jockiem Kriegerem. Podeszła do niego, niosąc pod pachą długi pakunek.

– Obawiaj się Gliksinów, nawet gdy przynoszą dary! – powiedziała.

– Mary! – wykrzyknął.

Gestem poprosiła, aby oddalili się poza zasięg słuchu pozostałych. Jeden z ubranych na srebrno Ekshibicjonisto w chciał iść za nimi, ale Mary odwróciła się i patrzyła na niego tik długo, aż zrezygnował.

– I co powiesz? – spytała. – Jak ci się podoba ten świat?

– Jest zdumiewający! W pewnym sensie zdawałem sobie sprawę, że zrujnowaliśmy nasze środowisko, ale kiedy zobaczyłem to... – Zatoczył ręką krąg. – Tu jest jak w raj.

Mary się roześmiała.

– Prawda? Szkoda tylko, że już jest zajęty, co?

– Rzeczywiście, szkoda – przyznał. – Wracasz z nami czy zostajesz jeszcze w tym rajskim ogrodzie?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zostać jeszcze parę dni. – Próbowała się nie uśmiechnąć. – Ostatnio robię... spore postępy. – Podała Jockowi pakunek. – Chciała bym jednak, żebyś zabrał coś ze sobą.

– Co to takiego?

Mary spojrzała w lewo i w prawo, a potem zerknęła do tyłu. Na koniec przyjrzała się ręce Jocka, żeby mieć pewność, że nie zmuszono go do założenia Kompana.

– To kodoner... syntezator Barastów.

– Dlaczego właśnie ja mam to zabrać? Przecież sama możesz to przywieźć?

Ściszyła głos.

– To zakazana technologia. W zasadzie nie powinnam w ogóle tego mieć... nikt nie powinien. Ale to niesamowita rzecz. Napisałam ci kilka uwag. Są w tym pakunku.

Jock uniósł brwi ku fryzurze a la Regan. Był pod wrażeniem.

– Zakazana technologia? Wiedziałem, że się nie myliłem, zatrudniając cię u nas...

Mary obudziła się nagle. Dopiero po chwili zaczęła orientować się w ciemnościach i uświadomiła sobie, gdzie jest.

Obok niej spokojnie spał ktoś duży i ciepły. Ponter?

Nie, nie. Jeszcze nie dziś. To Bandra. Przez ostatnie kilka nocy Mary dzieliła z nią łóżko.

Zerknęła na sufit. Łagodnie lśniły tam neandertalskie cyfry zegara. Mary dobrze radziła sobie z rozpoznawaniem symboli, gdy była przytomna, ale w tej chwili miała trochę zamazany wzrok, a poza tym upłynęło kilka sekund

– kilka taktów – zanim przypomniała sobie, że powinna czytać od prawej do lewej i że kółko oznacza piątkę, a nie zero. Była połowa dziewiątej decymy, trochę po trzeciej rano.

Nie było sensu wyskakiwać z łóżka, choć właśnie to miała ochotę zrobić – bynajmniej nie dlatego, że obok spała druga kobieta. Prawdę mówiąc, dziwiła się, jak łatwo przywykła do takiej sytuacji. Myśl, która ją obudziła, wciąż jasno żarzyła się w jej głowie.

Oczywiście, zdarzało jej się wcześniej budzić w środku nocy z błyskotliwymi pomysłami, ale potem ponownie zasypiała, a do rana wszystkie się ulatniały. Wiele lat temu wymyśliła sobie nawet, że zostanie poetką – Colma poznała na jednym z jego wieczorów poetyckich. Przez jakiś czas trzymała przy łóżku notes i niewielką lampkę, aby notować myśli, nie budząc męża. Szybko jednak zrezygnowała, bo kiedy rano przeglądała notatki, zwykle wydawały jej się bzdurne.

Jednak ten pomysł, ta myśl, ten wspianiały, znakomity plan nie mógł zniknąć do rana – miała co do tego pewność. Był zbyt ważny, aby tak po prostu się ulotnić.

Wygodnie ułożyła się z powrotem na poduszkach i wkrótce spokojnie zasnęła.

Następnego ranka Christine łagodnie obudziła Mary o uzgodnionej wcześniej porze – po upływie dwóch trzecich dziesiątej decymy dnia. Kompan Bandry został poproszony o jednoczesne obudzenie swojej właścicielki i właśnie to robił.

Mary uśmiechnęła się do niej.

– Hej – powiedziała, dotykając jej ramienia.

– Zdrowego dnia – przywitała ją Bandra. Mrugnęła kilka razy, wciąż jeszcze zaspana. – Zaraz się zabiorę za przygotowanie śniadania.

– Za chwilę – poprosiła Mary. – Najpierw chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

Siedziały naprzeciwko siebie na łóżku.

– O co chodzi?

– Kiedy ostatnio Dwoje było Jednym, rozmawiałam z Ponterem o... o naszej przyszłości.

– Aha. – Bandra wyczuła coś w tonie Mary.

– Wiesz, że mieliśmy... kilka spraw do omówienia.

Bandra kiwnęła głową.

– Ponter zaproponował rozwiązanie... przynajmniej częściowe.

– Bałam się, że w końcu przyjdzie ta chwila – powiedziała cicho Barastka.

– Wiedziałaś, że taki układ nie może trwać bez końca – zauważyła Mary.

– Nie mogę zostać tu na zawsze.

– Dlaczego nie? – W głosie Bandry pojawiła się błagalna nuta.

– Nie dalej jak wczoraj Jock, mój szef, pytał mnie, kiedy wracam. Muszę to zrobić. Jeszcze nie doprowadziłam do końca sprawy unieważnienia małżeństwa z Colmem. A poza tym...

– Tak?

Mary wzruszyła wolnym ramieniem – tym, na którym się nie opierała.

– Nie mogę tego wytrzymać. Jestem tu, na tym świecie, tak blisko Pontera, a nie mogę się z nim zobaczyć.

Bandra zamknęła oczy.

– Co zamierzasz?

– Wrócę na mój świat.

– I to tyle? Opuścisz Pontera? Zostawisz mnie?

– Nie opuszczę Pontera. Będę tu wracała co miesiąc na czas, gdy Dwoje będzie Jednym.

– Chcesz podróżować tam i z powrotem?

– Tak. Będę pracowała w Synergii do wygaśnięcia kontraktu, a potem poszukam pracy w Sudbury. Właśnie tam na moim świecie znajduje się portal. Jest tam również uniwersytet.

– Rozumiem. – Mary widziała, jak bardzo Bandra stara się, aby jej głos brzmiał spokojnie. – No cóż, to chyba ma sens.

Przytaknęła.

– Będę za tobą tęskniła, Mare. Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

Mary dotknęła ramienia przyjaciółki.

– Wcale nie musimy się żegnać.

Bandra pokręciła jednak głową.

– Wiem, jak jest wtedy, gdy Dwoje staje się Jednym. Owszem, przez pierwszych kilka miesięcy będziesz się starała zobaczyć ze mną podczas każdej podróży na ten świat, ale tak naprawdę będziesz chciała spędzać cały czas z partnerem. I ja to rozumiem. Trafiałś na dobrego mężczyznę, wspaniałego człowieka. Gdybym ja takiego miała...

– Nie potrzebujesz partnera. Żadna kobieta, bez względu na to, po której stronie portalu żyje, nie potrzebuje mężczyzny.

– Ale ja już go mam, więc dla mnie nie ma alternatywy – odparła Bandra cicho.

Mary się uśmiechnęła.

– „Alternatywa” to zabawne słowo. – Na moment zamknęła oczy, przypominając coś sobie. – Wiem, że w twoim języku to *habadik*. I w przeciwieństwie do innych słów, które można przetłumaczyć tylko w przybliżeniu, to jest dokładnym odpowiednikiem naszego. Oznacza wybór między dwiema i tylko dwiema możliwościami. Mam przyjaciół wśród biologów. Na pewno upieraliby się, że koncept alternatywy jest w nas głęboko zakorzeniony ze względu na naszą dwuręczność: z jednej strony

można postąpić tak, z drugiej tak. Elokwentna ośmiornica pewnie nie miałyby określenia na sytuację, w której ma się tylko dwa wyjścia.

Bandra przyjrzała się Mary uważnie.

– O czym ty mówisz? – spytała w końcu zdesperowana.

– O tym, że masz jeszcze inne możliwości.

– Nie zrobię nic, przez co moje córki nie mogłyby mieć dzieci.

– Wiem i wierz mi, nigdy bym tego nie chciała.

– W takim razie o jakich możliwościach mówisz?

Mary przysunęła się do Bandry i pocałowała ją w usta.

– Pojedź tam ze mną – powiedziała w końcu.

– Co?

– Wróć ze mną na drugą stronę. Na mój świat. Do Sudbury.

– I to ma być rozwiązaniem moich problemów?

– Mogłabyś zostawać na moim świecie na czas, gdy Dwoje będzie Jednym. Już nigdy nie musiałabyś widzieć Harba.

– Ale moje córki...

– Właśnie. Córki. One zawsze będą mieszkały w Centrum. Tu nic im nie zrobi.

– Ale ja umrę, jeśli nie będę mogła ich widywać.

– Możesz przyjeżdżać tu, gdy Dwoje będzie osobno. Wracaj na ten świat wtedy, kiedy nie będzie ryzyka, że spotkasz Harba. Możesz odwiedzać córki i ich dzieci tak często, jak będziesz chciała.

Bandra starała się pojąć to wszystko.

– Czyli że obie podróżowałybyśmy między światami, tylko robiłybyśmy to w różne dni?

– Właśnie. Ja przyjeżdżałabym wtedy, gdy Dwoje jest Jednym, a ty wtedy, gdy Dwoje jest osobno. W Kanadzie pracuje się w systemie pięć dni pracy, dwa wolne. Te wolne dni nazywamy „weekendami”. Mogłabyś

przyjeżdżać tutaj w każdy weekend, który nie wypada w okresie, gdy Dwoje staje się Jednym.

– Harb byłby wściekły.

– Kogo to obchodzi?

– Musiałabym dotrzeć na Obrzeża, żeby dostać się do portalu.

– W takim razie nigdy nie rób tego sama. Dopilnuj, aby w żaden sposób nie mógł się do ciebie wtedy zbliżyć.

– To... to mogłoby się udać. – W głosie Bandry wciąż brzmiała niepewność.

– Uda się na pewno – powiedziała Mary z przekonaniem. – Gdyby zaprotestował lub próbował się z tobą zobaczyć w nieodpowiedniej porze miesiąca, wyszłaby na jaw prawda o tym, jaki jest. Być może nie obchodzi go, co stanie się z tobą czy z jego córkami, ale z pewnością sam nie chce się narażać na kastrację.

– I zrobiłabyś to wszystko dla mnie? Stworzyłabyś ze mną dom na twoim świecie?

Mary przytaknęła i przytuliła Bandrę mocno.

– A co ja bym tam robiła?

– Mogłabyś wykładać na uczelni, razem ze mną. Każdy uniwersytet na moim świecie chciałby mieć szansę dodania neandertalskiego geologa do grona swoich wykładowców.

– Naprawdę?

– Bez dwóch zdań.

– I mogłybyśmy razem mieszkać i razem pracować?

– Tak.

– Ale... ale mówiłaś, że na twoim świecie tak się nie robi, że dwie kobiety razem...

– Rzeczywiście, większość tak nie robi, ale niektórzy... A Ontario, gdzie zamieszkamy, to jedno z najbardziej tolerancyjnych miejsc na świecie, jeśli chodzi o te sprawy.

– I... i ty byłąbyś wtedy szczęśliwa?

Mary się uśmiechnęła.

– Nie ma rozwiązań idealnych, ale to jest bardzo bliskie ideału.

Bandra nie kryła łez, ale były to łzy szczęścia.

– Dziękuję ci, Mare.

– Nie. To ja dziękuję. Tobie i Ponterowi.

– Że Ponterowi, to rozumiem, ale mnie? Dlaczego?

Mary ponownie przytuliła przyjaciółkę.

– Oboje pokazaliście mi nowe twarze człowieczeństwa. I za to zawsze będę wam wdzięczna.

ROZDZIAŁ 31



Oczywiście, gdy już tam dotrzemy, kiedy zasadzimy kwiaty w rdzawym piasku czwartej planety od naszego Słońca i podlejemy je wodą z lodowcowych czap na biegunach Marsa, być może my, Homo sapiens, ponownie na chwilę przystaniemy, aby nasycić się zapachem róż...

– Dupek!

Jock wiedział, że ten drugi kierowca nie może go usłyszeć – było zbyt zimno na jazdę z opuszczonymi szybami – ale nienawidził, kiedy tacy kretyni wciskali się przed niego.

Ruch w Rochester wydawał mu się tego dnia nie do zniesienia. Po zastanowieniu stwierdził, że pewnie nie było gorzej niż w inne dni, ale wszystko zdawało się potwornie męczące w porównaniu z czystym, sielankowym pięknem, jakie widział po drugiej stronie.

„Po drugiej stronie”. Chryste, jego matka tak mówiła o niebie. „Wszystko będzie lepsze po drugiej stronie”.

Jock nie wierzył w niebo – ani w piekło – ale nie mógł zaprzeczyć istnieniu neandertalskiego świata. Oczywiście tylko przez głupi przypadek oni nie narobili u siebie bałaganu. Gdyby prawdziwi ludzie mieli takie nochale, też pewnie nie chcieliby pławić się we własnych śmieciach.

Zatrzymał się na światłach. Przez ulicę przefrunęła pierwsza strona „USA Today”. Na przystanku autobusowym jakieś dzieciaki paliły papierosy. Przed następną przecznicą był McDonalds. W oddali wyły

syreny. Zewsząd dobiegały dźwięki klaksonów. Ciężarówka obok niego beknęła dymem z pionowej rury wydechowej. Jock rozejrzał się wokół i w końcu dostrzegł pojedyncze drzewo w betonowej donicy, kilkaset metrów dalej.

Prezenter wiadomości radiowych zaczął od informacji o pracowniku fabryki sprzętu elektronicznego w Illinois, który zabił czterech współpracowników. Następne dziesięć sekund poświęcił terroryście samobójcy z Kairu, kolejnych kilka – groźbie wybuchu wojny między Pakistanem i Indiami, a na koniec minutowego wejścia wspomniał jeszcze o wycieku ropy w Zatoce Puget, wykolejonym pociągu w pobliżu Dallas i napadzie na bank w Rochester.

„Co za bajzel” – pomyślał Jock, stukając palcami w kierownicę i czekając na zmianę świateł. – „Co za potworny bajzel. „

Wszedł głównym wejściem do siedziby Synergii. W holu natknął się na Louise Benoit.

– Hej, Jock – przywitała go. – I jak tam? Po drugiej stronie rzeczywiście jest tak pięknie, jak mówią?

Przytaknął.

– Chyba nie piękniej niż u nas. Przegapiłeś niesamowitą zorzę polarną.

– Tutaj? – zdziwił się. – Tak daleko na południu?

Kiwnęła głową.

– Była niewiarygodna. Pierwszy raz w życiu widziałam coś takiego, a zajmuję się przecież zjawiskami solarnymi. Magnetyczne pole Ziemi zaczyna płątać nam figle.

– Ale nie straciłaś jeszcze świadomości – zauważył cierpko Jock.

Uśmiechnęła się i wskazała na pakunek, który przyniósł ze sobą.

– Zapomnę o tej uwadze, bo widzę, że przyniosłeś mi prezent.

Zerknął na podłużne pudełko, które dostał od Mary Vaughan.

– Prawdę mówiąc, to coś od Mary. Prosiła, żebym to dla niej przewiózł.

– Co to takiego?

– Właśnie zamierzam się tego dowiedzieć.

Ruszył korytarzem do biurka, przy którym siedziała pani Wallace – recepcjonistka i jego sekretarka.

– Witamy z powrotem! – powiedziała.

Kiwnął głową.

– Mam dziś jakieś spotkania?

– Tylko jedno. Wpisałam je w kalendarz pod pana nieobecność. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Chodzi o genetyka szukającego pracy. Ma bardzo dobre rekomendacje.

Jock burknął coś w odpowiedzi.

– Ma tu być o 11.30 – poinformowała pani Wallace.

Jock sprawdził pocztę elektroniczną i wiadomości na automatycznej sekretarce, przyniósł sobie kawę, a następnie zabrał się za rozwijanie pakunku. Na pierwszy rzut oka widać było, że chodzi o obcą technologię: kształt, kolorystyka i ogólny wygląd urządzenia odróżniały je od maszyn konstruowanych przez ludzi na tym świecie. Od razu rzuciło się w oczy neandertalskie zamiłowanie do kwadratów: kwadratowy przekrój, kwadratowy wyświetlacz i gałki kontrolne układające się w kwadraty.

Wiele kontrolek miało oznaczenia – niektóre, ku zdziwieniu Jocka, wpisano odręcznie neandertalskimi znakami. Najwyraźniej nie było to urządzenie masowej produkcji; może więc jakiś prototyp...

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił wewnętrzny numer.

– Lonwis? Mówi Jock. Czy mógłbym cię prosić na moment do mojego gabinetu?

Drzwi się otworzyły – Jock nie słyszał, by wcześniej ktoś pukał – i do środka wszedł Lonwis Trob.

– O co chodzi, Jock? – spytał sędziwy neandertalczyk.

– Mam tutaj pewne urządzenie – Jock wskazał podłużne ustrojstwo na biurku – i nie wiem, jak się je włącza.

Lonwis przeszedł przez gabinet. Jock miał wrażenie, że słyszy, jak trzeszczą stawy starca. Neandertalczyk pochylił się nad blatem – tym razem trzeszczenie było wyraźne – i zbliżył mechaniczne oczy do maszyny.

– Tutaj – powiedział, wskazując pojedynczą gałkę. Chwycił ją dwoma sękatymi paluchami i szarpnął. Mechanizm zahuczał cicho. – Co to takiego?

– Mary mówiła, że to syntezytor DNA.

Lonwis przyglądał się urządzeniu przez chwilę.

– Obudowa jest standardowa, ale pierwszy raz widzę coś takiego. Mógłbyś je podnieść?

– Słucham? – zdziwił się Jock. – Ach, oczywiście. – Podniósł urządzenie z biurka, a Lonwis pochylił się, aby przyjrzeć mu się od spodu.

– Trzeba je podłączyć do zewnętrznego zasilania, aha... tak, dobrze. Ma standardowe złącze. Razem z doktor Benoit zbudowaliśmy już kilka przejściówek, dzięki którym można podłączyć neandertalskie urządzenia do waszych komputerów osobistych. Chciałbyś jedną?

– Tak. Oczywiście.

– Poproszę doktor Benoit, żeby się tym zajęła. – Lonwis ruszył do drzwi.
– Miłej zabawy nowym gadżetem.

Jock poświęcił kilka godzin na studiowanie kodonera i lekturę notatek Mary.

To coś potrafiło produkować DNA, tyle było jasne.

No i jeszcze RNA, czyli, z tego co wiedział, inny rodzaj kwasu nukleinowego.

Wyglądało też na to, że maszyna potrafi wytwarzać białka potrzebne do tego, aby stworzyć chromosomy.

Genetykę znał bardzo pobieżnie. Wiele z badań, w jakie był zaangażowany podczas pracy dla RAND, dotyczyło wojen biologicznych. Jeśli to urządzenie rzeczywiście mogło wytwarzać nici kwasu nukleinowego oraz białka, to...

Jock złączył palce dłoni. Chłopaki z Fort Detrick wiele by dali za coś takiego!

Kwasy nukleinowe. Białka.

Podstawowe klocki, z jakich zbudowane były wirusy, niebędące przecież niczym więcej jak strzępami DNA lub RNA w białkowej otoczce.

Jock wlepił wzrok w maszynę, myśląc intensywnie.

Telefon na jego biurku zadzwonił w charakterystyczny sposób, sygnalizując wewnętrzne połączenie. Jock podniósł słuchawkę.

– Jest już genetyk umówiony na 11.30 – poinformowała pani Wallace.

– Tak, dziękuję.

Chwilę później do gabinetu wszedł chudy, niebieskooki mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat.

– Doktorze Krieger, miło mi pana poznać – powiedział, wyciągając do Jocka rękę.

– Proszę usiąść.

Mężczyzna najpierw podał Jockowi dość długi życiorys.

– Jak pan widzi, doktorat z genetyki robiłem w Oksfordzie. Pracowałem tam w Ancient Molecules Centre.

- Badał pan DNA neandertalczyków?
 - Nie, niezupełnie. Zajmowałem się jednak wieloma zagadnieniami z późnego kenozoiku.
 - Jak dowiedział się pan o nas?
 - Pracowałem na York University, na którym wykładała także Mary Vaughan i...
 - Zazwyczaj sami zajmujemy się rekrutacją specjalistów.
 - No tak, rozumiem. Sądziłem jednak, że skoro Mary została na drugim świecie, być może będzie panu potrzebny genetyk.
- Jock spojrzał na urządzenie stojące na jego biurku.
- Prawdę mówiąc, doktorze Ruskin, rzeczywiście przyda mi się specjalista w tej dziedzinie.

ROZDZIAŁ 32



Ale marsjańskie róże będziemy wachać tylko krótką chwilę – moment potrzebny, aby złapać oddech i przemyśleć wszystko, zanim znowu wyruszymy w podróż, docierając coraz dalej i dalej, ucząc się, odkrywając, poszukując i poszerzając nie tylko horyzonty znanego nam świata, ale także horyzonty naszych myśli...

Upłynęły niemal trzy tygodnie, odkąd delegacja Organizacji Narodów Zjednoczonych, wraz z Jockiem, wróciła do domu. Ponter i Adikor pracowali akurat w laboratorium kwantowym tysiąc długości ramion pod powierzchnią ziemi, kiedy przyszła przesyłka kurierska. Oficer Kanadyjskich Sił Zbrojnych przekazał ją tunelem Derkera.

Ponter osobiście otworzył pakunek. Na wewnętrznej kopercie widniało przepołowione logo Synergii. Początkowo sądził, że przysłano ją Mare. Okazało się, że nie. Ze zdumieniem stwierdził, że zaadresowano ją do niego, zarówno angielskimi literami, jak i neandertalskimi symbolami.

Otworzył kopertę, czując, jak ukochany Adikor zagląda mu przez ramię. W środku znajdował się koralik pamięci. Ponter włożył go do odtwarzacza w konsoli i po chwili pojawił się przed nimi trójwymiarowy obraz Lonwisa Troba. Mechaniczne niebieskie oczy wynalazcy lśniły od wewnątrz. Obraz był w skali 1:3 i unosił się na wysokość dłoni nad konsolą.

– Zdrowego dnia, Uczony Boddicie – odezwał się Lonwis. – Potrzebny mi jesteście tutaj, w siedzibie Synergii na południowym brzegu jeziora Jorlant, które Gliksini wciąż nazywają Ontario, choć wielokrotnie już ich

poprawiałem. Jak wiesz, pracuję z doktor Benoit nad kwestiami związanymi z informatyką kwantową. Wpadłem na pewien pomysł, który pozwoli skuteczniej zapobiegać dekoherencji nawet w systemach komputerowych na powierzchni ziemi, potrzebna jest mi jednak twoja ekspertyza w zakresie komputerów kwantowych. Proszę, zabierz ze sobą partnera, z którym prowadzisz badania, Uczonego Adikora Hulda. Jego ekspertyza również przyda się nam ogromnie. Bądźcie tu za trzy dni.

Obraz znieruchomiał, co oznaczało, że odtwarzanie zostało zakończone. Ponter spojrzał na Adikora.

– Chciałbyś tam ze mną pojechać?

– Jeszcze pytasz? Miałbym zrezygnować z szansy spotkania Lonwisa Troba? Pewnie, że jadę!

Ponter się uśmiechnął. Gliksini twierdzili, że Barastom brakuje chęci do poznawania nowych miejsc. Może mieli rację. Dotąd Adikor nie był zainteresowany podróżą do gliksińskiego świata, choć to dzięki jego sprzętowi został odkryty portal. Teraz jednak zapragnął przejść na drugą stronę, ponieważ miał szansę spotkać tam jednego ze swoich idoli.

– Trzy dni to dość czasu, żeby się spakować – stwierdził Ponter. – Stąd... to znaczy z tego miejsca, które jest tam... nie jest daleko do siedziby Synergii.

– Ciekawe, co Lonwis ma pod wałem?

– Kto to może wiedzieć? Na pewno jest geniuszem.

Ponter i Adikor byli w sterowni sami. W komorze komputera pracował neandertalski technik, a u wylotu portalu siedział egzekutor – tak na wszelki wypadek.

– Muszę zaprosić Mare, aby do nas dołączyła – powiedział Ponter.

Adikor zmrużył oczy.

– Jeszcze nie jest pora, aby Dwoje stało się Jednym.

– Wiem – przytaknął Ponter. – Ale ta zasada nie obowiązuje na jej świecie. Nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym wybrał się tam bez niej.

– Uczony Trob nie domagał się jej obecności – zauważył Adikor.

Ponter dotknął ramienia przyjaciela.

– Wiem, że to dla ciebie trudne. Ostatnio spędzałem za dużo czasu z Mare, a za mało z tobą. Ale wiesz, że bardzo cię kocham.

Adikor powoli skinął głową.

– Przepraszam. Bardzo się staram... Naprawdę nie chcę być małostkowy, jeśli chodzi o ciebie i Mare. Przecież chcę, abyś miał partnerkę. Nigdy jednak nie sądziłem, że znajdziesz sobie taką, która będzie zakłócała nasz wspólny czas.

– Przyznaję, że sytuacja jest... trudna – stwierdził Ponter. – I przepraszam cię za to. Wkrótce jednak zamieszka z nami twój syn Dab, a wtedy to ty będziesz miał mniej czasu dla mnie.

Ponter od razu pożałował swoich słów. Zranił przyjaciela.

– Daba będziemy wychowywali wspólnie – powiedział Adikor. – Tak każe zwyczaj i dobrze o tym wiesz.

– Tak. Przepraszam. Chodzi o to, że sytuacja...

– Że sytuacja jest zgnile skomplikowana – dokończył Adikor za partnera.

– Wkrótce wszystko wróci do normalności – zapewnił Ponter. – Obiecuję ci.

– Jak?

– Mare przeniesie się na drugą stronę portalu i zamieszka na swoim świecie. Będzie tu przyjeżdżała tylko na te dni, kiedy Dwoje będzie Jednym. Sprawy między tobą i mną się unormują.

– Kiedy?

– Już wkrótce. Obiecuję.

– Ale chcesz, żeby towarzyszyła nam w tej podróży... żeby pojechała z nami do Synergii i spotkała Lonwisa Troba.

– Hm, jej wkład polega na pracy dla Synergii. Powinna więc od czasu do czasu tam wracać.

Szerokie wargi Adikora były ściągnięte. Ponter wierzchem dłoni delikatnie pogładził policzek partnera. Pod palcami poczuł jego zarost.

– Naprawdę cię kocham, Adikorze. Nic nas nigdy nie rozdzieli.

Adikor powoli skinął głową, po czym, przejmując inicjatywę, odezwał się do swojego Kompana:

– Proszę, połącz mnie z Mare Vaughan.

Po chwili przez zewnętrzny głośnik Kompana odezwała się Christine, naśladując głos Mare i tłumacząc to, co Gliksinka mówiła w swoim języku.

– Zdrowego dnia.

– Zdrowego dnia, Mare. Mówi Adikor. Może chciałabyś się wybrać na wycieczkę ze mną i z Ponterem?

– Zdumiewające! – powiedział Adikor, gdy jechali przez Sudbury w kanadyjskiej prowincji Ontario. – Wszędzie są budynki! I ci wszyscy ludzie! Mężczyźni i kobiety razem!

– A to tylko niewielkie miasto – zauważył Ponter. – Zaczekaj, aż zobaczysz Toronto albo Manhattan.

– Niewiarygodne – przyznał Adikor. Ponter zajął miejsce z tyłu, aby przyjaciel mógł jechać z przodu. – Niewiarygodne!

Zanim wyruszyli w długą podróż do Rochester, wstąpili na Laurentian University, aby spytać o możliwość zatrudnienia Mary i Bandry. Okazało się, że Ponter miał rację. Najpierw spotkali się z nimi dziekani wydziałów genetyki i geologii, ale wkrótce dołączyli do nich rektor i prorektor uczelni. Uniwersytetowi bardzo zależało na zatrudnieniu obu pań i chętnie zgadzał

się opracować taki plan zajęć, aby Mary miała co miesiąc cztery dni wolne z rzędu.

Skoro byli na uczelni, odwiedzili podziemną kryjówkę Veroniki Shannon. Tym razem to Adikor wszedł do „szafy Veroniki” w nowym kasku, który pasował na głowę neandertalczyka.

Mary miała nadzieję, że badany doświadczy czegoś pod Wpływem stymulacji części płata ciemieniowego znajdującej się w lewej półkuli, ale tak się nie stało. Na wszelki wypadek biorąc pod uwagę możliwość, że mózgi neandertalczyków są lustrzanym odbiciem mózgow Gliksinów (co było mało prawdopodobne, zważywszy na przewagę praworęczności wśród Barastów), Veronica powtórzyła test, stymulując tym razem część płatu ciemieniowego w prawej półkuli Adikora, ale i tym razem nie wywołało to żadnej reakcji.

Następnie Mary, Ponter i Adikor pojechali do mieszkania Mary w Richmond Hill. Adikor przez cały czas ze zdumieniem przyglądał się drodze i samochodom.

Na miejscu Mary odebrała wielką górę poczty w holu i cała trójka wjechała windą na jej piętro. W mieszkaniu Adikor wyszedł na balkon, oszołomiony widokiem. Mary postanowiła zamówić ulubione jedzenie Pontera: kurczaka z KFC, surówkę z kapusty, frytki i dwanaście puszek coli.

Czekając, aż przywiozą zamówienie, włączyła telewizor. Chciała tylko posłuchać najświeższych wiadomości, ale już po chwili nie mogła się oderwać od odbiornika.

– *Habemus papami* – powiedziała prezenterka informacji, biała kobieta o rudych włosach w okularach oprawionych w metalowe ramki. – Takie wieści dochodzą do nas dzisiaj z Watykanu. Mamy papieża.

Na ekranie pokazał się pióropusz białego dymu dobywającego się z komina Kaplicy Sykstyńskiej. Oznaczało to, że palono karty wyborcze, ponieważ jeden z kandydatów zebrał wymaganą większość głosów: dwie trzecie plus jeden. Mary poczuła, że jej serce bije mocniej.

Po chwili wyświetlono zdjęcie białego mężczyzny w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, o przyprószonej siwizną włosach i wąskiej, srogiej twarzy.

„Nowym papieżem został kardynał Franco DiChario z Florencji. Otrzymaliśmy informację, iż zamierza on przyjąć imię Marka II”.

Ekran podzielił się na pół. Obok głównej prezenterki pojawiła się ciemnoskóra kobieta około czterdziestki w eleganckim żakiecie: „W CBC jest dzisiaj z nami Susan Doncaster, profesor religioznawstwa z University of Toronto. Dziękujemy pani za przybycie”.

„Z przyjemnością skorzystałam z zaproszenia”.

„Co może nam pani powiedzieć o mężczyźnie, który urodził się jako Franco DiChario? Jakich zmian możemy się spodziewać w Kościele rzymskokatolickim?”

Doncaster nieznacznie rozłożyła ręce. „Wielu z nas miało nadzieję, że nowy papież tchnie trochę świeżości i być może doprowadzi do złagodzenia najbardziej konserwatywnych postaw Kościoła. Jednakże od razu zwrócono uwagę, że już sam wybór imienia Marka II sugeruje kontynuację dotychczasowej polityki. Proszę zauważyć, że na Tronie Piotrowym ponownie zasiądzie Włoch. A jako kardynał Franco DiChario reprezentował bardzo konserwatywne poglądy”.

„Zatem nie powinniśmy się spodziewać złagodzenia polityki Kościoła, na przykład w kwestii antykoncepcji?”.

„Niemał z całą pewnością nie”. Doncaster pokręciła głową. „DiChario znany jest z tego, że nazwał *Humanae Vitae* papieża Pawła najważniejszą

encykliką drugiego tysiąclecia i uważa, iż jej wytyczne powinny przyświecać Kościołowi przez trzecie milenium”.

„A co z celibatem duchownych?” – spytała presenterka.

„Franco DiChario wielokrotnie wypowiadał się także na ten temat, podkreślając ogromne znaczenie ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa jako warunku przyjęcia święceń. Nie widzę możliwości, aby Marek II zmienił stanowisko Rzymu w tej kwestii”.

„W takiej sytuacji” – presenterka uśmiechnęła się nieznacznie – „chyba nie ma sensu pytać o święcenia kapłańskie dla kobiet”.

„Na pewno nie w trakcie pontyfikatu Franca DiChario” – odparła Doncaster. „Mówimy przecież o Kościele w stanie oblężenia, który umacnia swoje tradycyjne barykady, zamiast je burzyć”.

„A zatem nie ma też szans na złagodzenie zasad dotyczących rozwodów?”.

Mary wstrzymała oddech, choć i tak wiedziała, jaką odpowiedź usłyszy.

„Żadnych” – stwierdziła Doncaster.

Na początku wakacji Mary włożyła pilota od telewizora do szuflady. Chciała schudnąć, a to był najprostszy sposób zmuszenia się do częstszego ruchu. Wstała z kanapy, podeszła do czternastocalowego odbiornika i wyłączyła go.

Kiedy się odwróciła, zauważyła, że Ponter przyglądał się jej uważnie.

– Nie jesteś zadowolona z wyboru papieża – zauważył.

– Nie, nie jestem. Wiele osób nie będzie. – Wzruszyła ramionami w zamyśleniu. – Ale z drugiej strony, przypuszczam, że w wielu miejscach właśnie z tego się cieszą – dodała, wzdychając.

– Co zamierzasz?

– N-nie wiem. Wprawdzie ekskomunika mi nie grozi. Obiecałam przecież Colmowi, że zgodzę się na unieważnienie zamiast rozwodu, ale...

– Ale co?

– Nie zrozum mnie źle. Cieszę się, że nasze dziecko otrzyma „gen Boga”. Tylko że zaczynają mnie męczyć te wszystkie idiotyczne ograniczenia. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, na litość boską!

– Ten nowy papież może cię jeszcze zaskoczyć – stwierdził Ponter. – Z tego, co zrozumiałem, on sam nie wygłosił dotąd żadnego oświadczenia, odkąd powierzono mu nową rolę. Na razie słyszeliśmy tylko spekulacje.

Mary usiadła na kanapie.

– Wiem, ale gdyby kardynałom zależało na prawdziwych zmianach, wybraliby kogoś zupełnie innego. – Roześmiała się. – Posłuchaj mnie tylko! To czysto świeckie poglądy. Wybór papieża podobno jest inspirowany przez Boga. Powinnam więc powiedzieć, że gdyby to Bóg chciał prawdziwych zmian, wybraliby kogoś innego.

– Tak czy inaczej, jak powiedziała tamta kobieta, macie papieża. I wygląda on na tyle młodo, aby pełnić swoją rolę przez wiele dekamiesięcy.

Mary skinęła głową.

– Zdobędę unieważnienie małżeństwa. Jestem to winna Colmowi. To ja zrezygnowałam z naszego związku, a on nie chce zostać wydalony z Kościoła. Ale choć unieważnienie oznacza, że mogłabym pozostać w Kościele katolickim, nie zamierzam tego zrobić. Istnieje przecież wiele innych wyznań chrześcijańskich. Opuszczenie Kościoła nie oznacza wcale, że przestanę wierzyć.

– To poważna decyzja – stwierdził Ponter.

Uśmiechnęła się.

– Ostatnio sporo ich podejmuję. Nie mogę dalej być katoliczką. – Sama zdumiała się, jak łatwo przyszły jej te słowa. – Nie mogę.

ROZDZIAŁ 33



Nas – gatunek człowieka, który określamy mianem Homo sapiens, a który nasi neandertalscy kuzyni nazywają Gliksinami – cechuje pewne dążenie unikalne wśród naczelných, wyjątkowe wśród istot myślących...

– Cześć, Jock – powiedziała Mary, wchodząc do jego gabinetu w siedzibie Synergii.

– Mary! – zawołał. – Witaj z powrotem! – Wstał z fotela, wyszedł zza biurka i uściskał jej rękę. – Witaj.

– Miło cię znowu widzieć. – Mary wskazała na drzwi, w których pojawili się jej towarzysze podróży. – Na pewno pamiętasz Pontera Boddita. A to jest Uczony Adikor Huld.

Siwe, krzaczaste brwi Jocka strzeliły w górę.

– No proszę! Co za niespodzianka!

– Nie wiedziałeś, że mamy przyjechać?

Jock pokręcił przecząco głową.

– Byłem zajęty... innymi sprawami. Dostaję raporty o wszystkich wyjazdach i przyjazdach neandertalczyków, ale nie jestem na bieżąco.

Mary przypomniał się stary dowcip: zła wiadomość to taka, że CIA czyta wszystkie twoje e-maile; dobra wiadomość to taka, że CIA czyta wszystkie twoje e-maile.

– Cieszę się z ponownego spotkania – powiedział Jock, potrząsając ręką Pontera. Potem uściskał dłoń Adikora. – Witam w Stanach Zjednoczonych

Ameryki, doktorze Huld.

– Dziękuję – odparł Adikor. – Wszystko tutaj jest takie... gwałtowne.

Jock zdobył się na blady uśmiech.

– Co prawda, to prawda.

Mary wskazała obu Barastów.

– Lonwis Trob poprosił Pontera o przyjazd i zasugerował, aby tym razem zabrał ze sobą Adikora.

– Przypuszczam, że dla Lonwisa jestem zbyt wielkim teoretykiem. – Ponter się uśmiechnął. – Za to Adikor naprawdę zna się na budowie różnych rzeczy.

– Skoro mowa o neandertalskim geniuszu – Mary wskazała na stół roboczy w kącie gabinetu – widzę, że pracowałeś nad kodonerem.

– Tak, rzeczywiście. To zdumiewające urządzenie – przyznał Jock.

– Bez dwóch zdań. – Mary spojrzała na niego, zastanawiając się, czy powinna mu to powiedzieć. W końcu jej entuzjazm zwyciężył. – Dzięki niemu Ponter i ja pomimo różnej liczby chromosomów będziemy mogli mieć dziecko.

Jock wyprężył się jak struna.

– Naprawdę? Nie-niewiarygodne. Nie sądziłem, że to możliwe.

– Okazuje się, że tak! – przyznała rozpromieniona Mary.

– W takim razie gratuluję. Oczywiście tobie też, Ponterze. Moje gratulacje!

– Dziękuję – odparł Ponter.

Nagle Jock ściągnął brwi, jakby właśnie uświadomił sobie coś ważnego.

– Mówimy o hybrydzie *Homo sapiens* i *Homo neanderthalensis*. Dziecko będzie miało dwadzieścia trzy pary chromosomów czy dwadzieścia cztery?

– Chodzi ci o to, czy według opracowanego przeze mnie testu będzie się zaliczało do Gliksinów, czy do Barastów? – upewniła się Mary.

Jock kiwnął głową.

– Pytam tylko... z ciekawości.

– No cóż, dużo na ten temat rozmawialiśmy. Ostatecznie postanowiliśmy dać dziecku dwadzieścia trzy pary chromosomów. Pod tym względem będzie jak Gliksin... *Homo sapiens*.

– Rozumiem. – Jock wydawał się lekko zaniepokojony całym tym pomysłem.

– Skoro embrion ma się rozwijać w moim organizmie – Mary poklepała się po brzuchu – wolimy uniknąć ewentualnych reakcji mojego układu immunologicznego.

Jock zerknął na nią.

– Ale jeszcze nie jesteś w ciąży?

– Nie, nie. Generacja 149 zostanie poczęta dopiero w następnym roku.

Jock zrobił wielkie oczy.

– Więc dziecko będzie dorastało na neandertalskim świecie? Czy to znaczy, że zamierzasz się tam przenieść na stałe?

Mary spojrzała na Pontera i Adikora. Nie spodziewała się, że ten temat wypłynie tak szybko.

– Prawdę mówiąc – powiedziała powoli – większość czasu będę spędzała na tym świecie...

– Mam wrażenie, że zaraz usłyszę jakieś „ale” – stwierdził Jock.

– Rzeczywiście – przytaknęła Mary. – Zadanie, z powodu którego zatrudniłeś mnie w Synergii, wykonałam o wiele szybciej, niż się spodziewaliśmy. Myślę, że czas, abym poszukała sobie innego zajęcia. Zaproponowano mi pełen etat na wydziale genetyki na Laurentian.

– Laurentian? – zdziwił się Jock. – A gdzie to jest?

– W Sudbury... tam, gdzie znajduje się portal. To niewielki uniwersytet, ale ma wspaniały wydział genetyki i wykonuje badania z zakresu medycyny sądowej. – Przerwała na moment, po czym dodała: – Ta dziedzina ostatnio bardzo mnie interesuje.

Jock się uśmiechnął.

– Kto by pomyślał, że takie Sudbury stanie się kiedyś miejscem, które będzie przyciągało ludzi?

– Witaj, Mary.

Mary upuściła kubek, który trzymała w dłoni. Rozbił się na drobne kawałki, a kawa z czekoladowym mlekiem bryzgnęła na podłogę jej gabinetu.

– Będę krzyczeć – ostrzegła. – Zawołam Pontera.

Cornelius Ruskin zamknął za sobą drzwi.

– Nie ma takiej potrzeby.

Serce Mary waliło jak oszalałe. Rozejrzała się wokół, szukając czegoś, czego mogłaby użyć jako broni.

– Co ty tu, do diabła, robisz?

Cornelius uśmiechnął się blado.

– Pracuję. Mam zastąpić ciebie.

– Jeszcze zobaczymy. – Mary chwyciła słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

Cornelius podszedł bliżej.

– Nie dotykaj mnie! Nawet nie próbuj! – ostrzegła go.

– Mary...

– Wynoś się! Wynocha!

– Daj mi dwie minuty, Mary... Tylko o to proszę.

– Wezwę policję!

– Wiesz, że nie możesz. Nie po tym, co zrobił mi Ponter i...

Cornelius umilkł nagle, bo dostrzegł coś w jej twarzy. Serce Mary było wściekle.

– Ty nic nie wiesz! – stwierdził, robiąc wielkie oczy. – Nie wiesz, prawda? Nic ci nie powiedział!

– O czym?

Szczupłe ręce Corneliusa obwisły bezwładnie, tak jakby były jedynie luźno połączone z jego tułowiem.

– Nawet nie przyszło mi do głowy, że możesz nie mieć z tym nic wspólnego, że nie miałaś udziału w planowaniu wszystkiego, że nie wiedziałaś...

– Nie wiedziałam o czym? – spytała ostro.

Cofnął się.

– Nie zrobię ci krzywdy, Mary. Nie mogę cię skrzywdzić.

– O czym ty mówisz?

– Wiesz, że Ponter przyszedł do mojego mieszkania?

– Co? Kłamiesz.

– Nie kłamię.

– Kiedy?

– We wrześniu. Późno w nocy...

– Kłamiesz. On nigdy...

– Właśnie że tak.

– Powiedziałyby mi o tym.

– Ja też tak myślałem – przyznał Cornelius, wzruszając ramionami. – Ale najwyraźniej tego nie zrobił.

– Nic mnie to nie obchodzi. Masz się stąd wynosić. Przeniosłam się tutaj, żeby być z dala od ciebie! Za chwilę zawiadomię policję.

– Lepiej tego nie rób.

- Zaraz się przekonamy. Jeśli się do mnie zbliżysz, zacznę krzyczeć.
 - Mary...
 - Nie zbliżaj się.
 - Mary, Ponter mnie wykastrował.
- Mary poczuła, jak opada *jej* szczęką.
- Kłamiesz. Zmyśliłeś to sobie.
 - Pokażę ci, jeśli chcesz...
 - Nie! – Mary niemal zwymiotowała na samą myśl o tym, że miałyby zobaczyć jego nagie ciało.
 - To prawda. Przyszedł do mojego mieszkania około drugiej w nocy i...
 - Ponter nigdy by tego nie zrobił. A już na pewno nie ukrywałby tego przede mną.
- Cornelius zbliżył rękę do rozporka.
- Tak jak powiedziałem, mogę to udowodnić.
 - Nie! – Mary z trudem chwyciła powietrze.
 - Qaiser mówiła mi, że na stałe przeniosłaś się na drugi świat. W przeciwnym razie nigdy bym tu nie przyjechał, ale... – Znowu wzruszył ramionami. – Potrzebuję tej pracy, Mary. York to była dla mnie ślepa uliczka, podobnie jak dla każdego białego mężczyzny z mojego pokolenia. Przecież wiesz.
- Mary brakowało tchu.
- Nie mogę z tobą pracować. Nie mogę nawet być w tym samym pomieszczeniu co ty.
 - Będę się trzymał z dala od ciebie, obiecuję. – Jego ton złagodniał. – Do cholery, Mary, myślisz, że mnie jest łatwo ciebie spotykać? Przypominasz mi... – jego głos załamał się tylko odrobinę – ... kim byłem.
 - Nienawidzę cię – wysyczała Mary.

– Wiem. – Cornelius nieznacznie uniósł ramiona. – I... i nie dziwię się tobie. Ale jeśli powiesz o mnie Kriegerowi lub komukolwiek innemu, pogrążysz także Pontera Boddita. Trafi do więzienia za to, co mi zrobił.

– Niech cię szlag trafi.

Cornelius pokiwał głową.

– Pewnie tak się stanie.

– Ponter! – Mary wpadła do pokoju, w którym Ponter pracował z Adikorem i Lonwisem. – Chodź ze mną!

– Hej, Mare. Coś się stało? – spytał ją.

– Natychmiast! – ucięła. – W tej chwili!

Ponter odwrócił się w stronę dwóch neandertalczyków, choć Christine nie skończyła jeszcze tłumaczyć.

– Wybaczcie nam na chwilę...

Lonwis skinął głową i zażartował, że to musi być Ostatnie Pięć. Mary wymaszerowała z pokoju, a Ponter podążył za nią.

– Na zewnątrz! – zarządziła i nie oglądając się za siebie ruszyła głównym holem ku frontowym drzwiom. Po drodze wzięła z wieszaka płaszc.

Ponter wyszedł bez wierzchniego okrycia. Mary przemierzyła zbrązowiały trawnik i przeszła przez ulicę. Zatrzymała się dopiero na promenadzie opustoszałej przystani. Gwałtownie obróciła się do Pontera.

– Jest tutaj Cornelius Ruskin – wypaliła.

– Niemożliwe – stwierdził. – Na pewno wyczułbym jego zapach, gdyby...

– Może zmienił się po tym, jak obciąłeś mu jaja – warknęła Mary.

– Och – wyrwało się Ponterowi.

– Tylko tyle? – spytała z irytacją. – Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– No cóż...

– Dlaczego, do diabła, mnie nie uprzedziłeś?

– Bobyś się nie zgodziła – przyznał, wpatrując się w chodnik w połowie zasłany opadłymi liśćmi.

– Jasne, do cholery, że nie! Ponterze, jak mogłeś zrobić coś takiego? Chryste.

– Chryste – powtórzył cicho Ponter. – Chrystus nauczał, że przebaczenie jest najwspanialszą z cnót. Ale...

– Ale co? – warknęła Mary.

– Ale ja nie jestem Chrystusem – odparł głosem pełnym smutku. – Nie potrafiłem wybaczyć.

– Obiecałeś mi, że go nie skrzywdzisz.

Mewa zatoczyła krąg nad ich głowami.

– Obiecałem ci, że go nie zabiję – sprostował. – I nie zrobiłem tego... – Wzruszył potężnymi ramionami. – Miałem szczerzy zamiar tylko go ostrzec, że wiem, iż to on jest gwałcicielem, żeby już nigdy nie próbował popełnić kolejnej zbrodni. Ale kiedy go zobaczyłem, kiedy poczułem jego zapach... jego smród, ten sam, jaki zostawił na ubraniu swojej ostatniej ofiary, nie potrafiłem się powstrzymać...

– Jezu, Ponterze. Wiesz, co to znaczy? Teraz to on ma przewagę. Jeśli zechce, może w każdej chwili na ciebie donieść. Podejrzewam, że to, czy w ogóle był winny gwałtu, nawet nie wypłynęłoby podczas twojego procesu.

– Ale przecież jest winny! Nie mogłem znieść myśli o tym, że nie zapłaci za popełnioną zbrodnię – powiedział Ponter, a po chwili, tak jakby chciał się jeszcze bardziej usprawiedliwić, powtórzył ostatnie słowo w liczbie mnogiej: – zbrodnie – przypominając Mary, że nie była jedyną ofiarą Ruskina i że do drugiego gwałtu doszło, ponieważ nie zgłosiła się na policję.

– Jego rodzina! – Mary nagle coś sobie uświadomiła. – Jego rodzeństwo. Rodzice. Mój Boże, im chyba nic nie zrobiłeś?

Ponter spuścił głowę i Mary pomyślała, że za chwilę przyzna się do kolejnych ataków. Nie to jednak było powodem jego wstydu.

– Nie – powiedział. – Nic nie zrobiłem z innymi kopiami genów, które sprawiły, że się taki stał. Chciałem ukarać jego. Chciałem go zranić za to, że skrzywdził ciebie.

– A teraz on może zaszkodzić tobie – stwierdziła.

– Tym się nie przejmuj. On nigdy nikomu nie wyjawia, co mu zrobiłem.

– Skąd masz tę pewność?

– Oskarżenie mnie oznaczałoby, że wyszłyby na jaw zbrodnie, które sam popełnił. Może nie podczas mojego procesu, ale w osobnym dochodzeniu. Mam rację? Przecież tutejsi egzekutorzy nie mogliby tak po prostu zostawić tej sprawy.

– Może i tak – przyznała Mary, wciąż gotując się ze złości. – Ale sędzia być może stwierdziłby, że Ruskina spotkała już dostateczna kara, wymierzona przez ciebie. Przecież kanadyjskie prawo uważa kastrację za sankcję zbyt surową nawet gdy chodzi o gwałt. Dlatego sędzia mógłby uznać za bezsensowne skazywanie Ruskina na mniej drastyczną, dopuszczoną przez prawo karę więzienia. Gdyby tak się stało, Ruskin nie miałby nic do stracenia i na pewno dopilnowałby, abyś trafił za kratki za to, co zrobiłeś jemu.

– Ale jednak wszyscy dowiedzieliby się, że jest gwałtcielem. Na pewno miałyby to konsekwencje społeczne, na jakie wolałby się nie narażać.

– Powinieneś był najpierw ze mną porozmawiać!

– Przecież powiedziałem już, że nie miałem zamiaru...

– Zemścić się – stwierdziła Mary, ale powiedziała to zwykłym tonem, tak jakby zwyczajnie podpowiadała Ponterowi właściwe słowo. Powoli

pokręciła głową. – Nie powinieneś był tego robić.

– Wiem.

– Ani, co gorsza, trzymać tego w tajemnicy przede mną! Do diaska, Ponterze, nie powinniśmy nic przed sobą ukrywać! Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Ponter spojrział na przystań, na chłodną, szarą wodę.

– Jestem pewien, że na tym świecie nie spotkają mnie żadne reperkusje, bo jak powiedziałem, Ruskin nigdy nie wyjawia tego, co mu zrobiłem. Ale na moim świecie...

– Wykrztuś to wreszcie! – zdenerwowała się Mary.

– Nie rozumiesz? Gdyby na moim świecie dowiedziano się o czynie, jakiego się dopuściłem, zostałbym uznany za nadmiernie agresywnego.

– Ufasz, że Ruskin utrzyma wszystko w tajemnicy, ale nie wierzysz, że ja to zrobię?

– Nie o to chodzi. Zupełnie nie o to. Rzecz w tym, że wszystko jest rejestrowane. W moim archiwum alibi znalazłby się zapis tego, co ci powiedziałem, podobnie jak w twoim. Nawet gdyby żadne z nas nie puściło pary z ust, zawsze istniałoby ryzyko, że arbitrzy zażądamy dostępu do mojego lub twojego archiwum, a wtedy...

– Co wtedy?

– Wtedy nie tylko ja zostałbym ukarany, ale także Mega i Jasmel.

„Chryste” – pomyślała Mary. – „I znowu wracamy do punktu wyjścia”.

– Przykro mi – zapewnił Ponter. – Naprawdę mi przykro z powodu tego, co zrobiłem Ruskinowi i z powodu tego, że ci nic nie powiedziałem. – Wzrokiem odszukał jej oczy. – Wierz mi, nie był to łatwy ciężar do dźwigania.

Nagle Mary wszystko zrozumiała.

– Rzeźbiarz osobowości!

- Tak, właśnie dlatego spotykałem się z Jurardem Selganem.
- Nie dlatego, że zostałam zgwałcona... – powiedziała wolno.
- Nie, nie bezpośrednio.
- ... ale z powodu tego, co sam zrobiłeś po tym, co mnie spotkało.
- Właśnie.

Mary westchnęła przeciągle. Złość i wszystkie negatywne emocje opuściły ją zupełnie. Ponter nie uważał jej za gorszą z powodu gwałtu...

- Ponterze – powiedziała cicho. – Ponterze...
- Ja naprawdę cię kocham, Mare.

Powoli pokiwała głową, zastanawiając się, co dalej robić.

ROZDZIAŁ 34



I to dążenie pcha nas coraz dalej...

Bristol Harbour Village wymarzył deweloper Fred Sarkis: pięć bloków z luksusowymi apartamentami na szczycie klifów nad brzegiem jeziora Canandaigua – jednego z Finger Lakes – długiej i głębokiej blizny w krajobrazie, wyżłobionej w przeszłości przez lodowiec.

Osiedle powstało na początku lat siedemdziesiątych, zanim gospodarka Rochester oraz wielu innych miast północnej części stanu Nowy Jork zmieniła się w szambo. Było dziwną pozostałością tamtych lat, podobnie jak Habitat z Expo'67. Kiedy Mary po raz pierwszy je odwiedziła za namową Louise Benoit, pomyślała, że powinni tu nakręcić kolejną część przygód Spidermana. Mnóstwo rozmaitych mostów łączyło wielopoziomowy parking z budynkami mieszkalnymi. Takie miejsce doskonale by się nadawało dla amatora pajęczynowych huśtawek.

Podobno jednak inwestycja nigdy nie osiągnęła planowanych początkowo rozmiarów. Wprawdzie były tu takie luksusy jak pole golfowe według projektu Roberta Trenta Jonesa i pobliski wyciąg na górze Bristol, znakomicie nadającej się do zjazdów zimą, ale sporo mieszkań wciąż czekało na kupno lub wynajem. Agentka nieruchomości, która pokazywała Mary apartamenty, wielokrotnie wspominała o tym, że Patty Duke i John Astin spędzili tu wakacje, kiedy jeszcze byli małżeństwem. Mary

podejrzewała, że gdy kobieta dowie się, iż zatrzymało się tutaj dwóch neandertalczyków, szybko uzupełni swój repertuar argumentów o ten fakt.

Wynajęła dwupoziomowy apartament o powierzchni około 100 metrów kwadratowych, z dwiema sypialniami. Podłogi pokrywała okropna pomarańczowa, kosmata wykładzina – chyba niezmienniana od początku, bo Mary nie widziała nic podobnego od wielu lat. Za to widoki były wspaniałe – na całe jezioro. Nic nie przesłaniało panoramy z górnego balkonu, na który wychodziło się z głównej sypialni. Z dolnego patrzyło się na wierzchołki drzew, które wyrastały z kruszącego się klifowego zbocza. Z obu widać było betonowy pomost prowadzący do zewnętrznej windy, którą zjeżdżało się kilkadziesiąt metrów w dół na przystań i sztucznie utworzoną plażę.

– To dopiero interesujące miejsce! – zauważył Ponter, wychodząc na dolny balkon i chwytając się barierki obiema rękami. – Współczesne wygody w otoczeniu natury. Czuję się niemal tak, jakbym był na moim świecie.

Mary piekła na balkonowym grillu steki, które kupiła w sklepie należącym do sieci Wegmans. Ponter obserwował jezioro, a Adikora bardziej interesował duży pająk wędrujący po poręczy.

Kiedy steki były gotowe – niemal surowe dla obu mężczyzn i średnio wysmażony dla niej – zabrali się za ich pałaszowanie – panowie uzbrojeni w rękawiczki, a Mary w widelec i nóż. Oczywiście kolacja była tą łatwiejszą częścią programu. Mary wiedziała, że w którymś momencie ktoś w końcu wspomni o...

– No to gdzie dzisiaj śpimy? – spytał Adikor.

Wciągnęła głęboko powietrze.

– Myślałam, że Ponter i ja...

– Nie, nie, nie – zaprotestował Adikor. – Dwoje jeszcze nie jest Jednym. To ja powinienem teraz spać z Ponterem.

– Tak, ale to mój dom i mój świat.

– To bez znaczenia. Ponter jest moim partnerem. Wy dwoje jeszcze sobie nie ślubowaliście.

– Proszę, przestańcie! – wtrącił się Ponter. – Nie kłóćmy się. – Uśmiechnął się najpierw do Mary, a potem do Adikora. Przez kilka chwil milczał, a potem nieśmiało zaproponował: – Moglibyśmy spać wszyscy razem...

– Nie! – zaprotestowali Adikor i Mary równocześnie.

„Rany boskie!” – pomyślała Mary. – „*Menage a trois* hominidów!”

– Naprawdę uważam – powiedziała – że Ponter i ja...

– To chrząstka! – przerwał jej Adikor. – Przecież to oczywiste, że...

– Kochani – odezwał się Ponter, ale ponieważ w neandertalskim „kochani” brzmiało jak *marę*, zaczął jeszcze raz, używając innego słowa. – Drodzy moi, przecież wiecie, że bardzo zależy mi na was obojgu. Jednak to Adikor ma rację. W normalnych okolicznościach o tej porze miesiąca towarzyszyłbym właśnie jemu. – Czule pogładził partnera. – Musisz się do tego przyzwyczaić, Mare. Tak to będzie wyglądało przez resztę mojego życia.

Mary spojrzała na jezioro. Bliższy jego brzeg znajdował się w cieniu, ale na przeciwległy, oddalony od nich o półtorej mili, wciąż świeciło słońce. W mieszkaniu znajdowały się cztery klimatyzatory z funkcjami grzania i chłodzenia – po dwa na obu piętrach. Zwykle przed pójściem spać włączała wentylator w głównej sypialni, aby jego cichy szum zagłuszał kakofonię ptasich krzyków, która zaczynała się o świcie. Może gdyby ustawiła urządzenie na najwyższą moc, nie słyszałaby dźwięków dochodzących z pokoju obok...

Ponter miał rację. Rzeczywiście musiała się do tego przyzwyczaić.

– No dobrze – powiedziała w końcu, zamykając oczy. – Ale skoro tak, to wy robicie śniadanie.

Adikor wziął Pontera za rękę i uśmiechnął się do Mary.

– Zgoda – stwierdził.

W gabinecie Kriegera znajdował się duży, wbudowany w ścianę sejf. Była to jedna z pierwszych przeróbek, jakie Jock zlecił, kiedy Synergia kupiła tę starą rezydencję. Osadzony w betonie sejf pod względem zabezpieczeń i ogniotrwałości odpowiadał wytycznym departamentu obrony Jock właśnie tam trzymał kodoner. Wyciągał urządzenie tylko na czas eksperymentów, które zawsze sam nadzorował.

Usiadł za biurkiem. W jednym jego rogu stała skrzynka konwertera skonstruowanego przez Lonwisa, która pozwalała przenosić na kodoner dane ze zwykłego peceta. Jock właśnie studiował informacje, które zamierzał wprowadzić do urządzenia. Jego monitor – siedemnastocalowy LCD w czarnej obudowie – wyświetlał notatki i formuły przygotowane przez Corneliusa Ruskina. Oczywiście Jock powiedział genetykowi, że chodzi mu wyłącznie o ewentualne możliwości obrony – chciał sprawdzić, jaki mógłby być najgorszy scenariusz, gdyby taki kodoner trafił w niepowołane ręce.

Wiedział, że powinien przekazać urządzenie Pentagonowi – ale ci dranie na pewno użyliby go przeciwko ludziom. Nie mógł na to pozwolić. Tym razem miał szansę – jedyną szansę – i musiał ją wykorzystać. Kontakty między dwoma światami wciąż jeszcze znajdowały się na bardzo wstępnym etapie, dlatego wszystko wyglądałoby na wypadek: paskudny wirus „przypadkiem” przedostałby się na drugą stronę. Niestety, rajski ogród

straciłby mieszkańców, a wśród *Homo sapiens* byłaby tylko jedna ofiara – Cornelius Ruskin, który spełnił już swoje zadanie.

Ruskin oczywiście wiedział tylko tyle, ile musiał. Na przykład on i znakomita większość genetyków sądzili, że nieznaną jest naturalny rezerwuar wirusa ebola. Jock posiadał jednak informacje, o których Ruskin nie miał pojęcia. Rząd amerykański odkrył ten rezerwuar w 1998 roku. Był nim *Balaeniceps rex*, trzewikodziób – duży ptak brodzący zamieszkujący bagniste tereny wschodniej Afryki w strefie tropików. Informację tę utajniono, aby nie mogli jej wykorzystać wrogowie.

Genom eboli – wirusa RNA – został w całości sekwencjonowany o czym Ruskin także nie mógł wiedzieć, ponieważ ta informacja również była tajna z tych samych przyczyn. Genetyk prawdopodobnie myślał, że sekwencja, jaką ma przerobić na polecenie Jocka, jest nicią jakiegoś tam wirusa, a nie konkretnym kodem genetycznym eboli.

Istniało wiele szczepów wirusa ebola. Ich nazwy pochodziły od miejsc, w których odkryto je po raz pierwszy. Najbardziej śmiertelny był ebola zair, ale zakażenie nim następowało wyłącznie przez kontakt z krwią lub płynami ustrojowymi. Natomiast rozprzestrzeniający się drogą powietrzną ebola reston w ogóle nie atakował ludzi. Ruskin bez problemu – oczywiście wyłącznie w ramach ćwiczeń – zaprogramował kodoner tak, aby urządzenie wymieniło kilka genów w obu szczepach, dając mieszaną wersję, która miała zjadliwość wirusa z Zairu i przenosiła się drogą powietrzną, tak jak ebola reston.

Kilka kolejnych poprawek skróciło czas inkubacji zmodyfikowanego wirusa do jednej dziesiątej naturalnego okresu inkubacyjnego oraz podniosło śmiertelność z dziewięćdziesięciu do ponad dziewięćdziesięciu procent. Ostatnia manipulacja pozwoliła zmienić genetyczne markery które określały naturalny rezerwuar wirusa...

Druga część planu była trudniejsza, ale Cornelius dał się na nią nabrać, jak pies, który dostał dobrą kość. Zdumiewające, jak wspaniałą motywacją mogło być 200 tysięcy dolarów za konsultacje.

Pomysł był dość prosty, przynajmniej na papierze: chodziło o to, by wirus pozostawał nieaktywny, dopóki nie natrafi na żywiciela, którego komórki mają określone cechy. Na szczęście, kiedy ambasadorka Tukana Prat przywiozła do Organizacji Narodów Zjednoczonych dziesięcioro najśłynniejszych neandertalczyków, wszyscy chętnie podzielili się wiedzą z różnych dziedzin. Jedną z nich, Borl Kadas, udostępniła wszelkie informacje zebrane podczas pracy nad sekwencjonowaniem genomu neandertalczyka. Zadanie to zakończono w roku, który Jock znał jako 1953. Ta baza danych dostarczyła informacji, dzięki którym wirus miał zabijać tylko tych, których powinien.

Teraz pozostał już tylko jeden problem: przeniesienie wirusa na drugą stronę. Początkowo Jock uznał, że najprościej będzie, jeśli sam się nim zakazi – w końcu przecież nie miałby on wpływu na hominida z dwudziestoma trzema parami chromosomów. Jednakże technologia laserowa wykorzystywana do odkażania ludzi podróżujących między światami bez trudu usunęłaby wirus z jego organizmu. Nawet przesyłki dyplomatyczne poddawano takiej samej procedurze dekontaminacji, więc umieszczenie wirusa w czymś takim też nie zdałoby egzaminu.

Nie, tym razem potrzebował czegoś w rodzaju bomby aerozolowej w pojemniku, którego nie mogły przeniknąć impulsy lasera, jakie emitował neandertalski sprzęt odkażający. Jock nie miał pojęcia, jak tego dokonać, ale zespół fotooptyków – zatrudnionych w celu studiowania neandertalskich technologii rejestracji obrazu w Kompanach i wybranych spośród najlepszych specjalistów Bausch&Lomb, Kodaka i Xeroksa – na

pewno mógł znaleźć rozwiązanie, zwłaszcza że neandertalczycy z własnej woli podzielili się z Gliksinami technologią przestrajalnych laserów.

Jock podniósł słuchawkę telefonu i wybrał jeden z numerów wewnętrznych.

– Halo, Kevin. Mówi Jock. Czy mógłbyś razem z Frankiem i Lilly zejść do mojego gabinetu? Mam dla was niewielkie zadanie...

Mary znalazła proste tymczasowe rozwiązanie problemu pracy w tym samym budynku co Cornelius Ruskin. Przychodziła późno i pracowała do nocy. Cornelius wychodził wkrótce po jej przyjściu – lub, jeśli miała szczęście, jeszcze zanim się pojawiała.

Ponter i Adikor przyjechali z Bristol Harbour Village razem z nią. Sami nie mogli nigdzie dotrzeć, więc musieli towarzyszyć Mary. W Synergii przez większość czasu pracowali z Lonwisem Trobem i Louise Benoit nad projektem budowy komputera kwantowego – ale Louise wolała pracę w bardziej normalnych godzinach i tego dnia poszła już do domu.

Mary zajęła się przygotowaniem raportu dla Jocka, szczegółowo opisując wszystko, czego dowiedziała się od Lurt, Vissan i innych na temat neandertalskiej genetyki. Podczas pracy na przemian to wpadała w euforię, to znów w przygnębienie, ponieważ w tej dziedzinie neandertalczycy wyprzedzali jej ludzi o całe dekady, co oznaczało, że wiele jej własnych osiągnięć było przestarzałych i...

Od strony korytarza dobiegło ją głośne dudnienie czyichś stóp.

– Mare! Mare!

W drzwiach jej gabinetu pojawił się Adikor z wyrazem przerażenia na szerokiej twarzy.

– Co się stało? – spytała.

– Lonwis stracił przytomność! Potrzebna pomoc medyczna!

Poza Bandrą, która słyszała już dowcip o myśliwych, neandertalczycy nie mieli pojęcia, jak na tym świecie wezwać pogotowie. Ich Kompany też nie były w stanie skontaktować się z nikim po tej stronie portalu. Mary wstała zza biurka i pędem ruszyła do laboratorium kwantowego.

Lonwis leżał na plecach, jego powieki drgały, chwilami pokazując jedynie gładkie metalowe kule. Najwyraźniej mechaniczne tęczówki zwrócone były do wnętrza czaszki.

Ponter klęczał obok starca. Jedną dłonią bez wysiłku miarowo uciskał pierś Lonwisa w neandertalskiej wersji masażu serca. Jednocześnie złoty Kompan wynalazcy na głos opisywał stan swojego właściciela.

Mary chwyciła telefon z jednego ze stołów, wybrała 9 „na miasto”, a potem wystukała 9-1-1.

- Straż pożarna, policja czy pogotowie? – spytała telefonistka.
- Pogotowie.
- O co chodzi?
- Mamy tu nieprzytomnego mężczyznę. Dostał ataku serca. Przyślijcie kogoś natychmiast!

Adres musiał się wyświetlić na monitorze telefonistki na podstawie numeru telefonu, bo powiedziała:

- Już wysłałam karetkę. Czy zna pani technikę reanimacji?
- Tak – odparła Mary. – Ale ktoś inny już to robi. Powinnam chyba od razu uprzedzić, że chodzi o neandertalczyka.
- Proszę pani, żarty w takich sprawach traktowane są jak przestępstwo...
- Ja nie żartuję! – ucięła Mary. – Dzwonię z siedziby Synergii. Jesteśmy grupą doradczą pracującą dla rządu Stanów Zjednoczonych i gościmy u siebie neandertalczyków.

Ponter nie przestawał rytmicznie uciskać klatki piersiowej Lonwisa. Tymczasem Adikor otworzył jedną z kieszeni przy medycznym pasie starca

i za pomocą iniektora ciśnieniowego wstrzyknął coś w jego szyję.

- Poproszę o pani nazwisko – odezwała się telefonistka.
- Czy karetka już jedzie? Wysłaliście kogoś?
- Tak. Jest już w drodze. Jak brzmi pani nazwisko?
- Nazywam się Mary Vaughan. V-A-U-G-H-A-N. Jestem genetykiem.
- Ile lat ma pacjent, pani Vaughan?

– Sto osiem... Proszę mi wierzyć, wcale nie żartuję. Chodzi o Lonwisa Troba, jednego z neandertalczyków, którzy w zeszłym miesiącu odwiedzili siedzibę ONZ.

W drzwiach laboratorium pojawił się Stan Rasmussen, ekspert od geopolityki. Mary przesłoniła dłonią słuchawkę i szybko wyjaśniła mu:

- Lonwis ma atak serca. Powiadom Jocka!

Rasmussen kiwnął głową i zniknął.

- Połączę panią z sanitariuszami – poinformowała telefonistka.

Chwilę później w słuchawce zabrzmiał inny kobiecy głos:

– Za pięć minut będziemy na miejscu. Czy może pani opisać stan pacjenta?

– Nie – odparła Mary – ale poproszę o to jego Kompana. – Zgarnęła aparat ze stołu i postawiła go obok Lonwisa, po czym poprosiła implant wynalazcy: – Przejdź na angielski i odpowiadaj na wszystkie pytania, jakie usłyszysz. Pomoc już jest w drodze...

ROZDZIAŁ 35



Niektórzy z nas zechcą pewnie pozostać na Marsie. Na kartkach księżek science fiction już od dawna pojawiały się spekulacje na temat możliwości terraformowania Czerwonej Planety – uczynienia jej bardziej podobną do Ziemi poprzez poprawę jej atmosfery, uwolnienie zasobów zamrożonej wody i stworzenie w ten sposób świata nadającego się do zamieszkania przez ludzi...

Jock, Ponter i Adikor pojechali do szpitala Strong Memoriał razem z nieprzytomnym Lonwisem. Mary nie mogła im więcej pomóc, więc na prośbę Jocka została w Synergii.

Dopiero po godzinie ochłonęła na tyle, by wrócić do pracy. W końcu usiadła z powrotem do komputera... tylko po to, żeby po chwili wszystko szlag trafił.

Jeden z jej znajomych z Yorku absolutnie wierzył w Linuksa i próbował przekonać wszystkich z wydziału genetyki, że powinni zrezygnować z Windows i przejść na system operacyjny typu open source. Mary nie miała zwyczaju wtrącać się w komputerowe wojny – tak jak dawniej nie mieszała się w potyczki typu mac czy pecet – ale za każdym razem, kiedy jej działający w oparciu o Windows komputer wyświetlał „niebieski ekran śmierci”, miała ochotę przyłączyć się do zwolenników Linuksa.

Tym razem stało się to samo – już po raz drugi tego dnia. Mary wykonała doskonale wszystkim znany salut trzema palcami, po czym cierpliwie przeczekała niekończącą się procedurę ponownego uruchomienia

systemu, by ostatecznie stwierdzić, że maszyna uparcie odmawia pracy w sieci.

Westchnęła z rezygnacją. Dochodziła siódma wieczorem, ale ona nie mogła jeszcze wrócić do domu. Musiała poczekać na Pontera i Adikora, aby – gdy wrócą ze szpitala – zawieźć ich do Bristol Harbour Village.

Oczywiście w wielkiej rezydencji, którą Synergia wybrała sobie na siedzibę, było sporo innych komputerów, więc...

Jock miał jeden z tych fantastycznych foteli marki Aeron, o których czytała w katalogu Sharper Image. Podobno były superwygodne – słowem, ergonomiczne niebo. Wprawdzie na pewno poustawiał wszystkie wihajstry i wajchy tak, by pasowały do jego szczupłej sylwetki, ale Mary nie mogła się oprzeć pokusie wypróbowania takiego siedziska.

Zeszła na dół schodami wyłożonymi dywanem w kolorze czerwonego wina. Drzwi gabinetu Jocka były otwarte na oścież. Weszła do środka. Z dużego wykuszowego okna roztaczał się widok na przystań. Patrząc przez nie, poczuła dreszcz, choć w budynku było ciepło.

Podeszła do superfotela z czarnego metalu i plastiku z drobną siateczką, która podobno pozwalała oddychać skórze siedzącego w tym cudzie osobnika. Czując się jak psotne dziecko, usiadła i umościła się wygodnie.

„Mój Boże” – pomyślała. – „Reklamy tym razem rzeczywiście mówią prawdę!”. Fotel był niewiarygodnie wygodny. Odpychając się stopami od podłogi, obróciła się razem z siedzeniem najpierw w lewo, a potem w prawo. Wiedziała, że Aerony kosztują majątek, ale postanowiła zafundować sobie taki luksus...

Po kilku chwilach relaksu przystąpiła do pracy. Jock nie zdążył wylogować się z sieci. Opuścił gabinet w pośpiechu, kiedy Lonwis Trob dostał ataku serca. Mary podejrzewała, że z tego stanowiska może się

zalogować, używając własnego hasła, ale na wszelki wypadek wolała niczego nie zmieniać, więc zabrała się do pracy, korzystając z konta Jocka.

Otworzyła na serwerze folder zatytułowany „Neandertalska genetyka” i...

Jej brwi ze zdumienia powędrowały w górę. Większość czasu pracowała właśnie w tym folderze, ale tutaj były dwie dodatkowe ikony, których wcześniej nie widziała. Zaczęła się denerwować. Wprawdzie zawsze pamiętała o zrobieniu zapasowych kopii, ale obawiała się, że zawieszenie się systemu w jakiś sposób uszkodziło ścieżkę dostępu.

Postanowiła to sprawdzić. Kliknęła dwukrotnie na jedną z nieznanych sobie ikon. Rysunek wyglądał jak czerwona i czarna podwójna spirala. Mary знаła większość dostępnych na rynku programów z zakresu genetyki i wiedziała, jakimi symbolami oznaczone były dokumenty tych aplikacji. Ten widziała po raz pierwszy.

Po chwili otworzyło się okno. Na pasku tytułowym pojawił się napis „USAMRIID Geneplex-Surfaris” a poniżej wyświetlił się tekst i różne wzory. Akronim USAMRIID dość często pojawiał się w literaturze z dziedziny genetyki. Był to skrót od United States Army Medical Research Institute of Infectious Diseases. [Instytut Medyczny Armii Stanów Zjednoczonych ds. Badania Chorób Zakaźnych] Geneplex było pewnie nazwą programu. Ale słowo „Surfaris” z niczym się Mary nie kojarzyło.

Przyjrzała się zawartości okna i zdumiała się. Część z zadań, jakie pierwotnie przydzielono jej w Synergii, polegała na próbach zastosowania zjawiska „quorum counting” w celu określenia liczby par chromosomów – czy było ich dwadzieścia trzy, czy dwadzieścia cztery. Jednakże ta metoda nie zdała egzaminu. Po pierwsze, mechanizm „liczenia kworum” nie pozwalał aż tak dokładnie określić liczby par, a po drugie, w

chromosomach kondensacja chromatyny następowała tylko podczas mitozy, która oczywiście nie była zwykłym stanem komórki.

Z dokumentu wynikało jednak, że Mary nie była jedynym genetykiem pracującym na polecenie Jocka nad tym problemem. Ta druga osoba wymyśliła o wiele prostszą metodę rozpoznawczą. Drugi i trzeci chromosom Gliksinów – u ich przodków odrębne – uległy zespoleniu, tworząc jeden, znacznie dłuższy chromosom. Geny, które znajdowały się na końcu chromosomu drugiego, przylegały teraz do genów z początku chromosomu trzeciego.

Takie same geny istniały u neandertalczyków, tyle że nie przylegały do siebie. Po ostatnim genie chromosomu drugiego pojawiał się telomer – czop śmieciowego DNA, którego jedynym zadaniem była ochrona końca chromosomu na podobieństwo plastikowej końcówki sznurowadła. Również pierwszy gen trzeciego chromosomu poprzedzony był takim telomerem. Dlatego u neandertalczyków występowały sekwencje:

Na końcu chromosomu 2: ... [inne geny] [gen ALPHA] [telomer]

Na początku chromosomu 3: [telomer] [gen BETA] [inne geny]...

Takie sekwencje nie pojawiały się nigdzie w DNA Gliksinów. I na odwrót, w gliksińskim DNA, w odstępach milionów par od jakiegokolwiek telomeru, znajdowała się sekwencja nieobecna w neandertalskim DNA:

... [inne geny] [gen ALFA] [gen BETA] [inne geny]...

Było to logiczne rozwinięcie pracy, którą Mary wykonała na początku – idealny, niezawodny sposób rozróżniania obu gatunków ludzkości, nawet w momencie, kiedy komórka nie znajdowała się akurat w fazie mitozy.

Dokładnie takiego rezultatu oczekiwał Jock: prostej, pewnej metody rozróżniania Gliksinów od Barastów.

Mary z zadowoleniem stwierdziła, że uwzględniono wszystkie niezbędne testy. Teoretycznie można było wykonać badanie w kierunku tylko jednej z trzech możliwości. Stwierdzenie obecności jednej z pierwszych dwóch sekwencji – występowania albo genu ALFA, albo genu BETA w sąsiedztwie telomeru – wskazywało na *Homo neanderthalensis*. Natomiast znalezienie trzeciej sekwencji – genów ALFA i BETA występujących obok siebie – oznaczało *Homo sapiens*. Ale zawsze mogło coś nie wyjść, dlatego test służący identyfikacji neandertalczyka korzystał z drzewa logicznego, objaśnionego – prawdopodobnie ze względu na Jocka – dość prostym językiem:

Etap 1: Czy geny ALFA i BETA występują obok siebie?

Jeśli **tak**, przerwać działanie (to nie jest neandertalczyk).

Jeśli **nie**, prawdopodobnie jest to neandertalczyk: przejść do Etapu 2.

Etap 2: Czy gen ALFA występuje obok telomeru?

Jeśli **tak**, prawdopodobnie jest to neandertalczyk: przejść do Etapu 3.

Jeśli **nie**, przerwać działanie (taka sytuacja nigdy nie powinna wystąpić u neandertalczyka).

Etap 3: Czy gen BETA sąsiaduje z telomerem?

Jeśli **tak**, z całą pewnością dany osobnik jest neandertalczykiem: przejść do etapu 4.

Jeśli **nie**, przerwać działanie (taka sytuacja nigdy nie powinna wystąpić u neandertalczyka).

Warunki przerwania działania na etapach 2 i 3 stanowiły dodatkowe zabezpieczenie. Występowały, gdy geny ALFA i BETA nie sąsiadowały ze sobą (co determinował pierwszy etap) i jednocześnie, gdy ani ALFA, ani BETA nie sąsiadowały z telomerem – takie kombinacje nie powinny nigdy wystąpić u żadnego z gatunków hominidów.

Dla komputera był to banalnie prosty program do wykonania. Nieco bardziej złożone było zapisanie go w formie następujących kolejno po sobie biochemicznych reakcji, ale najwyraźniej drugi genetyk Jocka już tego dokonał. Mary bez trudu rozpoznała wzory enzymów produkowanych w każdym stadium reakcji i widziała, że rezultaty rzeczywiście odpowiadały zamierzonej logice. Na koniec całej operacji spodziewała się zobaczyć jakiś enzym lub inny marker, którego obecność można bez trudu zweryfikować – swego rodzaju jednoznaczny znak mówiący: hura! to neandertalczyk, albo nie, nie tym razem.

Jednak do końca procedury miała jeszcze sporo czytania – o czym przekonała się, gdy dotarła do końca ekranu i przeszła na następną pełną formułek stronę. W miarę lektury coraz bardziej opadała jej szczęka, bo powoli zaczynała odkrywać, na czym polega etap czwarty. Jock i wielu członków jego zespołu wywodzili się z RAND. Mary zdążyła się już przyzwyczaić do tego, że w rozmowach używali oklepanych zwrotów z czasów zimnej wojny, ale następne określenie, które przeczytała na monitorze, sprawiło, że jej serce na moment zamarło: „Aktywacja ładunku”.

W sytuacji, gdy testowany podmiot okazywał się neandertalczykiem – i tylko wtedy – uruchamiała się kolejna kaskadowa sekwencja, która ostatecznie prowadziła do...

Mary nie wierzyła własnym oczom. Jej specjalnością było kopalne DNA – między innymi właśnie dlatego została zaangażowana do tego projektu –

ale nie znaczyło to, że nie umiała rozpoznać współcześnie identyfikowanych sekwencji, zwłaszcza tych, które trafiały na pierwsze strony gazet na całym świecie.

Jeśli podmiot okazywał się neandertalczykiem, miało dojść do aktywacji ładunku, czyli uaktywnienia się filowirusa, który doprowadzał do błyskawicznego rozwoju gorączki krwotocznej.

Śmiertelnej gorączki krwotocznej...

Mary odchyliła się na oparcie fotela Jocka. Czuła, jak wzbiera w niej żółć.

Dlaczego ktoś chciałby doprowadzić do unicestwienia neandertalczyków? Do zgładzenia ich z powierzchni ziemi?

A w zasadzie z obu Ziemi?

Wiele postaci gorączki krwotocznej było zakaźnych. Gliksini nie potrafili ich leczyć i wątpiła, aby umieli to Baraści, z dwóch przyczyn: po pierwsze, nigdy nie rozwinęło się u nich rolnictwo i hodowla zwierząt, w wyniku czego nie opracowali też metod walki z epidemiami; po drugie, wszelkie znane rodzaje gorączki krwotocznej były chorobami tropików – stref klimatycznych, których lubiący chłód neandertalczycy raczej unikali.

Mary z trudem przełknęła ślinę, próbując pozbyć się nieprzyjemnego, kwaśnego smaku z ust.

Dlaczego? Dlaczego komuś zależało na śmierci neandertalczyków? Przecież to nie miało...

Nagle przypomniała sobie krótką rozmowę z Jockiem przy kopalni Debral.

„To zdumiewające” – powiedział wtedy. – „W pewnym sensie zdawałem sobie sprawę, że zrujnowaliśmy nasze środowisko, ale kiedy zobaczyłem to... Tu jest jak w raju” – dokończył, wskazując szerokim gestem nieskazitelny krajobraz dookoła.

Mary wtedy się zaśmiała.

„Prawda? Szkoda tylko, że już jest zajęty, co?” – odparła.

To był zwykły, niewinny żart. Tylko że Jock się nie śmiał. Wystarczyło przecież pozbyć się tych nieznośnych neandertalczyków i raj czekałby na nowych mieszkańców...

Potworność – no, ale Jock całe życie poświęcił na tworzenie scenariuszy masowej zagłady. Sprawy, które ją przerażały, były dla niego normalką.

Początkowo Mary chciała wykasować wszystkie pliki z komputera – ale przecież w ten sposób nic by nie osiągnęła. Na pewno miał ich kopie.

Później pomyślała, że powinna wziąć telefon i zadzwonić do... do dobrych Kanadyjczyków. W pierwszym odruchu przyszła jej do głowy telewizja CBC, która mogła rozesłać wieści na cztery strony świata. Przecież ludzie nie zgodziliby się na takie ludobójstwo.

Nie wiedziała jednak, ile dzieli Jocka od realizacji planu. Jeśli był gotowy do działania, nie mogła dopuścić do tego, aby poczuł się przyparty do muru, bo wypuściłby wektor chorobowy, jak tylko dowiedziałby się o tym, że ludzie znają jego zamiary.

Potrzebowała pomocy, pomysłów, wsparcia – nie tylko ze strony Pontera i Adikora, ale także jakiegoś Gliksina, kogoś, kto rozumiał, jak działa ten świat.

W Toronto miała zaufanych ludzi, ale tutaj, w Stanach Zjednoczonych, nie było nikogo, na kim mogłaby polegać. Tylko Christine – jej siostra – ale ona mieszkała w Sacramento, po drugiej stronie kontynentu... tysiące mil stąd.

I wtedy Mary coś sobie uświadomiła.

Już wiedziała, do kogo się zwróci, choć drażniła ją trochę młodość i uroda tej kobiety.

Chodziło oczywiście o tę, która uratowała Ponterowi życie, gdy po raz pierwszy pojawił się w tej rzeczywistości.

O specjalistkę z zakresu fizyki kwantowej, której Jock powierzył zadanie odtworzenia neandertalskiej technologii komputerowej.

Louise Benoit.

Wprawdzie Louise nie mogła pomóc w kwestiach natury medycznej, ale...

Ale mógł to zrobić jej mężczyzna! Choć Reuben Montego nie był specjalistą, na pewno potrafił lepiej poradzić sobie z wektorem chorobowym niż fizyczka.

Mary podejrzewała, że prawdopodobnie już nigdy nie uzyska dostępu do tych plików. Rozejrzała się po gabinecie Jocka i zauważyła opakowanie płyty CD (oczywiście marki Kodak – w końcu znajdowali się w Rochester) . Wzięła jedną, wsunęła ją w nagrywarkę komputera i uruchomiła kopiowanie. Na wszelki wypadek zaznaczyła wszystkie pliki w folderze. W sumie zajmowały 610 megabajtów – na tyle mało, że mieściły się na jednej płycie. Kliknęła polecenie „kopiuj pliki” i odchyliła się na oparcie fotela – który w tej chwili wcale nie wydawał się wygodny. Nie miała pojęcia, jak uspokoić rozpędzone serce.

ROZDZIAŁ 36



Pojawiają się jednak głosy sprzeciwu wobec pomysłu terraformowania Marsa. Przeciwnicy planu uważają, że choć na planecie tej nie ma życia, to powinniśmy zostawić jej surowe, naturalne piękno w nienaruszonym stanie – a jeśli ją odwiedzimy, powinniśmy ją traktować tak jak nasze parki narodowe, zabierając stamtąd tylko wspomnienia, a pozostawiając jedynie ślady naszych stóp...

Ponter i Adikor całą noc spędzili w szpitalu razem z Lonwisem i Jockiem. Mary w końcu sama wróciła do mieszkania w Bristol Harbour Village. Nie miała okazji powiedzieć Ponterowi o tym, co odkryła.

Następnego dnia, zmęczona, dotarła do Seabreeze dopiero o 11. 30, ale Ponter, Adikor i Jock wciąż jeszcze nie wrócili. Od pani Wallace dowiedziała się, że stan Lonwisa jest stabilny, po czym weszła po schodach na piętro, do laboratorium Louise Benoit.

– Co powiesz na lunch? – spytała.

Louise wyglądała na mile zaskoczoną.

– Bardzo chętnie – odparła. – Kiedy?

– Może od razu?

Młodsza kobieta spojrzała na zegarek i zdziwiła się, że jest tak wcześnie. Z tonu głosu Mary domyśliła się jednak, że chodzi o coś ważnego.

– *Bon* – zgodziła się.

– To świetnie.

Ich płaszcze wisiały na wieszaku przy frontowych drzwiach. Ubrały się i wyszły na zewnątrz, prosto w chłodne listopadowe powietrze. Wokół zatańczyło kilka płatków śniegu.

Po obu stronach Culver Road znajdowało się sporo restauracji. Wiele działało tylko w sezonie – Seabreeze zaliczało się przecież do miejscowości letniskowych – ale niektóre były otwarte przez cały rok. Mary od razu skierowała się na zachód. Louise ruszyła za nią.

– Na co masz ochotę? – spytała.

– Wczoraj wieczorem, kiedy Jock pojechał do szpitala z Lonwisem, byłam w jego gabinecie – wypaliła Mary. – Wiem, że kazał stworzyć wirus, który ma zabić neandertalczyków.

– Co takiego? – W głosie Louise zabrzmiało niedowierzenie.

– Myślę, że chce doprowadzić do ich zagłady.

– Ale dlaczego?

Mary obejrzała się przez ramię, upewniając się, czy nikt za nimi nie idzie.

– Dlatego, że po drugiej stronie płotu trawa naprawdę jest bardziej zielona. Zamierza zdobyć ich Ziemię dla naszego gatunku ludzi. – Kopnęła jakiś śmieć leżący na drodze. – Może chce, abyśmy zaczęli od nowa bez tego wszystkiego. – Przed nimi, po lewej stronie jezdni, widać już było wesołe miasteczko. Zamknięto jena okres zimy. Kolejka górską przypominała pogmatwany splot przerdzewiałych wnętrzości.

– Co mamy w takiej sytuacji robić? – spytała Louise. – Jak go powstrzymać?

– Nie wiem – przyznała Mary. – Tylko przypadkiem trafiłam na formułę wirusa. Mój komputer się zawiesił i potem nie mogłam wejść do sieci, poszłam więc do jego gabinetu, bo wiedziałam, że już nie wróci do pracy. Kiedy Lonwis miał atak serca, Jock wyszedł w pośpiechu i zapomniał się

wylogować. Skopiowałam formułę wirusa na CD. Teraz jednak myślę, że powinnam tam wrócić i zmodyfikować plik, aby nie dało się na jego podstawie stworzyć nic śmiercionośnego. Domyślam się, że Jock planuje wprowadzić te dane do kodonera, a potem uwolnić wirusa na neandertalskim świecie.

– A jeśli już go stworzył?

– Sama nie wiem. Jeśli to zrobił, to możliwe, że już nic nie wskóramy.

Szły wąskim chodnikiem. Ulicą przejechał samochód.

– Myślałaś, żeby poinformować o wszystkim media, iść do nich z płytą... no wiesz, zaalarmować wszystkich?

Mary kiwnęła głową.

– Tak, ale chciałam najpierw... rozbroić ten wirus. Potrzebna mi będzie pomoc, bo muszę znowu się dostać do komputera Jocka.

– Sieć Synergii wykorzystuje szyfrowanie RSA – stwierdziła Louise.

– Jest jakiś sposób, żeby je złamać?

Louise się uśmiechnęła.

– Zanim poznaliśmy naszych neandertalskich przyjaciół, powiedziałabym, że nie, że praktycznie nie ma na to sposobu. Większość systemów szyfrowania, w tym RSA, jest oparta na kluczach, które są produktami dwóch dużych liczb pierwszych. Aby złamać szyfr, trzeba określić podstawowe czynniki głównej liczby. Przy 512-bitowym kluczu szyfrującym, z jakiego korzysta na przykład nasz system tutaj, zwykłe komputery potrzebowałyby tysiący lat na wypróbowanie wszystkich możliwych czynników. Ale komputery kwantowe...

Mary w lot pojęła, o co chodzi.

– Komputery kwantowe wypróbowują wszystkie ewentualne czynniki jednocześnie – dokończyła, ale po chwili zmarszczyła czoło. – Co zatem

proponujesz? Mamy zamknąć portal, żeby komputer Pontera złamał dla nas kod Jocka?

Louise pokręciła głową.

– Pomijając fakt, że komputer Pontera nie jest jedynym kwantowym komputerem na neandertalskim świecie – wiemy tylko, że jest największy – wcale nie musimy się tam udawać, żeby rozwiązać problem. – Lou się uśmiechnęła. – Ty przez ostatnie miesiące hulając sobie po obu światach, podczas gdy ja ciężko tutaj pracowałam nad stworzeniem naszego własnego komputera kwantowego w oparciu o wszystko, czego dowiedziałam się od Pontera podczas naszej kwarantanny. Mamy teraz całkiem zgrabne urządzenie w moim laboratorium w Synergii. Oczywiście ma za mało rejestrów, aby dokonać tego, co udało się wielkoludowi Pontera. Nie stworzy stabilnego portalu do innego świata, ale na pewno złamie 512-bitowy klucz.

– Jesteś cudowna, Louise.

Louise się uśmiechnęła.

– Miło, że w końcu to zauważyłaś.

Jak tylko Ponter i Adikor wrócili ze szpitala, Mary oznajmiła im, że muszą pójść z nią na lunch – miała nadzieję, że pani Wallace nie wspomni Jockowi, iż jego genetyczka wyszła w porze lunchu już po raz drugi tego dnia. Gdy tylko znaleźli się za drzwiami, Mary poprowadziła ich na tyły rezydencji i dalej piaszczystą plażą wzdłuż brzegu. Od strony szarego, wzburzonego Ontario wiał chłodny wiatr.

– Czuję, że coś cię zdenerwowało – zauważył Ponter. – Co się stało?

– Jock stworzył broń biologiczną. To wirus, który ustala, czy żywiciel jest neandertalczykiem. Jeśli tak, wywołuje u niego gorączkę krwotoczną.

Usłyszała ciche piski Kompanów Pontera i Adikora. Nic dziwnego, temat chorób tropikalnych jak dotąd nie pojawił się w rozmowach.

– Gorączki krwotoczne są śmiertelne – wyjaśniła. – Najbardziej znaną u nas odmianą jest ebola. Powoduje krwawienie z naturalnych jam ciała. To bardzo zakaźne choroby i nie znamy na nie lekarstwa.

– Po co ktoś miałby tworzyć coś takiego? – spytał Ponter z odrazą.

– Żeby oczyścić wasz świat z jego mieszkańców, tak aby mój gatunek mógł zająć waszą wersję Ziemi dla siebie... i zamienić ją w drugi dom.

Ponter najwyraźniej nie potrafił znaleźć odpowiedniego słowa w swoim języku, aby wyrazić to, co w tej chwili czuł.

– Chryste! – powiedział w końcu bez pomocy Haka.

– Zgadzam się – oznajmiła Mary. – Nie wiem, jak powstrzymać Jocka. Możliwe, że działa w pojedynkę, ale niewykluczone, że stoi za tym jego rząd, a może także i mój.

– Powiedziałaś o tym komuś jeszcze oprócz nas? – spytał Ponter.

– Louise. I poprosiłam ją, żeby skontaktowała się z Reubenem Montego.

– Jesteś pewna, że można im ufać? – chciał wiedzieć Adikor.

– Tym Gliksinom powierzyłbym własne życie – odparł Ponter, zanim Mary zdążyła odpowiedzieć.

Przytaknęła.

– Na nich możemy liczyć. Ale z pozostałymi nic nie wiadomo.

– Z pozostałymi z t e g o świata – zauważył Ponter. – Ale jeśli Jock uwolni swojego wirusa, każdy na m o i m świecie będzie zagrożony. Dlatego powinniśmy tam wrócić i...

– I co? – spytała Mary.

Ponter niepewnie wzruszył ramionami.

– I zamknąć portal. Zerwać łącze. Ochronić nasz dom.

– Po tej stronie portalu jest jeszcze tuzin Barastów – stwierdziła.

– W takim razie najpierw musimy dopilnować, aby trafili do domu – powiedział.

– Ale przecież przybyli tu właśnie po to, aby Najwyższa Rada Siwych nie zamknęła portalu – wtrącił Adikor. – Nie będzie łatwo przekonać ich do powrotu, a poza tym nie wiadomo, kiedy będziemy mogli zabrać Lonwisa.

Ponter zmarszczył brew.

– Nie możemy pozwolić, aby Jock przeniósł wirusa na nasz świat.

– Może źle odczytaliśmy jego intencje – zauważył Adikor. – Może nie podoba mu się to, że Baraści są tutaj, na tej Ziemi. Może planuje wypuścić wirusa właśnie tu.

– W takim razie pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, jest sprowadzenie wszystkich Barastów z powrotem na naszą stronę. Ale pamiętacie, jak mówił, że jest informowany o wszystkich przyjazdach i wyjazdach neandertalczyków? Prościej byłoby, gdyby zwyczajnie odszukał tych kilkoro Barastów obecnych na jego świecie i zabił ich bardziej konwencjonalnymi metodami.

Adikor głęboko wciągnął powietrze.

– Chyba masz rację – przyznał, spoglądając najpierw na Mary, a potem na Pontera. – Kiedy za pierwszym razem wróciłeś z tego świata, spytałem cię, czy Gliksini są dobrymi ludźmi i czy według ciebie powinniśmy próbować ponownie nawiązać z nimi kontakt.

Ponter pokiwał głową.

– Wiem. To moja wina. To...

– Nie – zaprotestowała Mary. Jeśli nauczyła się czegoś z broszur, które dostała od Keishy, to tego, że nie wolno obarczać winą ofiary. – Nie. To nie twoja wina, Ponterze.

– Dobrze, że tak uważasz – powiedział Ponter. – Co według ciebie powinniśmy zrobić?

– Dziś wieczorem, kiedy Jock wyjdzie z pracy, zamierzam włamać się do jego komputera i tak zmienić formułę, aby stała się nieszkodliwa. Módlmy się tylko, aby do tego czasu nie wyprodukował samego wirusa.

– Mare... – odezwał się cicho Ponter.

– Wiem, wiem. Wy się nie modlicie. Może jednak powinniście zacząć.

ROZDZIAŁ 37



Kto by pomyślał, że i jeden, i drugi cel dla Marsa uda się spełnić? Oczywiście teraz już wiemy, że to możliwe. Wybierzemy się na Czerwoną Planetę tego świata – tę, która ozdabia nocne niebo nad Amerykami, Afryką, Europą, Azją, Australią i Oceanią. I swoim dawnym zwyczajem, zdobędziemy tę nową granicę i stworzymy tam nowy dom dla Homo sapiens...

Kiedy wrócili do siedziby firmy, czekał tam na nich Jock. Mary miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi.

– Adikorze, Ponterze, obawiam się, że będziecie musieli nas opuścić – powiedział Krieger.

– Dlaczego? – spytał Adikor.

– Dzwonili ze szpitala. Stan Lonwisa uległ pogorszeniu i nie wiedzą, co robić. Zostanie niezwłocznie przetransportowany na neandertalski świat i tam poddany dalszemu leczeniu. Już zorganizowałem samolot Sił Powietrznych USA, który zabierze go do Sudbury, ale on prosi was obu, abyście mu towarzyszyli. Mówi... wybaczenie, panowie, ale mówi, że zostało mu już niewiele czasu, dlatego chciałby przedyskutować z wami swoje pomysły związane z kwantowym komputerem.

Ponter spojrział na Mary. Uniosła brwi. Żałowała, że nie ma innego wyjścia.

– Zawiozę was na lotnisko – zaproponowała.

– Mam do was jeszcze jedno pytanie, zanim wyjedziecie – wtrącił Jock.

– Tak? – odezwał się Ponter.

– Kiedy jest to wasze... jak wy je nazywacie? ... „Dwoje staje się Jednym”? Kiedy to teraz będzie?

– Za trzy dni – odparł Adikor. – Dlaczego pytasz?

– Och, właściwie bez powodu. Po prostu byłem ciekawy.

Kodoner wciąż tkwił w sejfie Jocka. Psiakrew! Mary bardzo chciała zabrać urządzenie ze sobą, ale nie mogła. Planowała uciec razem z Louise do Kanady. O ile jednak sejf był nie do zdobycia, to do plików w komputerze Jocka mogły dotrzeć. Louise bez trudu poradziła sobie z hasłem – okazało się, że jest nim słowo „minimax”. Mary pamiętała, że ma to coś wspólnego z teorią gier. Kiedy wszyscy wyszli wieczorem do domów, wśliznęła się z powrotem do gabinetu Kriegera, a Lou poszła do swojego laboratorium.

Mary wstukała „minimax” w pole hasła i uzyskała dostęp do ukrytych plików na serwerze Synergii. Następnie kliknęła ikonę Surfari i otworzyła program USAMRIID Geneplex, wyświetlając formułę wirusa. Po chwili zabrała się za wprowadzanie zmian.

Było to niezwykle doświadczenie. Pomimo naukowego wykształcenia i na przekór wszystkiemu, czego dowiedziała się od Vissan, w głębi duszy Mary wciąż chciała widzieć w życiu jakiś element mistyki, wierzyć, że jest ono czymś więcej niż tylko wynikiem procesów biochemicznych. Ale oczywiście jako genetyczka znała prawdę. Wystarczyło stworzyć odpowiednią sekwencję nukleotydów, aby otrzymać białka pełniące ściśle określone funkcje. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie robiła. Tak jak kiedyś nie potrafiła zrozumieć, jak Colm potrafi stworzyć coś z niczego. W wolnym czasie pisał poezję i sprzedawał – w poetyckim sensie tego słowa, co w rzeczywistości oznaczało, że wymieniał je na egzemplarze publikacji – dziesiątki wierszy do pism takich jak „The Malahat Review” „White Wall

Review” i „HazMat”. Zawsze zdumiewało ją to, że potrafił usiąść przy komputerze i stukając w klawisze wyczarować w WordStar – czy on w ogóle zamierzał się kiedyś przerzucić na bardziej nowoczesne programy? – coś pięknego i wyjątkowego.

Ona w tej chwili robiła to samo: określała sekwencje DNA, które ostatecznie miały się stać konkretną formą życia, jaka wcześniej nie istniała – w tym przypadku był to wirus. Oczywiście tylko modyfikowała zapisany w Surfaris szablon, stworzony przez innego genetyka, ale i tak wirus, który miał z tego powstać, byłby czymś zupełnie nowym.

Tylko że ten nie mógł nikomu zaszkodzić. Pierwotna formuła sprawiała, że nie atakował tylko wtedy, gdy trafiał do komórek Gliksina, natomiast uaktywniał się u Barasta. Tymczasem nowa wersja miała nie działać niezależnie od tego, do jakiego organizmu trafiła. Mary zmieniała jedynie drzewo logiczne. Pozostawiła nietknięty kod, który determinował gorączkę krwotoczną, nie po to, aby się przekonać, czy wirus mimo wszystko się uaktywni, ale raczej po to, aby przy pobieżnym sprawdzaniu formuły jej sekwencja wyglądała tak jak ta, którą Jock chciał wprowadzić do kodonera.

Potrzebowała jeszcze tylko nazwy, aby w myślach odróżnić swoją wersję od wersji Jocka. Zmarszczyła czoło, szukając odpowiedniego określenia. Oryginał Kriegera został nazwany „Surfaris”. Takiego słowa nie miał w bazie nawet internetowy słownik Oxford English Dictionary. Przyszło jej do głowy, że być może jest to liczba mnoga, więc próbowała zgadnąć, jak może brzmieć liczba pojedyncza. „Surfari”?

Trafiła. Było to połączenie słów „surfing” i „safari”, a oznaczało poszukiwanie przez surferów odpowiedniej fali. Nie widziała żadnego związku z wirusem, więc wpisała słowo w formie użytej przez Jocka w okienko Google.

No jasne!

Surfaris. Zespół rockowy, który w 1963 roku nagrał utwór wielokrotnie nadawany przez stacje radiowe przypominające stare przeboje: *Wipeout*. [W języku angielskim oznacza to „starcie z powierzchni ziemi, wymazanie”.]

„Dobry Boże” – pomyślała. – „Wipeout”.

Pokręciła głową z odrazą.

Jakie jest tego przeciwieństwo?

Jako trzydziestodziewięciolatka, Mary była dość „młoda”, aby pamiętać – ledwo, ledwo – szczyt popularności płyt winylowych. Utwór *Wipeout* też pewnie ukazał się w takim formacie. Co było na drugiej stronie singla? Na szczęście z pomocą przyszło jej Google: *Surfer Joe* Rona Wilsona. Nie miała pojęcia, czy w ogóle słyszała kiedyś tę piosenkę, ale taki był często los utworów ze strony B.

Uznała, że to dobra nazwa. Postanowiła nazywać oryginalną wersję Jocka *Wipeoutem*, a swoją, zmodyfikowaną wersję *Surferem Joe*. Oczywiście zapisała zmiany pod tą samą nazwą pliku, jakiej użył genetyk, który pomógł Jockowi stworzyć pierwotną formułę, ale przynajmniej mogła odróżniać oba wirusy w myślach.

Odchyliła się na oparcie fotela.

Rzeczywiście czuła się trochę tak, jakby bawiła się w Boga.

I musiała przyznać, że to przyjemne uczucie.

Uśmiechnęła się do siebie, zastanawiając się, jak neandertalczyki nazywają podobnie megalomańskie myśli. Na pewno nie „zabawą w Boga”. Może więc „udawaniem Lonwisa”...

– Mary!

Serce podskoczyło jej do gardła. Sądziła, że jest sama. Podniosła głowę i...

Boże, tylko nie to!

W drzwiach gabinetu stał Cornelius Ruskin.

– Co tutaj robisz? – spytała drżącym głosem. Z biurka chwyciła ciężki malachitowy przycisk do papierów.

Podniósł dłoń. Trzymał w niej portfel z brązowej skóry.

– Zostawiłem go na biurku. Musiałem po niego wrócić.

Nagle Mary wszystko zrozumiała. Drugi genetyk, który pomógł Jockowi w stworzeniu formuły tego, . . . tego paskudztwa... To był Cornelius. Na pewno.

– Co robisz w gabinecie Jocka? – zdziwił się Ruskin.

Ze swego miejsca nie widział monitora.

– Nic takiego. Szukałam jednej książki.

– Mary – zaczął Cornelius – ja...

– Masz już swój portfel, więc idź.

– Mary, ja tylko chciałem...

Poczuła mdłości.

– Na górze jest Louise. Zaraz zacznę krzyczeć.

Cornelius nie ruszył się od drzwi. Miał zmęczoną twarz.

– Chciałem tylko powiedzieć ci, że jest mi przykro...

– Wynoś się! Wynoś się stąd natychmiast!

Przez moment się wahał, ale w końcu obrócił się i wyszedł. Usłyszała odgłos oddalających się korytarzem kroków, a potem dźwięk otwieranych i zamykanych ciężkich drzwi frontowych.

Miała zamglony wzrok i było jej niedobrze. Odetchnęła głęboko raz, potem drugi, próbując się uspokoić. Spotniały jej dłonie, a w ustach pojawił się kwaśny smak. Niech go cholera, niech go cholera, niech go cholera...

W myślach znowu przeżywała gwałt. Po raz pierwszy od wielu tygodni przypomniała sobie wszystko tak wyraźnie. Przez otwory w kominiarce

patrzyły na nią chłodne, niebieskie oczy Ruskina, jego oddech śmierdział papierosami, jego ręka przyciskała ją do ściany.

Niech diabli wezmą Ruskina.

I Kriegera.

Niech ich obu piekło pochłonie.

Niech pochłonie wszystkich mężczyzn.

Tylko mężczyźni mogli stworzyć coś takiego jak wirus Wipeout. Tylko mężczyzn było stać na tak odrażający, tak ohydny czyn.

Prychnęła. Nie potrafiła nawet znaleźć odpowiedniego określenia takiego zła. Słowo „podły” bardzo spowszedniało, a słysząc „koszmarny” zawsze w myślach dopowiadała sobie „sen”, tak jakby zło mogło istnieć tylko w nierzeczywistości.

A przecież zawsze kojarzyło jej się z realnym światem – światem Czyngischana, Adolfa Hitlera, Pol Pota, Paula Bernardo i Osamy Bin Ladena.

I Jocka Kriegera.

I Corneliusa Ruskina.

Ze światem mężczyzn.

Nie, nie wszystkich mężczyzn. Mężczyzn określonego gatunku. Mężczyzn *Homo sapiens*.

Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. Nie wszyscy mężczyźni byli źli. Przecież wiedziała. Jej tato był inny, i jej bracia, i Reuben Montego, i ojcowie Caldicott oraz Belfontaine.

I Phil Donahue, i Pierre Trudeau, i Ralph Nader, i Bill Cosby.

I Dalajlama, i Mahatma Gandhi, i Martin Luther King.

To byli mężczyźni umiejący współczuć, godni podziwu. Tak, tacy też istnieli. Mary nie miała pojęcia, jak na poziomie genetycznym odróżnić tych wspaniałych od tych złych, wizjonerów od psychopatów. Istniał jednak

jeden genetyczny marker męskiej przemocy: chromosom Y. Oczywiście nie każdy, kto go posiadał, był złym mężczyzną. Prawdę mówiąc większość nie była zła. No, ale każdy zły mężczyzna z definicji musiał posiadać chromosom Y – najkrótszy ze wszystkich chromosomów *Homo sapiens*, a jednocześnie mający największy wpływ na psychikę.

Na historię.

Na bezpieczeństwo kobiet i dzieci.

Cornelius Ruskin miał ten chromosom.

Tak jak Jock Krieger.

Y.

Niewiadoma?

Nie. Nie, tego już było za wiele. Za bardzo pachniało to zabawą w Boga.

Owszem, potrafiłaby to zrobić. Tylko że nigdy nie śmiałyby wypuścić takiego paskudztwa tutaj, na tym świecie. Nie była morderczynią – przynajmniej co do tej części osobistego kodeksu etyki Mary nie miała wątpliwości. Przecież stanowczo się sprzeciwiła, gdy Ponter chciał zabić Corneliusa Ruskina, mężczyznę, którego nienawidziła najbardziej na świecie.

Uważała też, że – wbrew sugestiom Adikora – Jock Krieger wcale nie planuje uwolnić wirusa Wipeout na swojej Ziemi. Była pewna, że wirus powstał z myślą o drugiej wersji, o świecie neandertalczyków. Miał się stać wężem w tym niezeepsutym rajskim ogrodzie.

Gdyby jednak wszystko poszło tak, jak planowała, mogła powstrzymać Jocka przed wprowadzeniem wirusa na neandertalski świat.

Miała nadzieję, że jeśli w ogóle jakiś wirus tam trafi, będzie to *jej* Surfer Joe w nieszkodliwej wersji, którą właśnie stworzyła, chociaż...

Chociaż...

Mogła dokonać bardziej radykalnych zmian i zmodyfikować pierwotną logikę działania wirusa, tak aby atakował tylko jeśli...

To było proste, bardzo proste.

Nowa wersja uaktywniałaby się jedynie w sytuacji, gdy zakażona komórka należała do gospodarza, który nie był neandertalczykiem i który posiadał chromosom Y.

Tylko i wyłącznie wtedy...

Mary zmarszczyła czoło. Poprawiony Surfer Joe.

Tak jak Marek II – nowy papież, posuwający się we wszystkim o krok dalej.

Pokręciła głową. To było szaleństwo. Grzech.

Ale czy na pewno? W ten sposób mogłaby ochronić cały świat przed mężczyznami z gatunku *Homo sapiens*. Przecież jeśli ona sama i paleoantropolodzy podzielający jej zdanie mieli rację, to właśnie mężczyźni *Homo sapiens* – łowcy i zdobywcy – a nie trudniące się zbieractwem kobiety, wybili swoich neandertalskich kuzynów co do jednego.

A teraz, posługując się technologiami dwudziestego pierwszego stulecia i sprzętem pożyczonym od samych Barastów, mężczyźni z gatunku *Homo sapiens* znowu przygotowywali się do tego, czego już raz dokonali ich przodkowie.

Mary spojrzała na ekran komputera Jocka.

To by było banalnie proste. Drzewo logiczne już przecież istniało. Wystarczyło wprowadzić polecenie odszukania innych sekwencji DNA oraz zmienić kierunek logiki działania.

Sprawdzenie obecności chromosomu Y było dość łatwe: wystarczyło wybrać z bazy danych projektu badania genomu ludzkiego gen występujący wyłącznie na tym chromosomie. Mary znalazła na biurku Jocka czystą

kartkę i długopis, po czym odręcznie zapisała ścieżkę logiczną na żółtym papierze w linie:

Etap 1. : Czy obecny jest chromosom Y?

Jeśli tak, mamy do czynienia z mężczyzną: przejść do etapu 2.

Jeśli nie, przerwać działanie (to nie jest mężczyzna).

Etap 2. : Czy gen ALFA sąsiaduje z telomerem?

Jeśli tak, przerwać działanie (to jest neandertalczyk).

Jeśli nie, prawdopodobnie jest to Gliksin; przejść do etapu 3.

Etap 3. : Czy gen BETA sąsiaduje z telomerem?

Jeśli tak, przerwać działanie (to nie powinno nigdy mieć miejsca u Gliksina).

Jeśli nie, z całą pewnością jest to Gliksin: przejść do etapu 4.

Kilkakrotnie przeczytała to, co zapisała, i nie znalazła ani jednego błędu. W żadnym miejscu logiczne działanie nie mogło się zapętlić, a poza tym były dwa kroki – a nie jeden – pozwalające z całą pewnością ustalić, że miała do czynienia z mężczyzną *Homo sapiens*, a nie *Homo neanderthalensis*.

Oczywiście było to tylko ćwiczenie – Mary wierzyła, że Jock zostanie powstrzymany, zanim zdoła uwolnić wirusa. Zmiana formuły była wyłącznie zabezpieczeniem na wypadek, gdyby wirus mimo wszystko trafił na drugą stronę.

Pokręciła głową i spojrzała na zegarek. Minęła już północ – zaczął się nowy dzień.

Powinna wracać do domu. Zdołała rozbroić wirus Kriegera. Teraz nie mógł już nikomu zaszkodzić, o ile wcześniej za pomocą kodonera nie

stworzył oryginalnej wersji Wipeouta. Surfer Joe był nieszkodliwy. Mary zrealizowała swój plan.

Tylko taki miała zamiar.

Mimo to...

Przecież nikt nie musiałby ucierpieć. Mogła rozpowszechnić na swoim świecie informację, że podróżowanie na Ziemię neandertalczyków jest dla gliksińskich mężczyzn niebezpieczne. Laserowa technologia dekontaminacji pozwoliłaby dopilnować, aby Surfer Joe nigdy nie przedostał się z powrotem przez portal. Mężczyźni z jej gatunku – większość przyzwoitych i mniejszość tych, którzy wyrządzali tak wiele zła – byłiby bezpieczni pod warunkiem, że trzymaliby się z dala od Ziemi Pontera.

Głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła.

Skrzyżowała ręce na kolanach. W serdecznym palcu lewej dłoni wciąż widniało blade wgłębienie od obrączki.

Długo rozmyślała.

W końcu rozplotła ręce.

I wybrała jedyne możliwe rozwiązanie.

ROZDZIAŁ 38



Pewnego dnia dotrzemy być może także na Dargal – bo tak właśnie nazywają Czerwoną Planetę swojego świata neandertalczyki – na karmazynowa latarnię rzucającą blask na kontynenty Durkanu, Podlar, Ranilass, Evsoy, Galasoy i Nalkanu – ale tę wersję Marsa pozostawimy taką, jaką ją zastaniemy. Zgodnie z duchem nowej ery, w którą właśnie wchodzimy, nie musimy już wybierać albo jednego, albo drugiego...

Mary Vaughan nagle się obudziła i gwałtownie usiadła na łóżku. Znajdowała się w mieszkaniu w Bristol Harbour Village.

„Kiedy jest to wasze... jak wy je nazywacie?... Dwoje staje się Jednym? Kiedy to teraz będzie?” – Jock zadał to pytanie poprzedniego dnia. Mary za bardzo przejmowała się pogarszającym się stanem Lonwisa i szybkim wyjazdem Pontera, więc nie zwróciła wtedy uwagi na słowa Kriegera. Dopiero teraz dotarło do niej, co mogły znaczyć. Dlaczego akurat to chciał wiedzieć?

Dni, podczas których Dwoje stawało się Jednym, dawały doskonałą możliwość zrealizowania planu z wirusem. Jock o wiele łatwiej mógł zakazić przynajmniej mieszkańców Saldak, mając wszystkich przedstawicieli obu płci w Centrum miasta. Poza tym w tym czasie częściej podróżowano między miastami, dzięki czemu wirus mógł się szybciej rozprzestrzenić.

Czterodniowe wakacje miały się zacząć pojutrze. To oznaczało, że Jock dopiero wtedy wprowadzi w życie swój plan; Mary musiała więc zdążyć,

zanim to się stanie.

Spojrzała na sufit, żeby sprawdzić godzinę – ale znajdowała się przecież tutaj, a nie tam, a na suficie nic nie było. Obróciła głowę w stronę budzika stojącego na nocnym stoliku. Wyświetlał czerwone cyfry 5: 04. Namacała włącznik lampki, a potem wzięła telefon i wybrała numer mieszkania Louise Benoit w Rochester.

Po sześciu dzwonek usłyszała zaspany głos.

– *Alló?*

– Louise, mówi Mary. Posłuchaj, pojutrze jest dzień, kiedy Dwoje stanie się Jednym. Jestem pewna, że właśnie wtedy Jock chce wypuścić wirusa.

Louise najwyraźniej jeszcze się nie obudziła.

– Dwoje stanie się...

– Dwoje stanie się Jednym! Tylko w tym okresie na neandertalskim świecie ludzie skupiają się w Centrach i jest spory ruch między miastami. Musimy coś zrobić.

– *D'accord* – odparła Louise zachrypniętym głosem. – *Maisquoi?*

– To, o czym wcześniej mówiłaś: zwrócimy się do mediów, zaalarmujemy dziennikarzy. Tylko że lepiej, abyśmy najpierw znalazły się w Kanadzie. Tam będziemy bezpieczniejsze. Potrzebuję pół godziny, żeby się przygotować. Mogę po ciebie przyjechać około 6: 30. Pojedziemy do Toronto samochodem.

– *Bon.* Będę gotowa.

Mary się rozłączyła, poszła do łazienki i odkręciła prysznic. Gdyby tylko wiedziała, w jaki sposób najlepiej wszcząć alarm. Wprawdzie wielokrotnie udzielała wywiadów w telewizji i w radiu, ale...

Przypomniała jej się miła producentka, którą spotkała w CBC Newsworld w 1996 roku, kiedy neandertalczyków uważano wyłącznie za wymarłych hominidów, a Mary udało się pozyskać DNA z kopalnego

okazu tego gatunku, znajdującego się w Rheinisches Landesmuseum. Prezenterzy CBC na pewno mieli zastrzeżone numery, producenci być może nie. Wróciła do sypialni, chwyciła telefon i wystukała 1-416-555-1212 – numer informacji telefonicznej w Toronto. Po chwili miała już numer, o który jej chodziło.

Minutę później usłyszała w słuchawce inny zaspany kobiecy głos.

– H-halo?

– Kerry? Czy to Kerry Johnston?

Mary miała wrażenie, że słyszy, jak kobieta po drugiej stronie przeciera oczy.

– Tak. A kto mówi?

– Mary Vaughan. Pamięta mnie pani? Jestem genetyczką z York University – specjalistką w zakresie neandertalskiego DNA.

W głębi ducha Mary żałowała, że ani Louise, ani Kerry nie zareagowały w stereotypowy sposób i nie spytały: „Masz pojęcie, która jest teraz godzina?”. Zamiast się dziwić, Kerry natychmiast oprzytomniała.

– Tak, pamiętam panią – przyznała.

– Mam dla pani świetny temat.

– Słucham.

– Niestety, nie mogę powiedzieć nic przez telefon. Jestem w tej chwili w Rochester, w stanie Nowy Jork, ale za jakieś pięć godzin będę w Toronto. Chciałabym, aby zorganizowała mi pani wejście na żywo w Newsworld...

Mary i Louise wjechały na most Queenston-Lewiston, łączący brzegi rzeki Niagara. Dokładnie pośrodku konstrukcji łopotały trzy flagi, wyznaczające punkt graniczny: pierwsza amerykańska, w paski i gwiazdy, druga błękitna, ONZ, i trzecia z kanadyjskim czerwonym liściem klonowym.

– Miło jest wrócić do domu – powiedziała Louise, kiedy je mijały.

Jak zwykle, Mary poczuła się spokojniej we własnym kraju. Przypomniał jej się stary żart o tym, że Kanada mogła mieć brytyjską kulturę, francuską kuchnię i amerykańskie know-how... ale zamiast tego skończyło się na amerykańskiej kulturze, brytyjskiej kuchni i francuskim know-how.

Mimo to cieszyła się z powrotu.

Przy zjeździe z mostu widniał szereg budek celników. Otwarte były cztery. Przy trzech czekały niewielkie kolejki samochodów osobowych, przy czwartej – dłuższy ogonek ciężarówek. Mary stanęła za ostatnim autem w środkowej kolejce. Niecierpliwie stukając dłonią w kierownicę, czekała, aż wszystkie samochody przed nimi zostaną odprawione.

W końcu przyszła kolej na nie. Mary podjechała do budki i opuściła szybę. Spodziewała się usłyszeć zwykłe na granicy pytanie: „obywatelstwo?”, ale zamiast tego celniczka zwróciła się do niej:

– Pani Mary Vaughan?

Serce Mary drgnęło nieprzyjemnie. Kiwnęła głową.

– Proszę zatrzymać się tam dalej.

– Czy-czy coś jest nie tak? – spytała Mary.

– Proszę wypełnić polecenie – odparła celniczka, po czym podniosła słuchawkę telefonu.

Mary czuła, jak zaciśnięte na kierownicy dłonie robią się wilgotne od potu. Powoli zjechała na bok.

– Skąd wiedzieli, że to ty? – zdziwiła się Louise.

Mary pokręciła głową.

– Z numerów rejestracyjnych?

– Może powinniśmy dać nogę?

– Mam na imię Mary, nie Thelma. Chryste, a jeśli to...

Z długiego budynku kontroli celnej wyszedł łysiejący celnik ze sterczącym znad paska spodni brzuchem. Machnął ręką, dając Mary znak, aby wjechała w jedno z ukośnych miejsc parkingowych. Wcześniej tylko raz zdarzyło się jej tu zatrzymać, bo musiała skorzystać z łazienki – i to tylko dlatego, że nie mogła dłużej wytrzymać. W środku budynek nie robił dobrego wrażenia.

– Pani Vaughan? Mary Vaughan? – upewnił się celnik.

– Tak?

– Czekaliśmy na panią. Moja asystentka właśnie łączy rozmowę.

Mary ze zdumienia wytrzeszczyła oczy.

– Do mnie?

– Tak. Chodzi o ważną sprawę. Proszę za mną!

Wysiadła z wozu, Louise również. Obie weszły do budynku. Grubas poprowadził je za kontuar. Podniósł telefon i odblokował linię.

– Mam tu panią Vaughan – powiedział do słuchawki, po czym podał ją Mary.

– Mówi Mary Vaughan.

– Mary! – wykrzyknął głos z jamajskim akcentem.

– Reuben! – Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Louise uśmiecha się szeroko. – Coś się stało?

– Rany, kobieto, musisz sobie kupić komórkę – oznajmił Reuben. – Wiem, że razem z Louise jedzicie do Toronto, ale myślę, że powinnyście od razu przyjechać tutaj. I to jak najszybciej.

– Dlaczego?

– Twój Jock Krieger przeszedł przez portal.

Serce Mary na moment przestało bić.

– Co? Ale jakim cudem dotarł tam tak szybko?

– Pewnie samolotem. Wy też powinniście skorzystać z szybszego środka lokomocji. Samochodem dotrzecie tu najwcześniej za sześć godzin. W St. Catherines czeka już na was Korniszonek. – Korniszonek był firmowym samolotem INCO, pomalowanym na ciemnozielony kolor. – Tylko przez przypadek dowiedziałem się, że Krieger przeszedł na drugą stronę. Zauważyłem jego nazwisko na liście ludzi wchodzących na teren kopalni, kiedy wpisywałem kogoś innego.

– I nikt go nie zatrzymał?

– A dlaczego mieliby to robić? Pytałem chłopaków z Kanadyjskich Sił Zbrojnych w obserwatorium neutrin. Mówią, że miał amerykański paszport dyplomatyczny, więc od razu go przepuścili na drugą stronę. Przefaksowałem wam do punktu kontroli granicznej mapę pokazującą, jak się dostać na lotnisko...

ROZDZIAŁ 39



Wchodzimy właśnie w nową erę. Kenozoik – w którym dotąd żyliśmy – dobiegł już kresu, a zaczyna się era nowego życia – nowozoik...

– Chodzi o nagły wypadek medyczny! – wypalił Reuben Montego. Jego ogolona głowa lśniła w surowym oświetleniu wielkiego budynku. – Musimy natychmiast zjechać na poziom 6800 stóp.

Technik obsługujący windę kiwnął głową.

– Już się robi, doktorze.

Mary wiedziała, że klatka windy czeka na nich na powierzchni, gdyż Reuben wcześniej zadzwonił tu ze swojego biura. Wszyscy troje weszli do środka, a dźwigowy zasunął ciężkie drzwi. Następnie pięć razy nacisnął dzwonek – ekspresowy zjazd bez przystanków – i winda ruszyła w dół szybem, którego długość pięciokrotnie przekraczała wysokość każdej z wież World Trade Center – póki nie zburzyła ich garstka samców *Homo sapiens*...

Wcześniej Mary, Louise i Reuben chwycili w szatni kaski i górnicze kurtki. Włożyli je już w windzie, która z hałasem sunęła w dół.

– Czy po drugiej stronie mają coś w rodzaju naszej policji? – spytał Reuben.

– Prawie wcale – odparła Mary. Musiała krzyczeć, aby pozostali słyszeli ją w tym huku. „I lepiej, żeby tak zostało” – dodała w myślach. Wolą świat bez zbrodni i przemocy.

– A zatem wszystko jest w naszych rękach? – upewnił się Reuben.

– Obawiam się, że tak.

– W takim razie może powinniśmy zabrać ze sobą kilku kanadyjskich żołnierzy? – zasugerowała Louise.

– Wciąż nie wiemy, kto za tym stoi – stwierdziła Mary. – Możliwe, że Jock działa na własną rękę, ale niewykluczone, że ma za sobą Departament Obrony Narodowej i Pentagon.

Louise zerknęła na Reubena. Przyciągnął ją do siebie. Mary pomyślała, że jeśli boją się choć w połowie tak jak ona, to nic dziwnego, że chcą się przytulić. Przesunęła się w odległy kąt zabłoconej klatki i ostentacyjnie zaczęła studiować mijane poziomy, aby pozostała dwójka miała kilka minut dla siebie.

– Mój angielski słownik wciąż jest pełen luk – odezwała się Christine prosto w implanty ślimakowe Mary. – Co oznacza „żetem”?

Mary nic takiego nie słyszała. Widocznie mikrofony Kompana były bardziej czułe.

– To nie po angielsku, to po francusku – odparła szeptem, tak by Reuben i Louise jej nie słyszeli. – *Je t'aime*. Znaczący „kocham cię”. Louise mówiła mi, że Reuben zawsze mówi jej to po francusku.

– Ach tak.

Jazda w dół trwała jeszcze przez chwilę. W końcu winda zatrzymała się gwałtownie. Reuben odsunął drzwi i ich oczom ukazał się górniczy chodnik.

– O której przeszedł na drugą stronę? – zapytała Mary kanadyjskiego oficera, kiedy w końcu dotarli na platformę przy portalu, zbudowaną w beczkowatej, wysokiej na sześć pięter komorze obserwatorium neutrin.

Żołnierz spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Kto taki?

– Jock Krieger – wyjaśniła. – Z grupy Synergia.

Blady, jasnowłosa mężczyzna sprawdził listę.

– Mam tutaj Johna Kevina Kriegera, który przeszedł przez portal mniej więcej trzy godziny temu.

– To on – stwierdziła Mary. – Miał coś ze sobą?

– Proszę mi wybaczyć, doktor Vaughan, ale nie jestem upoważniony do wyjawiania...

Reuben zrobił krok do przodu i podał mężczyźnie swój identyfikator.

– Nazywam się Montego, jestem lekarzem w tej kopalni. Tu chodzi o nagły wypadek medyczny. Krieger może być nosicielem groźnego wirusa.

– Muszę powiadomić zwierzchnika – oznajmił żołnierz.

– Proszę to zrobić! – wypalił Reuben. – Ale najpierw chcielibyśmy usłyszeć, co miał ze sobą.

Mężczyzna zmarszczył brwi, zastanawiając się.

– Taką niewielką walizkę na kółkach – odparł w końcu.

– Coś jeszcze?

– Tak, metalową skrzynkę wielkości mniej więcej pudełka od butów.

Reuben spojrzał na Mary.

– Cholera.

– Czy pudełko poddano procesowi dekontaminacji? – spytała Louise.

– Oczywiście – odparł żołnierz obronnym tonem. – Wszystko, co przechodzi na drugą stronę, musi zostać odkażone.

– To dobrze – stwierdziła Mary. – Proszę nas teraz przepuścić.

– Państwa dokumenty?

Mary i Louise plasnęły paszportami o stół.

– Teraz możemy już przejść? – spytała Mary.

– A pan? – Żołnierz wskazał Reubena.

– Daj spokój, człowieku, przecież przed chwilą pokazałem ci identyfikator INCO. Nie mam przy sobie paszportu.

– Nie wolno mi...

– Och, na litość boską! – zachnęła się Mary. – Tu chodzi o nagły przypadek!

Żołnierz kiwnął głową.

– W porządku – powiedział w końcu. – Możecie przejść.

Mary pierwsza ruszyła biegiem do tunelu Derkersa. Nie zatrzymując się, wbiegła do środka i...

Niebieski ogień.

Elektryczność statyczna.

Inny świat.

Za sobą słyszała odgłosy kroków dwóch osób, więc nie oglądała się, aby sprawdzić, czy Louise i Reuben idą jej śladem. Wypadła z tunelu. Krępy neandertalski technik podniósł głowę zdziwiony. Pewnie nikt dotąd nie wypadł z portalu biegiem.

Mary znała go z widzenia. On też najwyraźniej ją rozpoznał, ale ku jej zdumieniu próbował zablokować drogę Reubenowi, który pojawił się tuż za nią.

Po chwili zrozumiała dlaczego: neandertalczyk chciał zatrzymać Louise i Reubena, sądząc, że ją gonią.

– Nie! – zawołała. – Nie, oni są ze mną! Przepuść ich!

Ponieważ krzyczała, Christine musiała zaczekać, aż dokończy, i dopiero wtedy mogła przełożyć słowa, emitując tłumaczenie przez zewnętrzny głośnik – który wprawdzie miał niezłą moc, ale w żadnym wypadku nie mógł się równać z krzykiem człowieka. Mary wsłuchiwała się w neandertalskie słowa płynące z jej przedramienia: *Rak! Ta suparb wolant, rak! Derpant helk!*

Mniej więcej w połowie tłumaczenia neandertalski technik próbował się zatrzymać, ale pośliznął się na gładkiej, granitowej podłodze komory komputera i wpadł na Reubena, podcinając go. Louise przewróciła się przez niego i wylądowała na plecach.

Mary pomogła jej wstać. Reuben też już się podnosił.

– *Lupa!* – krzyknął neandertalczyk. „Przepraszam!”.

Mary weszła po kilku stopniach do sterowni, minęła jeszcze jednego zdumionego Barasta, po czym ruszyła w stronę szybu łączącego laboratorium komputerowe z resztą kopalni niklu.

– Zaczekaj! – zawołał drugi neandertalczyk. – Musisz przejść dekontaminację!

– Nie ma na to czasu! – odkrzyknęła. – Chodzi o nagły wypadek...

– Nie, Mary – przerwał jej Reuben. – On ma rację. Pamiętasz, jak ciężko zachorował Ponter, kiedy po raz pierwszy trafił na naszą stronę? Próbujemy zapobiec epidemii, a nie ją wywołać.

Zaklęła pod nosem.

– No dobrze – powiedziała. Spojrzała na ciemnoskórego Kanadyjczyka jamajskiego pochodzenia i na jasną mieszkankę Quebecu o długich, ciemnych włosach. Oni na pewno wielokrotnie widzieli siebie nago. Żadne jednak nie widziało w takiej sytuacji Mary. – Rozbierajcie się – nakazała. – Zdejmujcie wszystko, także zegarki i biżuterię.

Louise i Reuben byli przyzwyczajeni do procedur dekontaminacji, które obowiązywały w obserwatorium neutrin, zanim Ponter swoim przybyciem zniszczył detektor. Mimo to obydwójce wahali się przez moment. Mary zaczęła rozpinać bluzkę.

– Pospieszcie się – ponagliła ich. – Nie mamy czasu do stracenia.

Zaczęli się rozbierać.

– Ubrania zostawcie tutaj – poleciła Mary, wrzucając majtki do okrągłego kosza. – Z następnego pomieszczenia weźmiemy sobie neandertalskie stroje.

Zupełnie naga weszła do cylindrycznej komory dekontaminacyjnej. Zaprojektowano ją tak, aby swobodnie mieściła jednego dorosłego neandertalczyka. Mary jednak uparła się, żeby wszyscy troje weszli tam jednocześnie. Chciała w ten sposób zaoszczędzić na czasie. Zdenerwowana, nawet nie czuła wstydu, gdy pupa Louise dotknęła jej pośladków, ani gdy twarz Reubena, który stał przodem do Mary, znalazła się nad jej biustem.

Pociągnęła za gałkę kontrolną. Podłoga zaczęła się powoli obracać i włączyły się lasery. Mary zdążyła już się przyzwyczaić do tej procedury, ale usłyszała stłumiony okrzyk Louise, która z podziwem przyglądała się niezwykłym emiterom laserowym, z cichym buczeniem budzącym się do życia.

– Wszystko w porządku – powiedziała, próbując ignorować tę część swego mózgu, która kalkulowała dokładnie, jaki procent ciała Reubena dotyka jej skóry. – To zupełnie bezpieczna technologia. Lasery wiedzą, jakie białka powinny się znajdować w organizmie człowieka – włączając w to florę bakteryjną jelit i tak dalej – dlatego przechodzą przez nie, nie uszkadzając ich. Rozbijają za to obce białka, unicestwiając wszystkie patogeny.

Louise nieznacznie drgnęła, ale w jej głosie brzmiała fascynacja.

– Jakie lasery to potrafią?

– Kwantowe lasery kaskadowe – wyjaśniła Mary, powtarzając to, co wcześniej słyszała od Pontera. – Mają zakres biliona cykli na takt.

– Przystrajalne lasery terahercowe! – wykrzyknęła Louise. – No tak, oczywiście. Coś takiego rzeczywiście potrafi selektywnie oddziaływać na duże molekuly. Jak długo trwa cały proces?

– Około trzech minut.

– Mary – odezwał się Reuben – powinnaś pójść do specjalisty, żeby obejrzał dokładniej ten pieprzyk na twoim lewym ramieniu...

– Co takiego? – zdziwiła się. – Chryste, Reuben, ale sobie wybrałaś porę – zaczęła, ale umilkła, uświadamiając sobie, że lekarz robi dokładnie to samo co Louise: stara się myśleć wyłącznie o sprawach zawodowych. W końcu przecież stał zupełnie nagi w jednej kabinie z dwiema kobietami, z których jedna była jego kochanką, a druga jej przyjaciółką. I na pewno nie chciał – podobnie jak Mary – w myślach układać listu do magazynu „Penthouse”. – Wybiorę się do dermatologa – powiedziała przyjaźniejszym tonem, po czym wzruszyła ramionami na tyle, na ile pozwalała jej ciasnota w kabinie. – Przeklęta warstwa ozonowa...

Po chwili nieznacznie obróciła głowę.

– Louise, nad drzwiami przed tobą powinna znajdować się lampka. Widzisz ją?

– Tak. O, świeci się na zielono! Doskonale. – Louise ruszyła się tak, jakby zamierzała wyjść z kabiny.

– Stój! – gwałtownie powstrzymała ją Mary. – Zielony kolor u neandertalczyków oznacza „stop!”. Zielone mięso to zepsute mięso. Kiedy światło zmieni się na czerwone, będzie to znaczyło, że możemy wyjść. Daj nam tylko znać.

Louise przytaknęła. Mary poczuła, jak głowa przyjaciółki pochyla się i ponownie się prostuje. Może błędem było zabieranie ze sobą dwóch osób, które nie miały pojęcia, jak wygląda neandertalski świat. Przecież mogło się okazać...

– Czerwone! – oznajmiła Louise. – Światło zmieniło się na czerwone!

– W porządku. Teraz otwórz drzwi. Klamka przypomina rozgwiadę. Widzisz ją? Przesuwa się do góry.

Poczuła, jak Louise mocuje się z drzwiami, i po chwili nikt już nie wciskał się w jej plecy, bo Lou wyszła z kabiny. Mary cofnęła się o krok, obróciła się i szybko opuściła dekontaminator.

– Tędy! – zawołała.

Weszli do pomieszczenia, w którego ścianach znajdowały się szczęsne skrytki z neandertalskimi ubraniami.

– Te powinny pasować na ciebie, Reuben. – Mary wskazała jeden z kompletów. – A te na ciebie. – Pokazała Louise inny.

Sama szybko włożyła barastowy strój, ale Louise i Reubenowi ubieranie się nie szło tak sprawnie. Mary wyjaśniła lekarzowi, co ma robić, i pochyliła się, żeby pomóc Louise, która nie potrafiła założyć neandertalskich pokrowców na stopy, połączonych ze spodniami. W końcu zawiązała mocowania w podbiciu i w kostce.

Potem spieszenie skierowali się do tunelu. Mary miała nadzieję, że znajdą tam jakiś pojazd, ale jeśli wcześniej tu czekał, to zabrał go Jock.

„Trzykilometrowa przebieżka” – pomyślała. Chryste, nie podejmowała takiego wysiłku, odkąd skończyła studia, a nawet wtedy była kiepska z WF-u. Na szczęście czuła przyływ adrenaliny, która buzowała w niej tak, jakby za chwilę miał się skończyć świat – co oczywiście groziło Barastom. Ruszyła biegiem po drewnianych deskach, którymi wyłożono chodnik w tunelu.

W porównaniu ze stroną Gliksinów, tutaj było znacznie mniej światła. Neandertalczycy używali w górnictwie robotów, które nie potrzebowały silnego oświetlenia. W zasadzie im samym też nie było ono potrzebne. Dzięki znakomitemu węchowi potrafili doskonale orientować się w tym, co działo się wokół nich.

– Jak... długi... jest... ten... tunel? – zawołała biegnąca z tyłu Louise.

Pomimo krytycznej sytuacji Mary poczuła ulgę, że młodsza koleżanka już ma zadyszkę.

– Trzy tysiące metrów! – odkrzyknęła w odpowiedzi.

Nagle coś przecięło jej drogę. Gdyby jej serce już nie waliło jak szalone, pewnie w tym momencie by zaczęło. Na szczęście był to tylko robot górniczy. Ostrzegła Reubena i Louise, aby się nie przestraszyli, po czym krzyknęła do robota:

– Stój! Wracaj tutaj!

Christine posłusznie przetłumaczyła i chwilę później robot ponownie pojawił się w półmroku. Tym razem Mary dobrze mu się przyjrzała. Było to niskie, płaskie, sześciopiętne urządzenie. Przypominało dwumetrowej długości kraba ze stożkowatymi wiertnicami i półkolistymi łopatkami sterującymi do przodu na ruchomych ramionach. Maszyna służyła do transportu rud. Musiała mieć wystarczającą moc.

– Zdołasz udźwignąć nas troje?

Christine przetłumaczyła jej pytanie. W pancerzu robota błysnęło czerwone światło.

– Ten model nie posiada funkcji mowy – wyjaśniła Christine – ale odpowiedź brzmi „tak”.

Mary wspięła się na srebrną skorupę robota, uderzając się przy tym boleśnie w prawą goleń. Obejrzała się na Reubena i Louise, którzy stali obok.

– Wszyscy na pokład! – zakomenderowała.

Pozostała dwójka wymieniła zdziwione spojrzenia, ale po chwili oboje wdrapali się na grzbiet robota. Mary plasnęła w bok maszyny.

– Wio!

Jej Kompan prawdopodobnie nie znał tego słowa, ale na pewno zrozumiał jej intencje i przekazał polecenie robotowi. Wszystkie sześć nóg

ugięło się jednocześnie, tak jakby maszyna badała, z jakim ciężarem ma do czynienia, po czym ruszyła w kierunku, w jakim poprzednio zmierzało troje Gliksinów. Poruszała się na tyle szybko, że Mary poczuła na twarzy powiew gorącego powietrza. W różnych punktach tunelu natykali się na błotniste kałuże i za każdym razem, gdy jedna z nóg robota uderzała w wodę, na pasażerów pryskała brudna ciecz.

– Trzymajcie się mocno! – wołała raz po raz Mary, choć przypuszczała, że Reuben i Louise nie potrzebują do tego jej zachęty. Sama parę razy miała wrażenie, że za chwilę zleci z maszyny a jej pęcherz gwałtownie protestował przeciwko takiej podróży.

Po drodze minęli innego robota – patykowaty, słupkowy model, który z wyglądu przypominał Mary modliszkę – a sześćset metrów dalej przemknęli obok dwóch neandertalskich mężczyzn, zmierzających w przeciwną stronę. Obaj zdążyli uskoczyć w bok, ustępując z drogi rozpędzonej maszynie.

W końcu dotarli do windy. Dzięki Bogu, napotkani neandertalczykcy moment wcześniej zjechali na ten poziom, więc dźwig nadal czekał na dole. Mary zlazła z mechanicznego kraba i popędziła do kabiny. Louise i Reuben pobiegli w ślad za nią i po chwili wszyscy troje znaleźli się w cylindrycznej windzie. Mary nastąpiła na przycisk w podłodze i dźwig ruszył w górę.

Dopiero teraz mogła sprawdzić, jak radzi sobie pozostała dwójka. W lucyferynowym świetle kabiny wszystko wydawało się zielonkawe. Choć raz Louise nie wyglądała jak modelka. Po twarzy płynął jej pot, włosy miała matowe od błota, a jej neandertalski strój był ubrudzony ziemią i czymś jeszcze. Dopiero po chwili Mary domyśliła się, że musi to być smar albo inna podobna substancja, którą konserwowano robota.

Reuben prezentował się jeszcze gorzej. Robot podskakiwał w biegu i w którymś momencie lekarz musiał zahaczyć głową o sufit tunelu. W

ogolonej skórze widniało paskudne rozcięcie, które ostrożnie badał palcami, krzywiąc się przy tym.

– Mamy kilka minut, zanim winda dotrze na powierzchnię – oznajmiła Mary. – Będzie tam na nas czekał strażnik, a może nawet dwóch. Nie pozwolą wam opuścić kopalni bez tymczasowych Kompanów. Pozwólcie im na to. Więcej czasu zabierze przekonanie ich, że chodzi o nagły wypadek. Poza tym dzięki Kompanom będziemy mogli komunikować się między sobą oraz, w razie potrzeby, kontaktować się z neandertalczykami. Wszystkie takie urządzenia tu, w kopalni, mają moduł translacji.

Mary oczywiście wiedziała, że winda łagodnie obraca się wokół własnej osi, ale wątpiła, czy Louise i Reuben zdają sobie z tego sprawę. Podniosła rękę i powiedziała wprost do Kompana w przedramieniu:

– Masz już łączność z planetarną siecią informacyjną, Christine?

– Nie – usłyszała odpowiedź przez implanty ślimakowe. – Prawdopodobnie zdołam się z nią połączyć dopiero, gdy znajdziemy się blisko powierzchni, ale będę próbowała... chwileczkę, chwileczkę. Tak, już mam łączność. Jestem z powrotem w sieci.

– Świetnie! Połącz mnie z Ponterem.

– Już to robię – poinformował implant. – Na razie brak odpowiedzi.

– Ponterze, odezwij się – niecierpliwiła się Mary. – No, czekam...

– Mare! – usłyszała głos Pontera imitowany przez Christine. – Co robisz po naszej stronie? Dwoje stanie się Jednym dopiero pojutrze i...

– Ponterze, ciii! – uciszyła go. – Jock Krieger przeszedł przez portal. Musimy go odnaleźć i powstrzymać.

– Powinien mieć tymczasowego Kompana. Śledziłem na Podglądaczu debatę Najwyższej Rady Siwych po tym, jak wpuszczono na nasz świat Gliksinów bez tych urządzeń. Więcej na to nie pozwolą, wierz mi.

Mary pokręciła głową.

– On nie jest głupi. Na pewno można spróbować triangulacyjnie ustalić, gdzie się znajduje, ale założę się, że zdołał się pozbyć Kompana.

– Niemożliwe. Takie działanie uruchomiłoby wiele alarmów. Poza tym nie może przecież wędrować sobie sam. Na pewno jest z Bedrosem lub z innym przedstawicielem Rady. Powinniśmy bez trudu ustalić, gdzie się znajduje. A gdzie ty jesteś?

Winda właśnie się zatrzymała i Mary gestem nakazała Reubenowi i Louise, aby wyszli z kabiny.

– Właśnie dotarliśmy do pomieszczenia nad kopalnią Debral. Są ze mną Louise i Reuben.

– Ja jestem w domu. Hak, wezwij sześciany podróżne dla Mare i dla mnie i skontaktuj się z arbitrem. – Mary usłyszała, jak Hak potwierdza przyjęcie polecenia. – Domyślasz się może, dokąd udał się Krieger? – spytał Ponter.

– Jeszcze nie – przyznała – ale przypuszczam, że planuje uwolnić wirusa w Centrum, kiedy Dwoje będzie Jednym.

– To ma sens – stwierdził Ponter. – Wtedy zagęszczenie ludności jest największe. Poza tym sporo osób podróżuje między miastami, więc...

Hak przerwał, mówiąc coś do Pontera. Jego słowa pozostały nieprzetłumaczone.

– Mare – odezwał się Ponter po chwili – Hak skontaktował się w moim imieniu z arbitrem. Kiedy przybędzie po was sześcian, skierujcie się do pawilonu archiwum alibi w Centrum. Tam się spotkamy.

Neandertalski strażnik właśnie zakładał tymczasowego Kompana na lewe przedramię Reubena. Po chwili podszedł do Louise i również na jej rękę zapiął urządzenie. Mary podniosła ramię, pokazując, że ma stały implant.

– W porządku – powiedziała do dwójki swoich towarzyszy. – Weźcie sobie jakieś kurtki i ruszajmy!

Od ostatniego pobytu Mary na tej Ziemi spadł śnieg. Biała pierzyna lśniła niemiłosiernie.

– Arbiter właśnie kontaktuje się z dwoma innymi – poinformował Ponter, który ponownie połączył się z Mary. – Wspólnie wydadzą nakaz monitorowania transmisji Kompana Jocka. Potem będą mogli triangulacyjnie ustalić, gdzie się znajduje.

– Chryste. – Mary przesłoniła dłonią oczy i spojrzała w dal, sprawdzając, czy nie zbliża się sześcian podróżny. – Ile czasu im to zabierze?

– Mam nadzieję, że niewiele – odparł Ponter.

– No dobrze. W takim razie odezwę się do ciebie później. Christine, połącz mnie z Bandrą.

– Zdrowego dnia – usłyszała po chwili głos Bandry.

– Bandro, skarbie, to ja, Mary.

– Mare, kochana! Spodziewałam się ciebie dopiero pojutrze. Tak się denerwuję, że Dwoje znowu stanie się Jednym. Jeśli Harb...

– Bandro, musisz opuścić Centrum. Nie pytaj mnie dlaczego, po prostu zrób, o co proszę.

– Czy Harb...

– To nie ma nic wspólnego z Harbem. Wezwij sześcian podróżny i wybierz się gdziekolwiek, byle jak najdalej od Centrum.

– Nie rozumiem. Czy...

– Zrób to! – powiedziała stanowczo Mary. – Zaufaj mi.

– Oczywiście, ja...

– I jeszcze jedno, Bandro – przerwała jej Mary. Zerknęła na Louise i Reubena, a potem pomyślała, że do diabła z tym. – Powinnam wcześniej ci to powiedzieć. Kocham cię.

W głosie Bandry zabrzmiała radość.

– Ja też cię kocham, Mare. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu będziemy razem.

– Muszę już kończyć. Lepiej się zbieraj i jak najszybciej opuść Centrum!

Mary spojrzała zaczepnie na Louise, która miała minę, jakby chciała powiedzieć „O co tu chodzi?” Ale zaraz potem Lou pokazała coś w oddali. Mary się odwróciła. Zbliżał się do nich sześcian podróżny. Leciał przez otwartą przestrzeń tuż nad białą pierzyną śniegu. Wszyscy troje biegiem ruszyli w jego kierunku, jak tylko osiadł na ziemi. Mary zajęła siodłowe siedzenie obok kierowcy, rudowłosego mężczyzny z generacji 144, a potem obejrzała się na Reubena i Louise, którzy wsiedli za nią i niezdarnie wgramolili się na dwa siedzenia z tyłu.

– Do Centrum Saldak, najszybciej, jak to możliwe – powiedziała Mary do kierowcy. Cenne sekundy pochłonęło tłumaczenie jej słów na neandertalski, a potem odpowiedzi kierowcy na angielski.

– Tak, tak, wiem, że Dwoje jeszcze nie jest Jednym! – ucięła Mary. – I wiem, że on jest mężczyzną – oznajmiła, wskazując ruchem głowy Reubena. – Ale tu chodzi o nagły wypadek medyczny! Ruszajmy!

Christine była zmyślnym urządzeniem. Mary usłyszała neandertalski nakaz *Tik!* na wstępie tłumaczenia, co oznaczało, że implant przestawił słowo „Ruszajmy!” na początek. Dopiero gdy kierowca uruchomił sześcian, Christine przekazała mu resztę wypowiedzi Mary.

– Christine, połącz mnie z Ponterem.

– Załatwione.

– Ponter, dlaczego do cholery potrzeba aż trzech arbitrów, aby nakazać monitorowanie Jocka?

Kompan zaczął tłumaczyć odpowiedź Pontera w implanty ślimakowe Mary, więc otworzyła panel urządzenia i reszta słów popłynęła przez

zewewnętrzny głośnik, tak że Louise i Reuben również je słyszeli.

– Hej, przecież ty sama twierdziłaś, że w archiwach alibi mamy za mało zabezpieczeń zapewniających nam prywatność. Wydanie nakazu monitorowania transmisji czyjegoś Kompana w sytuacji, gdy przeciwko danej osobie nie zostały wysunięte żadne oskarżenia, wymaga jednogłośnej zgody trójki arbitrów.

Mary zerknęła na przemykający za szybą krajobraz – oczywiście „przemykający” według norm neandertalskich, bo poruszali się z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– A nie można go o coś oskarżyć? – spytała. – Wtedy potrzebny byłby tylko jeden arbiter, tak?

– Ten sposób będzie szybszy – odparł Ponter. – Oskarżenie wymaga dopełnienia skomplikowanej procedury i... O, jest już mój sześcian. – Mary usłyszała szum lądującego pojazdu i odgłosy wsiadania. Ponter wypowiedział neandertalską nazwę „archiwów alibi”, którą rozpoznała, po czym ponownie zwrócił się do niej: – Już jestem. Teraz musimy... Oho, zaczekaj chwilę... – Połączenie zostało przerwane na kilka sekund, po których znowu usłyszeli głos Pontera. – Arbitrzy nakazali sądowy monitoring. Pracownik pawilonu archiwów alibi już namierza Jocka.

Reuben przesunął się do przodu, aby mówić bezpośrednio do Kompana Mary.

– Ponterze, mówi Reuben. Jak tylko namierzą Kriegera, powinni natychmiast ewakuować okolicę. Mnie nic nie grozi. Louise i Mary też są bezpieczne, ale dla każdego neandertalczyka kontakt z wirusem Jocka oznacza śmierć.

– Zajmę się tym – odparł Ponter. – Możemy za pośrednictwem Kompanów ogłosić stan zagrożenia. Za chwilę będę już w archiwach alibi. Dopilnuję, żeby tak się stało.

W oddali przed nimi zamajaczyły zarysy budynków w Centrum Saldak. Dziesiątki kobiet ozdabiały okolicę przed zbliżającymi się dniami, podczas których Dwoje miało się stać Jednym.

– Namierzyliśmy go – odezwał się Ponter. – Hak, zaprzestań tłumaczenia i nadawaj bezpośrednio. – Zaczął krzyczeć coś w neandertalskim języku, najwyraźniej tłumacząc kierowcy sześcianu, w którym znajdowała się Mary z przyjaciółmi, co ma robić.

Mężczyzna odpowiedział w kilku słowach, wśród których znalazło się również *Ka*. Pojazd zaczął zmieniać kierunek.

– Krieger jest na placu Konbor – wyjaśnił Ponter, ponownie uruchamiając moduł translacji. – Kazałem waszemu kierowcy zawieźć was tam. Spotkamy się na miejscu.

– Nie – zaprotestowała Louise, pochylając się do przodu. – Nie, Ponterze, to dla ciebie zbyt niebezpieczne... tak jak dla reszty neandertalczyków. Zostaw to nam.

– Ale on nie jest sam. Arbitrzy właśnie obserwują przekaz z jego Kompana. Jest z nim Dekant Dorst.

– Kto to taki? – spytała Mary.

– Jedna z Radnych reprezentujących Saldak – wyjaśnił Ponter. – Kobieta z generacji 141.

– Cholera. – Mary wiedziała, że w normalnej sytuacji kobieta z Barastów mogłaby bez trudu obezwładnić niemal każdego Gliksina, ale pokolenie 141 oznaczało, że Dekant miała siedemdziesiąt osiem lat. – Nie możemy dopuścić do tego, by potraktował ją jako zakładniczkę. Musimy jakoś ją stamtąd wyciągnąć.

– Właśnie – zgodził się Ponter.

– Dekant Dorst na pewno ma implanty ślimakowe, tak jak wszyscy, zgadza się? – spytała Mary.

- Oczywiście.
- Christine, połącz mnie z Dekant Dorst.
- Zrobione.

Mary natychmiast zaczęła mówić, zanim kobieta zdążyła odpowiedzieć na sygnał, który jej Kompan nadał wprost do ucha.

– Dekant Dorst, nic nie mów i zachowuj się tak, aby Jock Krieger nie poznał, że się z kimś komunikujesz. Kaszlnij raz, jeśli mnie zrozumiałaś.

Z zewnętrznego głośnika Christine rozległo się kasznięcie.

– W porządku. Nazywam się Mary Vaughan i jestem Gliksinką. Jock jest w tej chwili monitorowany z nakazu arbitrów. Podejrzewamy, że przemycił do Centrum Saldak niebezpieczną substancję. Musisz przy pierwszej okazji oddalić się od niego. Już jesteśmy w drodze do miejsca, gdzie się właśnie znajdujecie. Jasne?

Kolejne kasznięcie.

Mary czuła się okropnie. Starsza Barastka na pewno była przerażona.

- Macie jakieś pomysły? – spytała Reubena i Louise.
- Może niech powie Jockowi, że musi skorzystać z łazienki? – zasugerowała Louise.
- Doskonale! Ponterze, gdzie są w tej chwili Jock i ta kobieta? W budynku czy na zewnątrz?
- Już kontaktuję się z arbitrem... Są na zewnątrz, kierują się w stronę centralnego placu.

– Wirus Wipeout ma rozprzestrzeniać się drogą powietrzną. Prawdopodobnie Jock ma jakąś bombę aerozolową w tej metalowej skrzynce, którą przywiózł ze sobą. Pewnie zamierza zostawić ją gdzieś na głównym placu i potem zdetonować ładunek podczas fety, gdy Dwoje będzie Jednym.

– Skoro tak, to na pewno ustawi czas detonacji na koniec wakacyjnej przerwy, aby mężczyźni zdążyli wrócić do domów, zanim wystąpią u nich objawy choroby. W ten sposób wirus nie tylko rozprzestrzeni się na Obrzeża miasta, ale dotrze też dalej, bo niektórzy przybywają z bardziej oddalonych miejsc.

– Masz rację – stwierdziła Mary. – Dekant, kiedy tylko nadarzy się okazja, powiedz Jockowi, że musisz się udać do jakiegoś publicznego budynku, żeby skorzystać z łazienki, ale wytłumacz, że on musi zostać na zewnątrz, ponieważ jest mężczyzną. Rozumiesz? Wkrótce będziemy na miejscu.

Jeszcze jedno kasznięcie, a po nim po raz pierwszy usłyszeli głos Dekant. Wydawała się mocno zdenerwowana.

– Uczony Kriegerze, wybaczone, proszę, ale to moje stare ciało... Muszę iść za potrzebą. Mogę skorzystać z łazienki w tamtym budynku.

Głos Jocka brzmiał tak, jakby dobiegał z oddali.

– Oczywiście. W takim razie ja...

– Nie, nie. Musisz poczekać na zewnątrz. Dwoje jeszcze nie jest Jednym! Sam rozumiesz...

Jock powiedział coś, czego Mary nie dosłyszała. Dwadzieścia sekund później ponownie rozległ się głos Dekant.

– W porządku, Uczona Vaughan. Jestem już bezpieczna w budynku.

– To dobrze – odezwała się Mary. – W takim razie teraz...

W tym momencie przerwał jej neandertalski kobiecy głos, emitowany przez wszystkie cztery Kompany w sześcianie podróznym – i prawdopodobnie przez wszystkie implanty mające łączność z archiwami alibi w Saldak.

– Mówi Arbiter Mykalro. Ogłaszam stan zagrożenia. Zarządzam niezwłoczną ewakuację Centrum Saldak. Można opuszczać miasto pieszo,

poduszkobusem lub sześcianami podróżnymi, ale należy zrobić to natychmiast. Proszę nie zwlekać. Wkrótce powietrze może zostać skażone śmiertelnym wirusem. Jeśli spotkacie siwowłosego Gliksina, unikajcie go! Jest monitorowany z nakazu arbitrów i obecnie znajduje się na placu Konbor. Powtarzam...

Kierowca nagle posadził sześcian podróżny na ziemi.

– Bliżej was nie podwiozę – oznajmił. – Słyszeliście arbitra. Dalej musicie iść pieszo.

– Niech to cholera! – zachnęła się Mary, ale Christine tego nie przetłumaczyła. – Jak daleko jesteśmy?

– Plac Konbor to ten tam. – Kierowca wskazał palcem. W oddali Mary zobaczyła rząd niskich budynków, krótki, podwójny szereg sześcianów podróżnych i otwartą przestrzeń.

Wściekła, popchnęła w górę klamkę w kształcie rozgwiazdy, otworzyła sześcian ze swojej strony i wysiadła. Louise i Reuben poszli za jej przykładem. Jak tylko wszyscy stanęli na ziemi, sześcian ponownie się unióś i odleciał w kierunku, skąd wcześniej przybyli.

Mary ruszyła biegiem w stronę, którą wskazał kierowca. Jock znajdował się na placu pokrytym dobrze udeptanym śniegiem. Widziała, jak kolejne sześciany podróżne opuszczają Centrum, kierując się na Obrzeża. Miała nadzieję, że arbiter pomyślał o tym, aby nie nadawać ostrzeżenia przez tymczasowy Kompan Jocka. Razem z Reubenem i Louise szybko zbliżyła się do Kriegera. Dzieliło ich już tylko dwadzieścia metrów.

– Wszystko skończone, Jock! – zawołała Mary, jak tylko zdołała zapanować nad oddechem.

Krieger miał na sobie zwykłe futro z mamuta. W ręce trzymał metalową skrzynkę, którą opisał im oficer Kanadyjskich Sił Zbrojnych. Prawdopodobnie zawierała bombę aerozolową. Odwrócił się zaskoczony.

– Mary? Louise? Mój Boże! I doktor Montego? Co wy tutaj robicie?

– Wiemy o wirusie Surfariś – oznajmiła Mary. – Nie uda ci się uciec.

Ku jej zdumieniu Jock się uśmiechnął.

– No, no, no. Troje dzielnych Kanadyjczyków przybywa na odsiecz neandertalczykom. – Pokręcił głową. – Zawsze mnie śmieszyliście z tym swoim głupim socjalizmem i miękkimi sercami. Ale wiecie, co śmieszy mnie u was najbardziej? – Sięgnął pod futro i wyciągnął półautomatyczny pistolet. – To, że nigdy nie nosicie broni. – Wycelował pistolet w Mary. – A teraz, kochani, wyjaśnijcie mi dokładnie, jak zamierzacie mnie powstrzymać?

ROZDZIAŁ 40



Przedświt ery kenozoicznej, będący zarazem schyłkiem kredy, podczas której wyginęły dinozaury, na obu wersjach Ziemi zapisał się warstwą skał. Początek nowozoiku na naszym wszechświecie – zamieszkanym przez Homo sapiens – zapisze się w historii śladami pierwszych osadników na Marsie. Pierwsi przedstawiciele naszego gatunku opuszczą kolebkę tej Ziemi, by już nigdy na nią nie wrócić...

Ponter oraz troje arbitrów znajdowali się w największej sali projekcyjnej pawilonu archiwów alibi. Obserwowali to, co się działo, pod różnymi kątami. Oprócz objętego monitorowaniem Kompana Jocka Kriegera włączyli też obrazy przekazywane przez implanty Mary Vaughan, Louise Benoit i Reubena Montego. W powietrzu unosiły się czterometrowej średnicy holograficzne bańki. Każda pokazywała otoczenie jednego z obecnych na miejscu Kompanów.

Oczywiście Ponter i trójka arbitrów również byli narażeni na niebezpieczeństwo. Wprawdzie pawilon archiwów alibi znajdował się na peryferiach Centrum, ale i tak było to o wiele za blisko miejsca, w którym mogło dojść do skażenia.

– Ciemnowłosa Gliksinka ma rację, Uczony Boddicie – odezwała się Arbitr Mykalro, przysadzista przedstawicielka pokolenia 142. – Musisz jak najszybciej się stąd oddalić. Dotyczy to nas wszystkich.

– Wy troje możecie iść – powiedział Ponter, krzyżując ręce na piersi. – Ja zostaję.

W tej samej chwili zobaczył, jak Jock wyciąga pistolet. Poczł, że cały drętwieje. Nie widział broni, odkąd został postrzelony przez zamachowca przed siedzibą Organizacji Narodów Zjednoczonych. Przypomniał mu się moment, w którym pocisk wdarł się w niego, gorący i ostry, i...

Nie mógł pozwolić, aby to samo spotkało Mare.

– Jaką mamy tu broń? – spytał.

Brew Mykalro powędrowała w górę.

– Tutaj? W pawilonie archiwum?

– Albo obok, w sali Rady.

– Żadnej. – Barastka pokręciła głową.

– A broń na pociski ze środkiem usypiającym, której używają egzekutorzy?

– Jest magazynowana na posterunku egzekutorów przy placu Dobronyal.

– Czy egzekutorzy noszą ją przy sobie?

– Zwykle nie – wtrącił drugi z arbitrow. – Nie ma takiej potrzeby. Rada Siwych miasta Saldak wydała pozwolenie na zakup jedynie sześciu takich urządzeń. Przypuszczam, że wszystkie znajdują się w tej chwili w magazynie.

– Czy jest jakiś sposób, aby go powstrzymać? – Ponter wskazał palcem jeden z unoszących się w powietrzu obrazów Jocka.

– Nie przychodzi mi do głowy żaden, któremu podołaliby tacy mizerni Gliksini – stwierdziła arbiter Mykalro.

Ponter skinął głową, pojmując, co miała na myśli.

– Muszę im jakoś pomóc. Jak daleko stąd się znajdują?

Drugi z arbitrow, mrużąc oczy, spojrział na monitor.

– Około 7200 długości ramion.

Tyle mógł bez trudu przebiec.

– Hak, zarejestrowałeś ich dokładne położenie?

– Tak jest – potwierdził Kompan.
– W takim razie wy, arbitrzy, oddalcie się na bezpieczną odległość – oznajmił Ponter. – I życzcie mi szczęścia.

– Nie możesz nas tak po prostu zastrzelić – powiedziała Mary, starając się zapanować nad drżeniem głosu. Nie potrafiła oderwać oczu od pistoletu.
– Wszystko zostanie zarejestrowane w archiwach alibi.

– Tak, tak. Muszę przyznać, że mają tutaj naprawdę niezwykły system. Czarna skrzynka dla każdego mężczyzny, kobiety i dziecka. Na pewno łatwo da się odnaleźć rejestry naszej czwórki, a kiedy wszyscy neandertalczycy zginą, bez kłopotów dostanę się do pawilonu i zniszczę te nagrania.

Kątem oka Mary zauważyła, że Reuben oddała się od niej cal po calu. Kilka metrów za nim rosło drzewo. Gdyby zdołał się za nie schować, Jock nie mógłby go trafić, nie zmieniając pozycji. Nie mogła winić lekarza o to, że próbował się ratować. Louise stała trochę bardziej z tyłu, po prawej stronie.

– Nie licz na to, że twój wirus rozprzestrzeni się na cały świat po pojedynczym ataku – stwierdziła Mary. – Gęstość zaludnienia na neandertalskiej Ziemi jest zbyt mała, aby mogło tu dojść do epidemii. Choroba nie wydobędzie się poza Centrum Saldak.

– Och, o to bym się nie martwił – stwierdził Jock, podnosząc metalową skrzynkę. – Prawdę mówiąc, właśnie tobie powinienem być wdzięczny, bo dzięki twoim wcześniejszym badaniom mogłem zmienić rezerwuar dla tej wersji eboli z afrykańskich trzewikodziobów na gołębia wędrownego. Te ptaki rozniosą wirusa po całym kontynencie.

– Neandertalczycy są pokojowo nastawionymi ludźmi – odezwała się Louise.

– Owszem – zgodził się Jock. Przeniósł wzrok na młodszą kobietę i wycelował teraz w nią. – I to ich zgubi na tej Ziemi, tak samo jak zgubiło ich 27 tysięcy lat temu, kiedy pokonaliśmy ich na naszej planecie.

Mary przyszło do głowy, że powinna wykorzystać moment nieuwagi Kriegera i...

Zrobił to Reuben. Raptownie rzucił się w bok. Jock obrócił się w jego stronę i strzelił. Huk spłoszył stado ptaków. Mary zauważyła, że są to gołębie wędrowne. Krieger spudłował i Reuben zdołał się skryć za drzewem. Był bezpieczny przynajmniej przez chwilę.

Kiedy lekarz zerwał się do biegu po lewej stronie Mary, Louise jednocześnie rzuciła się w prawo. Teren w tym miejscu – podobnie jak w całym niemal Północnym Ontario na obu światach – był dość nierówny: nie brakowało głazów narzutowych, które pozostały tu po wycofaniu się lądolodu. Louise błyskawicznie pokonała niewielką odległość dzielącą ją od najbliższej, pokrytej porostami skały i zanurkowała za nią, ledwie mieszcząc się za jej zasłoną.

Mary została pośrodku. Zarówno drzewo po lewej stronie, jak i skała po prawej znajdowały się za daleko. Jock by ją zastrzelił, zanim zdążyłaby się schować.

– No cóż... – Krieger wzruszył ramionami na znak, że tymczasowe schronienia Louise i Reubena mogły dać im bezpieczeństwo tylko na chwilę. Wycelował broń w Mary. – Zacznij się modlić, Mary Vaughan.

Ponter jeszcze nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Stopami dudnił o ziemię pokrytą śniegiem poprzecinany wieloma wydeptanymi ścieżkami, dzięki którym błyskawicznie pokonywał dystans. Świadomie oddychał wyłącznie przez nos, aby chłodne powietrze zostało odpowiednio nawilżone i ogrzane, zanim trafi do płuc.

– Jak daleko jestem? – spytał.

– Jeśli wciąż znajdują się w tym samym miejscu – odparł Hak w implanty ślimakowe Pontera – zobaczysz ich już za tym wzniesieniem. – Takt pauzy. – Powinieneś poruszać się jak najciszej – dodał Kompan. – Nie chcesz przecież, aby Jock cię za wcześnie zauważył.

Ponter zmarszczył brew. Staremu łowcy nie trzeba było tłumaczyć, jak ma się podkraść do ofiary.

Kompan Mary odezwał się prosto w jej implanty ślimakowe.

– Ponter jest pięćdziesiąt metrów stąd. Jeśli możesz zająć Jocka rozmową jeszcze przez chwilę...

Nieznacznie kiwnęła głową, tak aby tylko Christine zarejestrowała ten ruch.

– Zaczekaj! – powiedziała głośno. – Zaczekaj! Jest coś, o czym nie wiesz!

Jock przez cały czas trzymał ją na muszce.

– Co?

Umysł Mary pracował na najwyższych obrotach.

– Chodzi o neandertalczyków... Oni... oni... mają zdolności parapsychologiczne!

– Och, daj spokój!

– To prawda! – zapewniła. Zza wzgórza za plecami Kriegera nagle wyłonił się Ponter. Jego sylwetka wyraźnie rysowała się na tle sunącego ku horyzontowi słońca. Mary z całych sił starała się nie zdradzić niczego swoim zachowaniem. – Właśnie dlatego my wierzymy w Boga, a oni nie. To kwestia unerwienia mózgu. Nasze mózgi stale próbują się połączyć z umysłami innych ludzi, ale nie są w stanie, bo jakiś element nie działa prawidłowo. Właśnie dlatego wydaje nam się, że istnieje jakaś nieuchwytna

istota wyższa. U nich jednak ten mechanizm działa prawidłowo. Nie są w stanie wierzyć w Boga. – Chryste! Sama nie wierzyła w to, co mówi. Jak mogła się spodziewać, że nabierze jego? – Nie mogą wierzyć w Boga, ponieważ stale kontaktują się z innymi na poziomie myśli!

Ponter poruszał się z przesadną ostrożnością, delikatnie i jak najciszej stawiając stopy na śniegu. Szedł z wiatrem i gdyby Jock był neandertalczykiem, na pewno już wyczułby obecność intruza. Na szczęście Krieger był Gliksinem...

– Wyobraź tylko sobie, jaką rolę mogłaby pełnić telepatia w tajnych operacjach! – Mary nieznacznie podniosła głos, ale tak, aby nie stało się oczywiste, że próbuje zagłuszyć ciche odgłosy stąpania Pontera. – Jestem już o krok od odkrycia genetycznych podstaw tego zjawiska! Jeśli zabijesz mnie i Barastów, nigdy nie poznasz tej tajemnicy!

– Ależ doktor Vaughan! – wykrzyknął Jock. – Ćwiczenia w dezinformacji. Jestem pod wrażeniem. – Ponter znajdował się teraz tak blisko napastnika, że jeszcze krok, a Jock zauważyłby jego długi cień. Przeklęte zimowe słońce! Neandertalczyk złączył pięści, szykując się do ciosu w głowę Kriegera i...

Jock musiał coś usłyszeć. Zaczął się obracać ułamek sekundy zanim trafiły go kulaki neandertalczyka. Zamiast w czaszkę, uderzyły w lewe ramię. Mary usłyszała odgłos łamanych kości. Krieger zawył z bólu i upuścił skrzynkę z bombą. Nadal jednak ścisnął w prawej dłoni pistolet. Wystrzelił. Na szczęście nie miał neandertalskiego wału nadoczodołowego i kiedy obrócił się w stronę słońca, na moment oślepił go blask. Spudłował.

Mary nie miała szans bezpiecznie dobiec do Pontera, więc wybrała rozwiązanie, które wydało jej się najrozsądniejsze: rzuciła się w lewo i skryła za drzewem razem z Reubenem. Ponter ryknął potężnie i raz jeszcze się zamachnął. Kolejny cios powalił Kriegera twarzą w śnieżną zaspę.

Neandertalczyk błyskawicznie szarpnął prawe ramię Jocka do tyłu, ciągnąc je w kierunku, w jakim nie mogło się zgiąć. Powietrze przeszył jeszcze jeden okropny trzask! Krieger zawył z bólu, a Ponter migiem wyrwał mu broń. Odrzucił pistolet z taką siłą, że ze świstem przeciął zimne i suche powietrze, lądując daleko. Barast obrócił Jocka tak, by ten znalazł się twarzą do niego. Odciągnął prawą rękę do tyłu, zwijając palce w wielką pięść.

Jock przetoczył się w prawo i sprawnym ramieniem chwycił metalową skrzynkę, przyciągając ją do siebie. Wykonał jakiś manewr i ze środka zaczął się dobywać biały gaz. Ponter tylko chwilami był widoczny w wielkiej chmurze, ale Mary widziała, jak chwycił Jocka za szyję i podciągnął go w górę, jednocześnie mierząc drugą pięścią prosto w twarz przeciwnika.

– Ponterze, nie! – zawołała Louise, wybiegając zza głazu. – Musimy wiedzieć...

Ponter już się zamachnął, ale słysząc ją, zdążył trochę wyhamować uderzenie. Mimo to jego pięść trafiła w cel z takim dźwiękiem, jakby sto kilogramów skóry rąbnęło o podłogę. Głowa Jocka szarpnęła się gwałtownie do tyłu i mężczyzna nieprzytomny runął w śnieg.

Chmura robiła się coraz większa. Mary rzuciła się w stronę skrzynki, z której wciąż ulatniał się gaz, przesłaniając jej widoczność. Próbowwała namacać jakiś zawór, którym mogłaby zamknąć wylot, ale nic takiego nie znalazła.

Reuben również ruszył w tę samą stronę co ona, ale zatrzymał się przy Jocku. Ukląkł przy nim i sprawdził puls.

– Jest nieprzytomny, ale żyje – oznajmił, patrząc na Pontera.

Mary zdjęła kurtkę i próbowała zawinąć w nią skrzynkę. Już sądziła, że jej się to udało, kiedy pakunek eksplodował, zmieniając kurtkę w strzępy i

w kilku miejscach przecinając skórę kobiety. Gazowa chmura wciąż rosła. W środku człowiek czuł się jak w gęstej londyńskiej mgle. Mary nie widziała nic w odległości większej niż metr.

Louise pochyliła się nad Jockiem.

– Kiedy odzyska przytomność? – spytała.

Reuben wzruszył ramionami.

– Może za kilka godzin. Słyszałaś odgłos, z jakim trafiła w niego pięść Pontera? Jock na pewno doznał wstrząśnienia mózgu, a być może ma także pękniętą czaszkę.

– Ale my musimy wiedzieć! – wykrzyknęła Mary.

– Wiedzieć co? – spytał Reuben.

Serce Mary biło nierówno, żołądek wykonywał salta, a w ustach czuła kwaśny smak.

– Jakiej wersji wirusa użył!

Reuben zupełnie nie rozumiał, o co chodzi.

– Jak to? – spytał, prostując się.

– Wczoraj wieczorem Mary zmodyfikowała formułę wirusa – wyjaśniła Louise. – Jeśli Jock zrobił bombę dziś rano, to...

Mary nie słuchała dalej. Kręciło jej się w głowie. Chciała wyć. Jeśli Jock użył kodonera dopiero rano, to stworzył zmodyfikowanego Surfera Joe. Jeśli jednak przygotował bombę wcześniej, to chmura, w której w tej chwili stali, zawierała wersję Wipeout, a to oznaczało, że...

Oczy piekły ją niemiłosiernie i z trudem utrzymywała równowagę.

... to oznaczało, że ten przeklęty gliksiński łajdak, który leżał teraz w śniegu, właśnie zabił mężczyznę, którego kochała.

ROZDZIAŁ 41



Niektórzy naukowcy twierdzą, że skoro przed czterdziestoma tysiącami lat – w chwili, gdy na Ziemi pojawiła się świadomość – istniał tylko jeden świat, to w tym naszym ogromnym wszechświecie poza nami nie ma innych istot rozumnych, a jeśli są, to posiadają świadomość krócej niż my. Jeżeli rzeczywiście tak jest, to penetrowanie kosmosu jest nie tylko naszym przeznaczeniem, ale też obowiązkiem, bo tylko my – Homo sapiens – mamy chęci i możliwości, aby to robić...

Ponter na razie wyglądał dobrze; żaden wirus nie działał aż tak szybko. Podarł skórzaną kurtę Reubena na pasy i lekarz przy pomocy Louise związał nimi ręce i nogi nieprzytomnego Kriegera. Potem mężczyźni zanieśli Jocka do najbliższego budynku – być może tego samego, w którym wcześniej schroniła się Dekant Dorst. Zaszło słońce i zaczynało się robić naprawdę zimno, ale – mimo wszystko – nie zamierzali zostawić Kriegera, aby zamarznął.

Reuben zamknął drzwi budynku i wrócił z Ponterem do Mary i Louise.

– Chodź, wielkoludzie – powiedział do neandertalczyka. – Zabierzemy cię do kopalni. Tam możemy użyć laserów odkażających.

Ponter podniósł głowę. Jego jasnobraza brew wspięła się nad wał nadoczodołowy. Podobnie jak Mary, nie pomyślał o tym.

– Myślisz, że jest jakaś szansa? – spytała Mary, wpatrując się w lekarza zaczerwienionymi oczami, z miną, która mówiła, że czeka już tylko na cud.

– Wydaje mi się, że tak – przyznał Reuben. – Jeśli te lasery działają tak, jak mówiliście, to powinny zniszczyć komórki wirusów, mam rację? Przynajmniej Ponterowi w ten sposób pomożemy. A może gdzieś tu, w Centrum, są lepsze urządzenia odkażające? – Spojrzał pytająco na Barasta.
– Czy nie tutaj znajdują się wasze szpitale?

Ponter pokręcił głową.

– W zasadzie tak, ale najwyższej klasy dekontaminator jest przy portalu.

– No to musimy cię tam zabrać – stwierdził Reuben.

– Najpierw powinniśmy dopilnować aby wszyscy opuścili kopalnię i komorę komputera kwantowego – powiedział Ponter. – Nie możemy ryzykować zakażenia innych.

– Zaraz wezwę sześcian – zaproponowała Mary i wydała polecenie Kompanowi.

Reuben dotknął jej ramienia.

– Kto by teraz tutaj przyleciał? Nie możemy narażać innych neandertalczyków na kontakt z wirusem.

– W takim razie... w takim razie sami go zaniemiemy na miejsce! – oznajmiła.

– *Ce n'est pas possible* – sprzeciwiła się Louise. – Kopalnia jest wiele kilometrów stąd.

– Sam mogę tam dojść – wtrącił Ponter.

Reuben pokręcił głową.

– Lepiej by było, abyś jak najszybciej przeszedł laserowe odkażanie. Wracając do kopalni pieszo, stracilibyśmy cenne godziny.

– Cholera jasna! – zachnęła się Mary, zaciskając pięści. – To idiotyczne! Musi istnieć jakiś sposób, aby zdążyć tam dotrzeć! – Nagle coś sobie przypomniała. – Hak, jesteś tutaj najbardziej doświadczonym Kompanem.

Na pewno mógłbyś poinstruować Pontera, jak kieruje się sześcianem podróznym?

– Mogę uzyskać dostęp do instrukcji i je objaśnić – rozległ się głos Haka.

– No to na co czekamy? Po drodze minęliśmy cały rząd tych maszyn – stwierdziła Mary. – Ruszajmy!

Szybko dotarli do ustawionych jedno na drugich sześcianów. Obok znajdowała się cylindryczna sterownia. Ponter coś tam pomajstrował i po chwili urządzenie podobne do wózka widłowego zdjęło najwyżej stojący sześcian i postawiło go na ziemi. Przezroczysta ściana odsunęła się na bok.

Ponter usiadł okrakiem na siedzeniu w prawym przednim rogu, a Mary zajęła miejsce obok niego. Reuben i Louise wsiedli do tyłu.

– Jestem gotowy – oznajmił Ponter. – Hak, wytłumacz mi teraz, jak obsługuje się to ustrojstwo.

– Aby je uruchomić, pociągnij za pomarańczową gałkę kontrolną – polecił Hak przez zewnętrzny głośnik.

Mary przyjrzała się konsoli przed Ponterem. Prawdę mówiąc, wyglądała ona dużo prościej niż deska rozdzielcza jej samochodu. W sześcianach podróznym nie było tylu funkcji poprawiających wygodę jazdy.

– Tutaj! – zauważyła odpowiednią gałkę. Ponter za nią pociągnął.

– Dźwignie po prawej stronie kontrolują ruch w pionie – ciągnął Hak – a dźwignie po lewej sterują ruchem w poziomie.

– Ale i jedne, i drugie przesuwają się tylko albo w górę, albo w dół – zauważył Reuben niepewnie.

– Oczywiście – potwierdził Hak. – Takie manewrowanie w znacznie mniejszym stopniu obciąża staw ramieniowy. Jeśli chodzi o uruchamianie

silników wytwarzających poduszki powietrzne, to służą do tego kontrolki pomiędzy dźwigniami – widzisz je?

Ponter potwierdził skinieniem głowy.

– Duża gałka ustawia prędkość obrotów głównego wentylatora, natomiast...

– Hak! – wtrącił Reuben stanowczym tonem. – Nie mamy wiele czasu. Po prostu wytłumacz mu, co ma wcisnąć!

– No dobrze. Ponterze, staraj się teraz o niczym nie myśleć. Rób dokładnie to, co ci powiem. Pociągnij zieloną gałkę. Teraz niebieską. Chwyć obie dźwignie. Tak, doskonale. Kiedy powiem „start”, przesun dźwignię po prawej stronie o piętnaście procent koła do siebie i jednocześnie przesun dźwignię z lewej o pięć procent. Rozumiesz?

Ponter przytaknął.

– Gotowy? – spytał Hak.

Ponter raz jeszcze skinął głową.

– Start!

Sześcian szarpnął gwałtownie, ale oderwał się od ziemi.

– Teraz wciśnij zieloną gałkę – polecił Hak. – Dobrze. Przesun dźwignię po prawej z powrotem do końca.

Sześcian szybko ruszył do przodu, ale mocno przekrzywił się w jedną stronę.

– Lecimy nierówno – powiedziała Mary.

– To nic – odparł Hak. – Ponterze, przesun dźwignię po prawej z powrotem o jedną ósmą obrotu. Tak, a teraz...

W kilka minut opuścili Centrum Saldak, ale do kopalni było dość daleko, a sterowanie pojazdem, który potrafił latać, okazało się cholernie skomplikowane. Mary zawsze z niedowierzaniem oglądała filmy, w których

kontrola naziemna instruowała pasażerów, jak mają wylądować, gdy pilot maszyny stracił przytomność. Teraz...

– Ponterze, nie! – podniósł głos Hak. – W drugą stronę!

Ponter pociągnął ku sobie dźwignię sterującą ruchem w poziomie, ale już było za późno. Prawy bok sześcianu podróznego uderzył w drzewo. Ponter i Mary polecili do przodu. Dźwignie kontrolne zapadły się w deskę rozdzielczą. Podobno było to zabezpieczenie, dzięki któremu kierowca nie mógł się na nie nadziać w razie wypadku. Sześcian przewrócił się na bok.

– Ktoś jest ranny? – zawołała Mary.

– Nie – odpowiedział Reuben. – Nie – zawtórowała mu Louise.

– Ponterze?

Nie odpowiedział. Mary odwróciła się w jego stronę.

– Ponterze???

Patrzył na swoje lewe przedramię, na Kompana. Widać było, że implant mocno w coś uderzył. Ponter otworzył panel Haka. Musiał użyć sporej siły, bo pokrywa wgięła się podczas wypadku.

Neandertalczyk podniósł głowę. W głęboko osadzonych, złotych oczach miał łzy.

– Hak jest mocno poturbowany – stwierdził.

Christine przetłumaczyła jego słowa.

– Musimy ruszać dalej – powiedziała łagodnie Mary.

Ponter jeszcze przez kilka sekund przyglądał się uszkodzonemu Kompanowi, po czym skinął głową. Przekręcił i przesunął w górę rozgwiadę klamki i bok sześcianu podróznego się odsunął. Reuben podciągnął się w górę, wydostał na zewnątrz i zeskoczył na ziemię. Louise wydobyła się z sześcianu jako następna. Ponter bez wysiłku wydostał się z przedniej części wehikułu, po czym wyciągnął rękę do Mary, żeby jej

pomóc. Potem zaczął oglądać odsłonięte podwozie pojazdu. Mary podążyła za jego wzrokiem. Dwa wentylatory były potwornie pocięte.

– Tym chyba już nigdzie nie polecimy, co?

Ponter pokręcił głową, a ręką wykonał gest, jakby chciał powiedzieć: „Sami popatrzcie”.

– Jak daleko jest do kopalni Debral? – spytała Mary.

– Dwadzieścia jeden kilometrów – odparła Christine.

– A gdzie jest najbliższy sprawny sześcian podróżny?

– Chwileczkę... Siedem kilometrów na zachód.

– *Merde* – zaklęła Louise.

– Lepiej ruszajmy – stwierdziła Mary.

Zaczynało się ściemniać, a znajdowali się przecież daleko od miasta. Mary widziała tu dość dużych zwierząt za dnia; wolała nawet nie myśleć o stworach, które pojawiały się po zmroku.

Brnęli w śniegu przez jakieś dziesięć kilometrów – pięć godzin marszu w trudnych warunkach. Długonoga Louise stale wyprzedzała pozostałych.

Nad ich głowami pokazały się konstelacje gwiazdne widoczne w okolicach koła podbiegunowego. Baraści nazywali je Popękany Lodem i Głową Mamuta.

Cała czwórka z trudem posuwała się do przodu. Mary marzły uszy. Szli bez zatrzymywania się...

– Chrzątka! – zachnął się nagle Ponter. Mary się odwróciła. Neandertalczyk wsparł się o Reubena. Podniósł ręce i...

Jej serce na moment zamarło. Usłyszała przeraźliwy krzyk Louise. Ponter miał na dłoniach krew, która w świetle księżyca wydawała się czarna. Było za późno. Gorączka krwotoczna o sztucznie przyspieszonym czasie inkubacji atakowała błyskawicznie. Mary spojrzała na twarz Pontera,

wzdrygając się na myśl o tym, co zobaczy, ale wyglądał normalnie. Miał tylko przerażoną minę.

Szybko podbiegła do niego i podparła go z drugiej strony, aby nie upadł. I w tej chwili dotarło do niej, że to nie Reuben pomagał Ponterowi utrzymać się na nogach; to Ponter podtrzymywał Reubena.

W mroku początkowo nic nie zauważyła na tle ciemnej skóry lekarza. Po jego policzkach płynęła krew. Mary błyskawicznie przypadła do niego i niemal zwymiotowała. Krew sączyła się z oczu i uszu Reubena, kapała z jego nosa i kącików ust.

Louise w dwóch krokach przypadła do ukochanego i zaczęła wycierać mu twarz, najpierw rękawami kurtki, a potem dłońmi, ale krwawił już tak mocno, że nie nadążała. Ponter pomógł jej położyć Reubena na śniegu. Krew bryzgnęła głośno w biel, wsiąkając w nią głęboko.

– Boże – jęknęła cicho Mary.

– Reuben, *mon cher...* – Louise przyklękła na śniegu obok niego. Delikatnie wsunęła dłoń pod jego głowę, pod palcami wyczuwając niemal niewidoczny meszek.

– Lou... iiii – odezwał się z wysiłkiem. – Kochana, ja... – Zakaszłał i z ust popłynęła mu krew. Po chwili, tak jak zawsze, gdy to mówił, przeszedł na francuski. – *Je t'aime.*

Jego głowa ciężko opadła na rękę Louise. Z jej oczu zaczęły kapać łzy. Mary próbowała wyczuć puls w prawym nadgarstku Reubena; Ponter robił to samo z lewym. Oboje spojrzeli na siebie i pokręcili głowami.

Ból wykrzywił twarz Louise. Płakała i płakała bez końca. Mary uklękła w śniegu obok niej, objęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie.

– Tak mi przykro – powtarzała raz po raz, głaszcząc włosy przyjaciółki.
– Tak mi przykro...

Po kilku chwilach Ponter delikatnie dotknął ramienia Lou. Spojrzała na niego.

– Nie możemy tu zostać – powiedział i znowu to Christine przetłumaczyła jego słowa.

– Ponter ma rację – przytaknęła mu Mary. – Robi się za zimno. Musimy ruszać dalej.

Louise wciąż płakała, mocno zaciskając pięści.

– Ten drań – powiedziała. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Ten przeklęty potwór!

– Louise – powiedziała łagodnie Mary – musimy...

– Nie rozumiesz? – Louise spojrzała na Mary. – Nie rozumiesz, co zrobił Krieger? Nie wystarczyło mu zabicie samych neandertalczyków! Stworzył wirus, który zabija także czarnoskórych! – Pokręciła głową. – Tylko... tylko nigdy nie sądziłam, że choroba może rozwinąć się tak szybko.

Mary wzruszyła ramionami.

– Większość infekcji wirusowych wywoływana jest najwyżej przez kilka cząsteczek wirusa, które dostają się do organizmu jedną drogą. Potem w trakcie okresu inkubacji te kilka molekuł pracuje nad zwiększeniem populacji wirusa, aby mógł wykonać swoją brudną robotę. Problem w tym, że my znajdowaliśmy się w wirusowej chmurze. Wdychaliśmy i wchłanialiśmy miliardy wirusów. – Mary spojrzała na ciemne niebo, a potem na Louise. – Powinniśmy jak najszybciej znaleźć jakieś schronienie.

– A co z Reubenem? Nie możemy go tak tu zostawić.

Mary spojrzała na Pontera błagalnie. Wolą, aby nie mówił teraz Louise: „Reubena już nie ma”.

– Jutro po niego wrócimy – zapewniła – ale teraz sami musimy się gdzieś schować.

Louise wahała się przez kilkanaście sekund. Mary wiedziała, że nie powinna jej popędzać. W końcu młoda kobieta kiwnęła głową. Mary pomogła jej wstać.

Przenikliwy wiatr podrywał drobinki śniegu do góry. Nadal jednak widzieli ślady, jakie zostawili w śnieżnej powłoce.

– Christine – odezwała się Mary – czy gdzieś w pobliżu jest jakieś schronienie?

– Zaraz sprawdzę – odparł Kompan i po chwili zakomunikował: – Według centralnej bazy map niedaleko miejsca, gdzie rozbił się nasz sześcian podrózny, znajduje się myśliwska chata. Tam dobrniemy szybciej niż do Centrum.

– Wy dwie powinnyście tam iść – stwierdził Ponter. – Ja spróbuję dojść do kopalni. Wybaczcie, ale bez was szybciej dotrę na miejsce.

Mary poczuła ukłucie w sercu. Chciała powiedzieć mu tak wiele, ale...

– Nic mi nie będzie – zapewnił. – Nie martw się.

Odetchnęła głęboko, kiwnęła głową i pozwoliła, aby Ponter przyciągnął ją do siebie i przytulił na pożegnanie. Cała się trzęsła. W końcu ją puścił i odszedł przed siebie w mroźną noc. Mary dołączyła do Louise i razem ruszyły przez śnieg, słuchając wskazówek Christine.

W którymś momencie Louise potknęła się i upadła twarzą w śnieg.

– Nic ci się nie stało? – spytała Mary, pomagając jej wstać.

– *Non* – odparła Lou. – Nie mogę... nie mogę przestać o tym myśleć. Był takim wspaniałym człowiekiem...

Po chwili podjęły marsz. Mary przez cały czas dygotała z zimna. W końcu trafiły na miejsce. Budynek przypominał z wyglądu dom Vissan, tylko był większy. Weszły do środka i uruchomiły żebrowe oświetlenie, które wypełniło wnętrze chłodnym, zielonkawym blaskiem. Znalazły niewielki grzejnik i po kilku próbach zdołały go włączyć. Mary zerknęła na

zegarek i pokręciła głową. Nawet Ponter nie mógł dotrzeć do komory dekontaminacyjnej w kopalni tak szybko.

Obie czuły się wyczerpane – fizycznie i psychicznie. Louise położyła się na kanapie, obejmując się ramionami i płacząc cicho. Mary zajęła wyłożoną poduszkami część podłogi. Ona również nie mogła powstrzymać łez. Przygnębiona i zniechęcona poddała się przytłaczającemu żalowi i poczuciu winy. Przed oczami wciąż miała obraz wspaniałego mężczyzny płaczącego krwawymi łzami.

ROZDZIAŁ 42



A jeśli ten kierunek okaże się błędny – jeżeli, tak jak twierdzą niektórzy naukowcy i filozofowie, na tym oraz na innych światach nie brakuje inteligentnych form życia – wówczas z każdym kolejnym, niewielkim krokiem czekać nas będą nowe obowiązki. Będziemy musieli dołożyć wszelkich starań, aby pokazać innym inteligentnym istotom, jak wspaniałym i różnorodnym gatunkiem są Homo sapiens...

Mary w nocy wielokrotnie się modliła, szepcząc jak najciszej, aby nie przeszkadzać Louise:

– Panie Boże Wszechmogący okaż łaskę, ocal go...

A potem:

– Boże, proszę, nie pozwól Ponterowi umrzeć.

I w końcu:

– Do cholery, Boże, jesteś mi coś winien...

Długo przewracała się z boku na bok, nękana koszmarowymi snami, w których tonęła w morzu krwi. W końcu dotarło do niej, że przez niewielkie okno do wnętrza chaty wlewa się słoneczny blask. Głośne nawoływania gołębi wędrownych zwiastowały dzień.

Louise też już nie spała. Leżała na kanapie, wpatrując się w drewniany sufit.

W chacie znajdowały się próżniarka i laserowa kuchenka, zasilane prawdopodobnie przez kolektory słoneczne na dachu. Mary otworzyła

próżniarkę i znalazła kilka kawałków mięsa – nie miała pojęcia jakiego – oraz jakieś korzonki. Z tych składników przygotowała proste śniadanie dla siebie i Louise.

Jednym ze sprzętów był niewielki kwadratowy stół z czterema siodłowymi siedzeniami. Mary zajęła jedno z nich, a Lou usiadła naprzeciwko niej.

– Jak się trzymasz? – spytała Mary, kiedy skończyły jeść. Po raz pierwszy widziała Louise w takim stanie, w wymiętym ubraniu i z podkrążonymi oczami.

– W porządku – odparła Lou z tym swoim charakterystycznym akcentem, choć ton jej głosu sugerował, że wcale tak nie jest.

Mary nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziała, czy powinna mówić o Reubenie, czy też zostawić ten temat w spokoju w nadziei, że przyjaciółka przestanie o nim myśleć chociaż na kilka chwil. Potem jednak przypomniała sobie gwałt i to, że na początku nie potrafiła usunąć go z myśli ani na moment. Louise na pewno myślała teraz tylko o swoim partnerze.

Mary wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła dłoń przyjaciółki w swoją.

– Był naprawdę wspaniałym człowiekiem – powiedziała łamiącym się głosem.

Louise przytaknęła. Jej piwne oczy były zaczerwienione, ale suche.

– Wiesz, planowaliśmy razem zamieszkać. – Pokręciła głową. – Miał za sobą rozwód, no i sama rozumiesz, że w dzisiejszych czasach nikt w moim wieku w Quebecu nie bierze ślubu. Prawo traktuje cię tak samo bez względu na to, czy masz ten świstek papieru, czy nie, więc po co zawracać sobie głowę? Ale rozmawialiśmy o wspólnym zamieszkaniu. – Lou odwróciła głowę. – To był taki nasz prywatny temat do żartów. On mówił na przykład: „Kiedy już razem zamieszkamy, będziemy musieli poszukać

domu z dużymi szafami”. Zawsze uważał, że mam za dużo ubrań. – Spojrzała na Mary. Tym razem w oczach miała łzy. – Tak sobie dowcipkowaliśmy, ale... – Znowu pokręciła głową. – Ale wiesz, ja naprawdę wierzyłam, że tak będzie. Myślałam, że kiedy skończę pracować dla Synergii, wrócę do Sudbury. Albo moglibyśmy wyjechać do Montrealu. Reuben otworzyłby tam prywatną praktykę. Albo... – Wzruszyła ramionami, zdając sobie sprawę, że wyliczanie możliwości, które nigdy nie miały się spełnić, było bez sensu.

Mary ścisnęła jej dłoń. Przez chwilę siedziała w milczeniu, a w końcu powiedziała:

– Chciałabym znaleźć Pontera. Cholera, tak się przyzwyczaiałam do kontaktu za pośrednictwem Kompanów, że teraz, kiedy Hak się zepsuł...

– Na pewno nic mu nie jest – zapewniła Louise. Najwyraźniej zrozumiała, że teraz przyszła jej kolej, by pocieszyć koleżankę. – Nie miał najmniejszych nawet objawów gorączki krwotocznej.

Mary próbowała przytaknąć, ale nie mogła poruszyć głową. Tak bardzo się denerwowała, że...

Nagle usłyszały drapanie w drzwi. Serce podskoczyło Mary do gardła. Wiedziała, że nie muszą się obawiać neandertalczyków, ale znajdowały się przecież w myśliwskiej chacie na terenach łowieckich. Kto mógł wiedzieć, jakie bestie czają się na zewnątrz.

– Nie możemy się wybrać na poszukiwania Pontera – stwierdziła Louise. – Tylko pomyśl. Możliwe, że lasery usunęły z jego organizmu wirusy, ale to nie gwarantuje odporności, a przecież my jesteśmy zakażone. Może wirus nie atakuje białych Gliksinów, ale mimo wszystko stałyśmy się jego nosicielkami. Nie możemy się z nim zobaczyć, dopóki same nie przejdziemy odkażania.

– W takim razie co mamy robić?

– Wrócimy po Kriegera.

– Co? Dlaczego? Tam, gdzie jest, nie może nikomu wyrządzić krzywdy.

– Nie, ale jeśli istnieje jakieś antidotum na wirusa albo sposób zneutralizowania go na dużą skalę, Krieger na pewno o tym wie, prawda?

– Dlaczego sądzisz, że nam to wyjawia?

Po raz pierwszy od śmierci Reubena głos Louise zabrzmiał stanowczo.

– Jeśli tego nie zrobi, zabiję go – oznajmiła.

Odczekały jeszcze jakiś czas, aby nie natknąć się na zwierza, który wcześniej drapał w drzwi, i dopiero potem ostrożnie je otworzyły. Do środka wpadł wirujący śnieg.

Dotarcie do budynku w pobliżu placu Konbor, gdzie zostawili związanego Jocka Kriegera, zabrało im większą część przedpołudnia.

– Nie mogę się pozbyć wrażenia, że już go tam nie zastaniemy – przyznała Louise, kiedy zbliżały się do drzwi. – Ten łajdak ma w zanadrzu mnóstwo sztuczek...

Pociągnęła w górę pięcioramienną klamkę.

Jock wciąż był w środku.

Leżał na boku w kałużach ciemnej krwi. Miał bladą, woskową skórę.

Mary obróciła go. Krew zakrzepła mu na brodzie i policzkach, a przy uszach namalowała bokobrody w kolorze wina. Zerknęła w dół i spostrzegła, że jego spodnie również są przesiąknięte krwią.

Z trudem zapanowała nad żołądkiem, który próbował się pozbyć bulw i mięsa, zjedzonych na śniadanie. Spojrzała na Louise, która przygryzała dolną wargę. Mary nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Dwóch martwych Gliksinów.

Dwóch martwych mężczyzn z gatunku *Homo sapiens*...

To tak, jakby...

Surfer Joe, Marek II.

Nie, nie. To było niemożliwe. Niemożliwe! Owszem, zapisała formułę wirusa, który teoretycznie miał atakować tylko gliksińskich mężczyzn, ale podarła tamtą kartkę i z całą pewnością nie wpisała niczego w program Jocka. Jasne było, że wyprodukował wirus, zanim zdołała go unieszkodliwić, tylko...

Tylko że wirus zachowywał się tak jak ten, który wymyśliła – infekował *Homo sapiens* z chromosomem Y.

Ale przecież Mary go nie stworzyła. Na pewno nie...

Chyba że...

Nie, nie. To by było zupełnie szalone.

Ale w końcu podróżowała między światami, podobnie jak Jock. Skoro więc w jednej wersji rzeczywistości nie stworzyła śmiertelnego dla mężczyzn z gatunku *Homo sapiens* Surfera Joe, to może...

To może w innej wersji rzeczywistości zrealizowała swój plan i ów wirus powstał...

Czy ten Jock Krieger, który wykrwawił się tutaj na śmierć, pochodził z drugiej rzeczywistości...

Pokręciła głową. To wszystko wydawało się jej zbyt dziwaczne. Poza tym Ponter i Louise często powtarzali, że świat, który Mary nazywała swoim, i ten, który Ponter uważał za własny dom, były ze sobą splecione. Podobno rozłączyły się w chwili, gdy 40 tysięcy lat wcześniej na Ziemi narodziła się świadomość.

Jeśli tak...

Jeśli tak, to ktoś inny zmodyfikował formułę wirusa.

Tylko kto? I dlaczego?

ROZDZIAŁ 43



Bo właśnie tacy jesteśmy: wspaniali i niezwykli. Owszem, mamy na swoim koncie błędy – ale popełnialiśmy je, ponieważ zawsze zdążamy naprzód, niestrudzenie maszerując tam, gdzie pcha nas przeznaczenie...

Cornelius Ruskin oglądał wiadomości, próbując nad sobą zapanować, ale nie potrafił. Cały się trząsł.

Chciał, aby jego wersja stworzonego przez Kriegera wirusa Surfariś służyła wyłącznie obronie, a nie atakowi. Miała chronić świat neandertalczyków przed...

... przed takimi jak on sam. Takimi, jakim kiedyś był...

A teraz dwóch ludzi nie żyło.

Oczywiście podejrzewał, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, więcej ofiar nie będzie. Mężczyźni *Homo sapiens* musieli odtąd trzymać się swojego świata. Nie pozbawiono ich niczego prócz możliwości przeniesienia tkwiącego w nich zła przez portal na drugą Ziemię.

Cornelius wynajmował przytulny dom w Rochester, przy wysadzonej drzewami ulicy. Było to cudowne przeciwieństwo jego dawnego apartamentu w slumsach. Nie czuł się jednak tutaj dobrze. Miał wrażenie, że trafił do piekła.

Zacisnął dłonie na poręczach nowego fotela, próbując się uspokoić. Stacja CNN pokazywała właśnie wywiad z Mary Vaughan, jedną z kobiet, które zgwałcił. Oczywiście nie o tym mówiła. Wyjaśniała natomiast,

dlaczego gliksińscy mężczyźni muszą pozostać na swoim świecie i nie wolno im podróżować na Ziemię neandertalczyków. Towarzyszył jej zdrowo i krzepko wyglądający Ponter Boddit.

Wywiad przeprowadzono dla CBC Newsworld, a CNN tylko go retransmitowało. Podobno Mary kilka dni wcześniej wystawiła Newsworld do wiatru, kiedy popędziła za Jockiem Kriegerem, żeby go powstrzymać, ale teraz była już z powrotem w tej rzeczywistości.

W rzeczywistości, na którą Cornelius Ruskin był skazany.

– Twierdzi pani, że żaden mężczyzna z gatunku *Homo sapiens* nie może podróżować na neandertalski świat ze względu na to zagrożenie? – spytał dziennikarz.

– Zgadza się – odparła Mary. – Wirus uwolniony przez Jocka Kriegera...

– Chodzi o szczep wirusa, który amerykańskie centrum epidemiologiczne nazwało „ebola-saldak”, czy tak? – upewnił się prowadzący wywiad.

– Dokładnie tak. Przypuszczamy, że zamiarem Kriegera było stworzenie szczepu, który byłby śmiertelny jedynie dla neandertalczyków, tymczasem otrzymał wirusa, który selektywnie atakuje wyłącznie mężczyzn z gatunku *Homo sapiens*. Nie wiemy jeszcze, na jak wielkim obszarze rozprzestrzenił się ten szczep, wiemy za to, że śmierć następuje w kilka godzin od momentu zakażenia.

– A co z neandertalską metodą dekontaminacji? Doktorze Boddit, czy mógłby pan powiedzieć nam coś na jej temat?

– Za pomocą przestrajalnych laserów w organizmie człowieka niszczone są wszystkie obce biomolekuły – odparł Ponter. – Oboje z doktor Vaughan przeszliśmy tę procedurę przed przybyciem na tę wersję Ziemi. Taka dekontaminacja jest w stu procentach skuteczna, jednak, tak jak wspomniała doktor Vaughan, każdy gliksiński mężczyzna zakażony

szczepem ebola-saldak umrze, o ile natychmiast nie przejdzie procedury odkażania, a na moim świecie nie ma wielu punktów dekontaminacji.

– A czy poza laserowym oczyszczaniem nie ma żadnej innej metody obrony przed wirusem, na przykład szczepionki?

– Jeszcze nie – odpowiedziała Mary. – Oczywiście będziemy nad tym pracowali. Proszę jednak nie zapominać, że od lat poszukujemy metod walki z innymi szczepami eboli, ale jak dotąd bez powodzenia.

Cornelius pokręcił głową. Kiedy zorientował się, że Kriegerowi nie chodzi wyłącznie o symulacje i że naprawdę zamierza stworzyć Wipeout, zmodyfikował opracowany wcześniej przez siebie kod, pozwolił Jockowi wyprodukować całe litry wirusa zamkniętego w szczelnych szklanych pojemnikach, a potem ponownie zmienił formułę na pierwotną, tak aby Krieger nic nie zauważył, gdyby przyszło mu do głowy wszystko dokładnie sprawdzić.

Miało to w pewien sposób zrekompensować wcześniejsze życie Corneliusa, stać się pierwszym krokiem ku przywróceniu równowagi na jego koncie dobrych i złych uczynków – choć wiedział, że nigdy nie odpokutuje tego, czego dopuścił się w Toronto. Ale gwałciciel był jego dawnym ja, gniewnym ja. Teraz naprawdę się zmienił – potrafił już panować nad gniewem, gdy traktowano go gorzej, niż na to zasługiwał. Nie, już nie czuł się tak jak wtedy, gdy zaatakował Mary Vaughan, gdy brutalnie napadł na Qaiser Remtullę, gdy w jego żyłach krążył testosteron. Tylko że one na pewno wciąż to czuły, nadal budziły się złane potem, prześladowane potwornymi obrazami...

Nie, oczywiście nie jego, ale mężczyzny w czarnej kominiarce. Przynajmniej Qaiser tak go widziała, ponieważ nie знаła tożsamości napastnika.

Za to Mary Vaughan wiedziała, kim był.

Cornelius wiedział, że jego ofiara trzyma w ręku obosieczną broń. Nie mogła na niego donieść, bo wtedy Ponter zostałby oskarżony z powodu... z powodu terapii... jaką zastosował wobec niego.

Niemniej jednak wspomnienia, które prześladowały Mary, na pewno miały twarz: białą, niebieskooką, o rysach wykrzywionych złością i nienawiścią.

Teraz nie miało dla niego wielkiego znaczenia to, że inni nigdy się nie dowiedzą, w jakim stopniu przyczynił się do śmierci Reubena i Jocka. Mary powiedziała całemu światu, że to Krieger popełnił błąd w formule wirusa, że wpadł we własne sidła i stał się ofiarą własnego dzieła.

Prawdę powiedziawszy, nie żałował jego śmierci. W końcu ten typ planował wymordować wszystkich neandertalczyków.

Tylko że zginął także niewinny człowiek, doktor – prawdziwy lekarz, który ratował innym życie – Reuben Montego.

Cornelius puścił poręczę fotela i podniósł dłonie do góry, aby sprawdzić, czy nadal się trzęsą. Drżały, więc ponownie zacisnął je na podłokietnikach.

– Niewinny człowiek – powiedział na głos, choć nikt prócz niego nie mógł tego słyszeć. Pokręcił głową.

Przecież tacy w ogóle nie istnieli...

A może jednak.

W nekrologach oraz w listach, które już pojawiły się w sieci, przedstawiano Reubena Montego jako wspaniałego człowieka. A jego partnerka, Louise Benoit, którą Cornelius poznał w Synergii, była zupełnie załamana. Wciąż powtarzała, jakim był dobrym i łagodnym mężczyzną.

Po raz kolejny Cornelius głęboko zranił kobietę.

Wiedział, że niedługo będzie musiał coś zrobić w związku z kastracją. Wkrótce miały dać o sobie znać inne zmiany: spowolnienie przemiany materii; nadmierne odkładanie tłuszczu w tkankach. Już zauważył, że

wolniej rośnie mu broda, i przez większość czasu czuł apatię albo przygnębienie. Oczywistym rozwiązaniem byłaby kuracja hormonalna. Testosteron wydzielają głównie komórki Leydiga w jądrach. Syntetyzowano go również z łatwiej dostępnych steroidów, takich jak diosgenin. Na pewno był dostępny na czarnym rynku. Cornelius zwykle ignorował dealerów kręcących się w pobliżu jego dawnego mieszkania w Driftwood, ale gdyby chciał kupić ten hormon, bez trudu dostałby go w tamtej dzielnicy albo tutaj, w Rochester.

Ale nie. Nie zamierzał tego robić. Nie chciał znowu stać się taki jak dawniej. Nie chciał już tak się czuć.

Dla niego już nie było odwrotu.

I...

I nie było też przyszłości.

Ponownie podniósł dłonie. Już się nie trzęsły; nie drżały ani trochę.

Zastanawiał się, jak ludzie będą mówili o nim po jego śmierci.

W prasie śledził wszystkie najnowsze debaty na temat religijnych światopoglądów. Jeżeli takie osoby jak Mary Vaughan miały rację, wiedziałyby to – nawet w obliczu śmierci by to wiedział. I może – tylko może – fakt, że ocalił neandertalski świat przed takimi jak on sam, miałby wtedy jakieś znaczenie.

Oczywiście, jeśli rację mieli neandertalczyki, śmierć oznaczała unicestwienie, zwyczajny koniec istnienia.

Miał nadzieję, że się nie mylą.

Nie chciał, by zostały jakiegokolwiek ślady tego, co go spotkało. Miał gdzieś los Pontera Boddita, ale wolał, aby jego własna rodzina nie dowiedziała się o tym, co zrobił w Toronto.

Przeszedł do garażu i zaczął spuszczać benzynę z baku samochodu.

– No i jak ci się podoba, Bandro? – spytała Mary.

Bandra miała na sobie gliksińskie ubranie – buty marki Nike, sprane niebieskie džinsy i luźną zieloną koszulę – wszystko kupione w tym samym sklepie Mark Work Warehouse, w którym Ponter znalazł strój dla siebie, gdy po raz pierwszy pojawił się na świecie Mary. Barastka oparła dłonie na szerokich biodrach i rozejrzała się wokół zdumiona.

– Pierwszy raz widzę taką siedzibę.

Mary również rozejrzała się po dużym pokoju.

– Właśnie w takich domach mieszka większość ludzi... przynajmniej tutaj, w Ameryce Północnej. Chociaż nie, prawdę mówiąc, ten jest wyjątkowo ładny, a poza tym większość ludzi mieszka w miastach, a nie na wsi... – Mary przerwała na moment. – Podoba ci się?

– Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaję, ale tak, podoba mi się bardzo. Jest taki duży!

– Ma dwa piętra. Trzysta metrów kwadratowych plus piwnica. – Mary dała Kompanowi Bandry sekundę na przeliczenie, a potem się uśmiechnęła. – I są tu aż trzy łazienki!

Pszeniczne oczy Bandry zrobiły się okrągłe.

– Co za luksus!

Mary przypomniała sobie slogan z reklamy kosmetyków, których kiedyś używała.

– Jesteśmy tego warte.

– I mówisz, że ziemia wokół domu też jest nasza?

– Aha. Prawie cały hektar.

– Ale... ale czy nas na to stać? Wiem, że tutaj wszystko kosztuje.

– Na pewno nie byłoby nas stać na taką działkę w pobliżu Toronto. Ale tu, nieopodal Lively? Pewnie. Poza tym Laurentian University będzie nam sporo płacił.

Bandra usiadła na kanapie w salonie i wskazała regały z ciemnego drzewa, wypełnione niewielkimi rzeźbami i bibelotami.

– Wystrój wewnątrz jest piękny – przyznała.

– To niezwykła, kanadyjsko-karaibska mieszanka stylów – wyjaśniła Mary. – Przypuszczam, że rodzina Reubena zechce zabrać część przedmiotów. Louise też pewnie weźmie niektóre, ale większość zostanie. Kupiłam dom z meblami.

Bandra spuściła wzrok.

– Żałuję, że nie poznałam twojego przyjaciela Reubena.

– Polubiłabyś go – powiedziała Mary, siadając obok Bandry. – Był wspaniałym człowiekiem.

– I nie będzie ci smutno, że ty tu teraz mieszkasz?

Mary pokręciła głową.

– Raczej nie. Właśnie tutaj Ponter, Louise, Reuben i ja przechodziliśmy kwarantannę podczas pierwszej wizyty Pontera na tym świecie. Tu go poznałam i zaczęłam się w nim zakochiwać. – Wskazała solidne regały przy ścianie, pełne kryminałów. – Wciąż go widzę, jak ociera się o róg tych półek jak o drapak. A na tej kanapie odbyliśmy mnóstwo cudownych rozmów. Wiem, że od teraz będę go widywała tylko przez cztery dni w miesiącu i to przeważnie na jego świecie, ale w pewnym sensie czuję, że to także jego dom.

– Rozumiem cię. – Bandra się uśmiechnęła.

Mary poklepała jej kolano.

– I właśnie dlatego cię kocham. Bo naprawdę rozumiesz.

– Ale pamiętaj – powiedziała rozpromieniona Bandra – że już niedługo nie będziemy same. Tak wiele czasu upłynęło, odkąd mieszkałam w domu z małymi dziećmi.

– Mam nadzieję, że mi pomożesz.

– Oczywiście. Wiem, jak to jest karmić malucha w dziewiątej decymie dnia!

– Och, nie o to mi chodziło... chociaż na pewno będę ci wdzięczna! Miałam na myśli to, że pomożesz mi wychowywać córkę Pontera i moją. Chciałabym, aby poznała i polubiła obie kultury, Gliksinów i Barastów.

– To dopiero prawdziwa synergia – stwierdziła, Bandra uśmiechając się szeroko. – Dwie odrębności połączone w Jedność.

– Exactamundo – odparła Mary z uśmiechem.

Dwa dni później, około szóstej wieczorem, zadzwonił telefon. Po pierwszym pełnym dniu pracy na Laurentian Mary i Bandra wróciły już do domu, który dawniej należał do Reubena. Mary leżała wygodnie na kanapie. Wreszcie miała okazję dokończyć powieść Scotta Turowa, którą zaczęła wieki temu, jeszcze zanim po raz pierwszy otwarto portal między światami. Bandra wylegiwała się w rozkładanym fotelu – tym samym, na którym Mary spała podczas kwarantanny – pochłonięta lekturą neandertalskiej książki na elektronicznym wyświetlaczu.

Kiedy rozległ się dzwonek telefonu stojącego na małym stoliku obok kanapy, Mary zagięła stronę, którą akurat czytała, i podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Hej, Mary – usłyszała kobiecy głos z pakistańskim akcentem. – Mówi Qaiser Remtulla z Yorku.

– Ale niespodzianka! Co u ciebie słyhać?

– U mnie wszystko w porządku, ale dzwonię ze smutną wiadomością. Pamiętasz Corneliusa Ruskina?

Mary poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Oczywiście.

– No cóż, przykro mi, że to akurat ja muszę ci o tym powiedzieć, ale niestety Cornelius nie żyje.

Mary uniosła brwi.

– Naprawdę? Ale przecież był taki młody...

– Rzeczywiście, miał tylko trzydzieści pięć lat.

– Co się stało?

– Podobno wybuchł u niego pożar i... – Qaiser umilkła na moment i Mary usłyszała, jak z trudem przełyka ślinę. – Prawie wszystko doszczętnie spłonęło.

Mary nie wiedziała, co ma powiedzieć. W końcu wyrwało jej się krótkie „Och”.

– Przyjedziesz na pogrzeb? Odbędzie się w piątek, tutaj, w Toronto.

Nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Nie. Nie. W zasadzie go nie znałam – rzekła. „Wcale go nie znałam” – dodała w myślach.

– No cóż, rozumiem. Uznałam, że powinnam cię powiadomić.

Mary chciała powiedzieć dawnej szefowej, że teraz już może spać spokojnie, że mężczyzna, który ją zgwałcił – który zgwałcił je obie – już nie żyje, ale...

Ale przecież nie powinna wiedzieć o tym, że Qaiser również została zgwałcona. W głowie miała mętlik. Pomyślała, że kiedyś znajdzie jakiś sposób, by z nią o tym porozmawiać.

– Dziękuję ci, że zadzwoniłaś – powiedziała w końcu. – I przepraszam, że mnie nie będzie.

Pożegnały się i Mary odłożyła słuchawkę na miejsce. Bandra podniosła oparcie fotela do pionu.

– Kto to był?

Mary podeszła do niej i wyciągnęła ręce, pomagając jej wstać. Potem przyciągnęła ją do siebie.

– Nic ci nie jest? – spytała Bandra.

Mary objęła ją mocno.

– Nie.

– Ale płaczesz – zauważyła Barastka. Nie mogła widzieć twarzy Mary wtulonej w jej ramię, może więc poczuła słony zapach łez.

– To nic takiego, tylko mnie przytul – poprosiła Mary.

I Bandra spełniła jej prośbę.

ROZDZIAŁ 44



Moi drodzy bracia, przedstawiciele Homo sapiens, nie przerwiemy tej wspaniałej podróży i niezwykłych poszukiwań, będziemy wędrowali coraz dalej. Taka jest nasza historia i taka będzie nasza przyszłość. Nie spoczniemy, nie zawrócimy ani nie poddamy się, dopóki nie dotrzemy do najdalszych gwiazd.

Ponter i Adikor spędzali sporo czasu w Organizacji Narodów Zjednoczonych, doradzając komisji, która miała ustalić, czy należy kontynuować budowę nowego, stałego portalu między siedzibą ONZ a odpowiadającym jej miejscem na wyspie Donakat. Skoro mężczyźni nie mogli z niego korzystać, zdaniem niektórych należało zrezygnować z takich planów. Louise Benoit została powołana do tej samej komisji.

Na Laurentian University zaczęła się przerwa świąteczna – co oznaczało, że Mary i Bandra miały wolne. Postanowiły polecieć do Nowego Jorku i spędzić sylwestra z Louise, Ponterem i Adikorem na Times Square.

– Niewiarygodne! – zawołała Bandra. Musiała krzyczeć, żeby pozostali usłyszeli ją w ogólnym zgiełku. – Ile tu jest ludzi?

– Zwykle przychodzi około pół miliona – powiedziała Mary.

Bandra rozejrzała się wokół.

– Pół miliona! U nas chyba nigdy pół miliona Barastów nie znalazło się naraz w jednym miejscu.

– Dlaczego świętujecie nowy rok właśnie tego dnia? – spytał Ponter. – Przecież nie jest to żadne przesilenie ani ekwinokcjum.

– Hm... Prawdę mówiąc, nie wiem – przyznała Louise.

– Mary?

Mary pokręciła przecząco głową.

– Nie mam pojęcia. – Spojrzała Louise prosto w oczy i naśladowując jej francuski akcent, dodała: – Ale na imprezę dobry jest każdy dzień!

Niestety, nie doczekała się w odpowiedzi uśmiechu. Upłynęło jeszcze za mało czasu.

– I co się dziś wydarzy? – chciał wiedzieć Adikor.

Wszystko wokół kąpało się w neonowym blasku.

– Widzisz tamten budynek? – spytała Mary, wskazując wysoki wieżowiec.

Adikor i Ponter przytaknęli.

– Dawniej była to siedziba gazety „New York Times”. Dlatego ten plac nazwano Times Square. Na szczycie budynku jest maszt. Widzicie? Ma dwadzieścia pięć metrów wysokości. Gigantyczna, niemal półtonowa kula zacznie zjeżdżać po tym maszcie dokładnie o 23: 59 i dotarcie na sam dół zajmie jej równo sześćdziesiąt sekund. Kiedy tam się znajdzie, będzie to oznaczało, że mamy już nowy rok, i zacznie się wielki pokaz sztucznych ogni. – Mary podniosła torbę. Każde z nich dostało taką z życzeniami od Times Square Business Improvement District. – Kiedy kula zjedzie na dół, zwyczaj każe najpierw pocałować najbliższe osoby i życzyć im „Szczęśliwego Nowego Roku”. Ale mamy też cisnąć w powietrze zawartość tych torebek. W środku jest mnóstwo małych kawałków papieru, które nazywamy confetti.

Adikor pokręcił głową.

– To dość skomplikowany rytuał.

– Brzmi cudownie! – oznajmiła Bandra. – Myślę, że my... Och! Zdumiewające! Zdumiewające!

– Co takiego? – zdziwiła się Mary.

Bandra pokazała coś palcem.

– To my!

Mary się odwróciła. Jeden z olbrzymich telebimów pokazywał Bandrę i Mary. To dopiero była frajda! Po chwili kamera się przesunęła i na ekranie byli teraz Ponter z Adikorem. Kolejne ujęcie – i tym razem pojawił się burmistrz Nowego Jorku, machając do tłumów. Mary ponownie odwróciła się do przyjaciół.

– Nasza obecność została zauważona – stwierdziła z uśmiechem.

Ponter się roześmiał.

– Zdążyliśmy się już do tego przyzwyczać!

– Przyjeżdżasz tu co roku? – spytał Adikor.

Zaczął padać drobny śnieg. Oddechy wszystkich zamieniały się w obłoki pary.

– Ja? Nie. Jestem tu po raz pierwszy, ale zawsze oglądam to w telewizji, razem z 300 milionami widzów na całym świecie. To taka tradycja.

– Która jest godzina? – chciał wiedzieć Ponter.

Mary zerknęła na zegarek. Wokół świeciło się mnóstwo neonów, więc bez trudu zobaczyła cyfry.

– Dopiero minęła 11. 30.

– Ooo! – zawołała Bandra, pokazując palcem telebim. – Teraz kolej na Lou!

Gigantyczny monitor pokazał w zbliżeniu śliczną twarz Louise. Uśmiechnęła się czarująco, widząc siebie na ekranie. Rozległy się okrzyki podziwu dziesiątek tysięcy mężczyzn. No cóż, kariera Pameli Anderson też zaczęła się od ujęcia na telebimach...

Po chwili kamery skierowały się na Dicka Clarka, ubranego w czarny, jedwabny garnitur. Stał na wielkiej scenie otoczony setkami różowych i

przezroczystych balonów.

– Witam cały świat! – krzyknął, a potem z szerokim, idealnym uśmiechem poprawił się: – Witam całe światy!

Tłum zaczął wiwatować. Mary klaskała dłońmi w ciepłych rękawiczkach.

– Witam ponownie na rockandrollowym sylwestrze Dicka Clarka!

Rozległy się jeszcze głośniejsze wiwaty. Wszyscy wokół machali małymi amerykańskimi flagami, które rozdawano razem z torbami confetti.

– To był naprawdę niezwykły rok – stwierdził Clark. – Rok, podczas którego doszło do spotkania z naszymi dawno niewidzianymi neandertalskimi kuzynami. – Na telebimie wyświetlono zbliżenie Pontera, który odszukał wzrokiem kamerę i pomachał w jej stronę. Nowiutki panel Haka zaśnił w neonowej tęczy.

Tłum zaczął skandować:

– Pon-ter! Pon-ter! Pon-ter!

Mary miała wrażenie, że za chwilę z dumy pęknie jej serce. Dick Clark jednak szybko wrócił do programu wieczoru.

– Dziś oprócz najlepszych zespołów z tego świata usłyszymy także hit *Dwoje stający się Jednym*, wykonywany na żywo przez Kirka Donalda w naszym studiu w Hollywood. Teraz jednak... halo, proszę pana, tutaj nie wolno wchodzić.

Mary ze zdumieniem patrzyła na ekran. Clark był na wielkiej scenie sam.

– Przykro mi, ale jesteśmy teraz na antenie – powiedział prezenter do pustej przestrzeni, po czym odwrócił się i zawołał: – Matt, czy możecie usunąć tego pajaca ze sceny?

Przez tłum przebiegł pomruk zdziwienia. Najwyraźniej jakiś planowany przez Clarka skecz nie wypalił. Nawet Bandra pochyliła się ku Mary i

powiedziała:

– Chyba coś mu nie wyszło...

Nagle mężczyzna, który dotąd stał tyłem do ich grupki, odwrócił się – co nie było łatwe, zważywszy, że ludzie tłoczyli się jak śledzie w beczce – i spojrzał prosto na Pontera.

– Mój Boże! – powiedział. – To ty! To ty!

Ponter uśmiechnął się uprzejmie.

– Tak, to ja...

Ale nieznajomy odepchnął Pontera na bok i znowu powtórzył: „To ty! To ty!”, z uporem brnąc przez tłum. Ludzie ustępowali mu z drogi.

– Jezu! – krzyknęła jakaś kobieta obok Bandry. Mary nie widziała, co ją tak zdenerwowało. Ponownie spojrzała na mężczyznę, który wyminął Pontera, i ze zdumieniem zobaczyła, jak nieznajomy pada na kolana.

Z głośników znowu rozległ się głos Dicka Clarka.

– Nie mogę prowadzić programu, dopóki on tu jest! – oznajmił histerycznie prezenter.

Mary poczuła suchość w gardle. Wyciągnęła przed siebie lewą rękę, próbując złapać równowagę. Bandra chwyciła ją za ramię.

– Mare, nic ci nie jest?

Mary z wysiłkiem przytaknęła.

– Jezu! – zawołała znowu ta sama kobieta.

Mary tym razem pokręciła głową.

– Nie – powiedziała prawie bezgłośnie.

Nie, to nie był Jezus.

To była Maria.

Błogosławiona Madonna!

– Ponterze? Widzisz ją? – spytała Mary drżącym głosem.

– Widzisz ją?

– Kogo? – zdziwił się Ponter.

– Ją! Stoi tam. – Mary wskazała miejsce, po czym niemal natychmiast cofnęła dłoń i się przeżegnała. – Tam!

– Mare, tu jest pół miliona ludzi...

– Ale ją otacza blask... – powiedziała cicho Mary.

Ponter odwrócił się do Louise i Mary też zmusiła się, by na moment spojrzeć na przyjaciółkę. Lou miała okrągłe ze zdumienia oczy i raz po raz powtarzała cicho: „*Mon Dieu, mon Dieu, mon Dieu*”. Mary nie mogła jej usłyszeć, ale domyśliła się słów po ruchu jej warg.

– Aha! – zatriumfowała. – Louise też ją widzi! – Już w chwili, gdy to mówiła, zaczęła się wahać. Na widok Madonny nikt nie mówił: „Mój Boże, mój Boże, mój Boże... „

Na powrót powędrowała wzrokiem ku idealnie oświetlonej postaci stojącej między ogromnymi budynkami.

Bandra wciąż trzymała Mary za ramię. Kobieta po jej drugiej stronie padła na kolana.

– Maryja! Błogosławiona Dziewica Maryja! – zawołała, ale patrzyła w zupełnie innym kierunku...

– Patrzcie! Statek kosmiczny! – krzyknął ktoś. Był to jeden z dziesiątek tysięcy okrzyków, jakimi rozbrzmiewał w tej chwili plac, ale Mary akurat ten wyłowiła z tła.

Przekrzywiła głowę. Krzyżujące się promienie reflektorów przeszukiwały czarne, puste niebo.

– Mare! – usłyszała głos Pontera. – Mare, nic ci nie jest? Co się dzieje?

Mężczyzna przed nimi obrócił się w ich stronę i sięgnął pod kurtkę. Przez pół sekundy Mary sądziła, że wyciągnie stamtąd broń, ale on wyjął gruby, wypchany gotówką portfel. Otworzył go.

– Proszę! – powiedział, wciskając kilka banknotów w dłoń Mary. – Proszę, bierzcie! Bierzcie! – Odwrócił się do Pontera i jemu także wcisnął trochę pieniędzy. – Bierzcie! Ja mam za dużo...

Z tyłu rozległo się głośne wołanie: „Allah-o-akbar! Al-lah-o-akbar!”

Daleko z przodu ktoś krzyknął: „Mesjasz! Nareszcie!”.

Z lewej strony dobiegły ich słowa: „Tak, tak! Zabierz mnie Panie!”

A po prawej ktoś śpiewał: „Alleluja!”.

Mary żałowała, że nie ma przy sobie różańca. Dziewica Maryja była tutaj – przed nią! – i dawała jej znak, aby wystąpiła z szeregu.

– Mare! – zawołał Ponter. – Mare!

Za Mary ktoś szlochał. Przed nią ktoś inny śmiał się spazmatycznie. Wiele osób chowało twarze w dłoniach, głośno klaskało albo wznosiło ręce ku niebu.

Jakiś mężczyzna wrzeszczał: „Kto to? Kto tam jest?”

Wtórował mu głos kobiety: „Idź precz! Przepadnij!”

Jeszcze ktoś inny głośno wołał: „Witamy na planecie Ziemia!”

Kilka metrów od Mary jakiś człowiek zemdlał, ale ludzie stali ciasno jedni przy drugich, więc nie osunął się na ziemię.

Zewsząd rozlegały się okrzyki:

– Nadszedł dzień sądu ostatecznego!

– To nasz pierwszy kontakt!

– Mahdi! Mahdi!

Stojąca nieopodal kobieta zaczęła się modlić: „Ojcze Nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje... „

Mężczyzna obok niej powtarzał bez końca: „Przepraszam, przepraszam. Tak mi przykro... „

Ktoś inny upierał się: „To nie dzieje się naprawdę! Niemożliwe!”.

– Mare! – Ponter ujął ją za ramiona i odwrócił tyłem do Madonny. – Mare!

– Nie! – zdołała zaprotestować. – Puść mnie. Ona tu jest...

– Mare, tłum zaczyna wariować. Musimy się stąd wydostać!

Mary wywinęła mu się, znajdując w sobie siłę, o jaką siebie nie podejrzewała. Zamierzała zrobić wszystko, byle tylko być przy Dziewicy...

– Adikorze! Bandro! Musimy się spieszyć! – tłumaczenie słów Pontera wdarło się w jej mózg, zagłuszając to, co mówiła Najświętsza Panna. Mary podniosła ręce, zaginając palce w szpony, i próbowała wydłubać sobie implanty ślimakowe. – Musimy natychmiast zabrać stąd Mare i Lou! – krzyknął Ponter.

Białe światło – idealne białe światło – zaczęło lekko migotać, mieniąc się na brzegach kolorami tęczy. Mary poczuła, jak jej serce rośnie, jak dusza wyrywa się do góry, jak...

Strzały!

Spojrzała w prawo. Biały mężczyzna około czterdziestki wyciągnął broń i strzelał do jakiegoś niewidocznego demona. Jego twarz wykrzywiało przerażenie. Przed nim umierali ludzie, ale na Times Square panował zbyt wielki ścisk, by mogli upaść na ziemię. Mary zobaczyła twarz pierwszego postrzelonego człowieka, potem drugiego...

Wrzask przerażenia mieszał się z okrzykami zachwyту.

– Bandro! – zawołał Ponter. – Toruj nam drogę! Ja wezmę Mare! Adikorze, ty weź Lou!

Mary poczuła, jak pot spływa jej po twarzy, choć przecież było zimno. Ponter chciał ją zabrać od...

„Nie” – dało o sobie znać jej racjonalne ja, na moment dochodząc do głosu. – „Dziewicy tu nie ma”.

„Ależ jest!” – wyła inna część jej świadomości. – „Jest!”

„Nie, nie. Nie ma Dziewicy. Nie ma... „

Ale była – musiała być! – bo nagle Mary poczuła, jak odrywa się od ziemi, unosi się do góry...

Tylko że to Ponter podniósł ją wysoko, wysoko, sadzając ją sobie na szerokim ramieniu. Przed nimi Bandra rozpychała ludzi na boki, tak jakby byli kręglami, torując im drogę w ludzkim morzu, zmuszając tłum, by się rozstąpił. Ponter parł naprzód, zajmując zwolnioną przez Bandrę przestrzeń, zanim na powrót wypełniła ją ludzka ciżba. Wciąż jeszcze były na placu mniej zatłoczone strefy – tam, gdzie wcześniej pozostawiono wolne korytarze dla służb ratowniczych. Barastka pruła w stronę jednego z nich.

Mary rozejrzała się na boki, próbując odszukać miejsce, gdzie stała Madonna, ale zamiast niej zobaczyła Louise siedzącą na ramionach Adikora. Oboje znajdowali się tuż za nią i Ponterem.

Jakiś oszalały mężczyzna zagroził im drogę. Zamachnął się na Pontera, który bez trudu zrobił unik. Jednak po chwili pojawił się drugi, wrzeszcząc: „Zgiń, przepadnij, demonie!”

Ponter próbował odeprzeć także jego ataki, ale bezskutecznie. Mary pomyślała, że napastnik zachowuje się jak opętany. Uderzył pięścią w szeroką szczękę Pontera. W końcu neandertalczyk musiał mu oddać. Pchnął otwartą dłonią w jego klatkę piersiową. Nawet w takiej wrzawie Mary usłyszała trzask pękających żeber. Mężczyzna upadł. Tłum szybko wypełnił miejsce, które zrobiła im Bandra. Ludzie zaczęli deptać po leżącym. Ponter w kilka sekund oddalił się stamtąd i Mary już nie widziała, co dalej działo się z tamtym człowiekiem.

Jej pole widzenia podskakiwało gwałtownie z każdym susem Pontera. Nagle kątem oka zauważyła, że gigantyczna kula zaczęła zjeżdżać w dół masztu. Dwumetrowej średnicy sfera pokryta kryształkami była oświetlona

od środka i z zewnątrz. Mary wątpiła, czy pozostał ktoś na tyle przytomny, by ręcznie uruchomić mechanizm; musiał być sterowany komputerowo.

Błyski światła. Reflektory. Promienie laserów krzyżujące się na chmurach.

Coraz częstsze krzyki. I strzały. Dźwięk tłuczonego szkła. Wycie alarmów. Koń zrzucający policjanta.

– Maryjo! – zawołała Mary. – Ocal nas!

– Ponterze, uważaj! – dobiegł ich z tyłu głos Adikora.

Mary poczuła, jak Ponter obraca głowę. Parł ku nim jeszcze jeden szaleniec. Ten trzymał w ręku łom. Ponter skierował się w prawo, roztrącając przy tym ludzi, ale unikając ciosu w głowę.

Na szczęście Bandra zawróciła. Chwyciła mężczyznę za nadgarstek i zacisnęła dłoń. I znowu Mary usłyszała chrzęst łamanych kości. Łom z brzdękiem upadł na chodnik.

Mary odwróciła głowę, szukając Madonny. Gigantyczna kula była już niemal na samym dole – a oni już prawie opuszczali Times Square, kierując się na wschód, w stronę 42 ulicy.

Nagle eksplodowało niebo...

Mary zadarła głowę do góry. Niebiański gospodarz otwierał bramy!

Ale nie. To tylko fajerwerki, którymi także sterował komputer. Na niebie pojawił się wielki paw ogon światła, a potem w górę wystrzeliły czerwone, białe i niebieskie rakiety.

Stopy Pontera miarowo uderzały w ziemię. Tłum rzedł. Posuwali się teraz szybciej. Bandra nadal była na przodzie, a Adikor niosący na ramionach Louise znajdował się tuż za Mary i Ponterem. Biegli prosto w noc, prosto w nowy rok.

– Maryjo! – zawołała Mary. – Błogosławiona Maryjo! Wróć do nas!

Siedziba Organizacji Narodów Zjednoczonych znajdowała się około półtora kilometra na wschód od Times Square. Dotarcie tam na piechotę zabrało im dziewięćdziesiąt minut. Przez całą drogę musieli się zmagać z ruchem ulicznym i tłumami ludzi, ale w końcu bezpieczni znaleźli się w budynku. Gliksiński strażnik rozpoznał Pontera i wpuścił ich do środka.

Halucynacje ustały zaraz po północy. Skończyły się tak samo niespodziewanie, jak się zaczęły. Mary miała potworny ból głowy i czuła się pusta i zimna w środku.

– Co widziałaś? – spytała przyjaciółkę.

Lou powoli pokręciła głową, przypominając sobie zdumiewające wizje.

– Boga – odparła. – Takiego jak na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Był – przez chwilę szukała odpowiedniego słowa – był idealny.

Resztę nocy spędzili na dwudziestym piętrze budynku ONZ. Położyli się spać na sali konferencyjnej, wsłuchując się w dziwne odgłosy i wycie syren na zewnątrz. Omamy się skończyły, ale chaos dopiero się zaczynał.

Rano obejrzelili sporadyczne relacje telewizyjne. Niektóre stacje w ogóle nie nadawały, a te, które to robiły, próbowały doszukać się jakiegoś sensu w wydarzeniach poprzedniej nocy.

Magnetyczne pole Ziemi już od czterech miesięcy ulegało stopniowemu zanikowi. Takie zjawisko miało miejsce po raz pierwszy, odkąd na tym świecie pojawiła się świadomość. Fluktuacje natężenia pola były ogromne, a linie pola magnetycznego to się gwałtownie zbiegały, to znów rozchodziły.

– No cóż – powiedziała Louise, stając z rękami na biodrach przed telewizorem – nie była to może całkowita awaria, ale...

– Ale co? – spytała Mary. Obie były wyczerpane, brudne i mocno posiniaczone.

– Wcześniej tłumaczyłam Jockowi, że największym problemem wynikającym z przebiegunowania Ziemi nie będzie promieniowanie ultrafioletowe, lecz wpływ samego zaniku pola magnetycznego na ludzką świadomość.

– Czuję się tak jak podczas doświadczenia w komorze Veroniki Shannon – przyznała Mary. – Tylko wszystko było o wiele bardziej intensywne.

Ponter skinął głową.

– I podobnie jak tam ani ja, ani żaden z Barastów nic nie poczuliśmy.

– Za to wszyscy inni – Mary wskazała odbiornik telewizyjny – na całej cholernej planecie mieli religijne wizje.

– Albo myśleli, że porywa ich UFO – dodała Louise. – Albo że patrzą na coś, czego tak naprawdę nie było.

Mary przytaknęła. Wiedziała, że upłynie wiele dni, a może nawet miesięcy, zanim poznają dokładną liczbę ofiar i rozmiar szkód, ale z pierwszych ocen wynikało, że w sylwestra lub w pierwszy dzień nowego roku – w strefach czasowych na wschód od Nowego Jorku – setki tysięcy, jeśli nie miliony, ludzi straciły życie.

Oczywiście latami miały się toczyć debaty na temat znaczenia tego doświadczenia. W komentarzach już pojawiała się nazwa „Ostatni Dzień”.

Papież Marek II zamierzał zwrócić się z orędziem do wiernych nieco później.

Ale co mógł powiedzieć? Planował uznać wagę widzenia Jezusa i Maryi, ale odrzucić wszelkie doniesienia o wizjach bóstw, proroków i mesjaszów, postaci świętych dla muzułmanów i mormonów, hindusów i żydów, scjentologów, wyznawców Wicca i Maorysów, Czirokezów i Mikmaków, Algonkinów i Indian Pueblo, Inuitów i buddystów?

A co z tymi, którzy widzieli UFO, szare ludziki czy potwory z wylupiastymi ślepiami?

Papież miał sporo do wyjaśniania.

Podobnie jak wszyscy przywódcy religijni.

Adikora, Bandrę i Louise zaabsorbował raport BBC, przedstawiający rozwój wydarzeń poprzedniego dnia na Śródkowym Wschodzie. Mary dotknęła ramienia Pontera. Kiedy na nią spojrział, gestem poprosiła, aby odszedł z nią w drugi koniec sali konferencyjnej.

– O co chodzi, Mare? – spytał ją cicho.

– Mam dość tych bzdetów.

Hak zapiszczał, ale Mary go zignorowała.

– Posłuchaj, zmieniłam zdanie. W sprawie dziecka...

Zobaczyła rozczarowanie na szerokiej twarzy Pontera.

– Nie, nie! – zaprzeczyła, dotykając jego krótkiego, umięśnionego przedramienia. – Nadal pragnę je z tobą mieć. Ale zapomnij o tym, co powiedziałam w chacie Vissan. Nasza córka nie powinna otrzymać genu Boga.

Złote oczy Pontera szukały czegoś w jej twarzy.

– Jesteś pewna?

Skinęła głową.

– Tak. Po raz pierwszy w życiu naprawdę jestem czegoś pewna. – Przesunęła dłonią w dół jego przedramienia i splotła palce z jego palcami.

EPILOG



Od Nowego Roku minęło sześć miesięcy. Dziwaczne wizje dotąd się nie powtórzyły. Jednakże magnetyczne pole tej wersji Ziemi nadal przechodziło szalone wahania, więc nie było gwarancji, że znowu nie pobudzi umysłów *Homo sapiens* w podobny sposób. Być może dopiero za czternaście lub piętnaście lat, gdy miało się zakończyć przebiegunowanie, ludzie na świecie Mare – wciąż nie wymyślono dla niego żadnej odpowiedniej nazwy – mogli przestać się obawiać powtórki wydarzeń.

Na razie Veronica Shannon i inni specjaliści zajmujący się tą samą co ona dziedziną często pojawiali się w mediach, wyjaśniając, co się stało... tym, którzy chcieli słuchać. W Ameryce Północnej frekwencja w kościołach najpierw osiągnęła najwyższą wielkość w historii – a zaraz potem spadła do najniższej. W Izraelu trwał rozejm. Wszystkie państwa arabskie usuwały muzułmańskich ekstremistów.

Za to tutaj, na Jantarze – świecie Barastów – na którym proces przebiegunowania zakończył się już ponad dekadę temu, życie toczyło się tak jak zawsze, wolne od myśli o bogach, demonach i ufoludkach.

Mary Vaughan zawsze marzyła o ślubie latem – jej pierwszy, z Colmem, odbył się w lutym. Ale ponieważ neandertalskie ślubowania urządzano na świeżym powietrzu, tym bardziej zależało jej, aby zorganizować uroczystość, gdy na dworze będzie ciepło.

Ceremonia miała się odbyć między Centrum a Obrzeżami Saldak. Mary już raz uczestniczyła w neandertalskim ślubowaniu córki Pontera, Jasmel

Ket, która połączyła się z Tryonem Rugałem. Czuła się wtedy bardzo niezręcznie, ponieważ niespodziewanie na uroczystości zjawiała się Daklar Bolbay, opiekunka Jasmel – kobieta, która oskarżyła Adikora o morderstwo i przez krótki czas rywalizowała z Mary o uczucie Pontera. Ale nawet z nią gości nie było wielu – tak to zwykle wyglądało u Barastów.

Tylko że Mary pragnęła mieć wielkie wesele. Kiedy wychodziła za Colma, zaprosili jedynie rodziców i rodzeństwo – miało być skromnie i przede wszystkim niedrogo, stosownie do ich studenckich budżetów.

Tym razem spodziewała się wielu gości – przynajmniej jak na tutejsze zwyczaje. Zjawił się oczywiście Adikor razem z partnerką Lurt i synem Dabem. Przybyli też rodzice Pontera, dwoje przemiłych ludzi z generacji 142. Przyszły córki Pontera, Jasmel i Mega, oraz partner Jasmel, Tryon. Nie zabrakło również córek Bandry, Hapnar i Dranny, oraz ich partnerów. Mary, choć nie było to neandertalską tradycją, chciała mieć druhnę. Została nią Louise Benoit. Zaproszono także Lonwisa Troba, ponieważ wcześniej wyraził chęć uczestniczenia w ceremonii, a jemu niczego się nie odmawiało w trakcie obchodów tysięcznej miesięcznicy opracowania przez niego technologii Kompanów, dzięki którym Barastowie poczuli się wolni. Lonwis osiągnął już zdumiewający wiek 109 lat i był tylko w odrobinę gorszej formie, odkąd wszczepiono mu mechaniczne serce.

Po żadnej z obecnych kobiet nie było jeszcze nic widać, ale już wkrótce miało się stać oczywiste, że pokolenie 149 szykuje się do przyjścia na świat. Dzieci spodziewały się Mary, Lurt, Jasmel, Hapnar i Dranna.

Ponter jeszcze się nie zjawił. Tradycja nakazywała mężczyźnie przed ceremonią iść na łowy i ofiarować swojej wybrance w prezencie upolowanego zwierza. Z kolei Mary zebrała sporo pinii, korzonków, warzyw, jadalnych grzybów i innych specjałów.

– Hej, idzie tatuś! – zawołała mała Mega. Mary spojrzała we wskazanym kierunku. Po zachodniej stronie na horyzoncie pojawił się Ponter. W obu rękach coś niósł, choć z tej odległości Mary nie widziała, co to było.

– O, jest też mama! – zauważyła Hapnar, wskazując na wschód. Rzeczywiście, z tej strony nadchodziła Bandra.

Ponter mówił, że podwójne ceremonie zdarzają się rzadko, ale Mary uznała, że taka będzie najodpowiedniejsza. Pragnęła równocześnie połączyć się z nim i z Bandrą. Nad głowami mieli bezchmurne niebo, a powietrze było ciepłe i suche. Mary czuła się cudownie – kochała, była kochana i cieszyła się życiem.

Ponter i Bandra mieli do pokonania podobne odległości, ale teren na zachodzie był bardziej nierówny, więc Bandra jako pierwsza dotarła na polanę. Uściskała swoje córki i przywitała matkę i ojca Pontera – jej rodzice mieszkali daleko, ale Mary wiedziała, że oglądają na żywo transmisję z Kompana córki. Potem Bandra podeszła do Mary, pocałowała ją i polizała jej twarz.

Wyglądała na taką szczęśliwą, że Mary wydawało się, iż za chwilę pęknie z radości. Upłynęło wiele czasu, odkąd ostatni raz widziała Harba. Jej partner wiedział, że przeniosła się na drugi świat, ale Bandra nie podjęła żadnych kroków, aby zakończyć związek z nim. Mówiła, że gdyby to zrobiła, poszukałby sobie innej partnerki. Przypuszczała, że kiedyś może sam zechce unieważnić ich partnerstwo.

„No, ale dość o Harbie” – pomyślała Mary. To był dzień składania ślubów, a nie ich łamania.

Bandra przyniosła na plecach spory pakunek, który teraz położyła na ziemi. Zawierał jej dar dla Mary. Sama Mary zebrała dwa razy tyle, ale tylko połowa tego była przeznaczona dla Bandry; drugą miał otrzymać Ponter.

Wkrótce – nareszcie! – i on do nich dołączył. Mary powitała go zdumiona. Kiedy była na uroczystości jego córki, Tryon stawiał się ze świeżo upolowanym jeleniem przewieszonym przez ramię, pobrudzony krwią zwierzęcia. Mary na samo wspomnienie robiło się niedobrze. Tymczasem Ponter przyniósł dwa duże sześcienne pojemniki – działały na zasadzie termosów i służyły do przechowywania jedzenia w odpowiedniej temperaturze. Spojrzała na niego pytająco, ale on bez słowa odstawił je na bok. Potem przytulił Mary i cudownie długo nie wypuszczał jej z objęć.

W ceremonii nie musieli uczestniczyć żadni urzędnicy. Wszystko było przecież rejestrowane w archiwach alibi. Cała trójka po prostu zaczęła. Ponter stanął po jednej stronie Mary, a Bandra po drugiej.

Mary odwróciła się do Pontera i zaczęła mówić – w neandertalskim języku, którego Bandra z pasją uczyła ją przez ostatnie pół roku.

– Obiecuję ci, drogi Ponterze, mieć cię w sercu przez dwadzieścia dziewięć dni w miesiącu i trzymać cię w ramionach zawsze, gdy Dwoje będzie Jednym.

Ponter wziął ją za rękę.

– Obiecuję – ciągnęła Mary – że twoje zdrowie i twoje szczęście będą dla mnie równie ważne jak moje. Jeśli w którymś momencie zmęczysz się mną, obiecuję uwolnić cię bez goryczy.

Bandra, która z kolei coraz sprawniej posługiwała się angielskim – a przynajmniej tymi słowami, które potrafiła wymówić – powiedziała cicho w tym języku:

– Zmęczyć się tobą? Nigdy, nawet za milion lat.

Mary się uśmiechnęła, po czym znowu zwróciła się do Pontera. Teraz przysła kolej na jego ślubowanie.

– Obiecuję – powiedział swoim cudownie głębokim, dźwięcznym głosem – mieć cię w sercu przez dwadzieścia dziewięć dni w miesiącu i

trzymać cię w ramionach zawsze, gdy Dwoje będzie Jednym. Obiecuję, że twoje szczęście i dobro będą dla mnie równie ważne jak własne. Jeśli kiedyś się mną zmęczysz, obiecuję uwolnić cię bez bólu i uznać dobro naszego dziecka – naszej wyjątkowej hybrydy – za najważniejsze.

Mary ścisnęła jego dłoń i odwróciła się do Bandry, która powtórzyła to samo ślubowanie, a na koniec dodała po angielsku: „Kocham cię”.

Mary pocałowała ją raz jeszcze.

– Ja też cię kocham – odparła. Potem odwróciła się do Pontera i ucałowała go mocno. – Wiesz, że ciebie też kocham, wielkoludzie.

– Są połączeni! – Mała Mega zaczęła klaskać.

Adikor uściskał Pontera.

– Moje gratulacje!

Louise przytuliła Mary.

– *Felicitations, mon amie!*

– A teraz – zawołał Ponter – czas na naszą ucztę! – Podeszedł do sześciennych pojemników, które przyniósł ze sobą, i otworzył je. Pokrywy od spodu były zabezpieczone odbijającą ciepło folią. Ponter wyciągnął duże papierowe torby najpierw z jednego termosu, a potem z drugiego. Mary zauważyła na nich znajome logo z białowłosym Gliksinem w okularach i z bródką.

– Zdumiewające! – zawołała zwyczajem Barastów. – Kentucky Fried Chicken!

Ponter uśmiechał się od ucha do ucha.

– Dla ciebie wszystko co najlepsze.

Mary odpowiedziała mu uśmiechem.

– Tak, kochanie – powiedziała – wszystko co najlepsze z obu światów.

PODZIĘKOWANIA I ŹRÓDŁA



Za informacje z zakresu antropologii i paleontologii dziękuję doktorowi Michaelowi K. Brettowi-Surmanowi i doktorowi Rickowi Pottsowi (obaj z National Museum of Natural History, Smithsonian Institution); doktorowi Philipowi Liebermanowi z Brown University; doktorowi Robinowi Riddingtonowi (professor emeritus, University of British Columbia); Gary'emu J. Sawyerowi (nie ma między nami więzów pokrewieństwa) oraz doktorowi Ianowi Tattersallowi (obaj z American Museum of Natural History); doktorowi Milfordowi H. Wolpoffowi z University of Michigan oraz specjalistom wymienionym w podziękowaniach w mojej poprzedniej książce: *Ludzie*.

Rad z dziedzin genetyki i chorób zakaźnych udzielali mi dr George R. Carmody z wydziału biologii Carleton University; Peter Halasz; Hassan Masum, doktorant z Carleton; dr Alison Sinclair oraz Edward Willett. Endokrynologowi Christopherowi Kovacsowi z Health Sciences Centre na Memorial University of Newfoundland jestem wdzięczny za informacje dotyczące innych kwestii medycznych pojawiających się w książce.

Wiadomościami na temat Sudbury Neutrino Observatory dzielili się ze mną dr Art McDonald i dr J. Duncan Hepburn, dzięki którym mogłem także zobaczyć obserwatorium.

Normowi Nasonowi jestem wdzięczny za zwrócenie mojej uwagi na teorie dotyczące ludzkiej świadomości oraz zjawiska elektromagnetyzmu. Dwie z tych teorii, podobne do siebie w większości detali, zostały niedawno

niezależnie opracowane przez doktora Johnjoego McFaddena (School of Biomedical and Life Science, University of Surrey) oraz dr Susan Pockett (Department of Physics, University of Auckland) . Jeśli ktoś miałby chęć dowiedzieć się na ten temat więcej, McFadden zamieszcza ogólne streszczenie swojej wersji w końcowym rozdziale książki własnego autorstwa: *Quantum Evolution: The New Science of Life* (Harper-Collins UK, 2000; W. W. Norton USA, 2001) natomiast Pockett poświęca swojej wersji teorii całą książkę *The Nature of Consciousness: A Hypothesis* (Writers Club Press, 2000).

W poprzednim tomie tej trylogii, zatytułowanym *Ludzie*, wielokrotnie wspominałem o dowodach wskazujących, iż w przeszłości dochodziło do bardzo szybkich zaników magnetycznego pola Ziemi. Ponieważ w tym tomie ponownie do tego wracam, zainteresowanych zapraszam do zapoznania się z opracowaniem Roberta S. Coego i Michela Prevota: *Evidence suggesting extremely rapid field variation during a geomagnetic reversal*, w „Earth and Planetary Science Letters”, 92: 292-98 (1989) oraz z kontynuacją tego artykułu autorstwa Coego, Prevota i Pierrea Campsa: *New evidence for extraordinarily rapid change of the geomagnetic field during a reversal* w „Nature”, 374: 687-92 (1995) . Za pozostałe rady z zakresu przebiegowań Ziemi dziękuję Grantowi C. McCormickowi oraz dr Ariel Reich.

Ogromnie dziękuję mojej cudownej żonie, Carolyn Clink; mojemu wydawcy, Davidowi G. Hartwellowi, oraz jego współnikowi, Moshe Federowi; mojemu agentowi, Ralphowi Vicinanza, i jego partnerom, Christopherowi Lottsowi i Vincebwi Gerardisowi; Tomowi Dohertyemu, Lindzie Quinton, Jennifer Marcus, Jenifer Hunt, Irene Galio oraz wszystkim w Tor Books; a także Haroldowi i Sylvii Fennom, Robertowi

Howardowi, Heidi Winter, Melissie Cameron, Davidowi Leonardowi, Stevebwi St. Amantowi i innym z H. B. Fenn and Company.

Jestem niesamowicie wdzięczny przyjaciołom i kolegom – tym, z którymi mogłem przedyskutować różne pomysły, i tym, którzy pomogli mi w inny sposób. Są to Linda Carson, Marcel Gagne, James Alan Gardner, Al Katerinsky, Herb Kauderer i Robert Charles Wilson.

Beta testerami tej powieści byli Ted Bleany, Carolyn Clink, David Livingstone Clink, Richard Gotlib, Peter Halasz, Howard Miller, Ariel Reich, Alan B. Sawyer, Sally Tomasevic, Edo van Belkom i David Widdicombe.